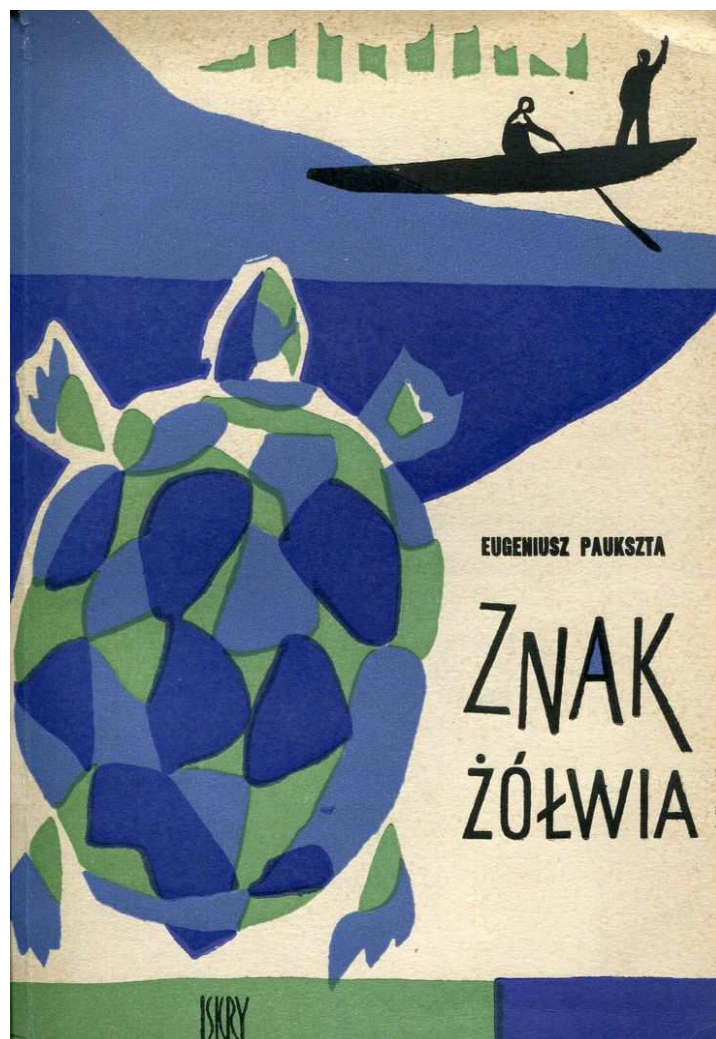


**EUGENIUSZ PAUKSZTA**

**ZNAK ŻÓŁWIA**



PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO „ISKRY” WARSZAWA 1961

## ROZDZIAŁ I

Wysłuzony „Star” trzął niemiłosiernie, jazgotał wnętrzościami. Spod kół tryskały fontanny błotnistej wody. Młody kierowca miał mocny głos. Sfalszowana melodia dobiegała aż do dwóch chłopców przytulonych do siebie za szoferką i próżno usiłujących osłonić się przemoczoną plandeką przed rannym ziąbem.

— Że też musiał zabrać tę sikse, zmieścilibyśmy się, gdyby nie ona, w szoferce... Ale ziąb.

Wysoki, o chudej, pociągłej twarzy blondyn wykrzykiwał te słowa do uszu kolegi o zielonkawo, sprytnie pobłyskujących oczach. Wpatrzony był w malejące w oddali wieże kościołów Międzyrzecza, w narastające zwarte kompleksy lasów, w mgły zwiewnym tumanem unoszące się nad łąkami.

— Będzie pogoda — wskazał na słońce przebijające się przez zwały chmur, od tygodnia nieprzerwanie wiszących nad ziemią i zlewających ją ponad wszelkie oczekiwanie.

Na spadzie drogi „Star” wepchnął się w olbrzymią kałużę: parł naprzód jak polewaczka na ulicach Warszawy, brudne i zimne bryzgi sięgały aż na platformę.

— O, właśnie — obrzydliwym grymasem skwitował blondyn uwagę kumpla, ścierając z nosa solidną pecynę błota.

Asfaltowa szosa dawno już musiała nie widzieć drogowców, maszyną rzucało niesamowicie, prysznicze coraz to zlewały niefortunnych amatorów turystyki na platformie załadowanej pustą beką po benzynie.

Kierowca był w doskonałym nastroju. Głos jego tym silniej niósł się z szoferki, im bardziej podrzucało „Starem” na wertepach bocznej drogi. Narastał warkot motoru, drzewa przydrożne śmigały w zwiększającym się tempie.

Brunecik o zielonkawych oczach pokręcił głową, odrzucił nieprzydatną na nic, przemoczoną i ciężką plandekę, zajrzał przez okienko do wnętrza szoferki. Dziewczyna złożyła głowę na ramieniu kierowcy, ten śpiewał nadal; lekko przygięty wpierał nogę w gaz, jakby od tego zależały jego dalsze szanse u niebrzydkiej współtowarzyszki podróży.

— Nic nie pomoże... popisy przed cizią — wrzasnął w ucho chudemu dryblasowi. Ten z rezygnacją co chwila ścierał błoto gęsto osiadające na twarzy.

Motor wył na pełnych obrotach. Już nawet śpiewu kierowcy nie było słyhać. Z lasów wyrwali na otwarte pola, na horyzoncie dopiero zamknięte ciemnym pasem drzew. Brunecik znów zerknął w okienko. Strzałka szybkościomierza zdecydowanie wychylała się poza osiemdziesiątkę.

Pasażerowie na platformie, smagani przenikliwym wiatrem, skulili się przy sobie i obojętni na wszystko czekali ze stoicyzmem końca tej nieprzytomnej jazdy. W Sulęciniu na pewno się kierowca zatrzyma, wysiądą, dostanie chłopys swoje kupony autostopowe i cześć.

Szosa spadała teraz ku dołowi ostrą stromizną. Znak ostrzegawczy przed zakrętem czerniał cyferką 5. Kierowcy zdawało się to nie obchodzić, co chwila tylko naciskał klakson, równie roztrzęsiony jak cały samochód. Przenikliwe wycie wdzierało się w spokój lasów i pól, spędzając do rowów rzadkich przechodniów.

Na pierwszym zakręcie szofer nie zwolnił, przy drugim zahamował leciutko, mimo to zarzuciło na śliskim asfalcie tylnymi kołami, autostopowicze jak ulęgałki przetoczyli się spod szoferki na burtę i upaprali do reszty w błocie oblepiającym całą platformę.

— Pieska jego niebieska — zaklął soczyście dryblas.

Spad kończył się, przed nimi wyrosły z rzadka rozrzucone domy, jeszcze jeden zakręt, kierowca bezskutecznie spróbował hamować, ścięcie było zbyt ostre nawet jak na jego kawalerskie zapędy. Koła przeszły w poślizg, „Starem” zarzuciło z prawa na lewo, z lewa na pra-

wo, jeszcze raz, a potem motor nagle zacichł, wóz sunął tylko siłą rozpędu, jeszcze zatańczył, na nic wszystko, wielkie, przerażająco wielkie drzewo wyrosło przed nimi, zawadzili o nie lewą burtą, trzask, jazgot, grzmot, wszystko się skiełbało, skłębilo, ciężarówka zsunęła się bokiem do rowu, przez moment balansowała, jakoś utrzymywała równowagę.

Cisza, niesamowita cisza. A potem w brzęku sypiącego się szkła rozbitej szyby doszło przeciągłe, pełne zdumienia i trwogi:

— Cholera!

Z tym słowem ożyło wszystko. Dziewczyna zapiszczała cienko, cieniutko, rozdarła się zaraz spazmatycznym szlochem. Pasażerowie na platformie, zbierając się z wysiłkiem do kupy, jeszcze niepewni, co z nich pozostało, również odyskiwali rezon.

— Choleruje teraz, kawaler wyścigowej jazdy.

— Że też takich pętałów sadzają za kierownicą.

— Jakoś żyjemy. Dobrze, że dziewczucha tylko przeciętna z urody. Gdyby przy tym neptku zamiast niej siedziała Bardotka, już byśmy na pewno słowa pisać nigdy nie mogli... O kurczę blade, co z moją nogą?

— Jak tam, nic się nie stało, nic? — ocierając krew rozmazaną na twarzy, kierowca wspinał się na palce, by zajrzeć przez burtę.

— Sami się pozbieramy, ciemna maso, zajmij się swoją facetką..

Nie było to wcale proste. Dziewucha płakała, jęczała, pokrzykiwała, nie można się było od niej niczego dowiedzieć. Pocierając solidnie stłuczone boki, brunecik przy pomocy kierowcy wyciągnął ją z szoferki straszącej rozbitymi szybami i pogiętą blachą, dziewczyna całą twarz i włosy miała we krwi, rany jednak przy pierwszym wejrzeniu nie można było dojrzeć.

— Co pani jest?

— Ajaja, ajaja, mammo moja, mammo, ajaja...

— Teraz mammo, ale przedtem, jak się tuliliśmy do kierowcy, mama nie była potrzebna, co? — sarknął gniewnie brunecik.

Jeszcze raz spojrzął na dziewczynę, na kierowcę bezradnie stojącego obok, z prerażeniem w maleńkich oczkach, trochę niezgrabnie zaczął przesuwając dłonią najpierw po głowie dziewczyny, szukając rany, potem powiódł po szyi, rękach i ramionach. Sweterek również zapaćkany był krwią, wydało mu się że rozerwany w którymś miejscu, dotknął tam dłonią, ledwie zdążył wyczuć szybki rytm podnoszących się piersi, gdy dziewczoja w jednej sekundzie zaprzestała szlochu, wrzasnęła natomiast głosem silnym jak surmy bojowe:

— Weź pan tę rękę, patrzcie, jaki amator się znalazł. Oho, ja nie taka...

— Heniek, zostaw tę grację, zdrowsza od nas wszystkich, pomóż mi lepiej zejść. Coś stało się z moją nogą...

Skoczył ku niemu wraz z kierowcą. Zostawiona sama sobie dziewczyna zaczęła od nowa zawodzić. Nie zwracali już na nią uwagi.

— O, licho, ależ rwie... Coś mi wygląda na koniec autostopowej włóczęgi... Żeby tylko nie była złamana.

Ściągnęli go z wozu dopiero po opuszczeniu burty. Chudzielec niby, a ciężki był, jakby go ktoś ponadziewał kamieniami. Usiadł teraz na skraju rowu, rozcierał ostrożnie prawą nogę w okolicach kostki. Heniek przyklęknął przy nim, obmacywał z pewną wprawą. Towarzysz jego skrzywił się, zaraz coś sobie przypomniał, zajęczał oburzonym tonem:

— Patrzcie, jaki amator się znalazł. O, ja nie taki...

Rozładował się nastrój. Na odezwanie Romana kierowca i Heniek buchnęli śmiechem. Obrażona dziewczyna odeszła parę kroków i obróciła się do nich tyłem.

— A niechże ją — spluwając pod nogi zaklął niefortunny szofer. — Mam trasę na Kostrzyń, jechałbym sobie dobrą drogą przez Skwierzynę, ale właśnie musiała się znaleźć, błagać i prosić, że to musi koniecznie do Ośna. Myślę sobie, wiele nie nadłożę, skręcę do Międzyrzecza przez Sulęcín, było nie było parę tych kilometrów. A teraz taki koniec —

machnął dłonią w kierunku stara.

— Ma pan ranę — Heniek dopiero co zauważył rozharataną dłoń chłopca.

— Guzik, opatrzy się potem... Jak teraz wykaraskać się z tej kabały? Zobaczą, czy motor gra.

Wpakował się do szoferki, zapuścił, maszyna zaburczała zgrzytliwie.

— Dobra jest, tylko jak wypakować się z tego rowu? Szczęście, że nie nadzialiśmy się na drzewko, byłaby kasza z nas wszystkich, a tak, trochę strachu i mokre majtki u panny.

— Te, chłopyś, zostaw ją. Sameś przedtem strugał przed nią wariata, teraz mścić się chcesz na dziewczynie? — postępując Roman groźnie spojrzał ku kierowcy,

— A tyś co za jeden? Gadam co chcę...

— Spokojnie, spokojnie — Heniek przybliżył się o krok, łypnął zielonymi oczyma, zacisnął pięści.

Kierowca skapitulował. Bił się jeszcze będzie z jakimiś pętakami, gdy i tak kłopotu co niemiara na głowie?

— Dobra, już dobra, co tu tylko zaradzić? Gdy dam tylny bieg, to się wpakujemy do rowu. Żeby tak druga maszyna, toby nas podciągnęła... Nie chciałbym stracić prawa jazdy ani roboty, dopiero pół roku jeżdżę. Tamto — wskazał na pokierszowaną szoferkę — załata się jakoś. Dwa patyki się straci, bywa gorzej.

— Ale grzeje, nareszcie ciepło, i właśnie teraz z tą nogą — Roman przeciągnął się w słońcu. Syknął, zabolalo bardziej przy nieostrożnym ruchu. — Tam, zdaje się, coś pyka na górze?

— Traktor, jak mamę kocham — ucieszył się kierowca. — Żeby tylko jakieś morowe chłopaki, bo to różna wiara się zdarza.

Wolniutko, hamując ostrożnie, zsuwał się z wzniesienia masywny „Ursus” z przyczepą, wolno brał zakręty, chwilami nikał, znów wyłaniał się coraz bliżej. Kierowca z daleka już wymachiwał ku nim dłońmi.

— Co jest? Kraksa? Ale żyjecie? — piegowaty chłopiec o pызatej twarzy biegł ku nim. — Poślizg?

— Aha — przytaknął szofer. — Pomożecie nam wykaraskać się? Motor gra, byle na drogę...

— Zaraz, zaraz. A temu co się stało? — wskazał na Romana. — Ta czego znów płacze? We krwi? Wy też? Toście się jednak poharatali... Przedtem was zawiozę na punkt, pół kilometra stąd uruchomili, bo na tych zakrętach coraz się coś dzieje. Trzy dni temu motocykl skoziółkował, chłopyś jeszcze leży w szpitalu, o świecie nie wiedząc. No, pakujcie się...

— Ja zaczekam, mnie tam nic nie jest — kierowca stracił humor. Zależało mu na pośpiechu.

— Wolnego, wolnego. Przedtem pierwsza pomoc ludziom, potem maszynie, nie tak?

— No pewnie — nie bez złośliwej satysfakcji potwierdził Roman, obserwując niepokój kierowcy ciężarówki.

— Tam dalej — pызaty piegus z ciągnika już wskazywał ręką w stronę lasu — jest wielki PGR, mają takie dwa „Stary”, szoferaki swoją wiara, na pewno pomogą wyklepać facjatę wozu. Boisz się kolega o prawo, nie tak? — wykrzywił gębę do kierowcy.

Romana musieli wziąć na ręce i położyć na deski platformy. Noga bolała coraz silniej, przybladł, twarz wykrzywił w dziwnym skurczu. Traktor zapykał mocniej, drgnął z miejsca, ruszyli.

Przy każdym podrzucie Roman posykiwał boleśnie. Heniek i jadący przyczepą dwaj robotnicy podtrzymywali go, jak mogli. Kierowca ze „Stara” oglądał się stroskany za swoją maszyną, mrucał pod nosem. Dziewczyna odsunęła się w kąt platformy.

Gdy przejeżdżali przez most wsparty na żelaznych dźwigarach nad dziwnie szeroką rzeczką, Heniek zauważył wyraźne podniecenie towarzyszących im robotników. Wychylali się,

patrzyli na wodę, żółtą jakąś i spienioną, sięgającą niemal brzegów rozsiadłych szeroko łąk, pokazywali coś z ożywieniem palcami. Traktorzysta przyhamował, mijał most bardzo ostrożnie.

Czyżby tak wylało po tych cholernych deszczach — pomyślał zielonooki chłopak wsłuchując się w poszum spienionego nurtu, ale nie miał już czasu rozmyślać nad groźbą powodzi, słońce zresztą świeciło teraz zbyt mocno, deszcz nie padał pierwszy raz od wielu dni. Zbliżali się do niewielkiego domu przy samej drodze, nad którym widniała tablica ze znakiem Czerwonego Krzyża.

Podobał się Heńkowi ten domek, niewielki, schludnie otynkowany na biało, z malwami w ogródku. Spodobał jeszcze bardziej, gdy traktor przyhamował zjeżdżając w bok szosy, a na podwórze wyjrzała szczupła dziewczyna o zaciekawionym wejrzeniu błękitnych oczu.

— Wysiadka, karawaniarze — zarechotał piegowaty traktorzysta, pakując się na platformę, by pomóc zejść Romanowi.

Kierowca „Stara” ze wściekłością spojrział na swą niedawną towarzyszkę, która na widok Czerwonego Krzyża zaczęła szlochać tak rozpaczliwie, jakby spotkało ją największe nieszczeście.

— Co się stało? Kraksa? Coś poważnego? Nieście go do domu... Mówiąc to szczupła i, jak się wydało Heńkowi, cholernie ładna dziewczyna pierwsza zawróciła ku malutkiemu gankowi, znikając zaraz w otwartych szeroko drzwiach.

Po chwili znów się pokazała, tym razem w obcisłym fartuchu pielęgniarki.

— Będziesz miał pocieszycielkę — szepnął Heniek do Romana, pomagając go wnosić do wnętrza mieszkania. Dryblasowi daleko wszakże było do podziwiania urody ewentualnej pocieszycielki. Stękał boleśnie, przybladł, coś z tą nogą mocno musiało być nie w porządku.

Stłoczyli się w ciasnym pomieszczeniu całą gromadą, bo traktorzysta i robotnicy również byli ciekawi. Sanitariuszka raźnie objęła komendę.

— Józek — mówiła do pyzatego piegusa. — Tu są miednice, śmigaj po wodę, niech się najpierw ta pani obmyje. — Spojrzała na kierowcę „Stara”. — Tu też się przyda, bo nie poznać, gdzie skaleczenie, gdzie rozmazana krew. Aleście się upaprali...

Towarzyszka kierowcy wybuchnęła przeraźliwym szlochem. Sanitariuszka spojrzała na nią uważnie, odstaąpiła na chwilę od nogi Romana, którą się już zajęła, do małej szklaneczki wlała pokąźną ilość brunatnych kropelek, dolała wody.

— Proszę to wypić, świetnie robi na nerwy. I myć się zaraz. Potem będzie pora na płacz.

Mówiła stanowczo, rozkazująco. Heniek zauważył ze zdziwieniem, jak płaczliwa pannica natychmiast się uspokoiła, połknęła jednym haustem porcję waleriany, zaczęła się chlapać w podsuniętej misce z wodą.

— Aniele, nie tak ostro — syknął Roman, gdy dziewczyna zręcznie odwinęła nogawkę jego spodni, zzuła trampki i przepoconą skarpetkę, pokręciła nosem na widok solidnie brudnej nogi. — To z tego błota, jak Bożię kocham... — zawstydził się chłopak.

Watą maczaną w spirytusie usunęła brud, naciskając, zbadła nogę w przegubie. Roman syczał, nie zwracała na to uwagi. Skąd ona ma taką wprawę? — myślał Heniek.

W tej chwili dziewczyna spojrzała na niego.

— A pan czemu się dotąd nie umył? Tutaj nie ma nic specjalnie groźnego. Najwyżej zwichnięcie, w każdym razie nie złamanie. Boli, bo posiniaczona w dodatku.

— Ta cholerna beczka od benzyny nie zabezpieczona była na wozie... — niechętnie zerknął na kierowcę.

— Trzeba było się nie pakować, ja was nie zapraszałem...

— Spokój, panowie, potem będziecie się kłócić. Na nogę pójdzie opatrunek z wody Burrowa, potem zobaczymy, co dalej. Teraz niech pan leży spokojnie. Pani znów płacze? Że co? Krew? Nic groźnego, dobrze, że pani żyje. Mogło być tak, jak z osobówką przed miesiącem.

Dwa trupy, trzeci pasażer jeszcze się kuruje w szpitalu. — Zajął się teraz dziewczyną, uśmiechnęła leciutko. — Krew to z nosa, na zadrapanie koło ucha wystarczy plasterek, o tak, jeszcze na dłoni, to nie rany, głupstwo.

Kierowca miał solidnie pociachaną lewą rękę w napiętku. Nim dziewczyna musiała zająć się dłużej. U Heńka natomiast skończyło się na pacnięciu jodyną.

— Koniec. Najgorzej z panem. Wygląda, że z chodzeniem na jakiś tydzień trzeba dać spokój. W każdym razie kości całe, na resztę coś się zaradzi.

Kierowca rozmawiał na ganku z traktorzystą i robotnikami.

— Wszystko przez tę sikse — kierowca „Stara” już wyzwolił się spod uroku płaczącej dziewczyny.

Ona natomiast miała pretensje do niego. Podniesionym głosem żądała, by ją odwiózł z powrotem do Międzyrzecza, nie będzie tu tkwiła przecież do śmierci.

— A cóżem to ja z panną ślub brał? Na odstawkę szukaj sobie panna innego frajera.

— Często przyjeżdżają tu ciężarówki, najlepiej ich wyglądać na szosie. Na upartego za cztery, pięć godzin piechotą zająć można do Międzyrzecza, stamtąd już kolej i PKS chodzi — któryś z robotników zazartował z dziewczyny.

Chciała coś odpowiedzieć, zmilczała jednak, odwróciła się z obrażoną miną i niepewnym krokiem pomaszerowała w kierunku szosy.

Traktorzysta zawracał „Ursusa”. Heniek miał chwilkę czasu. Wpadł galopem do małej izdebki, zamienionej na prowizoryczne ambulatorium. Roman z ożywieniem rozmawiał z pielęgniarką.

— Wiesz — zwrócił się do wchodzącego kolegi. — Tędy co drugi dzień przejeżdża lekarz z Międzyrzecza do Sulęcina. Dzisiaj też powinien tu lecieć. Obejrzy nogę, zawsze to lepiej. Potem zobaczymy, co dalej.

Heniek widział, że oczy kumpla błyskały ożywieniem, coraz to zahaczając o zgrabną sylwetkę pielęgniarki. Uśmiechnął się.

— Idę pomóc wyciągnąć stara. Już trąbią — próbował się usprawiedliwić, że zostawia kolegę.

Roman niedbale skinął mu dłonią. Wyglądało na to, że zaczyna mu się podobać rola chorego.

Dziewczyna uśmiechnęła się. Heniek stwierdził z zadowoleniem, że nie omyliło go pierwsze wrażenie. Ładna była naprawdę.

Klakson traktora wył za oknem ponaglająco. Wyskoczył na próg.

## ROZDZIAŁ II

Parno było tak niesamowicie, jakby piekło zstąpiło w ten dzień lipcowy na ziemię. Napita upustami deszczów gleba pokrywała się zwiewnymi mgłami, drzewa stały milczące jak obumarłe, krowy udręczone kładły się na pastwiskach, ludzie nieustannie ocierali pot z czoła, niespokojnie popatrując na intensywnie błękitne niebo. Tylko brzegami horyzontu tłukły się cienie czarnych chmurzysk, z oddali nadbiegały długie, przytłumione dudnienia gromów.

— Hoop! I jeszcze go raz!

Wparli się w prawą burtę, podtrzymywali niebezpiecznie przechylającego się „Stara”. Przednie koło zabuksowało, dopiero po chwili protektory złapały twardszy grunt. Ciągnik wolniutko rwał w górę. Ciężarówka w ślad za nim wycofywała się na tylnym biegu.

— Dooość!

Kierowca wyskoczył z szoferki czerwony jak świeżo ugotowany rak. Rękawem ocierał

z czoła pot zalewający mu oczy. Mrugał powiekami, patrzył przez chwilę na pień drzewa bielejący miąższem spod zerwanych płatów kory.

— Dziękuję, żeby nie wy...

— No, więcej nas się tutaj zebrało — zaśmiał się traktorzysta, dłonią wskazując sporą gromadkę skupioną przy maszynach.

Heniek też się zdumiał, gdy na miejscu kraksy zobaczył okazały już tłumek. Ludzie jak muchy ciągną zawsze do każdej sensacji. Tym razem przydali się, trudno byłoby uwolnić „Stara” od wywrócenia się na skosie rowu.

— Już pojechała ta smarkuła, osobówką się urządziła — zwrócił się do niego kierowca, wskazując twarz dziewczyny widniejącą za szybą wolniutko mijającego ich „Opla”. Uśmiechnięta była, ani śladu po płaczącym nastroju. — Jedziemy razem?

— Przejdę się ten kawałek, rzekę obejrzę. — Heniek miał już „Stara” po uszy.

Przysiadł na skraju szosy.

Co u licha jest z tym upałem? Skwierczy człowiek na zarze jak skwarek na patelni. Żeby znów nie padało...

Traktor zapykał mocniej, za nim ruszyła ciężarówka. Opustoszało na asfalcie. Tylko jakiś mały chłopak o bystrym wejrzeniu ciemnych oczu stał jeszcze oparty o stary damski rower, ciekawym spojrzeniem badał odarte z kory drzewo, schylał się szukając na wilgotnym gruncie śladów opon. Potem przyjrzał się dokładnie Heńkowi i przysunął się bliżej ze swoim rowerem.

— Pan też jechał tym karawanem? Ładnie was rzucało po szosie. Tamtą „Warszawę”, co to aż dwa trupy były, też widziałem, tylko na kraksę z motocyklem nie zdążyłem, jakoś szybko ich pozbiali... Ja też będę kierowcą. Ale się nie rozbiję.

Zdenerwował go pętał. Obrócił się w jego stronę.

— Takiś pewny?

— A pewny. Głupi tylko na śliskiej szosie rwie pełnym gazem po takich zakrętach. Pomyślunek mieć trzeba.

— Oho. A ty go masz?

— Mam. Matka mówi, że aż za dużo.

Heniek zaśmiał się, w tejsze chwili drgnął zaskoczony, zmartwił na chwilę. Nie wiadomo skąd nagle pojawił się olbrzymi kudłaty pies, z mordą spiczastą jak u wilka; poufale zabrał się do obwąchiwania, nawet po kolanie polizał Heńka nagrzanym ozorem.

— Niech pan nie nawala, przy mnie on nic nie robi. Lubusz, do nogi. Że też go pan nie widział, cały czas tu był razem. Mądry jest, z pomyślunkiem.

— Jak ty?

— Może i z większym — urwał, nasłuchując przez chwilę. — Słyszysz pan, znowu grzmi. Parzy. Będzie deszcz. A jeżeli popada przez parę dni, rzeka wyleje. Dopiero się raban zrobi, ryby potem będzie się zbierać po wadołach.

Heniek leniwie podniósł się z miejsca. Nie ma sensu tu siedzieć, uprzytyć się można. Trzeba też się wywieźć, co z Romanem.

— Do kolegi pan idzie? Jedna nam droga. Bo Kryśka to moja siostra stryjeczna. Fajna babka, prawda?

Heniek wybuchnął śmiechem. To dopiero braciszek. W każdym razie ma dobre mniemanie o swojej kuzynce. Podobał mu się pętał. Z powagą wyciągnął rękę.

— Kubiak jestem...

— O, to pan na pewno pyra poznańska. Tam same Kubiaki i Nowaki... U nas, co który z tamtych stron, też się Kubiak albo Nowak nazywa... Dobrze, że już się poznajomiliśmy. Ja jestem Malicki. Benek. Od Benona, takie głupie imię mi dali, chłopaki przezywały w szkole, prędko ich jednak uspokoiłem.

— A jakże to zrobiłeś, Benek?

— Po uszach dostali. Proste.

Stanęli na moście. Heńkowi wydało się, jakby woda rozlała się jeszcze szerzej, a prąd stał się bardziej wartki od czasu, gdy traktor, wiózł ich na punkt opatrunkowy. W ciszy stojącej w powietrzu szum; spienionej, brudnej wody był wyraźnie niepokojący. Aż na ich twarze leciały krople, tak chlustała o pale, kipiała wśród nich, napierała z olbrzymią siłą.

— Mocny most, nie zwali go — jakby dopowiadając jego myślom, odezwał się Benek. I zaraz rozkrzyczał się nakazująco: — Lubusz, do nogi, Lubusz. Ja ci pokażę, głuptaku.

Pies zbiegł na łąkę, zanurzył łapy w wartkim prądzie, nadrywającym kawały darni, tęsknie popiskiwał. Niechętnie zawrócił na wołanie chłopca, przysiadł przy nim ze skulonym ogonem.

— To mieszaniec, jego ojciec był wodołazem, wie pan, takie psy specjalne. Lubusz też żyć bez wody nie może, pływa, że każdemu poradzi. Nawet mnie... O, idzie stryjaszek. Dzień dobry.

Starszy człowiek w mundurze dróżnika szedł ciężkim krokiem z łopata na ramieniu. Poważnym spojrzeniem obrzucał wezbrany nurt. Głową tylko odpowiadając na przywitanie chłopca, przykląkł na moście i przechylił się w dół, wyglądając czegoś pod spodem. Podniósł się, odruchowo otrzepał kolana, przybliżył się do Heńka i sprytnego bratanka.

— Dzień dobry... Żeby tylko pozostał dobry. Znów od rana przybrała osiem centymetrów. Od dwóch dni mamy stan ponad najwyższą normę. Nie daj Bóg, żeby wylała, co to straty by ludziom przyniosło...

Spojrzał na niebo, westchnął, wąsiska obwisły mu smutnie. Heńkowi nasunęło się spostrzeżenie, że jakimś trafem większość dróżników poszczycić się może wąsami.

— To pana córka nas opatrywała? — przypomniał sobie, że obok plakietki z Czerwonym Krzyżem przy białym domku widniał także znak dróżnika.

Stary skinął głową.

— A tak. Wygląda, że będzie tutaj miała więcej roboty jak w szpitalu. Od początku mają już piąty wypadek. Nawet zabici byli. Umiaru ludzie nie znają... Sypię ten piasek, nawet jak trochę deszcz pokropi, ale czy to ustrzeże? Gonia, jakby ich za tymi zakrętami wieczne zbawienie czekało. Ale dziewczucha sprytna w swoim fachu? — ucieszył się z nagła.

— Radzi, że lepiej nie trzeba. Mało kto tak potrafi na punkcie...

— Zawsze ja opatrywałem albo żona, nim nie zachorowała biedaczka... Krysia to jednak co innego, zawsze to uczoną siłą. Ona w szpitalu była za pielęgniarkę. W samej Zielonej Górze.

— Potem przeniosła się do Międzyrzecza — wtrącił Benek.

— A to już jak matka zachorowała, chciała dziewczucha być blisko pilnować... Aż zupełnie musiała rzucić robotę, nie wiadomo jak długo to potrwa.

Urwał, jakby nie chciał poruszać więcej bolesnego tematu. Patrzył na żółtą wodę, szumiącą, groźną w tych rozjarzonych blaskach słonecznych, w upale sypiącym się nieprzerwanie na głowy.

— Od wczoraj zarządzili stan pogotowia, worki przysłali, piaskiem w razie czego napełniać. Sto sztuk gotowych, tylko gdzie je tu tkać? Płasko wszędzie, już chyba za pegeerem, tam by mogli swoje ratować.

— U nich też czuwają, kierownik kazał ludziom być w pogotowiu.

— Pewnie, jakby groblę przerwało, to stodoła i spichrze, wszystko w wodzie.

— Do starego pałacu by nie dosięgło, na górze stoi... Żeby pan widział, jaki ten pałac, tam nawet straszy.

— Gadanie, niech pan nie słucha dzieciaka. Benek, pilnuj Lubusza, do wody się pcha.

— Lubusz, a pójdziesz ty! Lubusz!

— Czemu go tak nazwałeś? — zaciekawił się Heniek.

— To nie ja. Ten Jurek, co to jest u Małtwiaków, tak poradził. Na pamiątkę, mówił,



dawnego głównego miasta w tych stronach...

Wolnym krokiem, mając ledwie czym oddychać, w niesłychanym żarze dobrnęli do białego domku. Dróżnik ze swoją łopatą gdzieś się zawieruszył w obejściu. Benek również pognął swoimi drogami. Heniek stał chwilę, po czym zapukał do drzwi pokoiku na lewo od sionki, w którym opatrywała ich ładna Krystyna.

— Proszę — poznał głos Romana.

Stanął zdumiony w progu. Solecki czuł się już tutaj wyraźnie jak we własnym domu. Oparty o ścianę, z podłożoną pod plecy poduszką, leżał na małej kozetce. Na przysuniętym blisko stoliku stał potężny gar i szklanka, obrzeżona czymś białym. Heniek domyślił się, że to zsiadłe mleko, aż ślinkę przełknął, gardło mu wyschło na tej duchocie.

— Siadaj, brachu, może masz ochotę na mleczko? Tam w szafce stoją szklanki, panna Krysia powiedziała, żeby ciebie ugościć, sama poszła zobaczyć, czy nie pora już na dojenie krowy. Ona tu teraz gospodaruje, zastępuje chorą matkę. Sama jest pielęgniarką...

— Pracowała w Zielonej Górze, a potem w Międzyrzeczu, dopiero gdy ta choroba ma-  
tki... — ze śmiechem wpadł w jego ton Heniek, łyskając figlarnie ognikami zielonych oczu.

— Mówiła ci sama? — zaniepokoił się dryblas, poruszył gwałtowniej na kanapie.

Udał, że ignoruje pytanie kolegi, wyjął szklankę z szafy, nalał sobie zsiadłego mleka. Zimne było, pił więc ze smakiem, podczas gdy Roman wodził za nim lekko zaniepokojonym wejrzaniem. Dopiero teraz Heniek ze śmiechem zwrócił się do kolegi:

— Nie ona, nie ona... Ojca poznałem. I stryjecznego braciszka, mówię ci, pycha szcze-  
niak. Jeśli chcesz coś wskórać u Krysi, musisz z nim trzymać sztamę...

— Tutaj ja też niewiele pomogę... — zabrzmiał nagle głos Benka.

Wtłaczał się do pokoju razem z drugim chłopakiem w tym samym mniej więcej wieku. Podszedł do Romana, wyciągnął dostojnie rękę.

— Malicki Benek. A pan?

— Roman Solecki... — wykrztusił zaskoczony chory.

— To jest brat Krysi, Tolek. Jak go przydusić, to zda się czasem do czegoś. Trochę maminsynek... — psyknął, bo jasny jak len chłopczyzna mocno kuksnął go w żebro. Benek nie obruszył się, raczej rozpromienił uśmiechem. — To moja szkoła, przedtem ani by co potrafił.

— Do pałacu ja pierwszy polazłem, ty bałeś się — bronił się Tolek. Czarny Benek wolał udać, że nie słyszy tego przytyku, zmienił temat rozmowy.

— Krystyna teraz krowy doi. Już je ten malec przypędził z pola — wskazał na towa-  
rzysza. — A mówiłem, że niewiele pomogę, dlatego że ona bardzo...

Z oddali dobiegł klakson samochodowy. Chłopcy jednym susem przypadli do okna.

— Doktor pcha się swoim gruchotem. Heniek podszedł do okna. .

— Prawda, że grat. Dekawka, ale chyba jeden z pierwszych modeli. Jeszcze szprycho-  
we koła. Wiele na tym samochodzie doktorek nie wywojuje. Młody jakiś facet, gęba dość  
przyjemna... Jest i nasza samarytanka. Prędko się uwinęła z krowami. Inna rzecz, klakson od  
dawna już było słychać...

— Gapisz się jak stara plotkara... Nie wiesz, co chciał ten smarkacz powiedzieć, gdy  
zaczął, że Krysia coś bardzo...?

Heniek wzruszył ramionami, potem przyjrzał się uważniej koledze.

— A tobie co się stało? Noga na serce padła, tam zabolęło? Roman, niech cię nie znam,  
tak od razu?

— E, żartuję, podoba mi się dziewczyna nie bardziej od stu innych. Ładna jest i zgra-  
bna, nic więcej. Pogadaliśmy trochę, jakeś się mordował ze „Starem”.

— No, gdzież nasi pacjenci? Dzień dobry, dzień dobry. Jakoś w tradycję już wchodzi,  
że mam zawsze coś do zrobienia u panny Krysi. Wolę moją dekawkę, na niej i rozbić się tru-  
dno, tak niewiele wyciąga. Cóż, wedle stawu grobla. Kowalski jestem...

Usiadł, częstował chłopców papierosami. Gadatliwy był, wesoły, trudno było dać mu

więcej ponad trzydziestkę.

— Mówi mi panna Krysia, że nie ma złamania. Szkoda, jako chirurg zaraz lubię ciąć, łamać, zestawiać, gipsować, a tu mnie chyba ominie taka okazja... Ależ parno. Patrzyłem, czy mostu już nie zerwało. Radio zapowiada dalsze burze i gwałtowne opady. Jakaś klęska, u licha. No, zaraz się zabierzemy za nóżkę, pacjent się niecierpliwi...

Podczas gdy lekarz mył ręce, Heniek zerkał na kolegę z tłumionym śmiechem. I on zauważył, że dziewczyna płoniła się patrząc na przystojnego i wesołego lekarza.

W otwartym oknie pojawiły się twarze Benka i Tolka, jasna i czarna, bystre, przewiercające wszystko oczyma. Szturchali się porozumiewawczo, tłumili śmiech. Lekarz wycierając dłonie też ich zauważył.

— No co, wisusy?

— Tolek chce być chirurgiem, czy może patrzeć, jak pan będzie odcinał tę nogę?

— Patrzcie, patrzcie, lepiej sięgnę po wasze języki.

— Nie tak łatwo, uciekniemy pana dekawką.

Nachylił się nad nogą Romana, usunął prowizoryczny okład, burknął coś na widok obrzmienia i potężnego sińca, potem dokładnie, cal po calu, obmacywać zaczął wprawnymi palcami. Roman syknął parę razy, spojrzał na dziewczynę i heroicznie zacisnął wargi. Bolała kończyna drgnęła mu jednak gwałtownie.

— Zgadza się diagnoza naszej samarytanki. Zwichnięcie, bardzo zresztą bolesne, a na dodatek jeszcze solidne stłuczenie. Dobra, niech się pan teraz wyciągnie na całą długość. Zaraz nastawimy i niedługo będzie można już tańczyć. Dobry byłby partner, wysoki chłopak, nie tak, panno Krysiu?

Uśmiechnęła się do doktora tak mile, że Roman przetoczył białkami oczu. Zaraz jednak bardziej zainteresował się swoją własną osobą. Leżał już wyciągnięty, ledwie, ledwie starczyło kozetki. Lekarz skinął na Heńka.

— Pan może przytrzyma przyjaciela w ramionach, pani tutaj, za kolana. Może trochę zabołec.

— Wauuu! — Cały heroizm poszedł w diabły. W końcu jak komuś nastawiają zwichniętą nogę, może się nie oglądać nawet na bardzo ładną dziewczynę.

Chrząstnęło, zgrzytnęło, doktor dla sprawdzenia nacisnął dłonią, wyprostował się.

— Gotowe, wskoczyło jak prosię do koryta. Przepraszam, to takie powiedzonko w chirurgii...

— Ja bym się nie darł na jego miejscu jak stare gacie — zza okna dobiegł pełen dezaprobaty głos Benka.

Roman szczerwieniął, spojrzał z pasją ku chłopcom, reszta towarzystwa nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

Doktor zerknął na zegarek.

— Muszę się śpieszyć. Pacjenci w Sulęcinnie czekają. Tam nie ma chirurga, więc muszę dojeżdżać... Panno Krysiu, naszemu choremu solidny bandaż elastyczny, ma pani? Bo w razie czego znajdę u siebie w wozie. Pan zaś przez trzy dni w ogóle niech unika poruszania się, następne trzy — leciutki spacer. Bandaż co drugi dzień przewinać... Oho, grzmi, znów jakaś burza się zwali, żeby tylko nie w drodze. Przed dwoma dniami godzinę czekałem na szosie, w ulewie na metr nic nie było widać. Pan jest związany czasem? — zwrócił się do Romana.

— Nie... my autostopem.

— Tym lepiej. Niech się pan postara ulokować gdzieś w pobliżu, każdy ruch może bowiem zaszkodzić... Już panna Brelińska jakieś locum panu wyszuka. Do widzenia, myślę, że jeszcze się zobaczymy... Pani może wyjdzie ze mną, ten bandaż elastyczny...

Heniek i Roman spojrzeli po sobie.

— To ci bal — powiedział Kubiak. — Że też ja jeszcze muszę do Koszalina... Za trzy dni wrócę. Tyle, że jeszcze cię ulokuję.

— Pojadę z tobą. Nie chce mi się zostawać.

— Dlatego że ta dziewczyna łakomie ogląda się za doktorem? On był pierwszy, teraz masz czas odbić mu Krysię...

— Pleciesz bzdury. Co ja tu będę robił? I gdzie się podzieję? Z forszą też krucho, mieliśmy próbować zarobić gdzieś parę stówek, Ale z tą nogą? Chyba brydza będę kogoś uczył w wiosce...

— Zaraz się wszystko wyjaśni... Już doktor pojechał, czekajmy na ładną pocieszycielkę.

Jakoż i wpakowali się całą trójką, córka dróżnika i obaj smarkacze. Heniek bohatersko przejął na siebie trud ulokowania chorego kolegi.

— Zaczna opiekunko, doktor odjechał, ale chory pozostał. Ma przed sobą cały tydzień zdrowotnego urlopu, nim znów będzie mógł czepiać się ciężarówek i oczekiwać na krakusy... Niechże pani doradzi, gdzie by go można umieścić.

Przysiadła na krześle. Zarumieniona była, w oczach jakby rozmarzenie. Heniek pomyślał, że solidnie musi być zakochana w swoim doktorze, te rzeczy się czuje...

— Zastanawiam się. U nas ciasno, zresztą byłoby panu nudno.

— Nudno? — z niepomiernym zdumieniem zapytał Roman.

— Ty się, Kryśka, bardzo temu panu podobasz — wtrącił. Benek z całą powagą.

Chwila ogólnego milczenia, potem nieudolny śmiech Romana, wesołość Heńka, znaczące poszturchiwania dwóch wisusów.

— Wynoście się stąd, nie przeszkadzajcie starszym — syknęła zarumieniona po białka dziewczyna.

— O taka tam i dorosła. Tylko o parę lat jesteś starsza, dopiero ci osiemnaście minęło. W naszym wieku taka różnica już się nie liczy — zaoponował urażony Benek. — A bo ja kłamię, czy co? Możesz się podobać, sama wiesz, że jesteś ładna. Mało to czasu stoisz przed lustrem, brwi podskubujesz, gębę wykrzywiasz?

Heniek za brzuch się trzymał, Roman i dziewczyna starali się o miny pełne godności.

— Dobrze już, dobrze — oganiała się dłonią przed smarkaczami. Wyraźnie bała się ich czymś ponownie urazić. — Tylko gdzie my pana ulokujemy? Benek, może ty znajdziesz?

— Pewnie, że znajdę — odpowiedział z rezonem. — U nas. Jest dosyć miejsca, jeść się też znajdzie, wielka to rzecz, dla jednego więcej. A my będziemy jeździli na ryby, do jeziora tylko parę kroków, tyle pan przejdzie, no nie? — zwracał się do Romana.

Biedny Solecki bezradnie potakiwał swą długą twarzą gotów w rezygnacji na wszystko.

— Świetna myśl — klasnęła w ręce wybawiona z kłopotów dziewczyna. — U stryjka Wojciecha jest miejsce, on sam lubi gości. To rybak, ziemi ma ledwie parę hektarów. Z jeziora żyje. Mieszkają na przesmyku, między jeziorami, las wokół, ślicznie tam...

— Kryśka, nie zachwalaj panowie sami zobaczą.

— Ja to nie, jeszcze dzisiaj muszę odjeżdżać. Ale za kilka dni powrócę — wtrącił się Heniek.

— Spotkanie z ukochaną ma w Koszalinie — ze zjadliwością zasypał Roman kolegę.

Krystyna z życzliwością spojrzała w zielone oczy Kubiaka.

— Jeżeli tak, pewnie że ona nie może czekać. Jakoś tu poradzimy. Pojutrze przyjdę na zmianę opatrunku. Potem już Benek panem się zajmie. Tylko jak się tam dostać, to blisko sześć kilometrów?

— Mucha. Ja to załatwię — Benek najwidoczniej zaplanował już wszystko. — Zaraz śmigam do Józka, wiem, skąd wożą ten potas. Jak będą wracać, zabiorą pana, nic to... No to cześć.

Już go nie było. Za nim jak cień wysmignął Tolek. Kubiak dostrzegł jeszcze przez okno, jak gniotąc się na jednym rowerze gnali gdzieś polną drogą.

Odetchnął z ulgą. Najważniejsze, że Romana się ulokuje. Pojedzie z nim razem, potem wróci na szosę szukać okazji do Koszalina. Byle do Gorzowa, duże miasto, stamtąd będzie

już łatwiej.

Dziewczyna przeprosiła, że musi do gospodarstwa, tym bardziej że znowu zaciągało na deszcz.

Grzmoty przewalały się coraz bliżej. Wraz z nimi nadciągała od południa nisko zawieszona nad ziemią złowieszczą chmura. Zerwał się porywisty wiatr.

— I co ty na cały ten jubel? — zapytał Roman.

— Zobaczmy, co dalej, podobno w historii o wszystkim decydowały przypadki — filozoficznie odpowiedział Heniek, ale myślał już w tej chwili jedynie o Zosi, z którą umówił się w Koszalinie.

Z nowym uderzeniem wichury sypnął deszcz, bębnił chwilę o szyby, potem lunął jedną wielką masą wody. Zrobiło się ciemno i ponuro. Heńkowi przypomniały się obawy starego dróżnika. Bez słowa patrzył na żywioł hulający za oknem.

### ROZDZIAŁ III

— Kiedy mi Benek powiedział co i jak, tom zaraz zawołał: — dawaj go tutaj, dawaj! Pogadamy wieczorem, mniej nudno będzie — mówił basem gospodarz. Zaraz zresztą dodał wyjaśniająco: — Co prawda, na nudę czasu brak, zawsze coś się tu dzieje, jeszcze jak ja dwie sroki łapię za ogon, roli chcę pilnować i do rybactwa ciągnie.

— Tata kiedyś daleko mieszkał od wody, tutaj dopiero tak mu się spodobało.

Benek miał minę niezmiernie zadowoloną. Skołtunionie ciemne włosy opadały mu na czoło, odgarniał je niecierpliwym ruchem umorusanej dłoni. Oczy śmiały się do ojca i Romana.

— Niby prawda... Daleko my od wody siedzieli w Oszmiańskim. Żona to bała się na początku między dwoma jeziorami, bo to na wiosnę jak rozleje, ani przejść przez bagniska. Prawie jak teraz, do nas fala jeszcze nie doszła, ale w innych stronach, słyhać, prawdziwa powódź. Znowu deszczem zaciąga, kara niebieska czy jak?

Pogoda poczyniała sobie rzeczywiście jak zwariowana. Gdy w parę godzin po pierwszej wieczornej rozmowie Roman wygodnie wyciągnięty na łóżku nasłuchiwał wściekłych uderzeń wichru, gdy słyszał, jak woda wali o ziemię kaskadą, niesie się pluskiem i szemraniem wezbranej fali, gotów był naprawdę sądzić, że to jakieś zaziemskie wyroki pragną doświadczyć skołatany świat.

Długo nie mógł usnąć. Może wpływała na to pogoda, może bogate wrażenia minionego dnia, dosyć że przewracał się na miękkim puchowym pościeliu, odrzucał kołdrę, parno było bowiem niesamowicie, ocierał pot z twarzy, wracał do przeżyć dopiero minionych godzin.

Benek spisał się doskonale. Uzyskał zgodę rodziców na przyjęcie pod dach niefortunnego autostopowicza, piegowaty traktorzysta równie chętnie przewiózł chwilowego kalekę na nowe miejsce pobytu. Heniek, towarzyszący koledze, aż jęknął wtedy z zachwytu.

Było co podziwiać. Po niedawnej huraganowej fali deszczu, pod zachód, słońce wyrzaziło ponownie zza chmur, krwawymi płatami rozelało się na jeziorze, różem zabarwiło ciemną zieleń okolicznych lasów, zażółciło na piachu wysokiego pagóra, jak znak rozpoznawczy rozsiadłego po przeciwległej stronie wodnego rozlewu.

Umieszczony na wysokiej podmurówce dom rodziców Benka stał tuż nad przesmykiem łączącym dwa jeziora. Plamy krzaków wierzbiny i łoży znaczyły bieg naturalnego kanału. Szerokimi płatami rozpościerały się wokół soczyste łąki, wnikając w ciemniejszą zieleń sosnowych lasów, gęsto przysiadłych na jałowej, piaszczystej ziemi.

Wzdłuż brzegu kanału suszyły się rozpięte na drągach sieci, przy podmywanym wodą pomoście kołysały łódki, wabiła zawartością wielką skrzynia do przechowywania żywcem

złowionej ryby.

— Roman, los wygrałeś na loterii. Wracam jak najszybciej, musimy tu dłuższy czas pobobrować — wykrzyknął Heniek. — Trochę dosyć mam autostopu, trzy tygodnie ganiań chyba wystarczy, jak myślisz?

Solecki wymownie zerknął na obandażowaną nogę.

— Może i dosyć — powiedział pojednawczo, sceptyczny zawsze wobec wszystkiego, co w Kubiaku potrafiło wywołać ciełęcy zachwył.

Benek był nieoceniony. Wywiedział się, że ciężarówka z PGR-u wyrusza na noc do Gorzowa. Kierowca chętnie się godził na pasażera, nie będzie przynajmniej sennie w szoferce. Zresztą przy tych ulewach we dwójkę różniej, mało to się może wydarzyć?

Trafił też im do przekonania gospodarz. Malicki, ojciec Benka, nie tak dawno jeszcze przekroczył czterdziestkę, czerstwy był, żylasty, jeden z tych chłopów, których wedle przysłowia, podobnie jak zająca, i kijem nie dobijesz. Takiego właśnie trzeba było na tę placówkę wśród lasów, bagien i jeziornych roztoczy. Życie tu nie głąskało, to pewne, ale nie było też monotonne, wabiło swoistą loterią. Nigdy nie wiadomo, jak łąki obrodzą, mając zaś mało ziemi, piaszczystej w dodatku, zrobił się Malicki hodowcą, pięć krów trzymał, było przy tym dla żony niemało roboty. Albo ryba. Nadejdzie taki rok, że jak zaczarowana, sama nieledwie się garnie do sieci. Kiedy indziej znów w oczach ciemnieje z wysiłku, dzień mija za dniem, a wontony i drgawice, i żaki puste, jakby kto wymiółł.

Sam gospodarz trochę opowiedział, więcej uzupełnił Benek, wiedzieli już, że pan Wojciech — tak prosił, by go nazywać — parę lat na Wileńszczyźnie w partyzantce wojował, potem dostał się do oddziałów generała Berlinga, z Pierwszą Armią zdobywał Wał Pomorski, flagę zatykał w Kołobrzegu... Rozochocił się, gdy Heniek napomknął o Koszalinie. Znał to miasto jeszcze z czterdziestego piątego roku, ani poznać teraz, tak się rozrosło i odnowiło. Zamyślał nawet osiąść nad morzem, ale potem namówił go stary Piotr Wikswa, brygadierem jest w ich rybackim zespole, i tutaj przywędrowali. I chwałą sobie, ciekawe życie...

Żona gospodarza, mała i zwinna, czarna jak Benek, do niej był łobuz podobny, w przeciwieństwie do męża małomówna była, ale uprzejma. Zatrzaszczyła się o Romana, aż się poczuł zażenowany, jedzeniu nie mogli ani on, ani Heniek poradzić, choć w autostopowych tarapatkach wypościli się nieraz porządnie. Tłusta jajecznicą z nieprawdopodobną ilością mleka wykończyła ich bez reszty. Heniek nie bez przyczyny się trapił, jak to on pojedzie na trzęsącej się ciężarówce.

Przewracał się Roman z boku na bok, rozmyślając nad tym wszystkim, to znów nasłuchując odgłosów ulewy za oknem. Noga zaczęła mu mocniej doskwierać. Ułożył ją wygodniej, przyszła mu na myśl pielęgniarka z przydrożnego punktu PCK. Pojawi się pojutrze, zmieni opatrunek... Ładna, aż dziw, że spotka się nagle taką na głuchej wsi. Jasne włosy, upięte coś jakby w kok, ale z indywidualną swobodą, nie każdą dziewczynę stać na własny styl. Niebieskie oczy, duże, z długimi rzęsami. Twarz drobna, dołeczki na często rumieniających się policzkach, mały nosek drga śmiesznie i marszczy się, jakby u zająca. Pewnie, chcąc, znajdzie się takich tuziny. Tyle że ta Krysia piekielnie w dodatku zgrabna. Wysoka, szczupła, nic dodać, nic ująć, zaiste konkursowe wymiary.

Miło było przywoływać w pamięci obraz czupurnej i energicznej dziewczyny. Ładne te oczy, wyrazista oprawa. Jak nimi wodziła za lekarzem. A może się im tylko zdawało? Ten smarkacz, jakże mu, Benek, pewnie chciał jej tylko dokuczyć... Niebieskie oczy, niebieskie...

Wszystko się zrobiło w końcu niebieskie, tak błękitne jak oczy Krysi. Lasy i wody, ten pokój cichy, spokojny, oddzielony od porywów wichru siekającego ulewnym deszczem, delikatna poświata sącząca się przez okno też była niebieska... Aż wreszcie wszystko zapadło w mocny, błękitny sen.

Ocucił go szmer za oknem. Leniwie otworzył oczy, tak dobrze się tonęło we śnie w głębokim łóżku... Jasno było w pokoju, za szybą mignęła ciekawa pyzata gęba, może mu się

tak zresztą tylko zdawało.

Znowu opuścił powieki. Chory jest, ma prawo do snu. Przez trzy tygodnie mało kiedy wysypiali się porządnie. Mocno się obaj różnili usposobieniem i charakterami, jedno wszak mieli wspólne: gnało ich do przodu jak opętanych. Pasowali jakoś do siebie, ani by im to przez myśl przeszło w tej pierwszej chwili, gdy w oczekiwaniu na środek lokomocji zawarli znajomość, siedząc pod Pabianicami w przydrożnym rowie. Heniek zaczynał rajzę z rodzinnego Poznania, on z Warszawy. Zabrała ich wtedy piękna „Wołga” lekarza repatrianta. Już się od tej chwili nie rozstawali.

Tak, teraz wiedział na pewno. Ta pyzata gęba za oknem to oczywiście Benek. Pewnie doczekać się nie może, aż gość podniesie powieki. Trochę go to zezłościło, pętał zbytnio się spoufala, że jednak przypomniał sobie przysługi oddane im wczoraj przez chłopca, udobruchany pokiwał dłonią ku uśmiechniętej twarzy za oknem.

— Zaraz lecę do pana — odpowiedział okrzykiem.

Nie pukając, szeroko rozwarł drzwi, stanął w nich promienny, zachwycony sobą i światem.

— Jak noga? Tata przysłała łapcie łykowe, podobno w Oszmiańskim takie nosili, phi, phi, że to, mówił, łatwo będzie włożyć na chorą girę. Mama już robi śniadanie, potem jedziemy na wodę. Robaków nakopałem, wędki gotowe, krasnopióry dobrze biorą na wielkiej wodzie. A u nas wylało, woda już na podwórku, na wieczór pewnie się sucho nie przejdzie.

— Dość, dość — Roman ze śmiechem krył uszy w dłoniach. Wydało mu się, że ból w nodze ustał zupełnie, brednie plótł lekarz z tym całym tygodniem kurowania. Mocno stanął na podłodze, w tej samej chwili zasyczał jak przydeptana żmija. Bolało.

— Pokaż te łapcie — wyciągnął rękę.

Ostrożnie przedreptał parę kroków. Trudno, ale z biedą można się było poruszać.

— Mama, śniadanie! — ryczał Benek w głąb domu.

— Czekaj, umyć się chcę...

— Wody po uszy, nawet na podwórku — wskazał chłopak na okno.

Wyrżał. Ani śladu wczorajszej rzeczulki. Wszędzie na łąkach rozpościerało się jezioro, upstrzone kępami wierzby i łozy, gnącej się na wietrze marszczącym spienioną płaszczyznę wody.

— Widzi pan, co się zrobiło? — blada, niespokojna przywitała go gospodyni. — Radio podawało, że powódź koło Żagania i Żar aż pod Krosno. Wylały Bóbr i Kwisa...

— Także Czarna Wielka i Mała. Odra też wzbiera, pogotowie po naszej i po niemieckiej stronie. Elektrownie zagrożone. U nas na Bobrze źle być może z Dychowem.

— O, Benek wie lepiej — z uznaniem spojrzała na syna. — Męża nie ma, poszedł do gromady, ogłoszono stan alarmowy. Przy Odrze już jest podobno wojsko.

— Saperzy.

— To, to. Mówił mąż, jeżeli nas nawet zaleje wokoło, żeby się nie przejmować. Tylko łódki podciągać wtedy pod dom. Już Benek tego pilnuje.

— Mucha nie siada, poradzi się.

— Proszę, smacznego. Ja muszę do krów. I tak szczęście, że właśnie przed tygodniem drugi pokos siana zebraliśmy. Stogi na wyższych miejscach, chyba woda nie zniesie. Bo to wie pan, dla nas krowy cały majątek...

— Matka zawsze taka strachliwa, ale poza tym idzie z nią wytrzymać — rzeczowo skonstatował Benek po jej wyjściu. — Ja to się cieszę na tę wodę, nigdy jeszcze nie widziałem powodzi.

Troskliwie pomógł Romanowi wykuśtykać na ganek. Teraz dopiero Solecki zdał sobie sprawę ze zmian, jakie zaszły przez jedną tylko noc. Aż wysunął do przodu swą chudą, pociągłą twarz. Przesmyk łączący dwie wodne płaszczyzny jeziora zniknął zupełnie. Teraz było to jedno jezioro o podłużnej, poszarpanej linii brzegów. Woda zmętniała, żółta, aż brunatna

miejskami, spływały nią płaty piany, kawałki drzewa, śmiecie jakieś. Skrawki łąki sterczały od prawej gdzieś koło brzegów lasu. Jedynie przestrzeń z tyłu za domem, w stronę drogi, wolna była od wody, ale i tam sięgała ona zachłannie długimi jezorami rowów i wykopów.

Szukał wzrokiem miejsca, gdzie wczoraj widzieli pomost, kołyszące się przy nim łódzie, wielką kasztę na ryby. Ani śladu, wszędzie tylko bezmiar zdobywczej wody.

— Łódki już tutaj, ojciec je rano podprowadził, przy starej wierzbie — pokazał Benek. — Nad wieczór trzeba je będzie wiązać do czereśni albo nawet do ganku. To dopiero cholerna frajda. Tolek oczy wybałuszy jak żaba, gdy to zobaczy... A tam Wiesiek mieszka, niczego sobie gość, tylko że myśli za wiele.

— Co znów za Wiesiek?

— Taki jeden, dorabia latem u rybaków. Uczy się, mówią, że głowę ma, tyle że bieda u niego piszczy. Bierz pan tę wędkę, idziemy. Parę kroków...

— Jechać? Na tę wodę?

— A co takiego? Niedaleko, gdzie te czubki trzciny, tak je zalało. Tam wzdręga stoi, przy ujściu naszej rzeki. Coś pan taki strachliwy, jak mamę kocham? Chłop jak dębina, a byle czego się boi...

— Ty...

— A bo nie? Nawet na łódkę się pan boi. To takie chojraki w tej Warszawie? Ja czytałem „Kamienie na szaniec”, myślałem, lepsza wiara, ale po panu widzę...

— Nie bajtluj, Benek. Jedziemy.

— Trzeba było tak gadać od razu.

Odcinek rzeki łączący jeziora był zbyt krótki, aby nawet przy wylewie prąd mógł nabrać większej chyżości. W każdym razie znosił ich lekko aż do miejsca, gdzie Benek u pasma trzciny wyrzucił w wodę wielki kamień na drucie, zastępujący kotwicę.

— Toń trzeba zwiększyć o jakie pół metra, tyle chyba przybyło? — mruczał mały rezoner.

Roman od lat już nie łowił ryby na wędkę. Albo nie ruszał na wakacje z Warszawy, nie było za co, a jeżeli już, to kolonijne historie nie przewidywały podobnych atrakcji. Kiedyś, za życia ojca, było inaczej. Ojciec należał do klanu zapalonych wędkarzy, zaszczeptał to zamiłowanie synowi, bez większego co prawda skutku.

Teraz jednak, wygodnie ułożywszy chorą nogę na ławeczce, z przyjemnością patrzył na kołyszące się lekko, spychany prądami pławik, potem podnosił wzrok, wodził nim po jeziorze, zatrzymywał na brzegach. Najbliższy od Malickich domek to gospodarzy tego Wieśka. Ciekawe, co za facet, warto będzie go poznać. Po prawej jeszcze dwie chaty. I w samym końcu jeziora ten pagór, niekształtny trochę, jakby jakieś grodzisko.

— Co to? — wskazał ręką.

— To? Bunkry.

— Bunkry?

— Aha. Tylko że wejście saperzy zasypali po wojnie, bomby naumyślnie tam rozrywali, żeby nikt się nie dostał... Próbowaliśmy na różne sposoby, nie da rady, wszędzie żelazo i cement. Tu miał znajdować się sztab niemiecki, magazyny, różnie ludzie mówią. Wiesiek tam często chodzi, skorupy jakieś przynosi, on więcej powie... Tu dużo takich cudów. Choćby stary pałac w majątku, do połowy zburzony. A nocami tam straszy. Poszlibyśmy, tylko że pan taki strachliwy, jak się ta biała dama ukáže, nie wiadomo, co z panem będzie...

— Benek...

— Bo co? Że niby gadam za dużo? O, bierze panu, bierze...

Po krótkiej walce Roman podholował pod samą burtę ciągle jeszcze niewidoczną w mętnej wodzie rybę. Dopiero gdy wychynęła na powierzchnię, poznał lina. Benek szybkim ruchem poderwał go podbierakiem. Złocista, obła sztuka zatrzepotała na dnie łodzi.

— Kilówka, ma pan szczęście, pieska niebieska. W tym miejscu nigdy liny nie biorą.

— Trafiła na specja... Więc słuchaj, Benek, chcesz, byśmy zawarli sztamę jak dobrzy kumple, czy nie?

— Może być.

— No więc pamiętaj. Bez głupich dowcipów, bez dokuczania.. Większy jestem, mam trochę pary, spiorę cię na kwaśne jabłko i będzie poruta. Lepiej będziemy sobie pomagać...

— Z tym pomaganiem to już chyba ja panu, ale niech będzie — poważnie wyciągnął do Romana swą drobną piastkę.

Na jednym linie się skończyło. Ani drgnął żaden pławik, choć siedzieli blisko godzinę. Benek kręcił głową z niezadowoleniem, spoglądał także na niebo, które znów zakryło się całkowicie chmurami, wyglądało, że lunie w każdej chwili.

— Benek, Benek!

— Matka woła. Deszcz idzie, wzdręgi diabli wzięli, wracamy?

— Dobra.

Okazało się to trudniejsze niż przeprawa w tę stronę. Prąd dawał się mocno we znaki, na dobytek zerwał się wiatr, dał im w twarz, zafalował powierzchnią wody.

Malicka oczekiwała na brzegu. Zła była na syna.

— Nie wiesz, co się dzieje? Pilnować trzeba dobytku. Jeszcze chorego będziesz ciągał po wodzie. Ojca nie ma, ale przejeżdżał Zbyszek, dał znać, spod Łagowa idzie wielka fala, topi wszystko po drodze. Trzeba piwnice opróżnić, może i siano zacząć przenosić z tego stogu, co to najniżej? Że też Wojciech zawsze się musi zapodziać... Pociągu nie słyszałeś, szedł dzisiaj?

Benek, który sarkał pod nosem na strachania matki, zastanowił się teraz.

— Nie, a już po dziesiątej? Zawsze słyhać, nawet pod wiatr. Nie tak daleko przecież. Może pojedę zobaczyć?

— Ja ci pojedę. Zaraz do roboty, ładaco!

Z kwaśną miną powlókł się za rodzicielką. Roman, tymczasem, siedząc na ławce przed domem, spoglądał na burzą wodę, skołtunioną przez wiatr. Deszczu ciągle nie było. Wydało mu się, że poziom wody nie podniósł się więcej od rana, łodzie tak jak i przedtem kołysały się przy starej wierzbie. Uspokoilo go to spostrzeżenie.

Około południa pojawił się gospodarz. Zafrasowany był. Pochwalił żonę za oczyszczenie piwnic. Zaraz też chwycił za widły, kazał synowi zaprzęgać konia, trzeba było przenosić stóg w wyższe miejsce. Jakby dla wyjaśnienia zatrzymał się przed Romanem:

— Bieda. Fala idzie. Mówią, że jeśli nie ustana deszcze, za dzień, dwa będzie już u nas... Przy moście kolejowym naderwało nasyp, wstrzymali pociągi na linii. Na szosie woda idzie tuż przy powierzchni mostu, auta jadą wolniutko, strach, żeby w takiej chwili zerwało. Ale też pan trafił nie w porę dla siebie, powodzi się bać zamiast spokojnie nogę kurować...

— Źle trafił? Los na loterii wygrał. Powódź niecodzienna rzecz. O, znowu deszcz.

Lunęło jak z cebra.

— Bieda idzie, bieda — kręcił głową Malicki.

## ROZDZIAŁ IV

Od późnego wieczora wszystko zaczęło przebiegać zwariowanym tempem. Roman cały dzień wygrzewał się na słońcu, chowając się pod osłonę dachu tylko przy pomrukach nadciągających zniecka burz. Nie wiadomo skąd zjawiały się chmury, sypało piorunami, żelaznym dyszlem waliły grzmoty po niebie, wreszcie mroczyła światło straszliwa ulewa, gdy już nie strumienie, ale wezbrane potoki wody jakimiś upustami zwały się z góry na przerażony świat. A potem znów zabłyskiwało słońce, tylko mocniejszy robił się poszum wezbranej fali,



niosły się nią wyrwane krzewy, słoma, kłody drzewa, pusta łódź przemknęła chyżo tuż koło domu Malickich; próżno Benek popatrywał za nią łakomym wzrokiem, ojciec zakazał, by krokiem nie ważył się ruszać na wodę.

W południe przyjechała rowerem pielęgniarka z punktu nad szosą. Zdawało się Romanowi, że już o niej zapomniał, cóż tam, przelotne zainteresowanie, a przecież gdy zobaczył dziewczynę, zarumienioną i rozgrzaną szybką jazdą, drgnęło w nim coś znamienne. Mniej radośnie powitał Tolka, który skorzystał z okazji i także przyjechał czepiając się bagażnika sfatygowanej damki. Zaraz gwałt podnieśli wraz z Benkiem, uwijając się nad brudną wodą, jezorami w niższych miejscach sięgającą niemal skromnego sadku Malickich.

Zauważył, że Kryśka, tak ją już w myślach nazywał, miała na sobie skromną, ale gustowną sukienkę w kolorze jasnego szafiru. Stanęła właśnie twarzą do słońca, zamigotały płowe włosy, wydała mu się nawet ładniejsza niż dwa dni temu. Powiedział z uśmiechem:

— Dobierała pani suknię do koloru oczu?

Odpowiedziało mu zdumione spojrzenie. Zaśmiał się wesoło.

— Dobierałam, co było możliwe w sklepach Międzyrzecza. Jakże noga, nie za dużo pan chodził?

— Chyba już zupełnie dobrze. Myślę, że można zdjąć opatrunek.

— Doktor mówił o sześciu dniach.

— A pani już tak święcie wierzy słowom doktora. Młodzik jeszcze, co się on może znać — syknął ze złością. Przypomniały mu się słowa Benka i zażenowanie dziewczyny w obecności eskulapa z podrujnowanej Dekawki.

Nie był pewien, czy się nie zrewanżowała pięknym za nadobne przy przewijaniu bandażu. Parę razy znowu zasyczał, ale innym już tonem.

Patrzyła przez chwilę na rozlewiska ciągnące się jak okiem sięgnąć, zmartwiona i pełna niepokoju.

— Radio podaje, że koło Żar i Żagania zupełna katastrofa... Na Odrze niebezpiecznie, na Nysie... U nas dzisiaj podmyło jeden z pali na moście kolejowym. Ojciec boi się o swój most. Co można zabezpieczono workami z piaskiem, ale napór wody zrywa to wszystko. Jeszcze trochę, przeleje się wierzchem.

— Kryśka, ty lepiej patrz, jak u nas, jakie się zrobiło jezioro. Zostanę u Benka, dobrze?

— Ojciec mówił, żebyś wracał...

— Wrócę na pewno, ale trochę później...

— Nie.

— To powiem doktorowi, wiesz co? Zobaczysz, i Benek powie.

— Kryśka, czego tak mantyczysz, zostaw Tolka w spokoju. Coś taka wiedźma? — obruszony Benek brał kuzyna w obronę. — Ja ci go sam odstawię.

Popatrywali przymrużonymi oczyma, jak oddalała się ubitą deszczami drogą, przy chrzęście nie naoliwionego roweru.

— To wy nie potraficie inaczej gadać do siostry?

— Bo co? — zaczętnie wysunął się Tolek.

— Bo nic. Pętał jesteś i tyle.

Zły pokuśtykał do wnętrza domu. Choroba jasna, ładna jednak dziewczucha i zgrabna piekielnie. Te duże oczy. Piersi jak się to rysowały pod bluzką. A nogi, marzenie.

Malicki miał jakieś swoje miary na palach powbijanych w wodę. Przybór zaczął się gwałtownie powiększać. Zdecydował więc, że cokolwiek tylko mogłoby zostać uszkodzone przez wodę, trzeba wynieść na strych. Zaraz zatupotało na schodkach, chłopcom tylko taka frajda była potrzebna. Chciał i Roman pomagać, noga go właściwie już mało bolała, byle tylko stapać ostrożnie. Malicki odmówił jednak zdecydowanie.

— Nas tu i tak za wiele. Choroba zaś jest chorobą.

Potem znów był deszcz, nie trzeba było żadnej już miary, woda zagarnęła sad, pokryła

go mętami, mułem i piachem, osadzała przy drzewkach słomę i gałęzie.

— Jeszcze dziesięć centymetrów, a będziemy mieli to paskudztwo przy ganku... — frasował się Malicki.

Chłopcy gdzieś się zawieruszyli, niedługo nadbiegli z naręczem nowin.

— W pegeerze na cały gaz groblę wzmacniają, tę, co od stawów. Już i tak klną, że karpie z wodą spłynęły, nic w tym roku z hodowli. Nasza rzeka dla nich niegroźna, pewnie nie sięgnie, ale ta rzeczulka, co to ją grobla tylko dzieli od stawów. Dopiero może być bal, jak w podwórko się wleje.

— Tam dziwnie budynki stoją, w kotlinie, dureń jakiś budował, mówią, że Niemcy to naród z gospodarskim pomysłem — przysłuchiwał się wieściom Malicki.

— Mała Franka gadała, że nocą znów straszło w starym pałacu. Ognie błyskały, hukalo. Na nieszczęście. Jej matka mówi, że nie ma co nawet próbować ratunku, i tak już zguba sądzona, skoro biała dama się pokazała — Benek triumfująco spojrział na Romana. — A nie mówiłem, że strasz w zrujnowanym pałacu?

— Proszą o pomoc, groblę podsypywać — dodał Tolek.

— Ba, żeby to wiedzieć, jak będzie u siebie. — Malicki znów poszedł sprawdzać, co z przyborem. Pociągnęli za nim całą gromadą.

— Cześć — zabrzmiało wtedy z nagła od drogi.

— Heniek! — Solecki był chyba najbardziej zdumiony. — Skąd ty tutaj? A gdzie Zośka? Koszalin?

Umęczony Heniek machnął ręką.

— Potem... Alem zmachany. W dwa dni tam i z powrotem to rekordowa jazda. Jeszcze teraz trzydziestką tłułem się na ciągniku bez przyczepy, na stojąco... Ale tu u was niedobrze, co z tą cholerną wodą? Tam nad morzem nie ma burz ani deszczów. Nad Zielonogórskiem i trochę nad Śląskiem się wszystko skrupiło. Alarm wszędzie, całe wioski pozalewało, domy pozносиło, taki Bóbr czy Kwisa cholernie niesforne rzeki.

— Ano tak.

Malicki przysiadł na ganku, coś medytował. Chłopcy znów wyrwali sobie tylko znanymi ścieżkami. Heniek uśmiechnął się do przyjaciela.

— Jak urocza samarytanka?

— A twoja Zochna-wiochna?

— Figa. Zamiast niej list zastałem. Że musiała wyjechać z Mielna, może zatrzyma się z matką w Jastrzębiej Górze, a może w Kuźnicy... Kicham na nią, abom to głupi, będę po całej Polsce ganiał?

— Czyli odstawka?

— Tak wygląda. Pies to drapał, co się będę przejmował. Z babami zawsze tak, dlatego i do nich nie można inaczej podchodzić.

— Jeszcze zobaczymy — burknął w nawiązaniu do swych myśli Malicki, ciężko podniósł się z ganku, podreptał nad rozkołtunioną, hałaśliwą wodę.

— Wypogadza się na zachód. Cóż z tego, kiedy wielka woda dopiero nadchodzi... Nocą nadciągnie.

Wiatr stawał się silniejszy. On pewnie przepędzi chmury Słońce dostojnie stoczyło się nad las, oblało złotem oczyszczone deszczem, intensywne barwą igliwie. Na rozległym zalewisku nie wiadomo już było, gdzie rzeka, a gdzie jezioro, podniosła się fala, bluzgała brudną pianą, gnała ku widniejącemu w oddali, przeglądającemu się w wodzie usypisku, owym Benkowym bunkrom niemieckim.

Złoto na szczytach sosnowych nabrzmiało czerwienią, potem zaczęło różowieć ostatnimi odblaskami zgasłego słońca, żółtko, wykwitło wreszcie skądś z nagła zjawionym malutkim cumulusem, jakby ktoś sypnął o niebo przygarść bielutkiej wełny młodego jagnięcia. Wypełzać zaczęły ze wszystkich stron cienie, od lasu ciągnęła szarawa mgła, snuła się tyralie-

ra przy ziemi, zagarniała wodę, coraz to zmniejszała obraz świata nad jeziornym przesmykiem.

Wtedy właśnie przyjechał Stachura. Zziąjany był. Rowerem machnął z impetu o ziemię.

— Wiesiek — skądś jak dwóch Filipów z konopi wyrwali się Benek z Tolkiem, pędzili ku przybyłemu.

Roman wyjrzał ciekawie przez otwarte okno, kończąc tym samym obfitą kolację. Więc tak wygląda ten Wiesiek wychwalany przez syna gospodarzy? Chudeusz, średniego wzrostu, ale znać, że silny. Tylko nerwowy jakiś albo czymś podniecony.

— Dobra, dobra chłopaki. Ale gdzie ojciec?

— Tu, tu, panie Stachura, co nowego?

— Niedobrze. Na szosie woda wali nad mostem, w kolejowym runęły filary. Teraz idzie najwyższa fala. Jest nakaz ewakuacji, także i pana. Przy szosie są saperzy, chodzi o to, aby wody nie spłynęły w kotłnię, kędy ciągnie linia wysokiego napięcia. Za dwie godziny wysoka fala tu dojdzie, musi się pan zabierać, pomoc w czymś może?

— Tak myślałem. Nie ma co dalej się wahać, skoro mus. Wszystko gotowe, konia tylko zaprzęgać. Dom mocny, nie zwali go. Wszystko co lepsze na strychu. Siano zabezpieczyłem, tyle co ta odrobina w stodółce, tu nie ma już rady. Krowy nocują na polu. Ale gdzie jechać?

— My już od rana kątem u cudzych. W tych nowych domkach pegeeru, one wysoko, za starym pałacem, wie pan, na grodzisku... Mówiono, żeby pan też tam przyjechał. Łódki trzeba zabezpieczyć, mogą się przydać.

Zaciekawieni chłopcy wylegli przed dom. Podobał się im ten Stachura.

— Ale panowie trafili, na taką katastrofę. Co za straty będą, żeby tylko zresztą się na tym skończyło. Wczoraj utonęła dziewczyna, trzydzieści kilometrów stąd. Nagle ich zaskoczyło, chciała ratować krowę, głupie zwierzę spłoszyło się, że to jeszcze po ciemku, pognało w wodę, dziewczucha za nią, prąd był mocny, zakotłowało, ani śladu...

Wypił podaną przez Malicką szklankę mleka, uśmiechnął się zawstydzony do gospodarza:

— Słaby ze mnie rybak. Pięć zaków zostało na wodzie, pewnie je woda poniesie. Nie zdążyłem w porę wybrać, kto zresztą myślał, że się skończy powodzią? Teraz pędzę do pegeeru, do grobli.

W ślad za Wieśkiem pociągnęła fura załadowana co cenniejszymi gratami, z Malicką i Romanem na betach. Zamknięty dom ciemniejszą plamą sterczał samotnie wśród mroków.

Długo jeszcze, nawet przez turkot wozu, biegł za nimi groźny poszum wody piętrzonej falą. Księżyc nie było, gdzieś tylko błysnął nowiem za lasem, zaraz się skrył, gwiazdy świeciły rzadko, mdłe i niemrawe.

Za młodym sośniakiem ostrzejszą czernią zarysowały się drzewa parkowe. Cisza trwała pośród budynków, choć światła migały w niejednym oknie, tylko z oddali dochodził zmieszany pogwar głosów i ten znajomy szum napierającej wody. Przed stojącą niezdecydowanie furmanką wyrósł jakiś cień, dźwięcznym kobiecym głosem padło pytanie, kto zacz.

— Malicki, tu mamy podobno przeczezać powódź?

— Tak. Za pałacem, w nowej kolonii... Jedźcie, ja poprowadzę.

Koń ruszył za światełkiem latarki, Heniek i nierozłączne urwisy już się znaleźli przy przewodniczcze.

— Kubiak jestem, nie znamy się — wyciągnął rękę, dziewczyna coś odbąknęła. Nie zrażony pytał ciekawie: — Jak tutaj? Naprawdę tak niebezpiecznie?

W odbłyску dostrzegł zarys jej twarzy. Powiodła ręką przez ciemnię, niczego tam nie mógł rozróżnić.

— Jeżeli przerwie groblę, wszystko to znajdzie się pod wodą. Poziom tu niższy o parę metrów... Domy, stajnie, obora, spichrze. Sił już ludziom nie staje.

— Zaraz tam idziemy, tylko pomożemy ulokować się gospodarzom.

— Ostatni domek, jeszcze nie wykończony, jedna izba... Traficie, lepiej idźcie od razu.  
— Na Boga, nie trafię — w okolu wiekowych drzew było jeszcze ciemniej niżeli na drodze.

— Ja poprowadzę — wyrwał się Benek. — Dobrze, pani Halinko?

— Z nimi pan nie zbłądzi... Znają tu wszystko jak własną kieszeń. W ubiegłym roku nocą się dobierali do starego pałacu, wpadli w jakąś dziurę, ledwie się ich stamtąd rankiem wybrało.

— To Tolek był taki ciamajda...

— Ja mówiłem, żeby po tamtych schodach, tyś wołał tym włazem od boku.

— Spokój, spokój, zbereźniki, jeszcze bić się tu zacząć — Malicki wkroczył w zaczynającą się awanturę.

— Roman, jak z tobą?

— Co jak? Idę.

Trochę się musiało splątać w Benkowej orientacji, bo trafili na jakieś wykroty. Roman kłął w głos potykając się na bolącej nodze. W ten sposób dobrnęliby i sami, kierunek wyznaczały przecież coraz wyraźniej dobiegające głosy pracujących ludzi. Ze skrzypem minął ich wóz naładowany piaskiem, od tyłu zawarczał ciągnik. Już widzieli blask licznych latarni, migotało w tym świetle, poruszały się ludzkie sylwetki.

Było tu ze trzydzieści osób. Grobla ciągnęła się nasypem przez łąkę opadającą normalnie ku niewielkiej, ale bystrej rzeczulce. Po drugiej stronie grobli rozłożyły się rybne stawy, murowaną zaporą oddzielone od zabudowań gospodarczych. Teraz z łąki nie pozostało śladu, rzeki także byś nie rozpoznał, rwąca masa wody sięgała grobli, wspinała się na nią, szukała w tej parometrowej szerokości zaporze słabszych miejsc, czasem, sycząc, zaczynała wgryzać się wąską szczeliną, zaraz tam zgrzytały łopaty, z głuchym pacnięciem padały w głębinę worki z piaskiem. Słabo naświetlany latarniami nurt kłębił się zmuloną wodą, płyty piany spływały z zawrotną szybkością, wirowały jakieś gałęzie, wielki bal drzewa z trzaskiem uderzył o groblę.

— Worki! Przerywa! Prędziej!

Przy jazach, rozsypanych co kilka metrów na całej długości nasypu dzielącego rzekę od stawów, woda łatwiej przedostawała się śladem dawnych wykopów. I teraz wyżłobiła koryto obok cementowego przewodu, kruszyła grudę po grudzie, siąpiła pod nogami. Już się oberwał większy zwal ziemi, zaczynało być niebezpiecznie.

Z furmanki zsypywano piasek łopatami, od traktora nie mogącego wjechać na groblę nadbiegli ludzie z workami pełnymi piasku. Zdawało się, nie ma końca nagle rozsiadłej przy grobli głębinie, tonął piasek, nurzały się worki, woda rwała z szypieniem, jak nożem rozcinając ubitą warstwę gliny.

— Worki! Worki! — wołali w przestrzeń, hamując napór groźnego żywiołu.

Biegli po grobli jeden przez drugiego, przepychali się niebezpiecznie nad samą krawędzią nurtu, czyjaś latarnia wysunęła się z rąk, stoczyła do wody, przekleństwo, ciemno, nogi się płaczą w wądołach i głęboko wybitych koleinach.

— Worki! Worki!

Napełniali je piaskiem z przyczepy, wiązali, biegiem gnali z ciężarem.

— Worki! Worki! — wołania stawały się coraz bardziej nagłać. Czerń nocy, szum wody, płaskanie i tupot nóg, zgrzyt łopat, krzyki, wszystko to mieszało się ze sobą, cienie śmigwały, migotały latarnie, czasem ostrzejszym snopem zagrała elektryczna lampka, nurt żółkniał, nabrzmiwał grozą.

Pot zalewał oczy, ręce mdlały od pracy łopata, sznur do wiązania worków namokły, śliski, ranił palce do krwi, plecy otarte ciężarem rwały boleśnie, nogi ugiwały się w kolanach, a wyrwa ciągle jeszcze nie dawała się zatamować, wciąż zagrażała przerwaniem i niepowstrzymaną wtedy już katastrofą.

Roman wepchał się również do tej wariackiej galopady przez noc i błoto, dwa razy

obrócił, ból w nodze wzmógł się, zawirowało mu przed oczyma, zatrzymał się dysząc ciężko. Nie mógł, naprawdę nie mógł, pomagał więc przy wyrwie, ale już piasku brakło, musiał usunąć się na bok, by nie zawadzać. Benek z Tolkiem na spótkę dźwigali po jednym worku, zobaczył, jak zaraz się schytrzyli, wydostali skądś taczki, łatwiej było, choć wcale nie szybciej, bo koła grzęzły w glinie nasypu.

— Jeszcze trochę, jeszcze!

Wreszcie wyrwa została zasypana. Woda z pasją odbijała się o barykadę z worków, skręcała ponownie w główny nurt. Zacichło z nagłą na grobli, ustał tupot i tylko zmęczone oddechy mieszały się z chlupotaniem biegnącym od zolbrzymiałego koryta skromnej zazwyczaj rzeczulki.

— Co, Roman, wysiadłeś? — Heniek aż chrypiał, otulał się szczelniej, bo chłód ciągnął od wody. — Szalałeś, lepiej nie ryzykować z nogą, żeby ci to nie zaszkodziło.

— Daj spokój, zły jestem, że zbabiąłem...

Traktor znów przyciągał pełne przyczepy, uwijały się furmanki, rosła piaskowa rezerwa, zgrzytały szufle, napełniały się worki. Skądś przyplątał się Lubusz, siadł koło Romana, ślepił w kierunku wody.

Dwa jeszcze razy tej krótkiej na szczęście nocy woda przedzierała się wyrwami przez tamę. Zahamowano ją. Ale z pierwszym brzaskiem świtu, gdy cokolwiek zaczęło się rozwidniać, niepokój zmęczonych ludzi, podkrążonymi oczyma spoglądających na rwący nurt, powiększył się. Jeszcze nie minęła fala przyboru, poziom podnosił się. Na nic nie zdadzą się wszystkie wysiłki, grobli na całej długości nie można podnieść, wierzchem przeleje się rozszalały żywioł.

Na wodzie wśród piany i brudu czerniały większe płaszczyzny. Płynęły bierwiona, słomiane poszycie dachów, jak łódź sunęło długie koryto, nieprzytomnie tańczyła na wirach nowa balia, przy niej stół sterczący do góry nogami.

— Patrzcie!

Na nurcie kołysało się wzdęte już, widocznie zatoneła przed paru dniami, cielsko krowy. Ludzie skupili się, pokazywali sobie palcami, ożywili się.

I wtedy poprzez ten gwar usłyszał Roman gwałtowny, przeraźliwy krzyk Benka:

— Lubusz! Lubusz, wracaj! Lubusz!

Czy to było jakieś przecucie, czy przynagliła go brzmiaça w tym głosie trwoga i rozpacz, dosyć że roztrącając stojących po drodze rzucił się w stronę, skąd go doszło wołanie chłopca. Zdziwiony Heniek pognął za przyjacielem.

Skotłowało się, wszystko następowało zbyt nagle, różnili się później ludzie w relacjach, każdy malował inny obraz wypadków.

Chłopcy kręcili się nie opodal traktora, przy samym końcu grobli, przy nich tkwił nieodłączny Lubusz, zdumiony tym całym rwetesem, nie przespaną nocą, dziwną wodą, której przybywało coraz więcej i więcej. Nasyciwszy się widokiem traktora, chłopcy również obserwowali nurt, podniecając się okrzykami i starając dojrzeć coś ciekawego. Widzieli spływającą krowę, mało ich to obeszło. Benek szepnął, że gdyby tak u nich, matka płakałaby tygodniami.

A potem ze środka nurtu dobiegł zduszony pisk. Spojrzeli ku jakiejś kupce drzewa, nie od razu poznali wywróconą na bok psią budę. Na niej to, przemoczony, ledwie żywy ze zmęczenia i strachu, skomlił niewielki, łaciaty psiak. Jeszcze mu strzęp zerwanego łańcucha zwisał u szyi. Lubusz też usłyszał to zawroźnienie, zerwał się, uszu nastawił, wbił wzrok w żółtoburą falę, sprężony stał jeszcze chwilę, zaraz potem wyprysnął potężnym skokiem, chlupnęło, nakryła go woda, już się wynurzył, parł ku budzie siekąc wodę potężnymi łapami.

Benek oniemiał w pierwszej chwili, z otwartą gębą wpatrywał się w ulubieńca. Dopiero gdy jakiś wir zakręcił Lubuszem, zanurzył go kilkakrotnie pod wodę, ledwie pies wykaraskał się z tej pułapki, chłopca porwał szalony lęk. Wtedy zaczął wzywać Lubusza do powrotu, biegał

nad brzegiem, jeszcze wołał, szarpał się z rąk Tolka, który musiał się czegoś domyślać, bo złapał przyjaciela za poję kusej marynarki.

Lubusz był w połowie drogi do unoszonej prądem budy, gdy znów chlapanęło przy grobli. To Benek, szybkim ruchem zrzucając marynarkę i spodnie, runął w zmaconą toń.

Widziało to wiele już ludzi, krzyk chłopca ściągnął ich uwagę. Jak spłoszone kuropatwy bezradni zaszamotali się na brzegu, ktoś biegł po drag, inny wołał o sznur.

Roman, nie zważając na nogę, rozbierał się już w biegu. W pewnej chwili przystanął, rozejrzał się, prąd był szybki, należało skakać w tym miejscu i tak znieś Benka w jego kierunku.

Dziewczyna runęła w nurt pierwsza, dopiero w chwilę po niej zanurzył się Roman. Zebrani na brzegu zgłupieli w przerażeniu i trwodze do reszty. Jeden Heniek nie stracił głowy. Był za dobrym pływakiem, aby nie doceniać niebezpieczeństwa, jakie groziło im wszystkim. Jeszcze tego brakowało, aby i on poszedł ich śladem, a przecież miał taką chęć, ledwie się pohamował. Pędził teraz wzdłuż grobli, daleko wyprzedzając całą trójkę szarpiącą się z nurtem, wołał o drag i liny.

Opamiętali się ludzie, ocknęli z przerażenia, traktorzysta wyciągnął z przyczepy pęk sznurów, porwał go Tolek, rwał największymi, na jakie mógł się zdobyć, susami.

Roman skoczył w złym miejscu. Prąd uderzał tu z siłą o groblę, wirował, na skos rwał potem ku głównemu nurtowi. Mimo że pracował całą siłą ramion, zносиło go zbyt szybko, bardzo tylko nieznacznie malała odległość między nim a tracącym już siły Benkiem.

Dziewczyna płynęła wolniej, nie musiała być nazbyt dobrą pływaczką, ale fala rzuciła ją bliżej chłopca.

Właśnie mocniejszy wir zakręcił Benkiem, chłopak szarpnął się, usiłował się wyrwać, zanurzyło go, wychylił się, wir pozostał poza nim, ale lęk go teraz ogarnął, nie myślał już o Lubuszu, przeraźliwie zaczął wołać o pomoc, zachłysnął się, rozwartymi ustami zaczerpnął wody. Chciał ją wypluć, zakrztusił się, zakaszał, zadławił, oczy wyszły mu na wierzch, ręce zupełnie osłabły. Dławił się i krzychał, jeszcze pił wodę, teraz zanurzył się wolno, wolniutko, rozpaczliwie zamachał dłońmi, wychynał na żółtą, nieprzezroczystą taflę. W tej chwili dziewczyna złapała go mocno prawą dłonią za włosy, wyczuł tę pomoc, kurczowo wpił się w jej rękę, jakby po zbawczej desce przesuwając dłońmi, coraz wyżej, po jej ramię, po szyję. Zrozumiała czym to grozi, odpychała go, wpadli w inny wir, zakołysało nimi, Benek chrypiał, jego małe palce zaciskały się jak kleszcze, paraliżowały jej ruchy...

Ktoś rzucił zwój sznura, opadł jednak za blisko, teraz prąd znosił tamtych na środek, gdzie woda kłębiła się i kipiała, gdzie już nie było szansy ratunku. Jedno ramię dziewczyny biło o wodę, pomagała sobie nogami. Benek hamował jej ruchy, uczepiony jedną ręką ramienia, a drugą szyi. Zanurzyli się oboje, fala przeszła nad nimi.

Roman walczył z prądem, unosząc chwilami głowę widział, co się dzieje, źle skoczył, zbyt daleko, nie obliczył się z szybkością nurtu, starał się teraz posuwać pod prąd, by tamci mogli nadpłynąć bliżej. O kilka metrów dostrzegł pełne lęku i rozpaczliwe wejrzenie nieznannej dziewczyny, desperacko wtedy wyrzucił się do przodu, motylkiem, i jeszcze, i jeszcze. Już. Trzymał ich, a właściwie dziewczynę, Benek i tak tkwił przyczepiony do niej jak kleszcz.

Wiedział, że długo nie poradzi z tym podwójnym ciężarem. Heniek, on coś na pewno wymyśli. Właśnie plasnęła o wodę lina znów zbyt blisko brzegu, daleko od trójki, borykającej się z żywiołem. Roman obejrzał się za siebie. Znosiło ich środek. Wolną dłonią i nogami próbował to znoszenie hamować, tam była śmierć. W jednej chwili stanęła mu przed oczyma twarz matki, jej sterane dłonie nadzieje, jakie w nim pokładała. Żal byłoby ginąć, żal.. Nie, nie podda się, nie może się poddać. Dziewczyna mądra, nie trzyma się go kurczowo, stara się pomagać, chłopiec pewnie omdlał, zwisa jej z ramienia, jak napita pijawka. Tak lepiej, mógłby ich wszystkich pociągnąć w odmet... Matka czeka na list jak co tygodnia, myśli o nim, uśmiecha się z oddali. Brr, jaka ta woda gorzka, napił się, czyżby już osłabł na tyle? Przety-

kać, przełykać, nie wypluwać, to zguba, to koniec. Matka, przyszlaby do niej depesza, groza w jasnych wyblakłych oczach, straszny ból... Nie podda się, trzeba siec tę wodę jeszcze mocniej, jeszcze, aby choć trochę bliżej brzegu, aby nie na ten zwariowany nurt w środku. Coś go uderzyło w plecy, jakaś gałąź, żeby tak belka, wielkie drzewo...

Słyszcy wołania, jakby przez mgłę. Prawą ręką siecze wciąż wodę. Już się nie krztusi. Dziewczyna pomaga, jeszcze płyną, jeszcze nie wszystko stracone. Kto to woła? Czego chcą? Podniósł z wysiłkiem głowę, zdumiony ujrzał zupełnie blisko Heńka, płynął do nich.

— Trzymaj się, Romek, trzymaj się...

Pochwycił dziewczynę i Benka. Roman teraz zobaczył linę, którą był opasany. Wołał w stronę ludzi na brzegu. Lina napięła się. Ciągnęli.

— Wolniej, wolniej — przy mocniejszym szarpnięciu zanurzyli się całą gromadą.

Heniek widzi, że trzeba inaczej, inaczej.

— Roman, trzymaj ich, trzymaj.

Sam szamoce się w wodzie, odwiązuje linę, podsuwa Romanowi, piekielną jakąś siłą odrywa od dziewczyny wkleszczonego w nią chłopca, przerzuca przez plecy, podtrzymując go jedną dłonią płynie skosem w kierunku brzegu. Jeszcze się ogląda, widzi, że Roman mocno trzyma linę, dziewczyna też się jej chwyta, holują ich. Tamci uratowani. Teraz tylko dobrać z tym małym...

Nie wie sam, jak długo to trwało. Nagle widzi wyciągające się po nich ręce, wiele rąk, jakieś drągi, bosaki, chwyta za nie; przejmują chłopca, też się gramoli na brzeg, szaro, czerwono, czarno i znów czerwono przed oczyma, płuca bolą, serce wali jak oszalałe. Już na brzegu, co za szczęście. Tamci uratowani. Przymyka oczy. Jak dobrze.

Heniek oddycha głęboko, głęboko. Coś mokrego ociera się o niego, skomli. To Lubusz, za kark trzyma łańcuch psiaka.

## ROZDZIAŁ V

Leżeli na łące, upstrzonej jeszcze płatami popielatego namułu. Trawa zawzięcie dźwigała się w górę, soczysta, intensywna w zieleni. Przy brzegu czernią smoły znaczyła się rybacka łódka.

— Parę dni i reszta nadmiaru wody opadnie, wróci wszystko do normy. — Heniek ślepił oczyma za rozleniwionym pod trzciniami perkozem.

Roman leżący z podłożonymi pod głowę rękami zerknął ku Halinie. Wsparta na łokciach śledziła zapatrzonego w wodę Heńka.

— Pierwszy raz widzę takie oczy. Zupełnie jak trawa — odezwała się w zamyśleniu.

— W głowie ma także zielono.

Zachnęła się. Heniek widząc to zaśmiał się.

— Niech go pani nie traktuje poważnie. Takie cuda jak skok do wezbranej rzeki zdarzają się mu wyjątkowo. Normalnie jest tylko piekielnie długi, jak się wyciągnie, zostają same nogi, głowy zupełnie nie widać.

Zaśmiała się.

Halina Otrębska nie należała do dziewcząt szczególnie ładnych. Może też nie potrafiła wydobyć charakterystycznych cech swojej urody. Usta miała zbyt szerokie i pełne, nos trochę przydługi opadał ku wargom, jak każdy krótkowidz stale mrużyła oczy, mało można było w nich dostrzec. Pieprzyk na prawym policzku raczej szpecił, niż dodawał pikanterii. Jeżeli już kogoś zawojowywała, to uśmiechem, ciepłym, bardzo serdecznym i ufnym. Twarz jej wtedy dziecińniała, ginęły braki rysunku, stawała się bardzo dziewczęca.

Zbliżyła ich do siebie powódź i przygody nad groblą. Dziewczyna była bibliotekarką,

prowadziła zarazem świetlicę w wielkim ośrodku pegeerowskim. Już się parę razy spotykali, mokli w wodzie i wylegiwali nad jeziorem, czasem wracali wspomnieniem do pierwszej wspólnej kąpieli.

Zawojowali wtedy okolicę. Jak to zawsze bywa, poszły w świat całe legendy o akcji raktunkowej, zapoczątkowanej przez Lubusza. Czworo ludzi i dwa psy, wszystko skotłowane w nurcie rozszalałej rzeczulki. Było o czym rozprawić po domach. Wszyscy ich teraz pozdrawiali serdecznie, z podziwem patrzyli chłopcy, uśmiechały się obiecująco dziewczęta.

Najwięcej utrapienia mieli z Malickim. Mało, że zaraz następnego dnia, jeszcze na koczowisku w domkach pegeerowskich, wybraniać musieli Benka, ojciec bowiem solidnie już zdążył mu sprać skórę i szykował się do kolejnej porcji, jeszcze musieli wysłuchać nie kończących się podziękowań. Gdy wrócili nad przesmyk między j dwoma jeziorami, Malicki uroczyście zaprosił, by zechcieli spędzić u niego wakacje.

— Co tam — mówił — te autostopy, ot, tylko noga zwichnięta, mało brakło, rozbilibyście się o drzewo na amen. Tu woda, las, ryb do cholery i trochę, parę ładnych dziewcząt też się wytropi w okolicy.

Nawet by się to im uśmiechało, gdyby nie jedna rzecz. Kubiak bąknął z zażenowaniem, że są bez pieniędzy, a przecież nie mogą tak za darmo i w ogóle... Z Benkiem zaś nie ma o czym mówić, szczęśliwy przypadek, zresztą Halina go właściwie uratowała.

— At, takie gadanie. Halina zrobiła swoje i to jej będę pamiętał. Ale ja wiem, jak było naprawdę. Gdyby nie wy... A o pieniądzach mi nie gadajcie, bo słuchać hadko. W goście proszę.

Dogadali się wreszcie, że mu będą pomagali w rybackiej robocie. Choć w ten sposób częściowo się zrewanżują. Zgodził się, oczy mu się śmiały przy tej okazji. Już to z nich będzie w rybactwie pociecha...

— No, już po chwili spokoju, nasi korsarze jada. — Roman dźwignął długie ciało i usiadł z ciężkim westchnieniem.

Spoza zakrętu wyłoniła się niewielka łódka. Przy rufie siedział Stachura, niby od niechcenia poruszał wiosłkami, ale łódka sunęła szybko. W środku kokosili się Benek z Tolkiem, który za zgodą ojca zamieszkał czasowo u stryja; we dwójkę z latoroślą Malickich bobrowali teraz po całej okolicy, raz ich przyłapała matka na przygotowaniach do tajemniczej nocnej wyprawy, aż się splekali z doznanego zawodu.

Solecki czuł wyraźną słabość do Benka, doskonale zdawał sobie z tego sprawę, tym bardziej starał się kryć to przed innymi, najbardziej zaś trapił się obawą, aby tej sympatii nie wyczuł sam chłopak. I tak już mu siadał na głowie, nic sobie nie robiąc z ponurych min i słownych pogróżek.

Teraz z dala już pohukiwał, poszturchując przy okazji Tolka, aż ten piszczał płacząco.

— Wczoraj wieczorem zawracał mi głowę swoimi bunkrami. Bzik mu jakiś strzelił do głowy, że powinniśmy odszukać wejście, tam miał się znajdować sztab jakiegoś wielkiego odcinka, całe miasto pod ziemią... Jeszcze mi swego piekielnego żółwia pakował na kolana — bez zainteresowania powiedział Heniek.

— Co za żółw? — zainteresowała się Otrębska.

— Pani nie wie? Cudna historia. Jeszcze jeden niedoszły topielec z czasu powodzi. U Malickich woda sięgała do pół okien i od południa, skąd biła fala, wyrwała futrynę. Przez dwa dni muł wynosiliśmy, ryby nawet były, pijawki, żaby, cała menażeria. W kuchni za piecem jeszcze się nie zdążyło zrobić porządku. Siedzimy wszyscy, Malicki opowiada partyzantską historię, jak to pod Bieniakoniami dopadli oddział SS, wyrznęli ich, słuchamy z otwartymi gębami, aż tu nagle zza pieca stacza się coś wraz z kupą błota, mało tego jeszcze, rusza się... Ciężko, nic nie widać. Roman się oczywiście wystraszył, wskoczył na stół, bo myślał, że mysz.

— Ja ci...!



— Proszę, uderz w stół... — Heniek przezornie przetoczył się na ławie dalej od długich i kościstych nóg przyjaciela. — Lubusz pierwszy skoczył, wiadomo, opiekun małych stworzeń, za nim Benek. Okazało się, żółw. Duża, rozrosła sztuka. No i siedzi w kuchni, wygląda, że chwali sobie nowe życie. Benek go nosi co dnia do wielkiej kałuży, aby popływał.

Łódka wryła się w zamulony piasek. Benek pierwszy wyskoczył, borykał się z czymś, wreszcie wyciągnął z kaszty dużego szczupaka, aż się przyginał pod jego ciężarem, parł ku rozleniwionej trójce. Zatrzymał się przed dziewczyną, złożył trofeum u jej stóp.

— To dla ciebie, Halina.

— Boże, cóż ja z tym zrobię?

— Zjesz na kolację. Tolek też coś niesie dla ciebie. Tylko że pan Wiesiek nas skrzyczał, bo to jakaś ochrona, et, bajki.

— Nenufary. Bardzo je lubię.

— Grzybień biały... — sprostował Wiesiek. — Dzień dobry, Halina, cześć, wiara. Wyciągnęli mnie malcy, bo to im obiecałem kiedyś, że zapolujemy na szczupaka... Tego Benek sam złapał, naprawdę.

— Ale Wieskowi to się dopiero smok urwał. A może to nawet był sum?

— Szczupak, sumy za dnia nie biorą...

Zainteresowali się. Trzy dni roboty z brodnikiem zaciekało ich rybackimi sprawami.

— Tam, pod bunkrami...

— Znowu — jęknął Roman z udanym przerażeniem. — Co drugie słowo, jakie tu słyszę, to bunkry. Jak mi jeszcze powiecie, że tam szczupaki mieszkają, to was zaraz potopię.

— Szczury kiedyś mieszkaly, ale to ponura historia, kiedy indziej... I Halinka nam by się wystraszyła.

— Ja to znam, brr — wstrząsnęła się.

— Pewnie ich dzisiaj już nie ma. To było krótko po wojnie... Inna sprawa, że przy tym pagórku jest dużo ryb, i to potężne sztuki. Głębina, może ją teraz muł trochę spłycił, dawniej była olbrzymia jama. Siecią próbowaliśmy, ale bez wielkich rezultatów. Tylko na żywca lub nocą na haki...

— Zaraz, zaraz, panie Wieśku, ale co z tym szczupakiem?

— Nic nadzwyczajnego, chyba że sposób, w jaki się zerwał... Już niej pierwszy raz mi się to zdarza w tym miejscu. Pławik krótko się kołysał, zaraz szarpnęło, rwie pod wodę. Odczekałem, podciągam, kołowrotek terkoce jak zwariowany. Zapas linki się kończy, próbuję przyhamować, udaje się. Holuję, czuję już, co za ciężar, daje się prowadzić łagodnie jak baranek...

— Ładny baranek, mało brakowało, byłby nas wywrócił — Benek uznał za stosowne ubarwić nieco opowieść.

— Tak było. Bo nagle rąbnął, znów linka wyciągnięta na całą długość, wołam, żeby chłopcy wiosłowali aż pod spadzistą ścianę. Nic nie pomaga, ryba ciągnie wciąż w tamtą stronę, pod brzeg, jakby to była wolna płaszczyzna jeziora. Potem z nagła linka zwiśla swobodnie. Przerwana czy nawet przetarta.

— A z tym sumem? — Roman był rozczarowany opowiadaniem, spodziewał się rzeczy bardziej niezwykłych.

— Podobnie. To było w nocy, tyle że nie musieliśmy sami wiosłować, on nas holował, też pod brzeg, dziobem wryliśmy się w murawę, sum przerwał linę. Z pięć razy przeżyłem już identyczną historię w tym miejscu.

— Może tam są jakieś lochy, sumy lubią podobne meliny.

— Za głęboko, by zbadać. Próbowaliśmy bosakami, na dnie zwalone kłody czy kamienie, od pagórka cień, woda zawsze czarna, nieprzezroczysta.

— W tej górze tkwią bryły cementu, żelaza sterczą, choć trudno się zorientować, bo się krzaki rozrosły i przesłoniły wszystko. Próbowaliśmy z Tolkiem tam łązić, ale strasznie.

— A te bunkry tuż za pagórkami? — Heniek uparcie wpatrywał się w dziwne miejsce nad wodą.

— Myślę, czy czasem nie sięgają pod samo wzgórze... Tu w okolicy pełno takich bunkrów, rowów, zapór przeciwcołgowych. Po wojnie bano się pługiem wyjeżdzać, pola minowe, jakieś pułapki. Dopiero saperzy oczyścili teren. Wtedy też zasypali wejścia do podziemi.

— Ja bym wypytał kogoś znającego ten teren sprzed wojny i później.

— Mało jest takich, poza dziewczyną, dojarką w pegeerze, ale ona nic nie wie. Tutaj był rejon SS, sztab kwaterował w majątku, lasy i woda stanowiły plac ćwiczeń. Dlatego tak trudno było sobie poradzić z odłogami, starszymi niż gdziekolwiek indziej.

— A inni? Poza tą dojarką?

— Jeszcze tylko Późny, jeden z rybaków. On dużo wie, choć nie zawsze ma ochotę gadać. Poza tym nie słyszałem o nikim, polska ludność mieszkała dalej na wschód, stąd zresztą, wysiedlali i Niemców. Pamiętajcie, że w tym miejscu ciągnęła się jedna z głównych linii obronnych hitlerowców.

— Tutaj?

— Od Warty na wysokości Skwierzyny przez Międzyrzecz, Świebodzin i Sulechów do Odry... Fragmenty można jeszcze dzisiaj obejrzeć.

W tej chwili Wiesiek, który rozsiadł się już wygodnie i zamierzał rysować na piasku komentarz do swego wywodu, urwał, ze zdziwieniem przyglądając się poblądłej z nagła dziewczynie.

— Co ci, Halina? Słabo się czujesz czy może...

Benek ruchem głowy pokazywał coś z tyłu poza nim. Obejrzał się. Brzegiem jeziora zbliżał się w ich stronę postawny mężczyzna o chudej, wyrazistej twarzy. Stachura poznał w nim kuzyna rządcy, pracownika administracji majątku, wiedział, że Halina go czemuś nie znosi, że nawet się boi. Ciepłym ruchem przysunął się do dziewczyny, ogarnął ją przyjacielsko ramieniem. Zadrżała, jakby ją chłód owinał.

Roman spoglądał po nich niczego nie rozumiejąc. Heniek od pewnej chwili już drzemał, ocuciła go teraz nagle zapadła cisza. Podniósł głowę i wzrok jego napotkał utkwione w Halinę i Wieśka zimne spojrzenie jakiegoś jegomościa.

Młody człowiek przystanął na brzegu naprzeciw nich, patrzył, nie odzywał się słowem, potem odwrócił się w stronę jeziora i zamachnął się spinningiem. Z furkotem wyleciała sztuczna rybka, plusnęła o wodę.

— Cymbał — syknął spokojny zazwyczaj Wiesiek.

— Złapał nas niedawno koło starego pałacu, uszu tak natarł, że jeszcze dziś bolą — dorzucił Tolek.

— Macie tu swoje porachunki w okolicy? Rzeczywiście jakiś nieprzyjemny facet. Kto to? — zaciekawiał się Heniek.

— Gryzipiórek, tyle że krewniak rządcy. Napastuje Halinę. Mnie też nie lubi... — uśmiechnął się krzywo Stachura. — Daj mu, Benek, spokój, mówmy o czymś ciekawszym — dodał szybko, widząc, że mały Malicki znowu otwiera usta.

Nastrój oklapł. Nikt już nie miał ochoty do rozmowy. Heniek i Roman spojrzeli po sobie porozumiewawczo. Jakies tajemnice... Kubiak pocieszył się, że na pewno im Benek wszystko wypaple, ta sroka wie przecież wszystko.

Roman spoglądał wciąż na zegarek, zmarkotniał. Przestał wreszcie rozglądać się po okolicy.

Dziewczyna podniosła się pierwsza.

— Późno już, muszę wracać... Zapraszam do świetlicy, zawsze w soboty jest potańcówka.

— A kino kiedy będzie? — wrzasnął Tolek.

— Za tydzień...

— Odprowadzę cię — Wiesiek łagodnie ujął Halinę pod ramię. Spoglądali na niezbyt pasującą do siebie parę. Dziewczyna była tęgawa, Stachura chudy podobnie jak Roman, tylko cokolwiek niższy.

— Ona chyba się kocha w Wieśku — zastanawiał się Benek. — A ten Stefan to był jej narzeczony, aż go odpałiła, dlatego taki zły.

Nie mogli się roześmiać. Ten wiedział naprawdę wszystko.

Ostatnie godziny dnia minęły im niemrawo. Heniek próbował łowić ukleje z pomostu, nie brały, siedział więc, dłubiąc w zębach i utwierdzał się w przekonaniu, że robi się tu coraz nudniej. Żeby choć znalazła się gdzieś w pobliżu ładna dziewczyna, można by pogruchać, pogadać, całusa ukraść. Niby jest Kryśka, ale ta doktorem podobno zajęta, Roman też po trochu smali do niej cholewki. Nie chciałoby się wbrew przyjacielowi... Tu się trochę rozzłościł. Soleccki zarzeka się, że on nic a nic. Więc po co jakieś skrupuły? Zośka też go puściła w trąbę i niebo się przez to nie zawałiło. Cóż z tego, że Roman?

Obejrzał się za nim. Leżał przy trzcinach owinięty kocem, miętosił w rękach jakąś książkę. Co go tak nagle rąbnęło?

Pod zachód zaczęło robić się chłodniej. Malicka wyjrzała na ganek, prosiła na kolację. Heńkowi wrócił dobry humor, zjeść zawsze lubił.

— Roman! Roman! — rozdarł się jak mógł najgłośniejsze.

Trochę gawędzili jeszcze z Malickim, noc zapadała nagle, jak to czasem bywa w letnie wieczory.

Roman pomaszerował od razu na górkę. Kubiak spoglądał za nim, pogwizdując pod nosem. Machnął na koniec dłonią. Przejdzie, jakaś mucha musiała mu usiąść na nosie...

Znad lasu niedyskretnie wyjrzał księżyc, poświecił sobie tu i ówdzie, ładniej się od razu zrobiło wokoło.

Wody opadały z każdym dniem. Pomost nad rzeczką wyłonił się już nad powierzchnię, rozprostowały się przybrudzone mułem gałązki wierzbiny i łozy, świeżym seledynem powlokły się trzciny. Księżyc przeglądał się w wodzie rozmigotanej tańczącymi na powierzchni muszkami, łukiem przecięła niebo opadająca gwiazda.

Kubiak myjąc się na pomoście przed snem przysiadł około kaszty na ryby, skąd co jakiś czas rozlegał się głośny plusk szukających wyjścia z pułapki szczupaków czy tłustych linów, zapatrzył się w odmieniony nocną poświatą krajobraz.

Westchnął, bo przypomniała mu się Zośka. Nie chciała się z nim zobaczyć, zmyliła go celowo, czy też przypadkowo tak się wszystko niefortunnie złożyło? Sztubacka miłość? Na pewno, nie myśleli o przyszłości, gdy kradli sobie pocałunki w klatce schodowej domu, w którym mieszkała, gdy przytuleni szli zagubieni w tłumie przechodniów, a potem stawali na starym, drewnianym moście Chwaliszewa i długo spoglądali w mętną toń wody, przeciętą szlakami odbić nielicznych latarni. Za nimi mocną sylwetą pięły się wieże tumu, od Garbar huczało życiem miasto. Szkoda, że to się skończyło tak głupio.

Pomyślał, że w końcu ważne jest co innego. Przed Zośką także mu się zdarzało podkochać w innych dziewczynach. To miało jakiś swój sens, bywało czasem piękne, wirujące barwami, szepczące miękkiemi tonami. I o to chyba teraz chodziło. Boże drogi, niedługo będzie miał osiemnaście lat, niby dojrzałość, ale tak naprawdę to jeszcze szczeniacki wiek. Można się podkochać, równie dobrze można wyżywać w poszukiwaniu przygód, robieniu wypraw po skarby, śledzeniu duchów w starych zamczyskach.

Już nie pamiętał o Zośce ani o swych perturbacjach sercowych. Zajęły go inne sprawy, również urzekające swoistą romantyką. Myślał, żeby tak spenetrować rozwalający się pałac w majątku. Spotkać się oko w oko z tą białą damą Benkową, dotrzeć do źródła tajemniczych hałasów, które spać tym malcom spokojnie nie dają. Albo zbadać tajemnicę bunkrów z zasypałym przez saperów wejściem? Miasto podziemne, sztab armii, oddziały SS stacjonujące w majątku, poligon jakiś czy skryta fabryka, z jakiegoś powodu przecież wysiedlono ludność z

okolicy...

Od krzewów przybrzeżnych dobiegł go nagle wyraźny szept. Urwał nić rojeń.

— W ogóle jest kupa roboty. W pałacu, z bunkrami, tego Stefana też warto by uspokoić, czego chce od Haliny? Pamiętasz książkę o duchach, którą nam pożyczała? Jak szkielety ustawiały trumny jedną na drugiej w kościele, aby się dostać do człowieka ukrytego na chórze? Fajna babka, trzeba jej pomóc.

Heniek z trudem powstrzymywał uśmiech. Ci malcy jota w jotę myślą to samo, nad czym on się zastanawiał przed chwilą. Godna kompania. Inna sprawa, że te urwipółcie gotowe na każde głupstwo, Benek zwłaszcza. I skąd się taki chytrus wyrodzi nagle na głuchej wsi?

Siedział zasłonięty cieniem kaszty na ryby. Nie widząc o jego obecności chłopcy gwarzyli dalej.

— Widziałeś, jaki Roman był smutny? To twoja siostra nawala, poluje na tego doktora, a on jej jeszcze, zobaczysz, figę pokaże. Głupia.

— Eee — Tolek próbował bronić Kryśki choć w taki sposób.

— Nie eee, ale tak jest. Obiecała Romanowi, że przyjdzie w niedzielę nad wodę. Nie przyszła, wiesz czemu? Z doktorem gdzieś pojechała jego dekawką. Trzeba nam było piasku podsypać mu do motoru, dopiero miałby się z pyszna... Roman cały czas za nią wyglądał, wiercił się nad jeziorem, jakby mu strup wyrósł na tyłku, a ona dekawką. Samochód się jej spodobał. — Umilkł, zniemacka zmienił temat. — A wiesz, że ojcu chcą sprzedać motocykl?

— Kupi?

— Pięć patyków chce ten Jaskólski, wiesz, kowal z Bledzewa. Przechodzony, ale jeszcze by swoje odsłużył. Inaczej byłoby, z rybami ganiać do bazy ciężko i czas się mitręży. Motorem to raz dwa...

— Ciężarówka przecież przyjeżdża.

— We czwartki, raz na tydzień, żywiec z kaszty zabiera. A jak jest śnięta i zaraz trzeba ją zdawać? Nawet na lodzie długo nie wytrzyma... Szkoda gadać, skąd te pięć patyków wytrzasnąć. Ze dwa ojciec miałby, a reszta?

— W tym pałacu, gadają baby, skarby są zakopane. Żeby je dostać, byłoby chyba na motor.

— Ej ty, Tolek. Na sto motorów. Wyobrażasz sobie, ile moniaków mieć można z takiego skarbu? Taki Stefan i inni na pewno wiedzą to, chcą sami brać, dlatego pilnują, ani wleźć na podwórze, a już pałacu w ogóle nie tykają...

— Może jednak spróbować?

— Z motorem i tak będzie za późno. W trzy dni stary ma dać odpowiedź. Ale szukać będziemy. Niech tylko pełnia się skończy, teraz cholernie jasno, ani prześliznąć się do pałacu. Latarki pożyczymy sobie od Romana i Heńka. To morowe facety, nie?

— Pewnie...

Heniek zaczął dławić się śmiechem. Usłyszeli jego chrząkanie, umilkli, wycofali się gdzieś bokami. Tylko Lubusz szczechnął parę razy, na wszelki wypadek.

Kubiakowi strzeliła pewna myśl do głowy. Szybko pozbierał z pomostu manatki, popędził na oddzieloną przepierzeniem z desek górkę na strychu, gdzie mieli teraz swoją siedzibę.

— Roman!

— Jestem. Czego się drzesz?

Przysiadł na łóżku przyjaciela.

— Wiesz, tyko chmielowa, byłby dla nas kawał roboty. Będziemy mogli tkwić u Malickich z czystym sumieniem, bo matka jakoś forsy mi nie przysyła. Podśledzałem pętałów. Okazuje się, że Malicki marzy o kupnie motoru. Ktoś sprzedaje grata za pięć kawałów. Trzeba zapytać, ile mógłby on dać swojej forsy, a resztę wyłowilibyśmy rybami. Jak sądzisz?

— Nie tak łatwo tyle wyłowić. Z nas rybacy jak...

— Nie kończ, domyślam się. Ale z jego radami i pomocą? Za tydzień mają łowić niewodem. Tymczasem przez parę dni możemy próbować brodnikiem po dziurach. Benek zna zalewiska.

— Można pomyśleć — z flegmą zgodził się Roman. A potem zapytał niespodziewanie: — Myślę, czy się nie stało co z Kryską? Miała dziś przyjść nad wodę. Zawsze przyjemnie, jak jest w pobliżu ładna dziewczucha.

Heniek przypomniał sobie słowa chłopaków o dekawce i doktorze.

— Nie wiem — powiedział niechętnie. — Lepiej byś wybił ją sobie z głowy. Mało masz dziewcząt w Warszawie? Korzystaj ze swobody, woda, las, wyzerka też obleci. Masz prawo jazdy?

— Mam na motor, ale samochód też poprowadzę.

— Ja nie mam, choć kurs skończyłem. Za młody, jeszcze osiemnastka mi nie stuknęła.

— Pewnie, szczeniak, mleko pod nosem. Malickiemu pomożemy, ale już czuję, ile koło tego motocyklowego truposza będzie roboty. Najgorzej kupować używane maszyny.

## ROZDZIAŁ VI

Tego dnia dotarli w pobliże Obry. Woda opadała wszędzie nieomal tak szybko, jak przedtem się podnosiła. Mocne słońce wysuszało rozlewiska pozbawione odpływu. Ziemia też piła wodę zachłannie.

W najbliższym sąsiedztwie przesmyku i jezior gruntownie przebobrowali wszystkie zalewiska na łąkach, jamy wypełnione przez powódź, rowy i maleńkie zatoczki. Jeśli coś tam było żywego, wyłowili na pewno. Zresztą nie oni sami byli amatorami ułatwionych łowów.

Wszędzie brodzili chłopcy z okolicznych wiosek, nieraz zupełnie małe dzieciaki na wszelki sposób próbowały schwytać zbłąkanego szczupaka, miotającego się rozpaczliwie w wysychającej kałuży.

Wiesiek poddał wtedy myśl, żeby ciągnąć rozlewiskami rzeczutki aż po Obrę. Odciętych od nurtu lusterek wodnych znaleźli jednak niewiele. Przeszukiwali zatem wszystkie możliwe zatoczki, ciągnęli rzeką w miejscach, gdzie głębokość nie sięgała powyżej piersi. Z każdym krokiem brodnik wydawał się im coraz cięższy. Ubrania, włożone dla ciepła i ochrony przed wodorostami i gałęziami, którymi zasłany był cały szlak, napite wodą, ciążyły jak kamienie. Gumowe buty chlupotały wodą.

Benek brał udział w połowie na równych prawach. Pozbawiony towarzystwa Tolka, którego ojciec zabrał do domu, trzymał się teraz starszych. Rowerem odstawił nad przesmyk złowione ryby, gdzie przełożone lodem oczekiwały na transport do bazy. Kończąc nowy zaciąg w sporej zarośniętej trzciną i skrzypem zatoczce przy zakręcie. rzeczutki, widzieli, jak skrzypiąc pedałowal z powrotem brzegiem łąki.

Heniek z Romanem z wysiłkiem zaciągali skrzydła, Stachura od tyłu otłukiwał grunt, żeby jakiejś rybie nie zachciało się prześliznąć pod ramionami sieci.

Szamotanie, woda się skotłowała, bryzgi poleciały wokoło, Heniek wrzasnął do Romana, aby podnosił skrzydło do góry. Za późno. Ogromny szczupak pięknym susem smyrnął nad siecią.

Wiesiek otarł zbryzganą twarz, uśmiechnął się:

— Poszedł. Osiem kilo murowane.

— Tu, tu stanął. — Benek już był na brzegu, wskazywał przeciwległą ścianę zatoczki. — Zagarnijcie faceta.

Obeszli to miejsce szerokim kręgiem. Benek z długim kijem stanął nad wodą, aby nie dopuścić do ucieczki szczupaka na głębszą toń rzeczki, opuścili brodnik do dna, postępując

przetrzęsali za każdym krokiem mulistą grządziel, macili wodę.

W środku zagarnianej siecią przestrzeni kępka trzciny zakotłowała się silnie. Szczupak tam był. Parli teraz w tę stronę, aby przegrodzić rybie drogę ucieczki. Benek wpakował się do wody, tłukł swym kijem jak oszalały.

Heniek poczuł silne uderzenie, o udo otarło się śliskie cielsko, jeszcze chciał siecią zagarnąć, splątały się mu nogi, rymnął nosem w zamuloną, bajorowatą wodę.

— Kłapa — zaśmiał się Wiesiek.

— Ja mam dosyć — stanowczo oznajmił Roman. Zmęczony był, przybladł, twarz mu się jeszcze wydłużyła.

— Też rybak, jak z koziej... — zaczął rozeźlony Benek, ucichł na ostre spojrzenie Stachury. — Kiedy naprawdę, tak przefajnować sprawę. To dopiero był szczupak. Miał pewnie z piętnachę.

— Osiem najwyżej.

— Widziałem, gdy rwał pod wierzchem. Piętnacha murowana.

— Wytarłbyś lepiej nos — osadził go raz jeszcze Stachura, gramoląc się wraz z innymi na brzeg. Brodnik rozłożyli na trawie do wysuszenia. Sami z satysfakcją wyciągnęli się obok.

— Tam już Obra — wskazał Stachura na szerszą i jaśniejszą przesiekę, rozdzielającą ścianę leśną. — Nurt na tym odcinku ma gładki, głęboki, aż po Bledzewo, gdzie się mieści zapora i elektrownia. Dlatego uniknęła powodzi Skwierzyna, wodę wstrzymało jezioro bledzewskie, w które rozlewa się obrzańskie koryto.

— Gdzieś niedaleko jest Santok, prawda?

— Wodą to kawał drogi. Obrą pod Skwierzynę, stamtąd Wartą do Noteci drugie tyle. W tych widłach leży Santok. Byłem tam, moi starsi koledzy zaczęli w tym roku wykopaliska. Spodziewają się rewelacji.

— Starsi koledzy? — zdziwił się Heniek.

— Tak, bo ja studiuje historię, ze specjalizacją z archeologii.

— Taki grabarz, tyle że do starych cmentarzy — zachichotał Benek.

— Zupełnie nieznaną kraj ta nasza Ziemia Lubuska. A gdzieś właśnie w tych miejscach rodziła się polska historia. Co krok grodziska, miejsca bitewne, czasami zdaje mi się, gdy nocą sen nie przychodzi, że nawet wiatr dmie w surmy Chrobrowych rycerzy...

— Ojej, sielanka patriotyczna — skrzywił się Kubiak.

— Może. — Stachura, zauważyli, nigdy się prawie nie sprzeczał. — Jeśli się trafi okazja, mogę wam w pobliżu to i owo pokazać. Życie było tu bujne, rosły wieże kościelne i mury zamczysk, dokoła miast wyciągały się obwarowania. Wojen i bitew nigdy nie brakło. Jak rzadko gdzie pełno było tu wałów, okopów, zasieków. Jeszcze później bunkry z żelbetu porwały ziemię, jak te nad naszym jeziorem...

— A w starych, zrujnowanych pałacach straszą białe damy — Heniek podkpiwał tym razem nie tylko z młodego historyka, ale i z własnych dumań minionej niedzieli.

— Prawie, że tak... Pałac wyrósł na miejscu dawnego grodu. Widzieliście, teren tam silnie się wznosi, jedyny punkt w majątku, któremu nie zagroziłaby powódź w wypadku zerwania grobli. Stare opowieści mówią, że to któraś z rządu budowla w tym samym miejscu. Gdyby tak zrobić przekrój przez wszystkie warstwy... Fundamenty wspierają się o stare mury, po cegle można już poznać.

— A biała dama to z którego okresu? — nie ustępował Heniek.

— Wiecie, proponuję kąpiel w Obrze. Przebiegniemy się brzegiem, zobaczycie rzekę, dawną linię obronną Piastów. Tutaj grzął Henryk II, gdy siedł na Poznań.

— Miły, tylko bez historii. Słońce jasne, woda, zielono, zostawcie takie tematy na bardziej ponure dni.

— Przepraszam — uśmiechnął się po swojemu Wiesiek.

Ależ fujara, ciepła klucha, myślał Heniek o nowym znajomku. Żeby mnie ktoś tak nie

wiedzieć czemu dokuczał, sprabym mu jadaczkę. To prawda, tylko mu historykiem zostawać. Choć i tam Biskupina też nie wymyśli... Ale wyrывa klawo, ani go dogonić.

Stachura rzeczywiście śmigał, jakby na bieżni w czasie zawodów. Heniek poderwał się, zagrała w nim ambicja. Tylko Solecki truchtał swobodnym kroczeniem, obserwując nieoczekiwany wyścig jak dodatkową atrakcję.

Zatrzymali się dopiero nad szeroko rozlaną Obrą. Z obu stron osłaniał rzekę stary las, dorodna sosna leżała zwalona w wodzie, podmyta w korzeniach przez spokojny a przecież drżący nurt. Heniek usiadł zdyszany, spocony jak zmokły szczur, tylko oczy mu się paliły zielono.

— Masz bracie, gaz. Utrzymałeś mnie w równej odległości, próżnom się szarpał.

— Biegałem kiedyś na stadionie.

— Górą grabarz, niech żyje.

— No, są Benek i Lubusz, zatem pełniutki komplet.

Pragnąc ochłonać po zwariowanym biegu szli teraz wolno wraz z biegiem Obry. Potężne kolosy leśne sięgały samego brzegu, wiła się między nimi ledwie że przeddeptana ścieżka. Obra płynęła zakolami, coraz to zawijała w prawo lub lewo, nurt szumiał wtedy silniej, prąd uderzał o brzegi, podmywał je, unosił z sobą jasny, żółciutki piach. W zaciszach zakoli tworzyły się głębokie jamy, w cieniu rzucanym przez leśne olbrzymy woda stała się ciemna, nieomal czarna, u powierzchni płaśała drobica, okoń zygzakami zmacił niekiedy spokój, srebrnymi bryzgami ukleja przyskała na wszystkie strony.

Brzegi wyraźnie zaczynały się wznosić, zwisały nad tonią ławicami piasku przytrzymanego płataniną korzeni, z wydrążonych w nim otworów smyrgały jaskółki brzegówki. Pod niebem zaciążył cień jastrzębia, umilkło nagle w lesie, przycisnęło się wszystko, by tym radośniejszym świergotem wybuchnąć w momencie, gdy złowrogi rozbójnik poszybował dalej.

— Wiecie, tu jest uroczo. Nie widziałem jeszcze takiej głuszy — szczerze przyznał się Roman.

Wyrosły w Warszawie, związany z miastem, którego nigdy nieomal nie opuszczał, podał się pięknu obrzańskiego szlaku. Cisza i spokój, szemranie wody, ptaki i ryby, rozgrzany las, wierzchem ścielący woń żywicy, dołem wilgotny, gęsto posyty bujną roślinnością, to wszystko oddziaływało.

Benek z satysfakcją ładował na bagażnik plecionkę wiklinową pełną szczupaków.

— Z brodnikiem koniec. Opłaciło się nam te parę dni roboty. Innymi sieciami nic byśmy nie zyskali, za głęboka woda.

Roman przerzucił ramę siatki na drugie ramię. Spojrzał na idącego obok Stachurę. Jeszcze nie spotkał podobnego faceta. Jego koledzy byli inni, jacyś bardziej realni. Ale żeby któryś zaciekawiał się archeologią, chciał kształcić się w tym kierunku?

— Co roku tutaj przyjeżdżasz?

— Tak. Od czterech lat, gdy odszedłem od wuja i sam się jakoś drapię przez życie... Mam stypendium, ale wiesz, daleko tym nie ujedzie. Latem przy rybach zawsze sobie dorobię, a i sił trochę nabiorę. Trzeba sobie jakoś radzić. Gorzej, bo od przyszłego roku jadę na letnią praktykę. Marzę o tym i boję się, bo jak potem sobie zimą poradzę?

— To zupełnie sam jesteś?

— Ojciec zginął jeszcze we wrześniu, matka zmarła przed pięciu laty. Rok byłem u wuja i zwiąłem. Praktycyzm przeważał w nim nad wszystkim. Nie mógł zrozumieć moich zamiarów, mówił że chleba nie dadzą, technikiem być, lekarzem, a już najlepiej dentystą, to dla niego stanowiło życiową karierę. — Zaśmiał się nagle, aż Kubiak dźwigający drugi koniec brodnika i borykający się ze swym rowerem Benek spojrzeli na niego zdziwieni. — Widzisz, z tym wujem to było tak — tłumaczył Romanowi. — Zapisywał dokładnie koszty mojego utrzymania. Pranie, jedzenie, książki, bilet do kina, mydło... Że kiedyś to zwrócę, z jego strony to tylko pożyczka. W ubiegłym roku spłaciłem resztę tego długu. Teraz będzie mi łatwiej,

będę zresztą próbował uzyskać asystenturę.

— Co uzyskać, Wiesiek? — zaciekał się Benek, wpakował rower w jakąś dziurę, wysypał się sam, z łubianki ślizgiem popłynęły na murawę złapane ryby.

— Zająca. Już go masz.

Benek pokazał mu język, nie podejmował tematu. Ale później Roman usłyszał, jak wypytywał Heńka, co znaczy ta „syntetura”.

U Malickich zastali rozrosłego, barczystego chłopca ze skołtunioną brodą, siwymi kłębami piętrzącą się we wszystkie strony. Na widok czerechy zmordowanej dźwiganiem namokłego brodnika przymrużył wyblakłe oczy, zaśmiał się ściszym rechotem, aż w szerokie łapska zaklaskał.

— Ot i nasze rybaki. Złowiliście choć cokolwiek?

— Przez wszystkie dni z sześć skrzynek się zbierze, głównie szczupaka — wyjaśnił Wiesiek.

— Znaczą się, rozegnała ich woda po jamach, tam skrywszy się byli. Letka robota, obaczymy, jak przy niewodzie będziecie się wy mordować. Miastowym może i być ciężkawe.

— Dla nas to mucha — powiedział lekceważąco Heniek.

— Nu, jak taki mocny, to i dobrze. Znaczą się, masz pomocników, Wojciech?

— Od razu w domu weselej. To oni Benka uratowali.

— Toż wiem — obruszył się stary. — Ludzi jeszcze do dziś gadają. Panienki to o nich tylko myślą. Miejcie baczenie, żeby wy pod ręką gdzie naszym chłopakom nie napatoczyli się, żeżłone oni okrutnie, że tamte na was patrzą... — Rozejrzał się po wszystkich i z ciepłym ścisłym rechotem sięgnął za pazuchę, wyciągając stamtąd butelkę. — Tak i napić się warto na ta okoliczność.

— Gdzież, taka spiekota.

— At, nie gadaj — ofuknął Malickiego. — Lepiej niech twoja baba zakąski nie pożaluje.

— Kto to? — zaciekawili się chłopcy.

— Brygadier nasz, Piotr Wikswa. Złoto nie człowiek — serdecznie uśmiechnął się Wiesiek. — Zobaczycie go jeszcze na wodzie, tam dopiero jest sobą. Z Wileńszczyzny, gdzieś na jeziorach brasławskich bobrował, potem tu osiadł.

— To on tatkę namówił w te strony — uzupełnił Benek.

Brodaty Piotr kiwał już na nich z ganku, wyłaniała się zza jego pleców uśmiechnięta twarz pani Malickiej. Rada była gościowi.

Zasiedli za stołem, dymiła micha jajeczniczy pływającej w słoninie. Tylko Benek z ponurą miną stał pod oknem, krzywym okiem łypał na stół.

— No tak, za nasze rybaczenie. Za parę dni zacniem. Daleko stąd, samochód podwiezie. Tam małe jezioro, dwa lata my ich nie odławiali. Ryba będzie musowo. Bo na tej powodziowej wodzie trzeba poczekać. Niech dojdzie wszystko do normy, ryba nastraszona, wiadomo, i dla niej też niezdrowo, za dużo wody. No tak, dawaj za kieliszek.

Wypił, otarł brodę rękawem, talerz kopiasto ładował jajecznicą, mlaskając jadł z apetytem.

— Ty musisz być najmłodszy? — spojrzał na Kubiaka. — Tak i rozlewaj drugą kolejkę...

Heniek zachnął się w pierwszej chwili na to tykanie starego. Co u licha, myślał, każdy dziadyga będzie go tu poganiał jak chłopca na posyłki. Że mu się jednak stary brygadier podobał ze swym jowialnym humorem i dziwną gwarą kresową, uspokoił się, tym bardziej że sam też miał ochotę na wódkę. W czasie autostopowej łazęgi mało było okazji, zwłaszcza że Roman pijał niechętnie. Teraz też kieliszek stał przed nim ledwie zaczęty. Wikswa zauważył to, ciekawie przyjrzał się jasnowłosemu dryblasowi.

— A ty znaczą się nietrunkowy? — tknął go palcem w pierś.



— Zaraz, nie bardzo rozumiem...

— No, niepijący? Tak?

— Niespecjalnie.

— Tak i dobrze, nam więcej zostani się. Jemu nie nalewaj — pouczył Heńka.

Ale do Romana uśmiechał się bardzo przyjaźnie.

Gadatliwy był, nie dopuszczał nikogo do słowa, inna sprawa, że chętnie słuchali, a cóż dopiero, gdy zaczął opowieści o rybackich przygodach. Po godzinie urwał nagle w połowie gawędy, zasapał, że już tak późno, a i butelka pusta, ani się obejrżeli, jak zaczęła sunąć przez łąki jego mocna, rozrosła sylwetka.

— Człowiek, że choć do rany przyłóż — powiedział Malicki.

Wiesiek też się pożegnał, bąknął coś, że chce poczytać, ma ostatni numer „Przeglądu Historycznego”. Kubiak parsknął na to serdecznym śmiechem. Też pomysł, latem czytać podobne nudziarstwa. Nie powiedział jednak tego głośno.

Lubusz naszcze kiwał spod lasu, zaganiając krowy w jedno miejsce. Przyjaciele spojrzeli po sobie.

— Jak się to rozpie rzchło wszystko od razu... Co robimy, Roman? Bo ja mam ochotę posiedzieć z wędką na jeziorze... Benek już kopie robaki.

— A ja... chyba, chyba przespaceruję się trochę.

Heniek wzruszył ramionami. Pewnie, każdy robi, co chce, a właściwie już stawało się tutaj nudno. Nie można całe dni sterczeć nad wodą. Niepotrzebnie zaangażowali się z pomocą Malickiemu w spłacie motocykla. A tak, słowo się rzekło, trzeba wypełnić...

Błysnęła mu pewna myśl. Spojrzał na zegarek, było jeszcze bardzo wcześnie. Wyjdą z Benkiem za te zachwalane przez niego wzdręgi, a potem, potem... Uśmiechnął się sam do siebie. Trzeba jakoś to życie umilić.

Ani się tego spodziewając, pod wieczór, spotkali się obaj w domku Brelińskich.

Gdy Roman pojawił się tam znacznie wcześniej od Heńka, przywitał go jedynie Tolek.

— Fajnie, że pan przyszedł, siedzę sam jak kołek. Ojciec łąta dziury w szosie, Kryśce zachciało się jagód, w lesie siedzi, ale chyba się prędko przywlecze...

Wróciła rzeczywiście niedługo. Trochę była zażenowana, gdy jej wymawiał niesłowność, tłumaczyła się niepewnie, że to jej przeszkodziło i tamto, nie miała sposobu go zawiadomić.

— Nie zalewaj, z doktorem jeździłaś dekawką, wiadomo przecież — parsknął śmiechem braciszek.

Jakby w nią grom uderzył. Zacerwieniła się po białka oczu, nawet szyja stanęła jej w ogniu. Przykro uderzony tą wiadomością Roman nie mógł przeoczyć, jak ładnie jej z tymi wypiekami na twarzy. Zmarszczył się, zapytał ściszym głosem:

— Ale po cóż umawiała się pani ze mną?

Chciał odejść. Powstrzymała go niemal siłą, częstowała jagodami z mlekiem, starała się naprawić złe wrażenie, na Tolka zaś spoglądała tak groźnie, aż w końcu malec wyniósł się, woląc nie narażać się siostrze.

— Ja bardzo przepraszam — powróciła sama do żenującego tematu,

— Ech — machnął ręką. — Cóż ja...

— Pan jest bardzo miły, naprawdę. Ale i doktora znam też od dawna, zawsze jest mi życzliwy, matce w chorobie pomagał... A wie pan, że z nią jest znacznie już lepiej. Może już niedługo powróci. Będę znów miała swobodę.

— I co pani robi?

— Wrócę do pracy w szpitalu. Ja to lubię. Chcę się jeszcze poduczyć, żeby dostać szeroki czarny otok na czepku. Teraz mam tylko wążutki...

Rozgadali się. Pomagał jej potem przy gospodarstwie, razem nieśli ceber z karmą dla świń, kopali na polu wczesne ziemniaki. Roman rozochocił się, gotów już był próbować w jej

zastępstwie dojenia krów, znalazła się niejedna okazja do śmiechu.

— Przyjdzie pani nad jezioro?

— Przyjdę, na pewno. Może pojutrze, ale nie obiecuję. Tu zawsze mam sporo roboty. Już niech pan częściej zagląda...

— To można? — ucieszył się.

— Pewnie.

— O, i ty, Roman? Ładne spacerować...

Omiał głośno nie zaklął. Heniek. A tego co tutaj przyniosło? Tak już się miło zgadali z dziewczyną i teraz wszystko pójdzie w diabły. Jeszcze zaczną wiercić swymi zielonymi oczyma. Nawet spokojna Halina zachwyciła się tymi gałami.

Nie wrócił już poprzedni nastrój. Kryśka miała więcej pracy pod wieczór, właśnie Tolek przypędził krowy, ptactwo kokosiło się na podwórku, chłopcy zaś nie czuli się pewni. Zwłaszcza Heniek nadrabiał miną, próbował żartować, czuł jednak, że popełnił jakiś nietakt wobec przyjaciela. Roman pierwszy zaczął przecież próbować tutaj podbojów...

Wracali po ciemku we trójkę, bo Tolek ubłagał ojca i siostrę, pozwolili mu parę dni spędzić u wuja, jakoś sobie bez niego poradzą. Dreptał teraz ochoczo, pogwizdywał, trzymając ręce w kieszeniach.

Już było po pełni, cienie stały się gęstsze, rozgwieżdżone niebo wisało nad nimi granatem, w spokojnym powietrzu kroki głucho dudniły.

— Roman, ty przecież... — zaczął Heniek.

— Co przecież?

— Przecież nie będziesz się chyba gniewał, że ja przyszedłem? Chyba że ty bardzo poważnie?

— Ani gniewał, ani poważnie. A cóż to, niańczyć się mamy nawzajem?

Zamilkli. Zdawali sobie z tego wyraźnie sprawę, że coś obcego po raz pierwszy zakradło się pomiędzy nich.

## ROZDZIAŁ VII

Z motorem było dokładnie tak, jak przewidział Roman. Malicki wyprawił się do Bledzewa wczesnym rankiem, gotówkę dla pewności zapiął w kieszeni agrafką, obiecywał powrót za parę godzin.

— To dopiero uciecha. Kto będzie miał ochotę, będzie jeździł. Prawo jazdy? — spojrzał pytająco.

— Ja mam — bąknął Roman.

— No to we dwójkę będziemy jeździć.

Zjawił się dobrze po południu, zziębnięty, spocony, ledwie żywy. W połowie drogi powrotnej maszyna zastrajkowała, za nic nie chciała zaskoczyć, trzeba ją było pchać przez wądoły i piachy. Gdy stanął wreszcie na własnym podwórku, minę miał Malicki dość rzadką.

Siedzieli właśnie na kładce, łowiąc płotki na żywca. Zaraz kołem otoczyli Malickiego i maszynę. Benek wdrapał się na siodełko, nacisnął z zachwytem przenikliwy klakson, aż się Lubusz wystraszył, skoczył jak oparzony.

— Co jest, szefie? — zaciekawił się Heniek.

— Stała i ani rusz nie mogłem zapalić. Pchałem...

Roman spojrzał na motocykl, pokręcił głową.

— Kawał drogi z tym pchaniem. Nie zazdroścę. Żeby to jeszcze wuemka, ale ten grat.

— Pięc kawałków jednakże wart, co? Znaie się na tym?

— Skończyłem technikum mechaniczne. Dłubałem w motorach dużo, obok domu był

warsztat, czasem zarobiło się parę groszy.

Kubiak spojrział na przyjaciela z uznaniem, ale i z lekką zawiścią. Solecki tymczasem oglądał motor, obchodząc go ze wszystkich stron. Maszyna musiała być kiedyś silna, przecież to „Zündapp”, tylko że niekompletny jakiś... Przyjrzał się dokładniej, nie mógł powstrzymać okrzyku:

— Panie Malicki, ależ tu każdy pies z innej wioski.

Nierozumiejące, strwożone spojrzenie nowego niewolnika motoryzacji.

— Motor z „Zündappa”, jeszcze jakieś drobiazgi, ale reszta sklecona z części najróżniejszych typów. Widełki jeszcze z przedwojennego „Sokoła”... Z tego kowala musi być nie lada majster, skoro sklecił takiego grzmota. Będzie kupa roboty, ledwie się wszystko trzyma. Mutry nie dokręcone, tutaj pęknięcie, bestia, nie pokwapił się nawet wypróbować jak należy.

— Fiuuu — gwizdnął Heniek.

— O, jaki mędrzec się znalazł. Sam ty, Heniek, w dziurawych portkach łazisz, a jeszcze wydziwiasz. Chciałbyś mieć taki motor, no nie? — Benek natarł z całą zapalczywością, tak go oburzyło Heńkowe gwizdnięcie. Od paru dni zaczął tykać swych gości, uważał widoczniej że znali się już zbyt dobrze, by podtrzymywać oficjalne formy.

Podczas gdy Roman zrzucał koszulę, szykując się do poważniejszej roboty, chłopak gładził pieśczołliwie straszliwie zakurzoną maszynę, z zachwytem spoglądał na ojca.

— Panie Wojciechu, proszę o wszystkie narzędzia, jakie pan ma. Klucze, obciążki, dłu-tka, zapasowe śruby, mutry, co tylko jest. Zabieramy się do roboty...

— Jakiej? — ani myślał Malicki, że już pierwszego dnia przyjdzie! mu przeżywać tyle wzruszeń związanych z motorem.

— Trzeba rozebrać maszynę na części, obejrzeć, dopasować wymienić, jeżeli trzeba, naoliwić, zmontować.

— Fiuuu — gwizdnął Heniek po raz wtóry, ale Benek tym razem nie zwrócił na to uwagi. Zbyt się ucieszyli wraz z Tolkiem z atrakcji oglądania rozebranej maszyny.

Po godzinie Kubiak miał dość spektaklu. Z politowaniem spojrział na umorusanych jak diabli oliwą i smarami gospodarza i przyjaciela, złapał wędkę i pomaszerował nad wodę. Malcy wytrwali dłużej, potem, znudziło ich wszystko, zaczęli się wiercić, już nie dopytywali o nazwy poszczególnych części, nie brali z nabożeństwem każdej muterki do rąk, poszeptywali coś z sobą, wreszcie i oni pomaszerowali sosnowymi młodniakiem ciągnącym się wzdłuż jeziora.

— Czternastkę, panie Malicki...

— Wojciechu, Wojciechu...

— Niech będzie. Panie Wojciechu, to też trzeba dobrze obmywać w benzynie. Dziw, że ten motor w ogóle ruszył z Bledzewa, taki zapaćkany, spieczony, jakby nigdy smarów nie widział. Ale jest lepiej, niż myślałem.

— No, widzi pan.

— Tulejkę jednak musimy zmienić, ma defekt. O takie mutry niech się pan też postara, ze dwie... Aha, a tutaj przydałaby się blaszka milimetrowej grubości, podłożymy, bo już się wytarło. Kliny nowe warto by zrobić... Teraz dziesiątkę, za duża, dziewiątka pasuje w sam raz. Dobrze mówiłem, motor kombinowany, choć trzeba przyznać, wcale niegłupio, ten kowal ma jednak smykałkę...

— A widzi pan, a widzi — powtarzał przejęty Malicki, podawał żądane narzędzia, płu-kał każdy detal w benzynie parującej z wielkiej miski, z namaszczeniem słuchał słów domoro-słego mechanika.

— Gorzej, że panewka się wytopiła... Znajdzie pan coś w tym pegeerze? Mają samo-chody, traktory, widziałem motocykl, powinien zatem być warsztat.

— Jest nawet mała tokarka, tylko coś tam nawala. Ale może jakoś się da...

— No to jazda, myjemy się i do pegeeru.

Malicki tyle że na kładce stojąc twarz nieco przetarł, bo kąpieli, jak mówił, nie uważa. Roman wypluskał się przy okazji do syta.

Tokarka, o dziwo, działała, mechanik zaraz zaczął wytaczać brakujące detale, Roman tymczasem wraz z traktorzystą grzebał w skrzyniach i na stołach zawalonych wszelkim żelazstwem. Znalazły się muterki, była twarda stal na kliny, zaraz zaczęli je spiłowywać. Piegowaty Józek pomagał, jak umiał, śmiał się swoją szeroką, pyzată gębą.

— Nigdy do nas nie zajrzycie. Chętnie by was nasi widzieli po tej powodzi. Klasę pokazaliście, reszta stała jak barany i tylko patrzyła. Ale im potem rodzinę porozstawiał po kątach, że gdyby nie wy, z Benka i Haliny zostałyby zimne truposze. Bo jak się kąpiemy, to jeden w drugiego same chojraki, jak to oni pływają. Tu zaś gapili się jak miotła na weselu...

— Przyjdziemy. Jakoś dotąd się nie złożyło.

— Bo tu już gadki poszły, że z was tacy miejscy hrabiowie, kurtka na wacie, co to z nami się nie chcą spotykać.

Roman odłożył pilnik.

— Ty, brachu, też może podobnie myślisz? Bo wiesz, ja dużo lubię, ale...

— Żeby tak myślał, tobym nie gadał. Ale ze straszaniem nie radzę. Ja tam znów nie taki lękliwy,

Roman spokojnie ujął pilnik, zazgrzytała stal. Obok warczała tokarka. Malicki przysiadł na jakimś pniaku, ślepił po nich wszystkiej oczyma. Kto by pomyślał, tyle z tym motocyklem zachodów, a tak się cieszył, że już dzisiaj sam odwiezie ryby do bazy.

Gdy odchodzili już, wyłonili się skądś Wiesiek z Haliną. Stachura był podniecony i mocno rozradowany. W ręku miał jakieś skorupy, Roman schylił się, aby im się przyjrzeć. Były niezwykle jakieś, popielate w odcieniu. Czyżby?

— Domyślasz się? Tak, to starzyzna, myślę, że kultura łużycka... Wyobraź sobie, przy powodzi woda podmyła północną stronę podłużnego stoku, który zawsze uważałem za grodzisko. Na nim od frontu stoi ten stary pałac — wskazał dłonią na ruiny u krańca majątkowych zabudowań. — Łaziliśmy tam z Haliną, w pewnym miejscu grunt się trochę osunął. Patrząc i oczom nie wierzę. Niczego znaleźliśmy. W domu spróbuję określić dokładniej. Ale się wyłania okazja. Trzeba tu będzie pogrzebać. Za jednym zamachem zdobędę praktykę. Pomoczek mi?

— W czym?

— W kopaniu, przesiewaniu, zwykłych archeologicznych cudёнkach.

— Zaproponuj to Heńkowi... — zaśmiał się Roman. — Dobra, przy okazji. Teraz cześć, spieszymy się.

— W sobotę proszę na potańcówkę — wołała jeszcze Halina.

Solecki był w świetnym humorze. Lubił dłubaninę przy motorach, jeszcze gdy można było maszynę rozebrać na szczątki, potem mozolnie składać, umieć ją ożywić... Podobał mu się mimo wszystko ten Wiesiek, dziwak trochę na punkcie swojej archeologii, ale takie dziwactwo przecież jest miłe. Halina może nie za ładna, ale przyjemna. Zwłaszcza ten uśmiech.

Przypomniał sobie Kryskę. Takiej urody ani figury nie można było łatwo zapomnieć. W dodatku dziewczyna wcale niegłupia. Na wydrę nie wyglądała. Warto by do niej zajrzeć pod wieczór. I tak dziś nie zmontują maszyny.

Malicki miał wprawdzie taką nadzieję i zmartwił się srodze, gdy słońce zaczęło się kłonić ku linii horyzontu, a oni daleko byli jeszcze z robotą.

— Dosyć na dzisiaj. Za ciemno, można coś schrzanić i będzie potem nowy kłopot. Jeszcze co najmniej pół dnia harówki.

Malicki smętnie pokiwał głową. Gdyby było można, tkwiłby przy maszynie, ciemno nie ciemno, aż do skutku.

— A tych osesków jak nie ma, tak nie ma... Czuję, że pas będzie dzisiaj w robocie. Benek wie, że przypędzić krowy wieczorem to jego psi obowiązek. I tak pozwalam nicpo-

niowi hulać dzień cały bez przerwy. Już to najgorzej, jak oni we dwóch zbiorą się z Tolkiem.

— Jakies ognisko — Roman wskazał na lewy brzeg jeziora. Niedaleko wznoszącego się u krańca wody wzgórza, usianego podziemnymi bunkrami, mocnym słupem piął się ogień ku niebu, szerokim pasem rozścielał się dym w bezwietrznym powietrzu.

Romana najmniej obchodzili zarówno malcy, jak i nieznaną dłonią rozniecone w oddali ognisko. Oglądał się za Heńkiem. Przykro uderzyła go myśl, że może Kubiak znowu się udał do domu dróżnika, gawędzi tam z Kryską. Mógł uczynić to wtedy, równie dobrze może i dzisiaj. Zresztą sam zostawił mu wolną rękę. Powiedział przecież, że go dziewczyną nie nazbyt obchodzi, że to nic poważnego... Ech, diabli nadali.

Zrucił koszulę i spodnie, w slipkach stanął na pomoście, wysoki i chudy, jeszcze jak gdyby wyższy w pogłębiającym się mroku, już miał runąć w wodę tryskającą srebrnym migotem, gdy z nagła gwałtowny huk szarpnął powietrzem, dmuchnęło silnym powiewem, aż zgięły się trzciny i niespokojnie zaszeleściły krzaki.

Maliccy wybiegli przed dom, dołączył do nich Roman, patrzyli. W miejscu, gdzie nad jeziorem dopiero przed chwilą wesoło płonęło ognisko, wzbil się wysoki słup ognia i dymu. Poczerniało niebo, przewalał się po nim pogłos wybuchu, potem została tylko chmura, jakies ogniki, zaraz zresztą pogasły. Głucha cisza zaległa nad całą okolicą.

— Matko święta, to pewnie nasi chłopcy. Widziałam, coś się zmawiali... — wybuchnęła Malicka.

Roman już w biegu dopinał ubranie. Miał jak najgorsze obawy. Słyszał, jak ktoś mówił, że można tu znaleźć amunicję po lasach i polach. W tym rejonie ciągnęła się przecież linia umocnień ze stali i betonu, próbowali Niemcy postawić tamę naporowi radzieckich wojsk. Tereny były zaminowane, miny łatwiej usunąć, ale pociski? Benek ciągle gadał o bunkrach, może się do jakiegoś dorwali?

Malicki nic nie mówił, dyszał jedynie ciężko. Solecki wiedział, że nie od samego biegu. Rwali brzegiem jeziora ku miejscu, gdzie przedtem widniało ognisko, a teraz sterczała nad zagajnikiem chmura ciemnego dymu. Od PGR-u niosły się jakies hałasy, wplatały się w nie ludzkie pokrzykiwania.

Wydało się Romanowi, że przy krzewach nadbrzeżnych mającą dwa cienie. Wytrzeszczył oczy, cienie zniknęły. Czyżby mu się przywidziało? Z nagła skreślił w tę stronę. Zaszeleściły krzaki, rozległ się tupot nóg. Solecki był jednak szybszy. Po chwili trzymał za kark strwożonego Benka. Tolek sam już wygramolił się z krzewów.

— Są tutaj. Żywi i zdrowi — krzyczał do Malickiego.

Gospodarz podbiegł jeszcze kilka kroków, przystanął, złapał się za serce, dyszał ciężko, przez dłuższy czas nie mógł wymówić jednego słowa, zbulgotało coś tylko, znów umilkł.

Roman wypuścił z dłoni kołnierz Benkowej kurteczki. Niech sami ojciec dochodzi z łobuzami do ładu.

Malicki wreszcie ochłonął. Dopiero zagrzmiał jak zraniony lew:

— Gdzieście byli?

— My... na jeziorze, patrzyliśmy, czy... — jękali się stropieni.

— To wasza robota? — wskazał w stronę, gdzie nastąpił wybuch.

Już łapał syna za kark, drugą dłonią sięgając po pasek. Rozpinał go niezgrabnie, w tej chwili spodnie się osunęły, ojciec rodziny stanął w gatkach, bielejących w mroku jasną plamą. Przy całej powadze chwili Roman z wielkim wysiłkiem stłumił śmiech. Nawet Benek zakaszał cichym chichotem. Malicki ocenił, że operacja z opadającymi spodniami nie przysporzy mu rodzicielskiej godności, puścił więc syna, doprowadził do porządku swą garderobę, zamruczał:

— No nic, w domu już się porachujemy. Taka głupota. Mogliście wylecieć w powietrze.

— Eee, nie — Benek zwolniony na tymczasem od kary znów nabierał rezonu.

— Ja ci — Wojciech zamachnął się żyłastą pięścią.

Ucichli. A przecież po niejkiej chwili Roman postyszał ich ciche szepty. Szli po miękkim piasku, tłumiącym odgłosy kroków. Nadstawił ucha. Oczywiście Benek, ten hultaj zawsze przoduje. Tolek jest tylko jego totumfackim.

— Widzisz, głupi, teraz już nie da rady. A mówiłem, od razu wszystkie trzy. Byłby jeszcze lepszy bal...

— I tak rąbnięto, aż mi się niedobrze zrobiło.

Benek pociągnął mocno nosem.

— Ojej! — zakrzyknął.

Roman trzymał już ich obu za ręce.

— Gdzie macie pociski, gadajcie zaraz?

— Nie, nie mamy, jeden był.

— Tolek, mów prawdę!

— Naprzeciw tego miejsca, gdzie rozpaliliśmy ogień — młody Malicki zrezygnował już z ukrywania prawdy.

— Jakie?

— Takie same. Trzy były. Gdy woda wylała, musiała je odłonić, nigdy przedtem ich tam nie widzieliśmy.

— I co?

— Nic. Jeden zanieśliśmy na górę, pieruńsko był ciężki, dlatego Tolek tamtych już nie chciał. Szkoda, zmarnują się, teraz nam już nie dacie wysadzić...

— Ty draniu! — wrzasnął doprowadzony do pasji pan Wojciech.

— Co dalej, gadaj?! — Roman nieustępliwie prowadził indagację.

— Dalej nic. Rozpaliliśmy wielkie ognisko, ale daleko od tego pocisku. Jak już było dużo żaru i mocno płonęło, tośmy przytaskali ten pocisk i machnęli do ognia. Jeszcze sypnęliśmy suchych gałęzi i sami chodu. Na jakie dwieście metrów, ja przecież wiem.

Na tym zakończył Roman swe dochodzenie. Ależ głupie pętaki — myślał. I tak mieli piekielne szczęście. Bo gdyby pocisk wybuchł w trakcie przenoszenia albo zaraz przy wrzucaniu do ognia? Miazga by z nich została...

Pani Malicka wybiegła im na spotkanie. Na widok całych i zdrowych chłopców najpierw zaczęła ich ścisnąć wylewnie, potem zaś kuksać coraz mocniej, w miarę jak z półśówek męża dowiadywała się całej historii. Wreszcie dała spokój i pieszczotom, i szturchaćcom.

— Ledwieście poszli, tu raptem gwałt, te krowy, które zaginęły, lecą jak zwariowane z podwiniętymi ogonami, wybuch tak je musiał przestraszyć.

Jakby dopiero sobie przypomniała, dorzuciła:

— Wpadły na motocykl, wywróciły, boję się, czy nie popsuły tam czego.

Roman jęknął, sięgając po latarkę. Oświetlił miejsce, gdzie zostawili motor i rozłożone wokoło części i narzędzia. Wszystko było przewrócone, zmieszane z ziemią, poryte racicami. Malicki tym razem już tylko zamruczał gniewnie, kazał malcom maszerować do domu. Poszli z duszami na ramieniu. Wiedzieli, co ich czekało.

Roman przysiadł przy sągu drew. Wolał tu przeczekać operację na delikwentach. I tak wrzeszczeć będą zapewne jak zarzynani. Głupie pętaki. O, słyhać już krzyki. Dudnienie, łomot, tata nie żałuje żołnierskiej ręki... Niepewnie się poczuł jako świadek egzekucji. Choć rzadko palił, sięgnął tym razem po papierosa. Siedział, wpatrzony w żarzący się ognik, starając się nie myśleć o dzikich krzykach dobiegających z domu Malickich.

— Co tam się dzieje? Ty, Roman?

Z ciemności wynurzył się Heniek. Zasapany był.

— Pętaki obrywają, jest zresztą za co...

— Rwałem tutaj jak głupi. Wybuch był z tej strony. Co się stało?

— Znaleźli jakieś pociski, wrzucili jeden do ognia, no i rąbnęło.

— O rany! Ale nic się im nie stało?

— Jakimś cudem nic — Roman odpowiadał bardzo flegmatycznie.

Heniek musiał wyczuć jego nastrój. Przysiadł z boku, milczał długi chwile. Wrzaski przybrały na sile.

— On ich gotów skatować... — bąknął.

— Pasem leje, nic nie będzie. Zapamiętają raz na zawsze. Mieli jeszcze dwa pociski, żalowali, że też ich nie wsadzili do ognia.

— Aha. Co z motorem?

— Nic. Krowy się nastraszyły, rozpieprzyły wszystko na amen.

— Wiesz, Roman, ja na mechanice się nie znam, nie lubię tego. Nudno było, ryby nie brały, poszedłem położyć i...

— Co się spowiadasz? Guzik mnie obchodzi, gdzieś był.

— Bo ty pewnie myślisz, że ja...

— Daj mi raz wreszcie święty spokój.

Zawsze taki spokojny, zerwał się, nogą przydeptał papierosa, nie bacząc już na wrzaski malców, szybkim krokiem poszedł do domu.

— A tego znowu co żgnęło? — szepnął do siebie Heniek pokrywając niepewny nastrój, zagwizdał melodię swawolnej piosenki.

## ROZDZIAŁ VIII

Jurek Małwiak niezbyt się chłopcom podobał. Że go jednak Benek na własną rękę zaprosił na wielkie łowy rakowe, trzeba było zgodzić się na towarzystwo zadufanego w sobie faceta.

— Byliśmy kiedyś koło Lubniewic, tam dopiero są raki, kaptcie na łokieć — opowiadał, krzywiąc się na okazy pracowicie i z niejakim lękiem wyłapywane teraz przez Heńka.

— Tam w ogóle nie ma raków, to bardzo głębokie jeziora — na swój sposób bardzo spokojnie sprostował Wiesiek.

— Co ty tam wiesz...

Benek z Tolkiem odплыnęli łódką, solidnie wyposażoną skrzynią i kobiałkami, jak też wysokimi gumowymi butami, których dosyć dla wszystkich znalazło się na strychu Malickich. Sprzed domu przez mrok słychać było nawoływania malców. Przycichały wraz z oddalaniem się łodzi.

Noc była ciepła, z rzadka przeciągnęło mocniejszym podmuchem, zrywał się wschodni wiaterek. Malicki, który siedział z chłopcami na ganku, skrzywił się nieco.

— Żeby się nie rozdmuchał na dobre. Przy wschodnim nigdy ryby nie idą w sieci. Może ustanie.

— No co, czas na nas? — podniósł się Wiesiek.

— Tak klawo się siedzi. Gdybym mógł, nic bym nie robił przez całe życie — westchnął Heniek.

Rozleniwił go miniony okres. Roman po pamiętnej krowiej pomocy dwa dni jeszcze prześlęczał przy motocyklu, znów go rozbierał na szczątki po mało udanej próbnej jeździe. Na parę tylko godzin wypadli Malickim na wodę, aby wśród zielska w jeziornych zatoczkach gęsto rozstawić skrzydlaki. Heniek nie miał nic do roboty, zwłaszcza gdy minęły sensacje z wybuchem spowodowanym przez chłopców. Milicjanci, zabezpieczanie pozostałych pocisków, przyjazd wojskowej ciężarówki, nowy wybuch, tym razem spowodowany już przez saperów, przesłuchania Benka i Tolka, groźby, że gdyby jeszcze raz, że nie wolno grzebać w

okolicy bunkrów...

Wylegiwał się na słońcu, próbował połowów z wędką, ale bez rezultatu, Malicki tłumaczył, że fala powodziowa przyniosła masę żeru, ryby nie są więc głodne. Jednego wieczora znów zniknął, Roman nie próbował nawet go wypytywać, domyślał się.

— Dzisiaj się nie wymigasz. Pracujemy na całego. — Stachura liczył na ten połów. Powódź mocno zaszkodziła odłowom, chciał nadrobić straty rakami.

— Tak jest, brygadierze — krzywił się Mątwiak.

Rozrosłe, silne było chłopisko, wyglądał starzej niż na swoje dwadzieścia lat. Włosy nieokreślonego koloru, szare jakieś, jak to określał Heniek, zaczesane do tyłu, podcięte na szyi na kobiecą modłę. Plereza, wykpił to Wiesiek. Wargi Mątwiak miał wąskie i albo je zaciskał mocno, albo uśmiechał się nimi dziwnie zjadliwie. Twarz w całości robiłaby nawet ujmujące wrażenie, gdyby nie ten uśmiech i cwaniackie wejrzenie.

Szedł teraz z Heńkiem, opowiadali sobie jakieś kawały, wybuchali śmiechem. Roman stwierdził ze zdziwieniem, że śmiech Jurka jest bardzo miły, nie pasuje jakoś do całej postaci.

— Co to za gość? — zagadnął Stachurę.

— Tam mieszka, z drugiej strony jeziora. Z rodzicami i siostrą. Gdzieś wyjeżdżała, ale widziałem ją wczoraj. Wyjątkowo ładna dziewczucha... Pytasz o Jurka? Co tu powiedzieć, nie chcę być złośliwy, bo go nie lubię. Drażni mnie. Cholerny chytrus. Uczył się, ale nie zrobił nawet małej matury, wylali go, z rozróbek znany był w całym Międzyrzeczu. Nie chciał próbować dalej, może też ojciec wołał dać spokój tej jego edukacji. Wrócił do domu. Oni mają śliczną gospodarkę. Ponad dziesięć hektarów, nie licząc łąk. Jurek pomaga ojcu, potrafi być pracowity jak mrówka. Zmarnowany chłopak, bo naprawdę jest zdolny.

— Czemu go tak nie lubisz?

— Nosa zadziera, chyba dla tych hektarów ojcowskich, bo ja wiem? Nie można też liczyć na niego, zawiedzie zawsze. Kłusuje poza tym na wodzie. Żeby to były jedynie węcieczerze, pał sześć, ale potrafi stawiać wontony i drgawice. W zeszłym roku, późnią wiosną, gdy węgorze powędrowały na tarło, odebrał rybakom paręset kilo tych ryb. Rozumiesz jaka to strata?

— Rozumiem przede wszystkim, czemu to Benek mówił że na rybach można dobrze zarabiać. To wędzone węgorze.

— Mątwiakowie właśnie wozili je do Poznania i Szczecina. Ładny grosz... Ale ciepło, prawda? — Wiesiek miał już dosyć tego tematu. — Z niewodem długo nie posiedzimy na jeziorach, żyto dojrze, zniwa, każdy z rybaków ma jakiś kawałek ziemi.

Byli już na miejscu. Pasma trzciny i sitowia, gęstsze przy ujściu rzeczulki aniżeli gdzie indziej, urywało się teraz, wierzby i inne listowie zwieszały się gałęzmi nad tonią, piły wodę rozrostłymi, wciąż podmywanymi korzeniami. Światło księżycy tutaj nie docierało, ciemno było, ponuro, jedynie leciutki, cichy szmer leniwego nurtu łagodził nastrój.

Łódka wbiła się dziobem w namiękły brzeg; czupurząc się po swojemu, malcy wyrzucali na brzeg plecionki z łuczyny.

— Każdy otrzyma po jednej. Robimy zawody.

W ciemni, pogłębionej cieniem wyniosłych drzew, łyskały teraz w różnych punktach światła latarek, kołowały po wodzie tuż nad powierzchnią. Czasem zastęgały, wtedy wyciągało się ramię, zanurzało z cichym pluskiem, po chwili w palcach trzepotał przerażony rak, rozstawał kleszcze, kłapał szyjką.

Podobało się im to polowanie. Pierwszego dnia Roman bał się ostrych szczypiec raków, rozcięty mu w kilku miejscach skórę do krwi, niezdarnie chwycił stworzenia, wymykały się, smyrgały z niespodziewaną szybkością. Zwłaszcza co młodsze były bardzo płochliwe, gdy szybowały wyciągnięte na całą długość przez wodę, trudno je było odróżnić od rybki. Potem wyszkolili się, mniej było pudeł, chociaż ani równać się mogli ze Stachurą, a nawet z Benkiem. Ci łapali raki nie dwoma palcami, ale całą garścią, dziwnie przy tym nieczuli na cięcia



zawadiackich szczypiec.

Dzisiaj jednak Heńkowi i Romanowi szło lepiej, podniecała ich także rywalizacja. Prawdę mówił Wiesiek, raki tu były większe, bardziej dorodne niż w jeziorze, inne także w odcieniu, ciemniejsze, w blaskach światła łyskające granatem.

Cicho, jak najciszej przesuwali się wzdłuż brzegu. Przygięci, wpatrzeni w migocącą wodę, w dno, przy którym pomykały na strony przerażone raki i drobiazg rybi.

O but Soleckiego rąbnęło coś z wielką siłą, zachwiało się, w snopie światła latarki ujrzano długi, śmigły kształt wielkiego szczupaka, gdy sunął na głębie. W tym samym niemal miejscu, gdzie zetknął się z rybą, cofnął się tyłem do jakiegoś wgłębienia w mule olbrzymi rak, podnosił do góry otwarte szczypce, bojowy i groźny. Zdobył się na odwagę, złapał go całą dłonią, od razu mocniej zachrząściło w przewieszanej przez ramię kobiałce.

— Sto, więcej nie włazi — zabrzmiał triumfalnie głos Tolka. Miał komplet także i Wiesiek. Po nim zameldował się Mątwiak.

Benek narzekał, że nic z Tolkiem nie złapią, jeśli tak stale ganiać będą do łodzi. Przy tym narzekaniu zwijali się obaj jak frygi, wszędzie było ich pełno, penetrowali zwłaszcza wytrwale pośród omulonych korzeni nadbrzeżnych drzew.

— Pięćset — Jurek Mątwiak zagrział prawdziwą surmą triumfalną.

Malcy znów pognali do łodzi, bali się widocznie przedzierać pojedynczo przez gęste zarośla.

— Roman — przybliżył się Kubiak. — Zdaje się, że wiele dziś nie włożymy do motocyklowej kasy. Pleców nie czuję. Łapska mam pocięte, te diabły tutaj cholernie kąśliwe.

— Ja też. Gdy dobrniemy do Obry, musimy odpocząć.

— Dadzą ci oni...

Zamilkli, znów z uwagą tropili po dnie. I wtedy od brzegu zabrzmiał pełen oburzenia głos Benka.

— Jurek, kantujesz. Było wszystkiego sześćdziesiąt osiem sztuk. Liczyliśmy, coś nam bowiem nie pasowało.

— Do siebie odsypaliście, ja was już znam.

— Ach ty — Benek zachłysnął się oburzeniem. — My złodzieje? Czekaj, wyleziesz tylko z wody na brzeg.

Cisza. Po jakiejś dopiero chwili zabrzmiał pozornie beztroski głos Mątwiaka:

— Cholera jasna, musiało mi się poplątać...

Gdy dobrnęli w pobliże Obry, byli setnie zmęczeni. Na tym odcinku trzeba było obejść rozlane wody przez las, brzegiem rozsiadły się bowiem moczary, ani ich przebyć.

— Kto nam pomoże wiosłować? — zapiszczał Tolek.

— Mogę ja — zgodził się Roman. Żał mu się zrobiło pętałów. Dochodziła północ, nie śpi to, brodzi po wodzie, gania brzegami.

— Z tobą to można, brachu, konie kraść — z uznaniem stwierdził Benek.

— Ja ci jakoś załatwię, żebyś mógł z Kryską się spotkać. Tylko zawsze daj znać, kiedy przyjedziesz, dobra? — zawtórował mu Tolek.

— Niechże was kaczkę. — Roman rozejrzał się, czy pozostali go nie słyszą. Byli daleko...

Mimo nocy Wiesiek orientował się w chaszczach nadrzecznych jakby na własnym podwórku. Pewnie wiódł ich jakimiś ścieżynami, przesmykiwali się pod nawisami gałęzi, przeskakowali rowy, okrążali trzęsawiska.

— Czy my nie nazbyt zbaczamy na lewo? — zaniepokoił się Jurek.

— Nie, u samego wpływu naszej rzeczulki nic nie ma, a jeszcze grząsko. Wyjdziemy z sześćset metrów dalej, tam dno piaszczyste, płytko.

— Znam tu miejsce, gdzie zimą okonie biorą pod lodem jak głupie.

— Przy tym ostrym zakręcie, gdzie się woda rozlewa?

— Tam. Do diaska, wszystko tu znasz, choć tylko na lato przyjeżdżasz.

Heniek pomyślał, że w głosie Mątwiaka więcej było zawiści niż podziwu.

— Już jesteśmy na miejscu — wesoło rzucił Wiesiek, rozgarniając rękami gałęzie.

Przechylili się pod grubym pnem zwalonej wichurą grabiny, jeszcze gęstwa krzewów i z nagłą rozwarła się przed nimi płaszczyzna łąki przecięta linią Obry, szerokiej tutaj, niesfornej, cofającej się, to znów napierającej na brzegi. Leciutka poświata, siąpiąca łagodnymi mgłami, rozjaśniała pejzaż, w którym wysokie drzewa z prawej strony nurtu pionowymi akcentami pięły się ku rozgwieźdzonemu, granatowemu niebu.

— Tu raków nałapie się do syta. Kiedy przyjeżdża ciężarówka do Malickiego?

— O ile wiem, właśnie jutro.

— Pycha. Raki nie będą zmęczone. Tam je posegregują raz jeszcze, wpakują do łubianek, do Warszawy, potem samolocikiem prosto do Paryża.

— Co Francuzi widzą w tych rakach, że taką forszę bulą za nie w dolarach? — dziwił się Jurek.

— Na twoim miejscu na łączce, koło domu, założyłbym hodowlę winniczków. I tak zarasta krzewami. To dopiero daje dochód.

— Paskudztwo. Kto by się chciał tym babrać?

— Ty sam. Siostra.

— Agnieszka?

— Tak, Agnes...

Mątwiak parsknął śmiechem. Jeszcze się śmiejąc, zwracał się teraz do Heńka:

— To moja siostra. Przed paru laty strzebiło pannicy do łba, żeby nazywać ją Agnes...

Wiesiek dał się nabrać. A co do tych winniczków, to z niej przecież cholerny leń. Skończyła jakiś tam korespondencyjny kurs kosmetyki, a jakże, jeździ na praktykę, niedawno zdała egzamin, wielki świat jej w głowie, gdzieżby zaś tam ślimaki. Ona nawet żaby się boi. Żebyś ty, Wiesiek, wiedział, jak teraz brwi sobie skubie, usta maluje niemal po nos, w uszach modne wisioriki, cuda, jak Boga kocham.

— Reklamy siostrze nie robisz...

— Jakże nie. Panu Heńkowi od razu oczy się zapaliły...

Ziewnął szeroko, położył się na trawie.

— Mamy czas, nim tamci przyjadą. Odsapniemy, kark już boli.

Spokój nagrzanego lipcowego nocy działał usypiająco. Od przemoczonych ubrań ciągnął co prawda leciutki chłód, ale i on sprawiał raczej przyjemność. Ogarniało ich znużenie. Wsparci o kępę leżeli wygodnie, gapiąc się w rozmigotane gwiazdy, szukając naiwnych wróżb w spadających skierkach, nasłuchując przytających odgłosów nocy.

Heniek myślał teraz o Kryśce. Śmieszna dziewczyna. Niby tak zakochana w tym swoim międzyrzeckim doktorku, ale zarazem wcale chętnie widzi przy sobie innych chłopaków. Łatwa do zagadania, może już przy następnym spotkaniu ją pocałuje, nie będzie chyba się ceregielić. Doktorka to nie pokrzywdzi, jemu zaś mniej nudno będzie na tym zadupiu. Ładna dziewczucha, to prawda. Tylko żeby tak jakoś na serio, jak Roman? Niby chłop skończył już budę, jakaś tam mechaniczna, ale i tak się przecież żenił teraz nie będzie. Trzeba najpierw mocno stanąć na nogi. Najlepiej pogruchać sobie z jedną czy z drugą, pościskać, wycałować i adieu, Róziu.

Tam Kryśka, gdyby tak dla odmiany jeszcze tu Agnes, można by jakoś żyć. Matka powinna już przysłać forszę. Tydzień mija, jak pisał do niej. Roman umie tak żyć bez grosza, ale jemu, Heńkowi, to się nie widzi. Ani co kupić, ani kielicha wypić, nic, puchy w kieszeni. Zaraz żniwa, mówił Benek, że potem w PGR-ze bywa wielka zabawa, stowa, albo i dwie przydałyby się. Za te raki parę stów też wleci na pewno, niepotrzebnie się wtedy wyrwał z tym motocyklem. Mogliby w innym wypadku część dochodu sobie zostawić...

— Wiesiek — odezwał się. — Dużo tak uzbierasz z tego rybaczenia przez sezon?

— Cicho, coś tam się dzieje na wodzie...

Podnieśli się, nasłuchiwali. Od rzeki, zza zakrętu, nadbiegał równomierny plusk, przerywany co jakiś czas mocniejszymi uderzeniami o wodę. Pośród czarnego pasma drzew przelewało się coś jaśniejszym migotem. Nadpłynęły też ludzkie głosy.

Wiesiek spojrzął w stronę Mątwiaka.

— Ościenie?

— Wygląda, że tak. Kto to może być?

Nasłuchiwali. Plusk zbliżał się, zza pasma drzew coraz wyraziściej przedzierały się migoty światła.

— Siedzmy cicho, nakryjemy ich — szepnął Wiesiek.

— A nasi? Stamtąd nadpłyną.

— Nie tak zaraz, kawał drogi muszą się rzeczuką przepychać, nim dotrą do Obry. Tak, na pewno oścień. Ale skąd ogień, gdzie oni nabrali takich smolaków?

Heniek nie bardzo rozumiał, o co chodzi, ale patrzył ciekawie. Efektowny był widok łodzi oświetlonej mocnym płomieniem strzelającym z paleniska zawieszzonego przed dziobem. Wyraźnie rysowały się sylwetki trzech mężczyzn. Jeden siedział z tyłu łodzi i wiosłkiem sterowym leciutko pchał łódź do przodu uważnie w nurt. Co jakiś czas unosiło się ramię do góry, z rozmachem uderzało tyką w wodę, aż nurzała się cała. W pewnej chwili na końcu tyki zamigotało coś srebrem, zaraz opadło na dno łodzi. Na pewno ryba, pomyślał Kubiak. Jakiś oryginalny sposób połowu.

— Dranie. Z ościeniem łapia...

— No to co? Też dobry sposób. Takie sztuki się napotyka, mówią ci... — podniecił się Jurek.

— Trzy latka można posiedzieć za taką rozkosz — uniósł się Stachura.

— Eeee — Mątwiak lekceważąco odął wargi.

Znów. Uniesienie ramienia, cios ościeniem, srebrny migot na końcu drzewca.

— Co to? — zbliżał się do Wieśka zaciekawiony Heniek.

— Oścień. Najbardziej niehumanitarna forma połowu. Na końcu drzewca ostrze, jakby widelec, tyle że z zagiętymi jak haki końcami. Ryba na widok światła nieruchomieje na dnie, wtedy w nią wałą tym ostrzem, w ten sposób łapia. Kaleczą wiele sztuk, nie każdą dobrze utrafią, inna się zesmyknie... To zbóje dopiero.

— Może ich nakryjemy? — rozochocił się Heniek.

— Właśnie myślę, ale jak to zrobić? Gadają coś, może głosy poznamy?

Jurek też nasłuchiwał.

— Jednego poznałem — uśmiechnął się. — Stefana, tego kuzyna rządcy. Jaki cwaniak, ani bym myślał — w tonie był wyraźny podziw, niemal uznanie.

— Ten, co w tamtą niedzielę, wiesz, jak była Halina, łowił ryby na spinning... — niechętnie objaśnił Kubiaka wzburzony Stachura. — Gdyby tak łódka była na miejscu, od razu by się nakryło łobuzów — żal brzmiał w tym szepcie Wieśka. — Zaraz, kierują się na nasz brzeg, schowajmy się za krzewy, tu nas mogą zobaczyć... Coś ich przepłoszyło, wodę leją na ogień.

Rzeczywiście, blask przygasał. Jeden z kłusowników czerpał wodę jakimś naczyniem, obficie zlewał nią płomień. Syczenie donosiło się aż na brzeg do trójki przyczajonej za krzakami, biały dym ciągnął nad tonią. Łódka szybko zbliżała się ku brzegowi.

— Podsuńmy się tam, gdzie będą lądować. Wpadną nam w ręce.

— Mnie tam guzik do tego — bąknął niechętnie Jurek.

— To nasi, łódka, ona ich przepłoszyła — rozpoznał Heniek głosy Benka i Tolka. Znów musieli się o coś pokłócić — pomyślał.

— Dobra nasza, weźmiemy ich w dwa ognie — sapał Wiesiek, gdy zatrzymali się nad brzegiem osłoniętym nisko zwisającymi gałęziami drzew.

Kłusownicy milczeli. Tylko wiosółko pluskało cichutko. Łódka sunęła szybko. Ogień zgasł, nie było już śladu po dymie. Żywe głosy niosły się dla odmiany od drugiej łódki. Benek coś tam perorował zawzięcie. Mogli rozróżnić już słowa:

— Ja tam nie wiem, jak naprawdę z tym duchem, ale różne cudeńka to muszą być. Myśmy już trochę widzieli z Tolkiem. Baby gadają, że hitlerowcy przechowywali tam złupione skarby, ale nie zdążyli ich zabrać, schowali. Trzeba tylko dobrze poszukać. Poszedłbyś, Roman, z nami...

Kłusownicy wpłynęli w cień drzew. Przesmyknęli się teraz pod nawis gałęzi nad wodą, przyczaili o parę metrów od brzegu. Szeptali pomiędzy sobą.

— Teraz — syknął Wiesiek.

Runęli z brzegu do wody ku kłusowniczej łódce. Heniek aż zakrzyczał z uciechy. Lubił takie grandy, a tu się szykowała niezgorsza rozróba. Tamci w pierwszej chwili struchleli, zaszamotali się bezradnie, zdezorientowani nie wiedzieli, co z sobą począć.

Pod nawisem gałęzi przybrzeżnych olch musiała być jakaś jama, może też w rozpędzie za głęboko zabrnęli, zaraz i Heńka pokryła woda, musieli płynąć.

Było już jednak za późno. Kłusownicy wykorzystali ten moment, z miejsca wypadli łodzią na rzekę, wiosłowali zawzięcie.

— Roman, Roman, goń tych drani, to kłusownicy! Goń ich!

— Hura — zabrzmiały głosy Benka i Tolka.

Wiesiek i Heniek klnąc nieprzytomnie gramolili się na brzeg, pędzili wzdłuż szpaleru drzew, wciąż nawołując Romana do żywszej akcji.

Ich łódka była szybsza, zwinniejsza, kłusownicy mogli mieć swoją przeładowaną. W mroku na wodzie śmigwały dwa długie cienie. Uciekający skosem wyrwali na toń. Solecki z malcami miał tę przewagę, że rwali środkiem nurtu. Cienie przybliżały się, już nachodziły na siebie. W tej chwili błysnęła latarka, raz, drugi, zaraz rozległ się głuchy łoskot i potem boleśny krzyk Romana.

Zakotłowało się na wodzie. Benek wyzywał jak stary drwal, kłusownicy, umykali, nikt ich teraz nie gonił.

— Co się stało? — krzyknął strwożony Stachura;

— Roman oberwał wiosłem, leży na dnie — informował Benek z całą powagą.

Heniek, mocno przejęty dołą kolegi, przypadkiem dotknął ubrania Mątwiaka. Zdziwił się, było suche, podczas gdy on z Wieśkiem ociekali wodą.

— Ty co? Nie skapałeś się?

— A bo ja głupi? W ogóle nie wlałem do wody. Oberwać jak tamten? Gównu mnie to wszystko obchodzi...

— Toś taki kumpel?

Malcy dobijali do brzegu. Pobiegli wszyscy ku łodzi. Roman podnosił się już z dna, mamrotał coś. Ledwie go zrozumieli.

— Wiosłem mnie ogłuszył, ale już mija, bokiem się ześliznęło.

— Łeb mógł ci rozharatać.

— Mógł, ale nie wyszło — Roman uśmiechnął się z przymusem. Wyprowadzili go na brzeg, oglądali głowę, obmacywali.

— Ręce chociaż umyjcie — podżartowywał.

— Będzie miała Kryśka nową robotę — stwierdził Tolek.

Nie mogli się powstrzymać od śmiechu.

— Wszystko przez to, że ojciec zabrał Lubusza do krów. Z nim by sobie nie poradzili — westchnął Benek za ulubieńcem.

— Już ja was nakryję, łobuzy — wrzasnął daleko na wodę.

— Całujcie nas... — jakby echem nadbiegła odpowiedź.

— Gwiżdżą na nas. Nie mamy żadnych dowodów — stwierdził ponuro Wiesiek. — Z

kłusownikami trzeba w ten sposób, aby pochwycić dowód rzeczowy...

— Ja widziałem. Zaświeciłem latarką. Całe dno łodzi pełne podżganej ryby. Takie szczupce. Sum także był — emocjonował się Benek.

— Dranie... Z naszymi rakami chyba koniec? Jak się czujesz Roman? — Wiesiek dzwonił zębami, mokre ubranie dawało znać o sobie.

— Eee, poleżę trochę, wodą przemiję, przejdzie. Trzeba czasem i w łeb oberwać. Kto to był?

— Taki tam jeden — niechętnie burknął Stachura. — Wiecie co, trzeba ogień rozpalić, podsuszmy się przy nim.

Benek i Tolek porwali się po chrust. Przydźwigali nad brzeg całe naręcza.

Przyjemny był ten jasny, wesoło trzaskający płomień. Skupili się wokół, rozwieszona na wyłamanych żerdkach ubrania dymity zawzięcie, humory zaczęły się poprawiać.

— Wiecie, nie rezygnujemy z tych raków. Ostatnia okazja, zaraz przecież zaczniemy odłowy niewodem, nie będzie czasu — zaproponował Roman.

Skrzywił się jeden Jurek.

— Ja dla siebie mam dosyć. Nie łapię na sprzedaż — wyciągnął się wygodnie przy ogniu.

— Pies cię tańcował — nieprzystojnie pobłogosławił go Heniek.

— Uważaj.

— Bo co? — przysunął się zaczepnie.

Tamten wolał nie odpowiadać.

— Ale tu raków. I jakie kapcie — wrzasnął od wody Tolek. — Mam już osiem, dziewięć, o, i dziesiąty.

Porwali się Heniek i Wiesiek goli, jak ich Bozia stworzyła. Nawet Małwiak się skusił, przy ogniu pozostał jedynie Roman, musiał odpocząć, w głowie mu nadal szumiało. Z wisielczym humorem pomyślał, że zawsze takie ma zamarkane szczęście. Przedtem z nogą, teraz dla odmiany oberwał po łbie...

## ROZDZIAŁ IX

Żółwia usunęła Malicka z domu już w parę dni po powrocie z powodziowego biwaku w PGR-ze. Przejęty niespodzianym nabytkiem, Benek zaczął znosić nowemu ulubieńcowi przeróżne żuki, pijawki, wreszcie ropuchy i żaby, w końcu cierpliwość kobiety się wyczerpała. Złapała syna za kark każąc mu wynosić się wraz z nowym pupilem i jego skaczącą po kuchni spiżarnią.

Niedaleko domu pośrodku wybujałej łąki była niewielka sadzawka, porośnięta u brzegów tatarakiem, szlamista, siedlisko mnóstwa żab. Bocian, rezydujący na stodole majątkowej, często grasował w tym miejscu. Tam właśnie pomaszrował Benek wraz z ulubieńcem i mocno niechętnym do nowego przybysza, wyraźnie zazdrosnym Lubuszem.

Roman z Heńkiem również zaciekawili się przeprowadzką. Żółw, złożony u skraju cuchnącego bajorka, długo tkwił w skorupie, później niesłychanie powoli wysunął głowę, zerkał maleńkimi oczyma, jakby je mrużył od słońca, niezdarnie poruszył jedną łapą, drugą, zatrzymał się w takiej pozycji, tkwił znieruchomiał jak kamień.

Stanowczo się nie spodobało to Lubuszowi. Szczeknął ponagłajaco, potem podskoczył do skrytego w skorupie stworzenia. Benek szczerwieniał ze złości. Pognał psa, aż się zakurzyło.

— Nic z tego nie będzie. Tkwić potrafi tak do wieczora.

— Co ty, Heniek, możesz wiedzieć. Żeby ci nie powiedział, myślałbyś do dziś, że to

wielka żaba nie żółw.

Żółw drgnął leciutko, gdy nie bacząc na błoto Benek przyklęknął przy nim, łagodnie pogładził po skorupie, czule zaszeptał. Leciutko, ostrożnie wysunęła się głowa, małe oczka zobaczyły palec Benka, jak tyle już razy poprzednio. Drgnęły łapy, żółw ruszył w ślad za palcem. Benek pakował się w wodę, grzął w błocku, ale nie ustawał w roli przewodnika, twarz jego promieniała serdeczną radością i triumfem.

Żółw stanął, pokręcił główką, zanurzyły się już w błocku przednie łapy. I nagle, ani się spostrzegli, runął truchtem do wody jak najlepszy nurek — smyrgnął w niej pod powierzchnią, jeszcze go chwilę widzieli, wybiły na powierzchnię pęcherzyki powietrza, zabulgotało i już śladu nie było.

Chłopak odtańczył na brzegu taniec wojenny.

— A co? A co? — pokrzykiwał.

Benek triumfował na całej linii. Przez pół dnia wygrywał Kubiakowi marchewkę na nosie.

W taki sposób Benek obłaskawił żółwia. Ciągłe też miał coś do roboty przy swoim ulubieńcu. Łapał żaby po okolicznych łąkach i znosił je w czapce na bajorko, wpuszczał tam ryby. Marzył przy tymi aby gdzieś zdobyć drugiego żółwia.

— Nie byłoby mu smutno, może mieliby dzieci...

Wtedy, gdy się tak opiekował swoim zaskorupionym pupilem czyj gdy baraszkował po podwórku z kudłatym Lubuszem, tracił cwaniacki wyraz twarzy, zostawał śniady, uśmiechnięty, miły chłopak o żywych, połyskujących ciekawością oczach. Takiego go Roman lubił najwięcej.

Tego ranka kłął jednak i żółwia, i obu malców uganiających po łące za żabami. Benek dopiero sobie przypomniał, iż od dwóch dni nie znalazł czasu, aby podrzucić ulubieńcowi rechoczące pożywienie. Tolek, rzecz jasna, skorzystał z okazji. Nie śpieszyło mu się do domu, zaraz ojciec i Kryśka narzucają różne obowiązki, gdy tutaj można hasać do woli i jest o wiele ciekawiej.

Żarty żartami, niezależnie jednak od sympatii i pragnienia ujrzenia dziewczyny Solecki czuł, że powinien stanąć przed nią ponownie w charakterze pacjenta. Całą noc mało fortunna wyprawa rakowa dawała mu się we znaki ostrymi, piekielnymi bólami głowy, nie pomagało przykładanie kompresów. Wzdłuż potylicy wyrósł olbrzymi, podłużny guz, nabiegł sinizną, rwał bólem, aż mu się chwilami mroczyło w głowie.

Teraz jeszcze czekanie. Z tymi wisusami tak zawsze. Tolek miał jechać razem, i tak już przecież o dzień przedłużył pobyt u stryjka.

— Tolek, bo sam pojedę — zawołał, świadomy, że groźba jego wyrzecć może odwrotny skutek.

Przyczłapali jednak, przemoczeni rosą, zziązani i rozdokazywani. Lubusz jak małe szczenię ganiał wokoło, co chwila wskakiwał mokrymi łapami na pierś Benka, tyłtając go jeszcze bardziej.

— A pójdiesz ty, utrapieńcze!

Zawarczał motor. Tolek z przejęciem wgramolił się na siodelko.

— Roman — Benek wpadł nagle na pomysł — my się zmieścimy razem. Zabierz i mnie.

Już demonstrował, jak to oni wspaniale usadowią się jeden za drugim.

— Czy matka się zgadza? — zaprotestował Roman ze słabą nadzieją w głosie. Głowa rwała piekielnie, słońce prażyło bezpośrednio w nabrzmiąły guz, o włożeniu czapki nie było mowy.

Zezwoliła, chciała kobiecina mieć odrobinę spokoju.

Początkowo oglądał się kilkakrotnie, czy nie pogubi pasażerów stłoczonych ciasno na tylnym siodelku. Podmuch powietrza wywołany zwiększającą się szybkością łagodził ból. Z

piaszczystej polnej drożyny wypadli teraz na ubitą bokówkę. Ramiona Tolka mocniej objęły Romana w pasie. On zaś już nie pamiętał o chłopcach, myślał o Kryśce, ciągnęło go do dziewczyny, cieszył się na myśl o spotkaniu, nie pamiętał dziwnych uśmiechów Kubiaka, nie obchodził go nawet doktor z Międzyrzecza razem ze swoją dekawką. Jakże rad był teraz, że pomógł Malickiemu w reperowaniu maszyny, może z niej swobodnie korzystać. Gospodarz dopiero pod wieczór odwozi ryby do bazy, jest sporo czasu. To dobrze, to dobrze...

Wydało mu się, że nawet obroty motoru śpiewają z nim razem: to dobrze, to dobrze...

— Roman, stój, Benek się zgubił — przestraszonym głosem zawrzęszczał mu Tolek do ucha. Aż się wspiął na siodełku, tak przyhamował gwałtownie, zarzuciło maszyną, z trudem ją wyprostował, piach sypnął kurzawą.

Z naprzeciwka nadjeżdżał właśnie „Ursus”, piegowaty Józek aż się przechylił, wyglądając ciekawie na kłębowisko przy drodze.

— Iu was pcha się na tym trupie? — krzyczał.

Roman oglądał się za Benkiem. No tak, zamyślił się, rozmarzył o dziewczynie, nie zważał na drogę, jeszcze dodawał gazu. Chyba się pętakowi nie stało nic złego? Tego by brakowało. Uspokoił się, widząc, że Benek sam kuśtyka w ich stronę.

— Alem skoziółkował, aż mnie w rów rzuciło. Z ciebie, Roman, kierowca, jak ze starej baby młódka — darł się na całe gardło. — Tak prowadzić motor i ja potrafię...

Nie zareagował. Boże drogi, w końcu ten smarkacz ma rację. Wstyd mu się zrobiło, powrócił ból głowy. Traktorzysta już przyhamował, zeskakiwał z dygocącego „Ursusa”.

— Nic złego? No to dobrze, bo to wam ciągle się coś przytrafia, jak kawalerowi dzieci.

Wyciągnął pomietą paczkę sportów. Roman potrząsnął przecząco głową. Aż syknął, tak nagle go zabolalo. Traktorzysta spojrzal uważniej, zobaczył guz deformujący czaszkę.

— Wczorajsza heca, co? Słyszałem już. Odgrażali się, że poszatkują was przy pierwszej okazji. To zgrana banda, my z nimi też mamy na pieńku, ale co zrobisz, jak jego familiant jest rządcą? Musicie uważać.

— Albo oni. Już ja pomyślę, jak mu zalać sadła za skórę — nadał się Benek rozcierając bok potłuczony przy nagłym upadku.

Uśmiechnął się do Romana.

— A tym się nie przejmuj. To ja się słabo trzymałem Tolka, chciałem zobaczyć, jak koło kręci, czy nie buksuje.

— Do dróżnika? — zapytał piegowaty traktorzysta, uśmiechając się całą gębą. — Fajna dziewczucha, a sprytna. Ząb mnie bolał przed pani dniami, jechałem obok, proszę o jaką truciznę, bo aż mi w ślipiach migotało. Obejrzała i pyta, może bym chciał wyrwać. Ja na to, że gdzie mi czas po dentystach jeździć. Dała mi wtedy jakieś lekarstwo, zmroziło gębę, gorzej, jakby kto lodem w nią sypnął, a potem wyrwała ząb. Tylkom nogami zawierzgał, bolało, ale wkrótce przeszło i już dobrze. Taka to ona jest...

— Kryśka wszystko potrafi — z przekonaniem przytaknął Tolek. Roman jechał teraz ostrożnie, bardzo wolno. Nie tyle pod wrażeniem, by nie powtórzyła się więcej taka historia jak z Benkiem, lądującym w rowie po efektownym salto, ale że nagle wszystko wydało mu się śmiesznie naiwne i głupie. Ma już to świadectwo dojrzałości w kieszeni, widział kawałek życia, a zachowuje się po szczeniacku. Czego właściwie chce od dziewczyny, borykającej się z różnymi kłopotami. Praca w szpitalu, teraz prowadzenie gospodarki w zastępstwie chorej matki. Może jej wcale nie w głowie jakieś flirty?

Cóż on? Czyż nie było już takich, które wręcz powiedziały mu, że jest nudny? Że nie umie zawrócić dziewczynie w głowie? Taki Heniek, o wiele młodszy, a mądrzej podchodzi do tych spraw. Po prostu się nie przejmuje. Jakaś tam Zośka puściła go kantem, dzień się tylko martwi! czy dwa, gwizdże już na nią, szuka podbojów tutaj na miejscu, ledwie dzień minie, już ich nie pamięta.

Uparł się z tą Kryską, dziewczucha ma swoje sprawy, zajęcia, problemy, ani jej ochota na

flirty z nieznanym facetem, przygodnym wczasowiczem, co to jak gruszka z drzewa spadł pod jej domem ze „Stara”. Grzeczna jest, uprzejma, opatrywała go serdecznie, gdy kwękał, ale więcej nie może od niej wymagać. Z Heńkiem też nie wiadomo, jak jest naprawdę, może ich obydwu ma dosyć. A że ładna i zgrabna, choć ją dawaj na konkurs, że wszyscy się do niej od razu garną, to i co z tego?

Ma być łaskawa dla każdego z przygodnych znajomków?

Do licha, kłął w duchu. Nie ma co rozszczepiać włosa na czworo. Łeb wciąż boli pieruńsko, poprosi o jakąś pomoc, chociażby o głupie proszki, bo i tego brak u Malickich, zaraz odjadą z Benkiem z powrotem.

— Roman, śpisz? Do Kryśki ci się nie śpieszy? — w głosie Benka brzmiało wielkie zdziwienie.

Prawda, ledwie się wlecze. Dodał gazu, motor zerwał raptownie, omal nie wpakowali się w jakąś dziurę. Teraz już bardziej uważał na drogę.

Zza krzewów wyłonił się pas szosy. Wychynęli na nią ostrożnie, gdzieś niedaleko warczała ciężarówka, jeszcze by brakło dzisiaj zderzenia. Duże pudło śmignęło przed nimi, kurzem tylko zawiąło. Skręcił w lewo, gdzie obok wysokich topoli stał jasny domek dróżnika. Ruszyła sprzed niego, dymiąc i hałasując, dekawka doktora Kowalskiego. Mijając musiała ich poznać, przyjaźnie pokiwał dłonią. Roman odkłonił się, ale w duchu słał eskulapa do wszystkich diabłów. Ładne spotkanie, właśnie w tej chwili.

Sponurzał zupełnie. Gdyby nie to, że byli z nim razem mocno teraz szczeni ze sobą dwaj malcy, zawróciłby z powrotem albo pognął aż na Międzyrzecz.

Zza bramki wyłoniła się zaciekawiona znajomym warkotem dziewczyna. W jednej chwili zgasty w Romanie wszelkie ponure nastroje, zapomniał o rozmyślaniach sprzed chwili, wydało mu się, że nawet słońce zaświeciło weselej i jaśniej.

Kryśka była w pastelowej, zwiewnej sukience, figura jej rysowała się przez to wyraźniej. Roman aż westchnął, z fasonem zakręcając przed domem.

— Cześć, Kryśka, przywieźliśmy Romana, żeby po doktorze nie było ci nudno — wył Benek zeskakując jeszcze przed zatrzymaniem maszyny, w czym oczywiście naśladował go Tolek. Zaraz pognali gdzieś pomiędzy zabudowania.

— I co z nimi mam robić? — zmieszana ukazywała pięty śmigających chłopców.

— Przyjąć pogodnie dopust boży w mojej osobie.

— Spróbuję. Proszę do domu...

— Ja znów w charakterze pacjenta.

— Co się stało?

— Małe zadrapanie wiośłem przez głowę, boli cholernie, więc jakiś proszek czy zastrzyk, bo ja wiem co.

Gdy go zaczęła opatrywać, przemywać zbolące miejsce i smarować, uznał z przekonaniem, że jednak i wczorajsza wyprawa rakowa znalazła wreszcie swe dobre strony.

— Można jeszcze zabandażować. Nieźle pana rąbnęli. Co to było!

— Opowiem... — spojrzął na lustro stojącej naprzeciw konsolki. — Ale błagam bez bandaża, jakże ja będę wtedy wyglądał?

— O tak mniej więcej — przyłożyła mu do głowy kłęb waty, otuliła nią całą twarz, uszy i jasną czuprynę.

Ręce złożył na ten widok jak do modlitwy.

Śmiała się. A on z tym śmiechem nabierał odwagi, zwłaszcza gdy łyknął parę proszków i przestała go boleć głowa.

— Ma pani dziś wiele roboty?

— Chce mi pan pomagać, jak wtedy? Niestety, właśnie wszystko skończyłam, dopiero pod wieczór zacznę się od nowa.

— Cudownie. Chodźmy nad wodę, będziemy się kąpać.



Podniecony krążył po pokoju. Przyjemna taka, miła, wcale inna, niż ją sobie malował przed chwilą. Też mu się ubzdurało. Widocznie źle przespana noc i ból rozbitego czerepu tak na niego działały. Jak jej ładnie w tej różowej sukience. Duże oczy, długie rzęsy, dziwnie patrzy, gdy nimi przesłoni źrenice, aż coś ścisną we wnętrzu.

Usiadł wygodniej na tapczanie, wyciągnął nogi przed siebie. Zagapił się w okno jasno oświetlone mocnym lipcowym słońcem. W tej chwili usłyszał ciche parsknięcie. Zerwał się. To Kryśka stała u progu, w policzkach jej ukazały się dołeczki, mały nos zmarszczył się pociesznie i drgał jak u zająca.

— Co się stało?

— Nic. Przypomniałam sobie nasze poznanie. Strasznie pan pokrzykiwał przy opatunku. I te nogi...

— Co nogi?

— Nic, nic... no, długie.

Ach tak, po tym dreptaniu po blocku były straszliwie brudne, przygadała mu wtedy... Zarumienił się, stanął speszony jak smarkacz.

— Niechże się pan nie gniewa — ujęła go pod ramię. — Idziemy nad rzeczkę. Pamięta pan, jak straszliwie wylała, wyglądała wtedy co najmniej jak Wisła.

— A pani była tak strasznie ostra i surowa, hukwała na nas — jeszcze czuł się zażenowany.

— Matko, jaki pan nudny... Hukałam, boście tu ujadali wszyscy na siebie, wywodziliście żale do tamtej dziewczyny. Musiałam was uspokoić.

Ona wyraźnie kpi ze mnie — pomyślał, ale jak kot za mlekiem szedł za Kryską posłusznie. Ścieżka wiodła między krzewami, nie można było iść razem. Roman z całą niefrasobliwością wykorzystał tę okoliczność, by przyglądać się figurze Kryski. Nie, takich nóg, długich i zgrabnych, jak żyje, jeszcze nie widział.

Obejrzała się.

— Nad czym taka zaduma?

— Cholernie pani zgrabna. I ładna.

— Tyle tylko? No już, tu świetne miejsce. Marzę o wodzie.

Prysnęła w krzewy, zaraz się z nich wynurzyła na powrót, już tylko w kąpielowym kostiumie. Zbaraniał, wlepił w nią oczy, aż się speszyła.

— Skaczemy — co siły w nogach pobiegła przez łąkę, zaraz plusnęło, gdy z rozmachem wskoczyła do rzeczki.

Woda czerniała pod zarosłymi krzewiem brzegami, prąd był wolny, zaledwie wyczuwalny. Kryśka nieźle pływała, choć znacznie słabiej od Haliny. Romana, gdy płynął obok dziewczyny, zdjął nagły lęk, co by się stało, gdyby tak w czasie powodzi ona usiłowała ratować Benka zamiast Haliny. Aż wargi przygryzł, zauważyła to, zaraz spoważniała.

— Co się stało?

— Przypomniałem sobie powódź i struchlałem na myśl, co by się stało, gdyby tak wtedy znalazła się pani w rzece.

Po raz pierwszy zobaczył w jej spojrzeniu jakby ciepło czy roztkliwienie. Szybko się z tego otrząsnęła, chlapnęła mu w twarz bryzgami.

— Ładny mi kawaler, co płynąc obok panny widzi ją w charakterze topielca.

Minę zrobiła przy tym pocieszna, musiał się roześmiać. Trawa przyciągała chłodem intensywnej zieleni, leżeli na brzegu, ślepiąc za smugami zostawianymi przez srebrne ukleje, to znów liczyli cumulusy, stadkami zebrane nad horyzontem. Spojrzenia ich spotykały się, Roman czuł w takich chwilach, jak mu serce podskakuje do gardła. Oczy dziewczyny często spoważniały, gdyby ją bardziej znał, wyczułby zadumę, jaka ją ogarniała.

Ujął jej rękę, ciepła była, nagrzana słońcem. Od dziewczyny szedł zapach, a może to tylko trawy i zioła tak pachniały, sam już nie wiedział. Poczuł się nagle bardzo spokojny,

może nie aż szczęśliwy, ale właśnie spokojny. To lato zaczęło się jakoś dla nich z matką pomyślnie. Pierwszy raz mógł pozwolić sobie na prawdziwe, beztroskie wakacje. Miał na nie czas. Matura w kieszeni, pewność, że od jesieni otrzyma pracę, że lżej będzie im teraz. Matka po długich namowach zgodziła się wreszcie na sanatorium, konieczne to było, artretyzm z roku na rok dolegał coraz bardziej, odbijały się lata okupacji, gdy pracowała w zimnej, wilgotnej piwnicy, aby jakoś utrzymać dzieciaka i siebie. Sprzedali teraz połowę działki, na której stał domek postawiony przez ojca, można już było, na dłuższy czas zniknąć tak zawsze gnębiące ich finansowe trudności.

Tam, w domu, było dobrze, tutaj też dziwnie się ułożyło z tym autobusem. Ugrzęźli przez ślepy traf w głuchej dziurze, na Ziemi Lubuskiej, wokoło dobrzy ludzie i przede wszystkim ta dziewczyna, Zostanie potem cudne wspomnienie...

Czy tylko wspomnienie? Ta myśl wydała mu się okrutna. Zwrócił się do dziewczyny:

— Panno Krysiu, myślałem, że chyba i po tych moich wakacjach będziemy się widywali, prawda?

Oczy jej były takie niebieskie i takie duże.

— Trochę daleko Warszawa od Międzyrzecza... Może sobie raz na rok prześlemy najlepsze życzenia. A potem i to czas zniszczy, każdy będzie żył swoimi sprawami, własnym życiem.

Aż poderwał się z miejsca, olśniony nagłym pomysłem.

— Przecież może pani starać się o pracę w Warszawie. Pielęgniarek wszędzie brakuje, słyszałem.

— Wrócę na dawne miejsce.

Powiedziała to jakoś głucho. Spojrzał, zasepiła się, znów jakby przygasiły ją przykre myśli.

— Chodźmy już...

Tak wyraziście musiał się odmalować na jego twarzy zawód, że pogłaskała go delikatnie po ręku.

— Przejdziemy się po lesie. Grzybów wciąż w bród, choć słońce teraz pali i nie ma deszczów. Napila się ziemia poprzednio.

Podniósł się niechętnie, pełen obaw, że spacer zakończy się wkrótce powrotem do domu i wtedy poszarzeje znów wszystko, skończy się uroda tych chwil nad wodą.

— No co, Romku? — wydeła dziecięco usta.

Zbaraniał.

— Jak pani powiedziała? Jak?

— Prosto. Już dobrze się znamy, tyle cię. razy opatrywałam, sądzę, iż możemy mówić sobie na ty. Prawda?

— Tttak — wyjąkał.

Grzybów wcale nie było. Ale była mała, bujnie porośnięta polana. Siedli pod drzewem i wtedy Roman sam nie wiedział, jakim sposobem zdobył się na odwagę. Sięgnął nagle ramieniem, opasał kibić dziewczyny, drżąc cały przybliżył wargi do jej ust.

Długi był pocałunek, aż w końcu tchu obojgu zabrakło, musieli się oderwać od siebie. Zwariowany z zachwyty, wychudzony chłopiec otworzył usta, chciał coś mówić, może zaklinać, że kocha, że pragnąłby tak zawsze całować i jeszcze mocniej, jeszcze goręcej, ale Kryśka szybkim ruchem dłoni przykryła mu wargi.

— Nie trzeba — szepnęła. — Nie chcę słów. Nic nie mów.

Patrzył na nią zdziwiony. Wtedy szepnęła wyjaśniająco:

— Ja boję się słów.

Przycisnął dłoń jej do ust. W tej samej chwili zza grubego pnia sosny rozległ się niepowstrzymany już chichot, zaraz zawtórował mu drugi.

Zerwali się, Roman wściekły, dziewczyna speszona.

— Benek, Tolek — krzyknęła.

Ucichło. Ale zaraz wynurzyli się na polanę z jeszcze roześmianymi minami.

— Świntuchy. To wstyd podglądać.

— Kryśka, kiedy nie tak. My wcale nie chcieliśmy patrzeć, jakeście się całowali. My nieśliśmy śniadanie dla was nad wodę, a potem po zdeptanej trawie domyśliliśmy się, że jesteście gdzieś w lesie.

— Nawet wołaliśmy — dopełniał Tolek.

— Tu śniadanie — Benek wyciągnął przetłuszczoną paczkę. — Chodź, nawiewamy stąd — szarpał, kumpla za rękaw.

Odchodząc obejrzał się jeszcze, uśmiechnął przyjaźnie, potem coś sobie pewnie przypomniał, wybuchnął znowu głośnym chichotem. Usłyszeli, jak przez ten śmiech mówił do Tolla:

— Roman aż oczy zamknął, jak się całował...

— Kryśka też.

## ROZDZIAŁ X

— Dawaj! Dawaj! Późna już pora, jak nie pośpiejmy, tak żyto myszy zjedzo. Dawaj! Dawaj! — Wikswa pokrzykiwał dla dodania sobie i innym otuchy. Bo pracowali ostro. Dulki łodzi skrzypiały, tak rwali ku sobie skrzydła przywłoki. Brygadier krążył w środku na maleńkiej wywrotnej łódce, rąbnął czasem w toń bełtem, zakończonym nasadą ściętą w kształcie gruszki, niespokojnie oglądał się na zapadające za lasem słońce.

Pomimo przedwieczornej godziny nawet nad wodą nie odczuwało się rzeźwiejszego tchnienia. Prażyło od kilku dni, ciężko było pracować, byle wysiłek, a pot zlewał ciała. Resztką sił schylali się nad wiosłami, zagarniali wodę, podrywając z głębi stawiające opór linki sieci.

Zataczając szeroki krąg łodzie powoli zbliżały się do siebie dziobami. Grube korkowe pławki wychylały się na powierzchnię. Wikswa czujnie ślepił za nimi, mruzczał.

Nad niewielkim jeziorkiem zastygły w ciszy rozrosłe olchy o ciemnych liściach, poszyte gęstwą krzewów. Od prawa tylko, w stronę sosnowego lasu, wolniejsza przestrzeń porastała wysoką, kłującą trawą. Przy stąpieniu nogą grunt uginał się miękko.

Brygadier tłukł wodę bełtem przegradzając tym drogę rybom, usiłującym ująć z kutla. Zanurzali wiosła zerkając na ramiona sieci.

Roman zagapił się na siwą czapłę, niskim lotem szybującą wzdłuż brzegu jeziorka, zgubiła się harmonia ruchu, wiosło jego zderżyło się z wiosłem Wojciecha Malickiego. Poprawił się, wiedział, że to ostatni moment, zaraz odpoczną.

Duże łodzie zbliżyły się, została tylko szpara, którą zwinnie przemykał Wikswa na swej wywrotce. Siekł wodę bez miłosierdzia! Oni tymczasem prostowali ramiona, ocierali gęsty pot, niektórzy! dłońmi czerpali wodę prosto z jeziora, pili łąkomie.

— Dawaj, Piotr, dawaj, bo żyto myszy zjedzo.

Głową tylko pokiwał, że żart zrozumiał, nie ustawał w swej pracy. Dopiero gdy dał znak dłonią, przechylili się, chwytając za wiszące u linek końce ramion przywłoki. Odchylając się miarowo do tyłu, wyciągali do łodzi metr za metrem. Tu i ówdzie trzepotała ugrzęzła w rozpaczliwym zrywie ucieczki płoć czy wzdreğa, woda rozpościerała się w okach sieci przezroczystą błoną, pękającą z cichutkim szypieniem. Wikswa wciąż walił bełtem, tym mocniej, im bardziej przybliżał się wór niewodu.

— Dawaj, dawaj — brodacz dodawał otuchy.

Spiętrzyła się trójkątnym klinem zamknięta ze wszystkich stron pułapka. Szaleńczo

szamotały się w niej słoczone ryby. Wiesiek Stachura i starszy rybak z drugiej łodzi chwycili za podbieraki. Jeszcze parę pociągnięć, mrowie ryb ogłuszyło ich trzepotem, osłepiło bryzgami wody, rozradowało serca mnogością.

Na dno ciężkich rybackich łodzi spadały z podbieraków podłużne i obłe ciała linów, szczupaków, karasi, okoni i płoci, wzdręg i leszcza. Złocisto i srebrno zrobiło się na dnie, skrzela zalsniły krwawo.

Heniek uśmiechał się do Romana. Jeszcze przed dwoma godzinami narzekał, po jakie lichy zaprzągnął się do takiej harówki, teraz i jego uradował wieczorny sukces.

Mroczniało już, gdy na okrągłych kołach przeciągali łodzie przez łąkę do następnego jeziora. Paręset metrów, ciężko, a oni zmęczenia Heniek od nowa kłąć zaczął pod nosem. Roman pomyślał, że Kubiak wyrzeka tak od trzech dni, gdy otrzymał przesyłkę pieniężną. Tyle już razy alarmował o nią do domu, w zachwycie kwitował odbiór ośmiuset złotych. Wtedy to rozwalił motor... Głupiec. Roman niechętnie myślał o pracy czekającej go po powrocie. W ogóle pomieszały się plany. Miał nadzieję, że pan Wojciech zgodzi się zabrać motocykl ze sobą. Mógłby wtedy wieczorkiem wyskoczyć raz czy drugi do Kryski. Teraz z tego nici, gdyby nawet zabrał się ciężarówką, jakże powróci?

Heniek. Dziwny chłopak. Jakiś nie skoordynowany wewnętrznie. Diabli wiedzą, czego właściwie chce. Młody, to pewnie, ale chyba już można w tym wieku traktować to i owo poważnie...

Spojrzenie jego pobiegło w stronę Kubiaka. Siedział na brzegu w do połowy wyciągniętej łodzi, majtał nogami, spod oka przypatrując się zajętem krzątaniu rybakom. Najmłodszy był, a przecież nie palił się do pomocy, nie raczył się nawet pofatygować po chrust na ogień.

Tak, to było przed trzema dniami... Wrócił właśnie z Benkiem od Kryski, gdy pojawił się doręczyciel z przekazem. Heniek aż zatańczył z radości. Osiemset złotych, nie w kij dmuchał, ładny kawałek grosza. Już przy obiedzie, ryba była, jak to u Malickich najczęściej, wymyślał, co on z tą forszą zrobi. Planował większą wyprawę na Międzyrzecz albo i do Zielonej Góry, wódka mu zapachniała, bąknął coś o dziewczętach, aż Roman parsknął śmiechem. Amant, psiakrew, się znalazł.

Wieczorem Kubiak popatrywał niespokojnie na drogę, którą Malicki odwoził ryby do bazy. Właśnie zaterkotała nie wiedzieć w końcu jakiej marki maszyna, tyle w niej było części zmieszanych ze sobą. Podskoczył do Wojciecha, nim jeszcze ten zdążył się zgramolić z siodełka. Czy nie mógłby przejechać się do spółdzielni, zdąży jeszcze, do dziewiątej przecież otwarta? Malicki trochę się krzywił, że to Heniek bez prawa jazdy, ale jakżeby mógł odmówić.

Roman przyglądał się, jak Kubiak prowadzi motor. Niezgorzej mu szło. Zawrócił więc do szopki, w której przechowywali wędkę. Musiał przemyśleć przedpołudniowe spotkanie z Kryską. Odmieniły się jego losy. Tej dziewczyny nie nudził, potrafił się jej spodobać.

— Roman, na ryby idziesz? Mam żywce, może szczupak jaki nam weźmie.

Nie powiodło im się, choć do późna wysiedzieli nad wodą, po ciemku nawet próbowali poderwać jakiegoś leszcza. Heńka ciągle jeszcze nie było. Roman przypuszczał, że musiał trochę zahulać w spółdzielni, która w swoisty sposób spełniała w okolicy rolę gospody.

Czekali na niego do północy. Wtedy się zjawił prowadząc motor. Rozbity reflektor, wygięty błotnik, zerwany pedał, gaźnik zatkany gliną i błotem... Sam motocyklista też wyglądał mizernie. Upapwany w ziemi, z rozbitą wargą i wywichniętym palcem u dłoni, cuchnący nie przetrawioną wódką, zbiedzony przy tym kraksą, krzywo spoglądał po grupce otaczającej go zemocjonowanym kręgiem.

— Co się stało?

— Nic, coś źle Roman, zmajstrowałeś przy światłach. Wysiadły; Tłukłem się po ciemku, wpadłem na krzak, a potem do rowu. Ależ ciężkie draństwo, ledwie je tu przywlokłem. Dajcie odsapnąć.

Malicki cicho jęknął, oglądając pokiereszowany motor przy świetle latarki.

— Głupstwo, Roman to pięknie naprawi — zbagatelizował sprawę Heniek. — Aha, przywożłem tu panu taki drobiazg — wyciągnął z kieszeni zapalniczkę, wręczył zdumionemu gospodarzowi. — Wyhandlowałem od jakiegoś szofera. A dla żony, proszę, chusteczka na głowę. Benek, masz tu cukierki. Jest też coś dla wszystkich. Cud, że się nie potłukła.

Zza pazuchy, owiniętą starannie w sweter, wyciągnął litrową butelkę wódki.

— Dziękuję, ale po co to, panie Henryku, po co! — mamrotał jeszcze bardziej zgnębiony Malicki, w tej sytuacji nie mógł nawet ponarzekać na rozwalenie maszyny.

— W spółdzielni tak długo się zasiedziałeś? — spytał Roman.

— Tam kupa wiary przychodzi. Popiło się zdrowo, tak na stojąco, przy ladzie. Ten od traktora, z piegami, Józek, to kławy chłop. Przyjdą do nas z harmonią, może i parę dziewczyn przyciągną, zrobimy potańcówkę nad wodą. Sporo rzeczy kupiłem, i wiesz, ta forsa leci jak cholera, połowy mi nie zostało...

Pomyślał Solecki, że osiemset złotych musiało im z matką starczyć czasem na cały miesiąc, a ten tak przy jednej okazji. Dobrze wie dzie się; chłoptysiowi.

— Potem byłem w pegeerze, wreszcie zbłądziłem w lesie, diabli wiedzą, jak rozpoznawać te dróżki, każda taka sama, pókim się kapnął, noc się zrobiła. — Heniek szybko mówił to wszystko, jakby potokiem słów pragnąc zagłuszyć inne pytania. — No co, panie Wojciechu! rąbniemy po głębszym? Mam cholerną ochotę na wodę...

— Tak po nocy, kiedy spać się już chce? Zostawmy na jutro. — Malicki wciąż przyglądał się swojej maszynie. Przywiązał się do tego wymarzonego motoru, tymczasem taka historia. Dobrze chociaż, że jest ten Roman na miejscu...

Solecki długo musiał słuchać na górcie Heńkowego paplania. W pewnej chwili podejrzliwa myśl przeleciała mu przez głowę, ale zaraz zgasła. Rano całowała się z nim, nie będzie chyba tegoż dnia romansować z innym. Nie, na pewno tam nie był, powiedziałby przecie.

Wódki pić nie chciał, choć Heniek namawiał serdecznie.

— E, bo ty to jesteś jakby jakiś zakonnik. Z dziewczyną pewnie też nie umiałbyś sobie poczynać, gdy mnie i to idzie raz dwa. Co tu gadać, nie chcesz, sam wypiję...

Zasnęli niedługo. W nocy Heniek wstawał kilka razy, zląził na dół, szukał wody, czuł się fatalnie. Roman spodziewał się tego, żaden z chłopaka ochlapus, fason tylko trzyma, ale mu nie bardzo wychodzi. Minie z czasem, kiedyś każdy przejść musi okres takiej głupoty.

Niejasne podejrzenia wróciły następnego dnia, gdy znalazł ślady Heńkowej kraksy na drodze wiodącej do szosy, a więc i do domu Krystyny. Kubiak wskazywał uprzednio całkiem inny kierunek.

— Może być — odpowiedział na pytanie — nie tak się trudno pomylić, byłem pod muchą i zabłądziłem. A ty co mnie tak wypytyjesz?

Wieczorem nadjechała ciężarówka zabierając ich wraz z brygadą rybacką na odłowy niewodowe w okolicznych jeziorkach. Nie było już czasu myśleć o innych sprawach. Rozbebeszony motor został na podwórku przykryty kawałkiem niemieckiego brezentu...

Teraz, w mroku lipcowej nocy, patrząc na sylwetkę siedzącego beztrąsko na burcie łodzi towarzysza, Roman zastanawiał się nad dziwnymi przyczynami narastającej w nim niechęci do Heńka.

Głupio mu z tym było i przykro. Lubił przecież Heńka, tak składnie im szło podczas autostopowej włóczędzy. Tutaj dopiero zaczęły wypływać na wierzch mniej przyjemne cechy charakteru kamrata.

— A tam, do diabła! — trzepnął wreszcie dłonią w powietrzu, pomaszerował ku wielkiemu ognisku, od którego niosła się smakowita woń gotującej się zupy rybnej.

Wyciągnięci wygodnie, twarzami do płomienia, spoglądali rybacy na skry strzelające z wysuszonych gałęzi jałowca. Trzeci dzień ciężkiej pracy mieli za sobą. Poszczęściło się tym razem, ciężarówka zabrała kilkadziesiąt skrzyń wyborowych ryb, magazynier zapisze na ich

konto większe cyfry, grosz większy podleci. Opłaci się harówka.

Z ciemniejszej warstwy odbijającego od rozszereżonej wody sitowia dobiegały niespokojne pokwakiwania kaczek, tam znajdujących nocny spoczynek. Cicho i sennie, jakby śmiecielnie znużona, zarechotała żaba. Ogień trzaskał, od przyrody płynął spokój, poczucie jakiegoś bezpieczeństwa. Wysoki starodrzew, rozcinał niebo mocną krechą szczytów, strzelały nad nią wierzchołki kilku sosnowych olbrzymów. Coś zakwiliło od tamtej strony.

Wiesiek leżał na wznak, tuż obok Romana, z twarzą wpatrzoną w niebo. Solecki widział, jak mu się oczy iskrzyły. Ciekaw był, o czym myśli ten dziwny towarzysz ich wakacyjnych przygód.

— Miło byłoby gwarzyć teraz sobie z jakąś dziewczyną od serca, prawda? Ogień, skry, gwiazdy, dziwny szum, jakby woda gadała...

Myślał o Kryśce. Nie musiał już kryć tego przed sobą. Jeszcze nie sprecyzował wyraźnie do końca, nie nazwał po imieniu, ale czuł, że to się rysuje jakoś inaczej niż te parę dotychczasowych flirtów, które tak się wszystkie szybko skończyły. Pięknie musiałyby przy tym ogniu wyglądać jasne włosy Kryski. Poprosiłby, aby rozpuściła to całe wiązanie, kok się nazywa czy licho wie jak. Blaski pełgałyby po nich, a on odgarniałby je od szyi i całował.

Wiesiek uśmiechnął się, klepnął Romana przez ramię.

— Piekielnie jesteście kochliwi. Dopiero Heniek mi się spowiadał, że braknie mu jakiejś babki, teraz ty pozujesz na romantyczność. O czym innym myślałem. Że takie samo niebo musiało zwisać, jak szedł tędy Mieszko i Chrobry, jak szlaki przez lubuskie puszcze i wody przebijał Krzywousty... W tej niecce międzyrzeckiej musiało przed wiekami być wcale ludno, co krok wyrasta tu przecież jakieś grodzisko. Tak mnie korci, żeby pogrzebać w ziemi na wzgórzu, gdzie rozsiadł się ten na pół zrujnowany pałac. Wyjątkowo duże rozmiary grodziska, musiała to być spora osada. Muszę pogadać z kolegami w Międzyrzeczu. Przejechałbyś się tam kiedy ze mną?

— Chętnie...

— No, mileńkie wy moje, polewka gotowa! Dawajcie miski! — zadowolonym basem wpadł w ich rozmowę brodaty brygadier.

Ożywiło się przy ogniu, jakby kto kij wsadził w mrowisko. Co tu gadać, głodni byli, niejednen zżymał się już, że Wikswa celebryje swoje gotowanie zbyt długo. Zadzźwięczały blaszane michy, szcękneły łyżki.

Ogień wyżej podniósł się jasnym płomieniem, ktoś suszu podrzucił. Roman ciekawie spoglądał po nie znanym mu dotąd klanie rybackim. Nic, że każdy niemal pochodził z innych stron, żył dawniej innymi sprawami. Rybacki los ich połączył, przydzielił te same troski i niepokoje, drobne radości, wysiłek ciężkiej pracy, wieczną igraszkę z trafem, który gdy się przeciw nim sprzysięże, nie pomoże umiejętność ani wkładany trud. Wikswa z namaszczeniem, jak zawsze, rozlewał pierwszą porcję, potem już sami doleją, ile kto chce. Drewnianą chochłą mieszał polewkę, czerpał gęsto, od dna. Ruchy miał spokojne, poważne, siwa broda, rozjaśniona w płomieniach, migocąca to żółcią, to czerwienią, chwiała się na strony, wąziutkie szparki oczu patrzyły uważnie. Miskę podsuwał równy mu chyba rybackim doświadczeniem, choć znacznie młodszy Mazurek, ze szczerbami w zębach, celnie i spluwający spoza nich na wielką odległość. Od dziecka siedział na rybnych wodach pod Sierakowem, potem skusiła go nowa ziemia, chciał się chwycić za gospodarkę, artretyzmu w dłoniach się przecież nabawił. Ale długo nie strzymał, wrócił do swego zawodu, tyle że narzekał, iż nowe wody w niczym tym jego dawnym nierówne.

Teraz Heniek musi się pchać, ani patrzy, żeby starym ustąpić, do żarcia zawsze ochotnik... Znów dobry, łagodny Malicki, o sile niespotykanej. Jakiś chudeusz, milczący zawsze, podobno spod Kielc rodem i wreszcie poza Wikswą postać najbardziej Romanowi imponująca.

Późny był niewielki, jakby zaszuszony, licho wie, pięćdziesiąt lat liczył czy można mu

było dołożyć dalsze dwadzieścia. Twarz rumiana, nieodmiennie uśmiechnięta, nerwowy w ruchach, o bardzo jasnych oczach, koloru rozlanej na piasku wody.

Wiesiek także patrzył na tego rybaka. Przechylił się do Romana:

— Późny mieszka w tych stronach od urodzenia. Twarda sztuka...

— A wy co? Zaszyli się z boku i pewnikiem o dziewczuchach gadacie? — pokrzykiwał na nich Wikswa.

Zerwali się momentalnie. Lepiej nie wpaść w oko staremu, wykpi, suchej nitki nie zostawi.

Siorbanie, tylko łyżki zgrzytają. Sami już teraz sięgają po dalsze porcje. Gar się opróżnia.

Zaczęły się teraz wspominki rybackich dni i nocy, ramiona rozwierały się szeroko, by pokazać, jakie to wielkie były ongiś złapane sumy czy szczupaki. Padały nazwy bliskich i dalekich jezior, małych, jak te, nad którym teraz równiutkim słupem niósł się dym z ich ogniska, i ogromnych, gdzie fala burzy się wyżej człowieka, zupełnie jakby na morzu.

— Na Mazurach to jeszcze są ryby. Tu gorzej, bo Niemcy to stawiali najbardziej na hodowlę karpia. Jeszcze i teraz w każdym błotku choć parę sztuk buszuje. Dla mnie karp to nie ryba, ni z wyglądu, ni ze smaku. W wannie możesz go utuczyć jak prosię. Niemiecki smak — nadał się chudy kielczanin.

Jakiś nocny ptak szybował cichym lotem, poderwał się szybciej znad ognia. Od wody znów niespokojnie zakwakały kaczki, zaraz odpowiedziała im żaba. Leciutka, przezroczysta mgła otuliła torfowiska i łąki, białobłękitnym całunem podchodziła pod zagajnik, wsiąkała w mrok starodrzewia.

— Zupełnie tak samo, jak w Braławskim... Żeby mnie to w głowie kiedy stanęło, że oswajać się trzeba będzie z poniemiecką ziemią — mruknął Wikswa z nutą zdziwienia i żalu w głosie

— Polską, nie poniemiecką — sprostował Wiesiek, na punkcie tych spraw szczególnie drażliwy.

— Czy ja wiem, tak różnie ludzie gadają.

— Bo właśnie nie wiedzą. Za mało się o tym mówi. Przecież to śmieszne, na najstarszej ziemi polskiej mieć takie wątpliwości — denerwował się Stachura, aż z miejsca się zerwał z przejęcia.

Wikswa przerwał mu spokojnym głosem:

— Ryby to ja ciebie, kocik, mogę nauczyć łowić. No, o tych mądrościach tobyś ty lepiej powiedział staremu, miasto nerwować się po próżnicy. Można posłuchać, noc długa.

Zreflektował się Wiesiek. Skierowały się na niego ciekawe spojrzenia. Tylko Heniek przechylił się do Romana i zaszeptał niechętnie:

— Zaraz zacznie się gładzenie, historyka będzie odstawiał.

— Wiecie pewno, skąd bierze się nazwa Ziemi Lubuskiej? — zaczął Wiesiek.

Romanowi i Heńkowi Stachura dał znak, by nie wrywali się ze swą wiedzą. Temu drugiemu nie było to zresztą potrzebne, wcale się nie kwapił, w historii nigdy nie był zbyt mocny.

— Tuż za Odrą, w jasny dzień widać je nawet z naszego brzegu, leży małe dziś miasto, a kiedyś główny gród w tych stronach Lubusz...

— Jak ten wodolaz Malickiego.

— O właśnie... Była to główna siedziba słowiańskiego plemienia Lubuszan, które weszło w skład państwa polskiego pierwszych Piastów. Już od Mieszka I Lubusz stanowił główną twierdzę na zachodzie Polski. Słusznie mówiono, że miasto to jest kluczem do państwa polskiego, przez nie bowiem prowadzi szlak w głąb naszych ziem. Następcy Mieszka I, Bolesław Chrobry, a potem Krzywousty, strzegli Ziemi Lubuskiej, ostatni założył tutaj nawet biskupstwo, podległe Gnieźnie...

Stachura spojrział na Heńka, który ziewał zgoła demonstracyjnie. Nagle odeszła go chęć przypominania przeszłości tej ziemi, drażnił go Kubiak. Rybakom opowie innym razem.

— Dość, że pierwsze dzieje państwa polskiego najściślej wiążą się z terenami Ziemi Lubuskiej. Tutaj też toczyła Polska pierwszą znaną w historii wojnę. W jej zwycięskim wyniku, prawie tysiąc lat temu, utwierdził władzę nad Ziemią Lubuską pierwszy nasz król, książę Polan. Dopiero w XIII wieku napór niemiecki okazał się silniejszy, zaczęli nas spychać. Początkowo zresztą nie tyle siłą oręża, co przekupstwem i zdradą..

— Może tak być, na pewno nawet było. Ale potem już Niemcy tu rządili, mieszkali, gospodarowali. Te domy, kościoły, miasta i wioski przecież nie Polacy stawiali? Znakiem tego, będzie to ponemieckie, nie tak?

— A jakby wam, panie Piotrze, zabrał kto dom, ponastawiał w nim własnych mebli, garnków, lichy jeszcze wie czego, a potem udałoby się panu nieproszonemu gościa wyrzucić, to już dom, do którego pan wróciłby, nie byłby pańskim domem?

— Ja bym takiego czorta razem z jego garnkami, meblami i czym tam jeszcze na zbitą gębę, zarazę taką — obruszył się rybak.

I zaraz dodał:

— Ale za swoją krzywdę tak bym chyba zostawił, co by mnie pasowało z jego manatków. Po prawie byłoby, nie?

Heniek zachichotał z cicha, zjadliwie i ironicznie, aż go Roman musiał w bok szturchnąć, żeby nie robił przykrości staremu.

— No to chyba się dogadaliśmy? — w zamyśleniu powiedział Wiesiek.

— Pierdoły stary plecie. Ja byłem w Sierakowie, stamtąd pochodzę, ale wiem, że za granicą przed wojną też byli Polacy. Mało to razy oni do nas zjeżdżali? A taki nasz Późny, to za przeproszeniem, krowie spod ogona wyskoczył, jak się nadeła?

Zasuszony i wiecznie uśmiechnięty, nieokreślonego wieku rybak przeciągnął się, odpowiedział Mazurkowi uśmiechem. Widzieli go wszyscy, właśnie mocniejszym płomieniem buchnęło ognisko, zatrzeszczały podrzucone przez Wieśka gałązki jałowca.

— A ino. Późnych tu od wieków trzeba liczyć. Wyganiaли nas, jak choćby te esesmany w ostatniej wojnie, ale my zawsze wracali. Tu całe wioski polskie zostały. Dąbrówka, Kramsko, Podmokle. Byli Polacy w Pszczewie i Trzcielu, w Międzyrzeczu i Kargowej, w Babimoście i...

— Mileńki, zostaw, pora późna, a czuje moje serce, że nam cała mapa z pamięci wyczytasz. Jak tak gadacie, to i lepiej, znaczy się prawda, polskie te wody były.

Przeglądał Wikswa swą brodę, rozczesywał palcami, dziwacznie wyglądał w blaskach ognia, jakby wieszcz jaki pogański. Wiesiek przysunął się do Późnego.

— Powiedziałby nam pan bliżej o tym pałacu, o sztabie SS, o tym, jak tu sobie dawaliście radę...

— Co tu gadają o duchach? Jakaś biała pani? I co było w tych bunkrach nad jeziorem? Prawda, że jakieś podziemne miasta? — ożywił się Kubiak. Te sprawy interesowały go znacznie bardziej.

Popatrzył na nich wyblakłymi, wodnistymi oczyma, uśmiechnął się po swojemu.

— A wiecie wy, że Wikswa chce jutro więcej toni zrobić jak dziś? Późno, spać pora... Przyjdźcie do mnie kiedy do chałupy, jakże wspominać bez poczęstunku. Żona coś przyszykuje, wtedy opowiem. O białej pani i o tych psach z SS. Na jeziorze też dziwy bywały, pod ziemią można by wiele znaleźć...

Urwał, skinął im głową, zakręcił się w kożuch, wyciągnął przy ogniu. Stachura widział, że obserwuje ich jednak przez szparki oczu, rad z wrażenia, jakie wywołał.

Heńka sen odleciał zupełnie. Przysunął się do Romana.

— Wiesz, po tej mordędze, niech tylko wrócimy, już więcej nie myślę się bawić w rybaka. I tak Malicki nie będzie skrzywdzony. Ty, skoro chcesz, możesz tyrać, choćby na drugi



motocykl.

Roman wzruszył ramionami. Pal sześć w końcu starego grata ich gospodarza. Ale podo-  
bało mu się to życie rybackie, urzekło koczowanie nad jeziorami, spanie przy ogniu, zupa  
rybna pichcona przez Wikswę, pogłosy idące od opalizujących w świetle księżyca, zamknię-  
tych ścianami lasów rozlewi. O i teraz zrywa się wiatr, wszystko od razu się zmienia. Na  
falach osiada srebro, las ożywa, wabi dziwnymi pogłosami, cienie rybaków zakutanych w  
kożuchy stają się obrazem jakby przeniesionym z tej dalekiej przeszłości, którą chciał dziś  
Wiesiek przywołać, ale mu ten głupi Heniek przeszkodził.

— Ja słowa dotrzymam — burknął. — Ty rób, jak chcesz. Mam to gdzieś.

Podniósł głowę do góry. Od granatu niebios oderwała się gwiazda, spadała łagodnym  
łukiem.

## ROZDZIAŁ XI

Benek daleko wybiegł na spotkanie ciężarówka rozwożącej rybaków po domach. Za nim  
kłusował zdyszany Tolek. Czy się im żarzyły, spoglądali po sobie porozumiewawczo.  
Roman zrozumiał, że zżera ich niecierpliwość, aby podzielić się jakąś nowiną.

— No, basatyki? Wyszadziście może coś przy okazji w powietrze?

— E, ty zawsze masz drętwą gadkę... Małośmy wtedy oberwali? Potem powiemy —  
ręką wskazał na ojca.

Ledwie się Malicki oddalił, Benek pociągnął Romana z Henkiem na kładkę. Tolek nieo-  
dłacznie włókł się za przyjacielem.

— Widzicie, jak woda opadła? — wskazał chłopak na brzegi rzeczulki.

Wyłoniły się tam kępy nadgniłej trawy, osiadło śmiecie, naniesione prądem. Duża zielo-  
na żaba z wysiłkiem gramoliła się z wody.

— Benek, łap dla żółwia — wskazał Heniek.

— Et, dostał dzisiaj chyba sto sztuk, cała sadzawka pełna. Na tydzień mu starczy. Mało  
go widać, wciąż w błocie się chowa, pewnie od tego gorąca. Ale słuchajcie, to jeszcze wa-  
żniejsze niż żółw.

Obejrzał się konspiracyjnie na dom, czy. któreś z rodziców nie nadchodzi. Mówił taje-  
mniczym, pełnym emocji szeptem.

— Jak was nie było, buszowaliśmy z Tolkiem po jeziorze. Ale słabo brało, ryby też nie  
lubią gorąca. Więc pojechaliśmy próbować pod bunkry na głęboką wodę, gdzie są te szczu-  
paki i sumy.

— Na górę wleźliśmy, stamtąd łowiliśmy, Benek spadał już, ale go zatrzymałem.

— Tam stromo, mogliście się utopić!

— Et, powodzi nie ma, płynamy dobrze, parę machnąć dłońmi i już na brzegu. Ale co  
wy, jak stare baby, do słowa nie dopuszczają! Bo nic nie powiem i już — wydał wargi, łapska  
wpakował do kieszeni, stał pucołowaty, wyraźnie rozeźlony.

— Już, już milczymy jak groby — zaśmiewali się z tego oburzenia.

— No, tośmy wleźli od góry. Tam, prawda, stromo, jakby specjalnie ktoś wygładził ten  
pagór. Dobrze, że tyle krzaków, mogliśmy się ich trzymać.

— Tylko że kłuły.

— Tolek, spokój, bo oberwiesz po uszach! Więc trzymając się tych krzaków chcieliśmy  
dotrzeć nad samą wodę. I wiecie, tam też jest cement, jakieś mury, od dołu spod gąszczu nie  
widać. Takie cembrowiny czy co...

— Ale z tym szczupakiem też granda wyszła.

— Tolek, bo w tramwaj oberwiesz... Żywce mieliśmy dobre, plotki. Zarzuciłem, siedzi-

my, trochę niewygodnie, ale nic. Krótco tylko czekaliśmy. Wzięło bez zabawy, pławik od razu zniknął. Ja mocno za wędzisko, ten ciołek mnie podtrzymuje.

— Ty, bez ciołków! Sam, fujara, wypuścił wędę.

— Bo tak nagle zaczął ten szczupak rwać, a Tolek mnie słabo trzymał, ani mowy było, żeby podciągnąć rybę do siebie i jak zawsze pod brzeg. Puściłem wędzisko, patrzymy, a tu wędzisko dało nura pod brzeg. Ani śladu. I wtedy...

— Ja mu doradziłem.

— Tolek, mówiłem, oberwiesz!

Zakotłowało się nad pomostem, malcy zaczęli się okładać pięściami, przewalali się po trawie i piachu, mało brakło, wpadliby obaj do wody. Ledwie ich rozdzielili. Benek, pocierając krwawiący nos, złym okiem zerkając jeszcze na Tolka, wrócił do opowieści.

— Więc się opuściłem zupełnie nisko. On mnie trzymał za nogi. Zanurzam rękę, a tam pod samą powierzchnią też cement albo kamień, ale chyba cement. Był jakiś kij, pcham, cały się chowa i nic, końca nie ma... Więc teraz myślimy, że tam jest podwodna jaskinia. I nie wiadomo, co się za nią kryje. Głęboko, ciemno, słońce prawie nie dochodzi, ten cement wokół. Późny gadał kiedyś ojcu, że pod całą górą są jakby domy, miasto podziemne. I że na jeziorze Niemcy mieli motorówki. I że jezioro było płytsze, aż dopiero woda przybrała, jak oni uciekając most zerwali, ten, cośmy pod nim płynęli wtedy na raki. To może do tej jaskini było nadwodne wejście?

— Zwyczajna dziura w gruncie, podmyta wodą — zakpił Heniek.

— Prawda, Późny coś mówił takiego — przypomniał sobie Roman.

— Więc żeby wziąć wielkie tyki albo sznury, spróbować sięgnąć do końca tej jamy. Można z łódki; Roman, Heniek, jak się wam zdaje?

— Obiaaaaad! — przeciągle zawołał Malicki.

— Spróbujemy któregoś razu, może dziś jeszcze, co? — emocjonował się Benek.

— Wiesz, to może być ciekawe... Ten stary też opowiadał jakieś historie. Sierżant z milicji, jak byli tu po wybuchu, także coś bąkał — w Heńku narastało zainteresowanie.

— No, chłopaki, od jutra zaczynam żniwa. Trzeba dziś powyciągać wszystkie skrzydłaki i więcierze, niech przeschną. Macie ochotę pojechać na wodę? — po sutej jajecznicy spytał Malicki.

— Ty już im do reszty ryby i wodę obrzydzisz — sarknęła żona.

Roman chciał zaprotestować, ale Benek kopał go energicznie pod stołem, dając zarazem porozumiewawcze znaki.

— Tolek pojedzie z tatą, a ja się z wami zabiorę, dobrze?

— A czemu ja... — zapiszczał brat Kryški, ale zaraz ucichł, zgromiony wyciągniętą niebezpiecznie pięścią kompana.

— Panie Wojciechu, prawda to, że poziom jeziora był kiedyś o wiele niższy? — pytał Roman, gdy szli do łodzi.

— A był. To nawet widać jeszcze po drzewach. Wierzba tam wyrasta zupełnie z wody. Różnica o dobre pół metra. Hitlerowcy wysadzili most kamienny za jeziorem na rzeczce i wtedy się wszystko zablokowało, woda przybrała. Tak zostało. Lepiej, ryby chętniej się trzymają.

Spiekota jakby się jeszcze spotęgowała. Cisza wisiała w powietrzu, tafla jeziora, nie poruszona najmniejszym podmuchem, nabierała koloru starego srebra. Z rzadka wyprysnęła nad nią ukleja, tylko czubki perkozich główek stanowiły bardziej wyraźną oznakę życia. Trzciny stały zwartą ścianą jakby zastygłe, melancholijne w tym zeszywnieniu. Rybołów leniwym lotem kołował nad wodną płaszczyzną.

Malicki z osowiałym Tolkiem byli już daleko, gdy reszta bractwa drugą łodzią zaczęła płynąć lewą stroną jeziora. Musieli się przecież uprzednio wykapać...

Pierwsze dwa skrzydłaki były zupełnie puste. W kilku następnych trzepotało po parę

linów, jakiś mizerny szczupaczek. Benek miał krzywą minę, wzrok mu rozbłyskiwał jedynie w momentach, gdy spoglądał na masyw pagóra wyrastający z wody na krańcu jeziora.

Ledwie Heniek dotknął dłonią wystającego z wody drążka skrzydłaka ustawionego przy zakolu sitowia, kij zadygotał, szarpnęło nim, coś się pod spodem zakotłowało.

— Oho, jakieś niczego sobie bydlę — ożywił się Benek.

Mocowali się z pozostałymi drążkami, wciągając skrzydła pułapki na łódź. W zmętniałej wodzie trudno było coś dojrzeć, czuli tylko szarpanie i rozpaczliwe próby ryby, by ująć z pułapki.

— Uwaga, może rozwalić siatkę — wrzeszczał Benek.

— Cholera, widzę już, co za diabeł?

— Sum, sum, ciągnij go! Ale byczysko! Roman, rzuć wiosło, sami nie poradzimy. Nie widziałem jeszcze takiego konia.

Ciągnęli sak wspólnym wysiłkiem. Widzieli już pod powierzchnią czarne jak smoła oślizłe cielsko, olbrzymią głowę, ogon walący z pasją, maleńkie, połyskujące wyraźną wściekłością oczka. Szarpnęli mocniej. Byle do łodzi, tam już z nim sobie poradzą.

Ryba, odbiła się o burtę rozpaczliwym podrzutem, sak runął z powrotem w toń, razem z nim stracił równowagę Heniek, grzmotnął głową w dół, nogi zaplątały mu się w skrzydle więcierza, miotał się w wodzie bezradnie. Skotłowało się wszystko, Benek gorączkowo wyswabdział Kubiaka z pułapki, z wypiekami, z błyszczącymi ciemnymi oczyma. Roman był trochę bezradny, takiej ryby, jak żyje, jeszcze nigdy nie widział.

— Heniek, popychaj od dołu. Nie bój się go.

— A właśnie... — urwał, sum trzasnął go w głowę nowym podrzutem.

— Roman, łódź do brzegu, na wodzie nie poradzimy. Nie przez sitowie, obok, prędzej! Heniek, podtrzymuj...

Było tu dosyć głęboko. Heniek zanurzył się po głowę. I jego opanowała gorączka łowiecka, za radą Benka próbował teraz omotać sum skrzydłami więcierza, żeby uniemożliwić mu szanse ucieczki. Roman wiosłował z wysiłkiem. Benek wsparty nogami o dno łodzi, odchylony do tyłu, całą mocą starał się nie popuścić trzymanej sieci. Bardzo wolno posuwali się w stronę brzegu.

— Ale draka! Koń, nie ryba.

— Tylko się nie bój!

— Cholera. Trzymajcie, bo ucieknie.

Wciągnięta do łodzi część sieci osunęła się do wody, sum parł na głębinę razem z płataniną oczek, z drążkami i kurczowo uczeponym, na próżno stawiającym opór Kubiakiem. Benek jednym skokiem runął do wody. Roman stał ogłupiały, nie wiedząc, co robić. Też skakać, czy pomagać im z łodzi? Taka ryba!

Schyłony łapał za drążek podsuwany przez Benka. Sum tracił siły, zaprzestał na chwilę oporu, znów go podciągnęli bliżej do łodzi. Grunt stawał się płytszy, Heniek mógł się wesprzeć nogami o dno.

— Już nam nie ujdzie — sapał.

Doholowali sieć na płyciznę. Wszyscy wpakowali się teraz do wody.; Ryba raz jeszcze zerwała się do rozpaczliwej walki, aż się w pewnej; chwili woda wyraźnie zaczerwieniła, to krew spływała skrzelami. Bali się tego sum, zwłaszcza głowy, potężnej jak łeb żrebaka, silnych; podrzutów ogona i nagłych miotnięć, gdy spadały na nich strugi wody i trudno się było w czymkolwiek rozeznać.

— Na naszym stańło — odetchnął Benek, gdy wreszcie cały ten balast splątanej sieci, drążków, wody, mułu i samych siebie wydobyli na brzeg.

Sum dygotał czarnym cielskiem, tylko jasny brzuch odbijał od brudnej barwy. Skóra była chropawa, upstrzona piaskiem, osiadła jakimiś muszelkami i pijawkami przyssanymi do ciała olbrzyma. Stali oniemiały, kręcili głowami.

— Mało brakło, a byłby uciekł... — Benek ledwie dyszał ze zmęczenia.

— Ale mnie kropnął! Kolano boli jak diabli — Heniek rozcierał nogę, ciągle nieufnie zerkając na rybę.

— Ooo! Widzicie!

Zdumienie brzmiało w głosie chłopca, schylili się w kierunku wyciągniętego palca.

— Co to?

— Żółw. Dla mojego parka będzie.

— Kiedy to też mężczyzna — zakpił Heniek.

— Guzik ty wiesz... Widzicie, wpakował się do siatki, pewnie gonił za jakąś żabą. A może uciekał przed sumem? Jak mu ten zamajtał swymi wąsami, to się dopiero musiał wystraszyć.

Wąsy sum zaiste miał okazałe, dłuższe nad dłoń człowieka, teraz oklapłe, wysychały momentalnie w parnym powietrzu, choć mniej już paliło, słońce bowiem zaczęło kłonić się ku zachodowi.

— Co z nim robić? Do łódki strach pakować, gotów brykać od nowa. Ma chyba z półtora metra długości.

— Wyjmiemy pozostałe węcierze, niech sobie poleży tymczasem na brzegu. Osłabnie, wtedy go zabierzemy. Łądem nie doniesiemy, za ciężki...

— A ta jaskinia podwodna? — przypomniał Benek.

— Późno, nie zdążymy, trzeba za dnia, przy mocnym świetle. Tam zawsze mroczno.

— To przez tego drania. Ale warto było, no nie? To dopiero, Heniek, będziesz kumplom mógł opowiadać. Nikt ci nie zechce uwierzyć, powiedzą, że zalewasz jak zwykle — skakał na jednej nodze rozradowany Benek.

W pozostałych węcierkach niewiele znaleźli. Pod wieczór zerwał się lekki wiaterek, orzeźwił ciała spalone słońcem. Z lekkim żalem spoglądali na wzgórze, ponurym cieniem opadające nad wodę. Suma złożyli na dnie łodzi, omotali siecią, Benek przysiadł na nim na wszelki wypadek. Ale ryba już nie próbowała stawiać oporu...

Malicki zagwizdał widząc taką zdobycz. Wydało się Romanowi, że wyczuwa w jego głosie leciutki ton jakby zawiści, gdy mówił, że jemu nigdy jeszcze nie trafiło się w tych stroinach nic podobnego. Jemu, rybakowi z zawodu...

Sum ciągle żył jeszcze. Zanieśli go wspólnie do kaszty, motocyklem takiego diabła przecież się nie odwiezie, ciężarówka zaś z bazy nie będzie wcześniej jak za dwa dni.

Teraz Benek mógł się zająć sprawą niespodzianego przyrostu swej sadzawkowej hodowli. Pieczołowicie oczyścił żółwia ze szlamu i zielska, obmył pod studnią. Triumfalnie podążyli wraz z Tolkiem nad bajorko na łące.

— Ja bym spróbował kiedy tej słynnej zupy żółwiowej. Może przed odjazdem zlikwidujemy hodowlę — śmiał się Heniek. — Kiedy wreszcie złożysz tego truposza? — kopnął nogą w brezent okrywający motocykl.

— Jutro się zabiorę... Oo! — przyjemne, pełne podniecenia zdziwienie zabrzmiało w jego głosie.

Z roweru zeskakiwała Kryśka. Nie widzieli, jak nadjechała. Zerwali ku niej z kopyta.

— Dzień dobry, Roman, dzień dobry, Heniek — witała się swobodnie, ożywiona i zarumieniona wysiłkiem. Na czole koło włosów skupiły się drobne kropelki potu.

Soleckiego jakby coś żgnęło. Z Heńkiem ona także na ty? Kiedy zdążyli? Jego pierwszy entuzjizm znacznie przygasł.

— Muszę jutro jechać na spotkanie mamy, wraca już do nas. Wybrałam się tutaj po Tolka, ktoś powinien przecież być w domu. I tak się składa niedobrze, żniwa, trzeba by ojcu pomagać...

— Myślałem, Kryśka, że nie tyle o Tolka ci chodzi, co o pretekst, by się z nami zobaczyć. Tymczasem ty tak strasznie poważnie wszystko traktujesz... — przymrużył Heniek

zielone oczy.

— Może i to — uśmiechnęła się, znów te dołki w policzkach, drganie nosa. Roman przypomniał sobie scenę na leśnej polance. — Mam kostium, kąpiemy się?

— Dobra myśl.

Słońce właśnie zachodziło, rzucało krwawe krechy na rozblękitnioną teraz, nie tak już jasnosrebrzystą jak w ciągu dnia wodę. Kołysani lekką falą wypłynęli daleko, uciekały na stronę perkozy, gwałtownie zerwało się spod trzciny stado kaczek.

— Jesteście strasznie fajne chłopaki, ale na mnie już pora — westchnęła w pewnym momencie, gdy już byli z powrotem na brzegu. — Gdzie ten Tolek?

Na wołania zjawił się tylko młody Malicki.

— Gdzie Tolek?

— Nie wiem. Był na łące, gdzieś sobie poszedł, może po grzyby — odparł z wisusowskim wzruszeniem ramion.

— Ciemno już przecież — dziewczyna wzięła to na poważnie.

— Zaczeka do rana.

— Matka jutro wraca, jadę po nią. Domu trzeba pilnować.

— Kryśka, a nie łzesz? Raz już nas zbajerowałaś w ten sposób, a potem okazało się, że pojechałaś z doktorem tą jego dekawką.

Zaczerwieniła się, potrząsnęła głową, aż mokre kosmyki jej jasnych włosów, źle upięte, rozsypały się na kark i czoło.

— Naprawdę, Benek.

— Tolek, Tolek, wyłaż z krzaków. Już! — rozdarł się teraz na całe gardło.

Malec zjawił się po paru chwilach. Nadąsany był, krzywił się.

— Z tobą tak zawsze. Do domu i do domu. Myślisz, że ja nie mogę już trochę z Benkiem posiedzieć? Wiesz sama, jak w domu nudno, ani jednego chłopaka w pobliżu. Ty zawsze znajdziesz jakiegoś faceta do całowania, a ja? Sam jak palec — rozżalił się straszliwie.

Heniek tylko zagwizdał przez zęby. Romanowi zrobiło się głupio; i bardzo przykro. Co to znaczy, faceta do całowania? To jest takich, więcej niż on? Znów został nabrany! Niech to wszyscy diabli.

— Do widzenia, Kryśka — wyciągnął do niej rękę. Twarz miał strasznie ponurą.

Zauważyła to. I tak już była dosyć speszona, teraz się zmieszala zupełnie. Jeszcze to drwiące spojrzenie Heńka i jego pogwizdywanie.

— Kiedy wy niczego nie rozumiecie. Niczego! — krzyknęła.

Siłą wsadziła Tolka na ramię, wskoczyła na rower, zakurzyło się za nią, tak nacisnęła pedały. Roman spojrzał na Heńka.

— Rozumiesz ty cośkolwiek?

— Naprawdę, ani cholery. Zbikowała dziewczucha — wzruszył ramionami.

Solecki dłuższą chwilę przyglądał mu się w gęstniejącym mroku. Heniek wytrzymał to spojrzenie, jego zielone oczy spoglądały bardzo niewinnie. Uśmiechnął się na koniec.

— Myśl? o Międzyrzeczu. Gdyby motor był cały, skoczylibyśmy na parę głębszych. Pod naszego sumy.

Zamierzał odejść. Roman przytrzymał go za ramię.

— Słuchaj... — urwał, głupio mu się zrobiło. Czepia się tego biednego Heńka nie wiedzieć czemu. Przeważało jednak pragnienie dowiedzenia się prawdy. — Słuchaj, kiedyście wy przeszli na ty?

— Spotkałem ją kiedyś, powiedziała, że jest już z tobą po imieniu, więc właściwie powinna i ze mną, bo to nibyśmy kumple. Proste?

Rzeczywiście, wyglądało to bardzo prosto i naturalnie, Solecki jednak nie był tego tak bardzo pewny.

— A ty do niej tak na poważnie?

— Roman, coś ci na mózg padło? Na poważnie? Z jakąkolwiek dziewczuchą? A potem jak byś się wykaraskał? Może w urzędzie stanu cywilnego? Ja niegłupi... Wiesz, myślę sobie, że z ciebie nie będzie dzisiaj pociechy. Uwierał będziesz jak odcisk. Pójdę teraz do tych Mątwiaków, niezły spacer. Nie mogę napatoczyć się na tę Agnes. Kosmetyczka, mucha nie siada, to dopiero fach, jeszcze w prowincjonalnym grajdołku. Trzeba babkę obejrzyć, może się uda pogruchać, będzie weselej. Ona we dnie zajęta, na jakiejś wieży leśnej wartuje, od pożarów czy coś...

Popatrzył na jezioro pokryte już głębokimi cieniami.

— Swoją drogą szkoda, żeśmy nie pogrzebali w tym wzgórzu. Może tam naprawdę coś jest?

— Lubusz! Lubusz! — Benek ganiał ze swym ulubieńcem.

Romana wszystko drażniło. I ten Heniek poświstujący teraz na ścieżce wiodącej wzdłuż jeziora, i Benek hałasujący z Lubuszem, sumy i żółwie, w ogóle wszystko. Jak to bowiem naprawdę jest z tą dziewczyną?

## ROZDZIAŁ XII

Tłoczno, muzyka miesza się z ożywionym rozgwarem głosów. Przez otwarte okna napływa ciepłe powietrze letniej nocy. Dwie silne lampy przyćmione kolorową bibułą, ściany ozdobione girlandami, za podium orkiestry wielki, kolorowo przybrany snop zboża.

Mocno tuląc Krysię w objęciach, Roman widzi to po raz chyba już setny w ciągu tej nocy. Od bufetu w przyległym pokoju wpada czasem mocniejszy hałas, gardłują ci, co bardziej mają już w czubie. Przytupując przesuwają się obok piegowaty traktorzysta, przypięty do obfitej w kształtach dziewoi. Uśmiecha się, mruga łobuzersko. Roman odpowiada mrugnięciem, dobra jest.

Stachura znów się uczepił na amen świetliczanki Haliny. Gdy się ubrał inaczej niż co dnia, bardzo jakoś zdostojniał ten Wiesiek. Swój chłopak. Tylko Heńka nie widać, najpewniej w bufecie, bo i ta, jakże ją, Agnes, też imię pretensjonalne, chętnie pociąga. Gdybyż się taka strasznie nie malowała, wcale sobie dziewczyna, może trochę nazbyt swobodna. Co go to zresztą obchodzi. Najważniejsze, że obok jest Kryśka, z nią tańczy. Jak się ją lekko prowadzi. Przyszła tu bardzo smutna, teraz dopiero się rozruszała. Ale w oczach tkwi nadal ten smutek. Przytulił ją mocniej...

Wyrósł przed nimi tęgi jegomość z nalaną twarzą. Co to? Odsuwa go od dziewczyny siłą, pcha się na chama. O, tylko nie tak...

— Spokój, kochany! — Kryśka widzi, jak oczy Romana mrużą się, zostają tylko dwie małe szparki, twarz robi się jeszcze bardziej pociągła.

— Nie żaden spokój, tylko ja teraz będę z nią tańczył!

Kątem oka Roman dostrzega, że niedaleko Wiesiek też boryka się z jakimś jegomościem, sylwetka jakby nawet znajoma z widzenia. I jeszcze czyjaś dłoń wznosi się nagle nad głowami tańczących, butelka w tej dłoni, fruwa w powietrze, trzask...

W tym samym momencie otrzymuje silny cios w szczękę, obraca się, właśnie gaśnie z hukiem żarówka, po chwili druga, ciemno, jeszcze odrobina światła wpada przez otwarte drzwi do bufetu. Roman widzi jegomościę, który go uderzył, wali na odlew, trafnie, dobra jest. Cholera, zupełnie już ciemno, rozwalili żarówkę w bufecie. Zgrabnie to robią, muszą mieć wprawę...

Myśli te przebiegają mu przez głowę w tym samym czasie, gdy spadają na niego razy pięści, gdy na ślepo, zdezorientowany, też je oddaje nieznanemu napastnikowi, czy może już kilku napastnikom, boi wszędzie coś się dzieje wokoło, gwałt, krzyk, dziewczęta piszcza,

smyrgają do kątów, ogólny harmider, jedna wielka rozróżba. Nawoływania porządkowych, czyjaś dłoń szarpie zapalniczkę, krótki błysk, i Roman widzi, nieznaną dryblas rwie do niego ze stołkiem trzymany za nóżkę, Kryśki nie ma w pobliżu, uchyla się, odskakuje w bok, jęk i łomot dostał najpewniej ktoś inny.

— Roman, Roman! — poznaje głos Heńka.

— Tutaj jestem, tutaj!

— Ach, ty łachmyto, tutaj jesteś? To dobrze!

Seria ciosów, kopnięcie. Jak przez watę słyszy bolesny krzyk Heńka, potem jego pełen wściekłości atak. Nie można już niczego rozróżnić, wszystko się bije, kotłuje się cała sala, dziewczęta gromadą tłoczą się koło orkiestry, wystraszone i pełne emocji. Z przyległego pokoju straszliwy brzęk, larum bufetowej, pewnie już po butelkach.

Błyskają latarki. Wściekły głos Józka traktorzysty, on ze swymi szoferakami stanowi straż porządkową. Szło wszystko tak składnie, niczego się już nie spodziewali, żadnej burdy, kupą poszli w taniec, a tu masz ci, taka granda, nawalanka nie z tego świata.

Głuchy łomot, ktoś się wywraca, Romanowi przechodzi przez myśl, że może to Wiesiek, do niego przecież też któryś podłazi, prowokował na siłę. Kto to mógł być, komu tak podpadli?

Trafił dobrze, przeciwnik zaniósł się ni to skowytem, ni jękiem. Przeciwnik? A może właśnie obrońca, diabeł się jeden rozezna. Trzeba do wyjścia, to się może jatką skończyć. Czyjaś latarka łukiem frunęła do góry, spadła na podłogę, brzęk, chrupotanie szkła pod nogami. Ale już inne błyski, przez okno wpada snop światła reflektora motocyklowego. Robi się jasno.

Bójka ustaje w jednej chwili jak nożem uciał, ci i owi smyrgają ku kątom. Jeszcze uderzenie, szamotanina, to już piegowaty Józek trzyma awanturnika pod ramiona, klnie, aż uszy puchną, jakże, oni, straż, a dopuścili do takiej grandy.

Dziewczęta podbiegają, leży ktoś na podłodze. Dźwiga się sam, tak, to Wiesiek. Roman prze ku niemu.

— Co ci?

— Nic. Oberwałem. Dranie.

Heniek ma rozcięte czoło i głowę, stołkiem oberwał, samym kantem, tamuje krew chustką, ktoś podaje wodę, wyprowadzają go.

— Spokojnie, spokojnie. Zabawa trwa. Zaraz będą żarówki, światło. Muzyka, grać! — krzyczy wysuszony szofer. — Z łobuzami się zrobi porządek.

— Ty się nie stawiaj, bo też oberwiesz — głos dobiega zza okna.

Roman patrzy zdumiony, jak mało ruchliwy zdawałoby się szofer paru susami przebiegł salkę, tylko się ręką podparłszy przesadził parapet, już kogoś tam trzyma, leje po gębie.

— Ratunku, biją!

— Ja ci pokażę ratunek! Uciekłeś, a sameś zaczynał. Masz jeszcze kopniaka...

Oddalają się głosy zza okna, cichną. Speszeni muzykanci zaczynają grać. Mało par się kwapi do tańca. Bufetowa szybkimi ruchami zamiata rozbite szkło z żarówek i latarek. Śmieje się, większość jej flaszek musiała zostać uratowana.

Kryśka głaszcze Romana po twarzy. Siniec pod okiem, nos puchnie jak bania, dobrze, że chociaż nie krwawi.

— Wyjdziemy.

Powietrze rzeźwi. Heńkowi wodą z wiadra ktoś chlusta na łeb, omywa krew. Halina biegnie z bandażami, ma przy świetlicy apteczkę.

— Co z tobą, Heniek?

— Łeb rozciachany. Nie szkodzi. Alem użył na draniach. Aż mi ręce popuchły, naskórek pozdzierałem na czyichś zębach... Co za draka! To na nas był mały napadzik. Nic, jeszcze nie koniec, z Kubiakiem nie tak prosto, niech no tylko wypatrzę dokładniej kto i co...

W pokoju Haliny uruchomiono ambulatorium. Przydała się i obecność Kryśki. Romana łupało w czaszce, oberwał solidnie, a przecież z zachwytem przyglądał się zręcznym ruchom dłoni dziewczyny. Heniek już siedział na skraju łóżka świetliczanki, wyglądał jak kukła z obwiązaną głową i twarzą, ledwie mu oczy i usta wyglądały spod bandaży. Wiesiek miał brew rozciętą, ogłuszenie już minęło, kręcił wciąż głową w wielkim zdumieniu.

— Ty, historyk — zamamrotał do niego Heniek, bandaże przeszkadzały mu w mówieniu. — Gdzieś się tak bić nauczył? Widziałem, fachowo. Kto by pomyślał. Daj, Agnes, spokój, ja nie kot, żeby mnie głaskać, łeb bardziej boli od tego, ojoj — zajęczał, bo w przypiływie nagłej czułości wymalowana dziewczyna ujęła go serdecznie za głowę. — Agnes, nie wyjeżdżam, będzie jeszcze okazja, teraz daj spokój, aniele...

Musieli się rozeźmiać, tyle było złości i zniecierpliwienia w głosie Heńka.

Od razu poprawił się nastrój.

Trzasnęły drzwi, wszedł piegowaty Józek wraz z wysuszonym szoferem. Z niepokojem spojrzeli po zwojach bandaży, rozbryzganej; krwi, kawałkach plastra.

— Jak, wiara, bardzo poważnie? — rzucił traktorzysta.

— Ujdzie w tłoku. Bo tłok to był — zlekceważył Heniek.

— Już jest w porządku. Sprawiliśmy im manto, długo popamiętają. Jeszcze zresztą nie koniec... A wiecie, lepiej, żeby się obeszło bez milicji. Zaczną się ciąganina, badania, poruta dla pegeeru, czy to potrzebne? Chyba że wy zechcecie, na was napadli.

— Za to nakrycie na kłusowaniu ościeniem, nie? — chmurnie zapytał Stachura.

— Niby tak... Ciebie zresztą, Wiesiek, jeszcze i za Halinę. Sam już wiesz kto.

— Czego się on mnie czepia? Od roku już nie mam spokoju — oburzyła się dziewczyna. — Strasznie mi przykro — z niepokojem spojrzała na Wieśka.

Ten zastanawiał się nad czymś, dłonią przeciągał po czole, myśl jeszcze nie pracowała zbyt składnie.

— Przyznali się? — spytał.

— Niby tak — kierowcy patrzyli na niego z wyczekiwaniem. Zapadła cisza, tylko zza drzwi dobiegała muzyka.

— Nie chcę robić dalszej draki, zwłaszcza że wy o to prosicie, pewnie, obejdzie się bez milicji. Ale jedno stawiam jako warunek — głos jego nagle schropowaciał, stał się twardy. — Muszą nas przeprosić. Od tego nie odstąpię. Gdzie teraz są?

— Gdzie? Cholera ich wie! Też mocno poharatani, myśleli, trafią na miastowych maminsynków, tymczasem i z was rozrabiaki niezgorsze... Pewnie poleźli do domu. A co do przeproszenia, można załatwić, jako straż mamy prawo zażądać. Dobra jest, Wiesiek, dawaj łapę. I przepraszamy was, chłopaki. Nie nasza wina. Zawsze jakieś kozaki się znajdują.

Józek oglądał się na dziewczęta.

— A tamtych za drzwiami też opatrzycie? Chłopaki chcą tańczyć, ale krew leci, nie pójda tak na salę. Bo w końcu już wszyscy się prali. Trudno stać i się przyglądać. Nerwy każdego poniosą.

— Dawajcie ich tutaj.

— Agnes, idziemy tańczyć. Tango, tak na wolnych obrotach, bo rock and rolla chyba bym nie poradził...

— Heniek, czyś ty już zgłupiał do reszty? — zdumiał się Roman.

— Musimy trzymać fason. Jeden taniec. Zresztą w tym stroju, w jaki mnie teraz Kryska ubrała, wyglądam jak bohater, nie?

W spojrzeniu Soleckiego było wiele sympatii.

— No cóż, lubię czasem takich chojraków — powiedział. — To może i my, Kryska, wyjdziemy na pegeerowski parkiet? Tylko musisz przedtem załatwić ten szpital za drzwiami...

— Zamiast narzekać wpadliście w boski humor — pokręciła głową zdumiona Halina.



— Wiesiek, też masz ochotę?

— Dla kompanii... — mruknął, ale już był pogodny.

No cóż, ostatecznie wyszliśmy z honorem — myślał Roman. Zamiast pomóc zaszkodziło im to zgaszanie światła. W końcu nikt już nie wiedział, kogo pierze i od kogo obrywa. Patrzył na robotę Kryśki. Miała jej niemało. Z dziesiątek się znalazł kontuzjowanych na różny sposób. Gdyby doliczyć głównych sprawców, którzy po dodatkowym laniu otrzymanym od straży woleli kurować się w domach, liczba pokiereszowanych doszłaby dwóch tuzinów. Nieźle, zupełnie nieźle.

Usiadł na łóżku Haliny obok Wieśka. Nabrał teraz do tego pasjonującego się historią studenta ogromnej sympatii. Zresztą i Heniek go już nie drażnił. Cały świat zmienił kolory. Kryśka przy ostatnim spotkaniu była tak dziwna, burkliwa, oczy miała jak gdyby zapłakane. Gdy ją chciał pocałować, uchyliła się. Nie i nie... Nic z tego wtedy nie rozumiał. Dziś zresztą również nie, ale łatwiej mógł już rzecz złożyć na karb dziewczęcych nastrojów. Zdarza się.

Ciepło zerknął na dziewczynę bandażującą mocno podpitemu chłopakowi rozciachaną rękę. Nie, to nie jest jedynie zafrapowanie wykonywaną czynnością. Kryśka była smutna, smutek ten malował się wyraźnie w tych momentach, gdy była pewna, że nikt jej nie widzi. Przedtem już wydawało mu się, że coś jej musi dolegać. Teraz był pewien. Gdybyż zechciała powiedzieć, podzielić się troską, może znalazłby jakąś radę. Ale Kryśka jest skryta, zachowuje własne przeżycia wyłącznie dla siebie. Dziwna dziewczyna. Może dlatego aż tak pociągająca?

— No, chyba wszyscy? Pięć minut wesołej zabawy po ciemku, a potem tyle zachodu — przywołała uśmiech, skryła się za nim.

Myślał się teraz w misce podsunętej przez Halinę. Wiesiek tkwił w kącie w zupełnym milczeniu.

— Więc mimo wszystko tańczymy? — zapytał bardzo poważnie.

— Sądząc po Heńku, nic mu już nie przeszkadza — zaśmiała się Halina.

Na zabawie nastrój był jednak zgaszony. Kręciło się znacznie mniej par. Nawet przy bufecie nie było tłoczno.

Roman przytulił Kryśkę, znów zachwycił się lekkością jej tańca. Nie mówił nic, nie miał ochoty, czuł przy tym, że i jej słów nie było teraz potrzeba. Myślał o minionych dniach. Już zaraz sierpień. Skończył się miesiąc tych jedynych, przez całe lato piastowanych w marzeniach wakacji. Jesienią zaczyna pracę, uruchamiają nowy dział w fabryce motocykli, został przyjęty. Odjedzie, Kryśka też pewnie wróci na dawne miejsce w szpitalu, może raz, drugi napiszą do siebie, rozwieje się wszystko, coraz rzadziej wracać będzie nawet wspomnieniem. Heniek powiedziałby, że tak właśnie trzeba, że tak najlepiej. Młody, bardzo młody, ale już ma jakąś pseudofilozofię życiową. Bardzo oportunistyczną, ale łatwą w życiu. Bez wielkich problemów, bez rozszczepiania włosa na czworo...

Mocniej przygarnął dziewczynę. W głowie mu szumiało, kilka ciosów było naprawdę silnych... To nie takie proste, odjechać, zostawić, zachować wspomnienia i koniec. Zbyt silnie go Kryśka pociąga, to coś nowego. Może naprawdę miłość?

A jakie inne jest wyjście? Jeśliby przyjąć, że to naprawdę miłość i że z jej strony spotka się z wzajemnością? Zakręcił mocniej. Jeszcze jest czas na takie rozważania. A już w każdym razie nie teraz, w czasie tańca i ze zboląłą od uderzeń czaszką. Zabawa, niechże będzie zabawa!

Przechylił się ku jej uchu, przeświecało, strasznie mu się to podobało. Delikatnie musnął ucho wargami. Kryśka uśmiechnęła się na ten gest leciutko, ledwie dostrzegalnie. Nagle zapragnął mocno, mocno wycałować dziewczynę. Jak wtedy na polanie, gdy te łobuziaki im przeszkodziły.

— Przejdziemy się trochę? — zapytał.

Przetańczyli przez salę, głęboko odetchnęli rześkim, lekko chłodnym niedalekim ra-

nkiem powietrzem. Pusto było wokół i ciemno. Za nimi została muzyka, szli wolno w cieniu drzew parkowych. Uczuł, że ramiona dziewczyny drżą.

— Chłodno ci?

— Nie, ja nie wiem, czemu tak, nie wiem.

Przytrzymał ją. Wolno ogarnął ramieniem. Czekał, aż znów przybliży wargi jak wtedy. Stała znieruchomiła. Pocałował, nie spotkał się z odzewem. Nie broniła warg, ale i nie poddawała ich. Zaczął teraz całować coraz mocniej, gwałtowniej, bał się, że zmiażdży jej usta.

— Kryśka — odsunął ją nagle na odległość ramienia. — Co z tobą?

— Nic, nic — szepnęła. — Może tylko jestem zmęczona.

Zawrócił bez słowa. Zmęczona, na pewno, zabawa, potem tyle opatrunków. Ale czy tylko zmęczenie, czy nie tkwi za jej dziwną obojętnością coś jeszcze innego?

Przypomniał mu się Heniek. Ich mówienie sobie po imieniu. Heniek adorował dziś Agnes. Kryśka była smutna. Czyżby tutaj tkwiła przyczyna? Załomotało w nim serce, kilka razy otwierał usta, nim wreszcie zapytał:

— Kryśka, Kryśka, czy to może... Heniek?

Zaśmiała się.

— Na pewno nie.

Jeszcze nie wierzył.

— A, a czy ty z nim także się całowałaś, jakżeście przeszli na ty? Czy z nim także?

Skinęła głową potakująco. Zagryzł wtedy wargi, mocno zagryzł, żeby ból był jak najsilniejszy, żeby przytłumił ten inny, to uczucie zawodu, świadomość, że coś, co jeszcze właściwie się nie zaczęło, co kiełkowało dopiero, zostało teraz zduszone w zarodku. Szli obok siebie w milczeniu. Przed wejściem do sali zapytał:

— Masz jeszcze ochotę potaćzyć?

— Nie, naprawdę jestem zmęczona. Naprawdę.

— Tym opatrywaniem podziobanych facetów?

O nie, to drobiazg. Czymś innym, zupełnie czymś innym. Nie chciała, by ją odprowadzał. Odmówiła stanowczo. Patrzył potem długi czas za rowerem, aż znikły ostatnie smużki światełka małej latarki.

## ROZDZIAŁ XIII

— Wiesiek! Mieliśmy takie klawe czerepy, a on rozrzucił je i potłukł...

Usiadł, przetarł zmęczone czytaniem oczy. W pierwszej chwili nie bardzo jeszcze się orientował, o co im chodzi.

— Patrz, ucho mi poszarpał, krwawi. I kopnął potem, aż na nos upadłem. Taka świnią...

— Nie maż się — ofuknął Benek umorusanego, rżęsiście lejącego łyzy Tolka. — Ja też oberwałem solidnie i nie becę.

— Kiedy jak sobie przypomnę, to mnie boli od nowa.

— Zaraz, zaraz, gadajcie jakoś z sensem. Kto was pobił? Czemu was Lubusz nie bronił?

— Magazynier, on takie manto nam sprawił. Nawet za wybuch pocisku tak od starego nie oberwałem, jak dzisiaj. Lubusza nie zabierałem, co by on robił w piwnicach i gruzach. Teraz się dopiero przyplątał. Wiesiek, poradź. Bo my, wiesz, dla ciebie zbieraliśmy te skorupy.

— Aha, na grodzisku?

— Przedtem tam nawet znaleźliśmy, choć Tolek mówił, że to nie starzyzna, ale potłuczone dwojaki. Co on się zna na tej archeologii — Benek lekceważąco wydał wargi.

— A potem? — Wiesiek nie mógł powstrzymać uśmiechu, zaczął się już domyślać

dalszego ciągu.

— Potem to mieliśmy latarkę, więc myśleliśmy, żeby poszukać skorup w ruinach pałacu, sam mówiłeś, że tam jedna budowa na drugiej, te stare cegły i w ogóle... A myśmy upatrzili już dobry włącz, od malin, co się tak z tyłu rozrosły. Tam jest dziura, zupełnie jej nie widać, chyba że się zna miejsce.

— Więc się wepchaliście do ruin... Mówiłem, że niebezpiecznie, kto wie, mogą tam tkwić miny, pociski, jeszcze kiedy wylecicie w powietrze.

— Eee, przecież nawet teraz jest napis, jeszcze z wojny, że „min niet”, więc po co bajdurzysz... Tolek, przestaniesz wreszcie się mazać, bo ci skuję jadaczkę! Też dopust boży z takim kumplem.

— To ze złości.

— Et, ze złości...Więc słuchaj, Wiesiek. Ja ci mówię, w tych ruinach jest coś. Może skarb jaki? Bo myśmy weszli do piwnic, pchamy się, jedna, druga, nic w nich nie ma, pogrzebaliśmy trochę łopatką, co to została po saperach z powodzi, jakiś węgiel, a w jednej części kupa gruzu. I tam jak gdyby ślad drzwi u góry. To odgarnęliśmy trochę rumowiska, drzwi były, takie przejście właściwie. Już się można było przecisnąć. Wobec tego się przecisnęliśmy, trochę się na nas obsypało, Tolek się bał, że się nie wydostaniemy z powrotem.

— Bo co byś zrobił, łopaska została w poprzedniej piwnicy.

— A ręce? Myślisz, są tylko po to, żeby je trzymać w kieszeniach?

— Nie kłóćcie się. Benek, gadaj dalej.

— No i tam były jeszcze piwnice, jedna za drugą. W jednej stoją żelazne puszkę, ciężkie, cholera wie, co w nich może być, zardzewiałe to z wierzchu. I wtedy — zacerpnął tchu, oczy mu się rozżarzyły jak u kota, gdy czyha na mysz. — Wtedy małosmy nie wlecieli do takiej jamy, ona jest trochę z boku tej piwnicy. Świecimy, a tam drabina. I myśmy nią zeszlę, zimno tam, brr!... głęboko. Trochę pietra mieliśmy, on zwłaszcza...

— Bo ty to nie? Bohatera teraz struga.

— I tam wiesz, Wiesiek? Z boku było wejście i takie drugie piętro piwnic. I szczury biegały. Wtedy przypomniał mi się tamto, no, z bunkrami, co to opowiadają, i już nie chcieliśmy dalej łązić, i zaczęliśmy nawiewać

— Tak syczało za nami.

— Może i syczało. W takim starym pałacu wszystko być może, no nie?

— Może — przyznał zgodnie Stachura.

— Wyleźliśmy na światło. I chcieliśmy już wracać, ale ten głupi Benek... — wtrącił się teraz Tolek. Przestał już płakać, tylko rozmazane ślady na twarzy świadczyły jeszcze o doznanych emocjach...

— Tylko nie głupi, nie głupi. Sam jesteś durny jak kłoda... Pomyślałem, że skoro już jesteśmy w ruinach, nikt nas nie widział, warto zobaczyć te nasze dawne wejścia, tam, gdzie jeszcze się trzyma trochę murów nad ziemią. Poleźliśmy... Wtedy nas zobaczył ten ciemniak. Stał właśnie w drzwiach swego magazynu, w tej całej części...

— Skrzydle — poprawił Wiesiek.

— Niech będzie skrzydle. Otóż stał w drzwiach i musiał nas dojrzeć przez dziury w murach. Krzyku narobił, pókiśmy się zawinęli; dopadł nas, wytłukł, wykrzyczał, a taki był nastraszony i blady, jakbyśmy nie wiem co mu zrobili. Powiedział, jak jeszcze raz, to nas zabije.

— Zabije — jak echo powtórzył nastraszony Tolek.

Wiesiek w zamyśleniu pokręcił głową. Zastanowiła go wersja o dolnej kondygnacji piwnic pałacowych. Tego by nie przypuszczał. Może to rzeczywiście resztki fundamentów jakiejś bardzo starej budowli, na której nadbudowywano po zniszczeniach wciąż nowe?

— Wiesz, tam na pewno będzie do cholery twoich skorup... Mógłbyś je sobie zbierać, a my z Tolkiem chcielibyśmy znaleźć skarb. Kupiłbym wtedy dla taty jawę, nie musiałby Roman coraz to naprawiać naszego motoru. Kiedyś gadałeś, że ci twoi grabarze z Międzyrzecza,

no, ci od zamku, co tam ryją w ziemi jak krety, przyjadą tu kopać. I że to urzędowo, wtedy można. Więc żeby nie czekać, bo może magazynier wie, gdzie jest skarb, i dlatego taki zły i nastraszony.

— Na pewno. Ja się znam na tym. — Tolek miał minę niezwykle poważną.

— Coś wam powiem, chłopaki... — Stachura zastanawiał się, tarł czoło. — Pomyślę, jak by to wszystko rozwiązać. Skorup w tych podziemiach na pewno nie będzie, ale z punktu widzenia dawnego budownictwa, architektury, kto wie, kiedy wzniesiono tu pierwszą warownię czy tylko siedzibę mieszkalną...

— Co głędzisz, bo mało z tego rozumiem? Mów, jak człowiek — rozgniewał się Benek.

— No dobrze. Zatem nie gadajcie nikomu o dzisiejszej wyprawie. I nie łażcie tymczasem do ruin pałacu. — Widział, że wcale nie są przekonani, więc dodał z uśmiechem: — Mówiliście, że magazynier może się domyślać, że tam ukryte są skarby. Nie trzeba zawczasu go płoszyć.

Benek spojrział na Tolka, Tolek na Benka, pokręcili głowami. Nawet Lubusz pokręcił długawym pyskiem.

— Wiesz, to nawet niegłupie. Ty masz makówkę, Wiesiek. No to idziemy na ryby. Pod bunkry.

— Tylko się nie utopcie.

— Eee, mantyczysz zupełnie jak matka.

Po ich odejściu z zalem złożył tekst pracy Jerzego Nalepy o średniowiecznych źródłach pisanych ziemi międzyrzeckiej. Spojrzenie wybiegło na zielonkawą dziś płaszczyznę jeziora. Wiedział, że to jego ostatnie rybackie wakacje. Może właśnie w tych stronach będzie pracował, chyba nawet na pewno, ciągną go przecież koledzy i przyjaciele ze studiów, ale koniec z sieciami, z ciułaniem groszy na okres zimowy... Cieszyła go ta perspektywa. Kochał te okolice, lasy i wody, w których tyle się nabobrował, ale o ileż więcej porywał go przyszły zawód. Odkrywać w ziemi prawdziwą jej przeszłość, umieć czytać historię ze szczątkowych znalezisk, do faktów z przekazów pisanych dobudowywać świadectwa materialnej kultury. To przecież takie Benkowe szukanie skarbów, tyle że bardziej dojrzałe.

Spojrzał na zegarek. Było wcześniej, zaledwie dochodziło południe. Rankiem spotkał się nad jeziorem z Heńkiem i Romanem, sprawdzali i zastawiali skrzydlaki, liny szły dobrze ostatnio. Są zatem wolni. Trzeba ich namówić na ten Międzyrzecz. Stuknął się w czoło. Właściwie tylko jednego. Malicki na pewno pożyczyci motocykla. Pewnie Roman pojedzie. Coś go gryzie od czasu tej zabawy, sponurzał, zamyślony chodzi, przejażdżka dobrze mu robi.

Zaproponował obydwom, tak wypadło, potem będą się martwić o środek lokomocji. Może ktoś z PGR-u pojedzie, zabiorą się przy okazji. Heniek niechętnie wydał wargi.

— Do Międzyrzecza? A z czym, kiedy mam niecałą stówkę w kieszeni?

— Mówił mi wczoraj Malicki, że przy wypłacie sporo wam kapnie. Motocykl przecież już spłacił — wtrącił Wiesiek. — Po co ci forsa w Międzyrzeczu? Obiad ja stawiam.

— Jedźcie sami, mam inne zajęcia.

Wiesiek zauważył, że Roman drgnął na te słowa.

— A ty?

— Możemy jechać. Motor dopiero jutro potrzebny. Trochę się tylko ogarnę, zawsze to miasto, nie nasze pustkowie.

Szybki był, ani się Wiesiek obejrzał, już „Zündapp” dygotał, podrzucając ich na nierównościach drogi. Gdy wyrwali na szosę, Roman minął domek dróżnika pełnym gazem, Stachura był pewien, iż tylko po to, by z rozpędu wziąć potem stromiznę niebezpiecznych zakrętów., .

Nie minęła godzina, gdy wpadli na kocie łby Międzyrzecza. Solecki przystanął, obrócił się na siodełku.

— Teraz którądy?

— Prosto, przy rynku na prawo, mostek i już jesteśmy w domu.

— Prawda, zamek, ruiny... — rozglądał się Roman.

— Motocykl możesz postawić przed wejściem do muzeum, nikt nie ruszy maszyny. Jest ławeczka, odsapnij, poszukam naszych, jak mówi Benek, grabarzy...

Spokojnie tu było i cicho. Z oddali dobiegał normalny rozgwar sporego ośrodka miejskiego, niósł się warkot motorów samochodowych, jakieś pokrzykiwania. Ale wszystkie te odgłosy przytłumione były i obce, jakby wcale nie tyczyły zacisznego podwórza, z jednej strony zamkniętego murami zamku, z drugiej budynkami muzeum. Wyniosłe drzewa rzucały długie cienie, niżej prześwitywał pomiędzy listowiem nurt wody.

Roman zawrócił drogą, którą przybył, zaraz za mostkiem zбочzył do parku. Woda Obry płynęła leniwie, szeroko rozlana i zamulona, zagubiona i senna w cieniu drzewnych olbrzymów. Mali chłopcy z wędeczkami w dłoniach tropili ukleje i drobne okonie. Jakiś starowina o siwej brodzie kijaszkiem trącał przybrzeżny szlam.

Szedł powoli, mijał rozliczne wózki z dziećmi, posmutniał na widok przytulonej do siebie pary, przesuwał się boczną, cienistą alejką. Wyrosła przed nim druga rzeka, domyślił się w niej Paklicy. W widłach tych rzek rozłożył się zamek. Mocno zniszczony, od dołu wyglądał imponująco. Na nasypie wspinały się masywy z krwistoczerwonej cegły, nawet w blaskach słońca nie tracąc barwy. Z południowego, ocalałego bastionu spłynęło jego imię. Zdziwiony uniósł głowę do góry. Na murze stał Wiesiek z łysawym młodym mężczyzną. Przywoływał go teraz machaniem ramienia.

Zasapał się, nim doznał znów do nich okrężną drogą. Przez ocalałą bramę wszedł do wnętrza zamczyska, stanął zdumiony. Olbrzymi, i głęboki wykop wdzierał się w ziemię, ktoś w nim robił jakieś pomiary, i w górę wędrowało wiadro za wiadrem, zaraz chwytały je inne ręce, przesiewały ziemię ostrożnie jak drogocenny skarb.

— Kawalek roboty, prawda? — śmiał się uszczęśliwiony Stachura. Przedstawiał towarzysza swoim znajomym. Roman nie zdążył nawet spałiętać nazwisk. Kierownik muzeum, Alf, czarniawy o błyszczących oczach Stasiak, jeszcze Zdzich jakiś, kilka dziewcząt, okazało się potem, studentki archeologii na praktyce.

Zdumiony był, że jest ich tak wielu, że ta dziwna nauka przyciąga aż tylu entuzjastów. Przypomniały mu się kpiny Heńka, jego suchy praktycyzm. Szkoda, iż go nie ma, obejrzałby sobie tę warownię zbudowaną przez Kazimierza Wielkiego, wystawioną na miejscu, gdzie już na wieki przedtem wznosiły się drewniane i murowane zabezpieczenia przed wrogiem. Albo gdyby tak ściągnąć tutaj starego Wikswę i innych, którym ciągle krążą po głowie fałszywe pojęcia o poniemieckich ziemiach.

— Dzień dobry.

Na głos Heńka odwrócił się szybko. Zachwycony Wiesiek już biegł do Kubiaka, przedstawiał go rozgadanej grupce.

— Trafiła się okazja z pegeeru, więc zabrałem się z nimi. Niczego sobie jamka — pokręcił głową, łysnął zielonymi jak u kota oczyma.

— Te dolne warstwy, widzisz, tam takie smugi, bardziej jasne lub ciemne, to wiek IX, jeszcze przedpiastowski. W tej znów bastei są ślady późniejszych o niecały wiek umocnień. Usypane wtedy wały ziemne wzmocniane drewnianą konstrukcją wyższe były od dwupiętrowej kamienicy. Zachowały się zbutwiałe i sprasowane warstwy drewna. Oprowadzę was po tym wszystkim — zapalił się Wiesiek.

— Dobra jest, mamy czas. — Heniek nie okazał zbyt wielkiego entuzjazmu.

Obejrzał się za Romanem.

— Wiesz — powiedział zbliżając się — jakiś kuzyn jest u Mątwiąków, dziwnie się kręci przy Agnes. Czy nam już wszystkie babki będą tutaj odbijać?

Zły był. Romanowi, wprost odwrotnie, słowa Heńka przywróciły dobre samopoczucie. Więc jednak nie do Kryski Kubiak się udał, jak podejrzewał, nie do niej. Agnes nic go nie

obchodzi, tu życzy Heńkowi powodzenia.

Oglądali teren prac wykopaliskowych, ciągnących się także i poza obrębem murów zamkowych. W jednym z wykopów doskonale zachowane warstwy drewnianych bierwion wskazywały na kierunek dawnych dróg, inny pozwalał umiejscowić podgrodzie, poprzez setki zaś znalezionych w ziemi przedmiotów wskazywał na ważną rolę gospodarczą Międzyrzecza.

— Na przyszłą wiosnę będziemy kopali w samym mieście, mamy nadzieję na znalezienie resztek słynnego eremu benedyktyńskiego — z ferworem mówił wychudzony kierownik grupy badawczej. — Założył go tutaj na zlecenie Chrobrego w roku 996 święty Wojciech. Kto wie, czy nie dlatego powzięto wtedy myśl budowy grodu i podgrodzia na miejscu poprzedniej osady rolniczej. Odtąd zaczęła wzrastać strategiczna rola Międzyrzecza.

— To wszystko można stwierdzić z całą pewnością? Tak naprawdę bez lipy? — zaciekawiony wreszcie zapytał Heniek.

— Mamy w zanadru większe niespodzianki, ale jeszcze wymagają sprawdzenia. Stąd nasza ostrożność. Taka chociażby rola niecki międzyrzeckiej. Był to najpewniej teren zajęty przez niewielkie plemię słowiańskie, którego nazwa nie dochowała się w źródłach pisanych i które wchłonęło potem tworzące się państwo Polan. Prowadziliśmy wykopaliska także w niedalekim Bobrowym Młynie i w Pszczewie, znajdując tam ślady osad hutniczych. Liczba grodzisk w międzyrzeckim regionie jest wyjątkowo duża, wzdłuż pasma obrzańskich wód po drugą linię rozlewu, bagnisk i lasów od Gościkowa po Bledzew...

— Koło nas — ucieszył się Roman.

— Słuchaj, Staszek, właśnie o tym naszym grodzisku chcę z tobą porozmawiać. — Wiesiek ujął pod ramię młodego kierownika grupy badawczej. — Bo widzisz, tam zdaje się jest czego szukać... Sam bym próbował, ale mi nie zezwolą. Nie wszystkim na miejscu to w smak. Obiecywałeś mi kiedyś, że może chociaż na parę dni...

— Zaraz, zaraz, a jedliście obiad? — rzeczowo przerwał kierownik Wieśkowy monolog. — Wprawdzie u nas biednie, ale coś trzeba wymyślić.

Stachura bardzo był zażenowany, gdy proponował, aby pójść do restauracji przy rynku, on zaprasza.

— Tak dobrze to nie ma — zachnął się Alf z muzeum. — To my was prosimy.

Po dłuższym certowaniu znaleźli się w sporym, nawet przyzwoicie urządzonym lokalu. Heniek przyjrzał się karcie, szepnął do Romana:

— Phi, przy takich cenach to i mnie stać na fundę.

Wstał i trochę konspiracyjnym krokiem pomaszerował w kierunku bufetu. Niedługo kelnerka postawiła na ich stole butelkę wódki. Trochę się gospodarze krzywili, ale nie wypadało odesłać. Ostatecznie wypili z niejaką ochotą.

Staszek, kierownik grupy badawczej, uśmiechnął się do Stachury.

— Mów teraz, Wiesiek, co tam tłumisz w zanadru?

— Grodzisko nasze macie już dawno umieszczone na swoich mapach. Bez dokładniejszych badań nie wiadomo jeszcze, czy wzniesienie nad, samym jeziorem to jakaś dawna wieża strażnicza, czy dorobek późniejszych czasów. Tego zresztą tak się łatwo nie sprawdzi, legenda głosi, że same bunkry na powierzchni to nie wszystko. Miały tam kryć się podziemne pomieszczenia sztabowe, inni jeszcze mówią, że szpital... Dziś wyłoniła się nowa ciekawostka, chodzi o zrujnowany pałac w pegeerze, budynek nie mający zresztą wiele ponad pół wieku, tyle że budowany na starych fundamentach. Otóż kto wie, jak bardzo nawet starych. Rano przybiegli do mnie tacy dwaj mali chłopcy, poturbowani przez magazyniera. Opowiedzieli kapitalną historię...

W skrócie powtórzył przygody Benka i jego kuzyna. Śmieli się z tego trochę. Wiesiek zauważył też, że wzbudziły zainteresowanie. O to mu właśnie chodziło. Może w relacji swojej cokolwiek przesadził, ale czego się nie robi dla dobra sprawy. Roman, który już raz słyszał

całą historię, teraz dostrzegł w niej nowe barwy, bawił go zresztą Heniek, który przechylony do przodu aż się mienił z wrażenia.

Właściwie on jest jeszcze dużym dzieciakiem, mało się czasem różni od Benka, myślał.

Powiódł spojrzeniem po zapełnionej już sali. Przy odosobnionym stoliku pod oknem sylwetka mężczyzny siedzącego razem z przystojną dziewczyną wydała mu się znajoma. Rozbawiony był, opowiadał coś z ferworem swej towarzysze, nalewał wino. Wzniesione kieliszki długą chwilę trzymali przytknięte, patrząc sobie w oczy. Potem mężczyzna zaśmiał się głośno, aż się obejrzeliby goście przy najbliższych stolikach. Teraz go Roman poznał, to przecież doktor Kowalski.

Usłyszał, jak kierownik muzeum szepnął do siedzącej obok studentki:

— Eskulap finiszuje ze swoim narzeczeństwem. Stale teraz widuję ich razem...

Przyjrzał się towarzysze lekarza. Starsza była od Kryśki i na pewno mniej ładna, w każdym razie nie tak już świeża, ale modnie ubrana, starannie uczesana, pierścienie na palcach. Na tym polu Kryśka na pewno nie mogła z nią konkurować.

— Nareszcie wygraliśmy — Wiesiek w porywie uciechy trzepnął go energicznie przez ramię. — Przyjadą do nas... Ale ty zdaje się nie wiesz, na jakim świecie przebywasz.

— Tak jakoś się zamyśliłem — spieszył się, bo i Heniek, i wszyscy obecni spojrzeli na niego.

Doktor Kowalski wychodził wraz z towarzyszką, kłaniając się na prawo i lewo. Przez oszklone drzwi widać było, jak czule ujął kobietę pod ramię.

Grupka archeologów także nie miała już tutaj nic do roboty. U wejścia Heniek zaczął się żegnać, umówił się z kierowcą ciężarówki, nie chciał stracić okazji wygodnego powrotu.

— Wy prędko wracacie? — zwrócił się do Wieśka.

— Niedługo...

Roman miał jednak doświadczyć, co znaczy zadać się z zapaleńcem. Wieśka na siłę nie dało się z Międzyrzecza wyciągnąć. Tyle miał do obgadania, do wywiedzenia się, do pokazania wreszcie Soleckiemu, że godzina mijała za godziną, motor stał przed muzeum, o powrocie nie było mowy.

— Ten drugi budynek muzeum, kończy się teraz jego restaurację, to zabytkowa kasztelania. Niemcy urządzili w niej browar, piwosze nieszczęśni. Łukowe sklepienia, cenne elewacje i browar...

Powoli zapadał zmrok. Jeszcze tylko od zachodu przez drzewa starego parku, pamiętające może czasy kazimierzowskie, kiedy kładziono kamienie węgielne pod przyszły zamek, sączyły się smugi światła gasnącego słońca.

— Mało jest na tych ziemiach miejsc o równie obronnym położeniu, mądrze ufortyfikowanych. Dawny gród, widziałeś, otoczony był olbrzymim wałem, osada przygodowa jeszcze jednym, są wyraźne ślady w bocznym wykopie. Dodaj bagna i wody Paklicy i Obry, wreszcie szeroka fosa. Nieraz tu sobie Niemcy zęby łamali.

— Słuchaj, Wiesiek, noc się robi, nie czas nam wracać? — Roman był już mocno znużony.

— Daj spokój, taka okazja, jeszcze nie widziałeś eksponatów w muzeum...

Solecki nic już nie odpowiedział, westchnął tylko w tym miejscu ciężko.

Sam potem już nie ponaglał, zaciekawiony najnowszymi znaleziskami z wykopów, rozłożonymi w prowizorycznych gablotach. Przeróżne narzędzia, misterne ozdoby kobiece, skórzane nagolenniki, ubrania, pasy. Zatrzęsienie ceramiki z różnych okresów. Zbiór jagiellońskich monet. Roman potrzasał głową.

— Wszystko z tego jednego wykopu?

— Jeszcze masy nie skatalogowaliśmy... Samych szkiców mamy około tysiąca — nie bez przechwałki sapnął kierownik muzeum.

— Za trzy, cztery dni przyjadą do nas. Z oficjalnym pismem zezwalającym na prace

badawcze... Oczywiście, nic wielkiego od razu nie uda się zrobić, po prostu się zewidencjonuje grodzisko. Może w następnych latach — na ogół milczący Wiesiek trajkotał jak najenergiczniejsza przekupka na rynku.

Ledwie wyjechali za granicę, podłużnie w ostrych widłach rzecznych rozsiadłego miasteczka, Roman zatrzymał motocykl.

— O rany — jęknął — na śmierć zapomniałem, że miałem kupić benzynę. Resztkami gonimy. Jeśli nie starczy?

— Będziemy pchali. — Stachury nic nie wyprowadziłyby tego dnia z równowagi.

Jak mógł, starał się oszczędzać paliwa. Z każdego wzniesienia zjeżdżał siłą rozpędu przy wyłączeniu motoru. Opony szumiały wtedy cichutko, daleko biło światło reflektora.

— Dojedziemy? — ze śmiechem pytał co jakiś czas Wiesiek, a Roman trząsał wtedy głową, nie mogąc sobie darować takiego zapomnienia.

Wyrósł przed nimi znak drogowy ostrzegający przed serią pięciu zakrętów. To tutaj wpakował się romansowy kierowca na drzewo, tutaj na punkcie opatrunkowym poznali Kryskę.

Wyłączył motor. Znów zyskają dobre pół kilometra. Zza kolejnego zakrętu światła wyłoniły przytuloną parę. Odsunęli się trochę od siebie, ustępując drogi, a Roman zacisnął zęby i bardziej pochylił się nad kierownicą. To Kryśka, wszędzie by ją rozpoznał. Znów ma jakiegoś adoratora, będzie się z nim całować. Omylił się w ocenie dziewczyny, pustogłów jakiś, mało co warta...

Jaśniejszą plamą zabielał domek dróżnika. Zaraz go wyłowił reflektor. Roman włączył motor. „Zündapp” zaskoczył gładko, zaterkotał. W tejże chwili Wiesiek złapał kurczowo za ramiona kierowcę. Roman zerwał z miejsca na pełnym gazie mijając stojącą u brzegu szosy starą dekawkę.

## ROZDZIAŁ XIV

— Tak cudnie całujesz, Agnes... Skąd ty właściwie to umiesz? Całuj jeszcze...

Zaśmiała się serdecznie. Przytuliła głowę Heńka do siebie.

— Ach, ty głupi dzieciaku. Czyż tych rzeczy trzeba się uczyć?

Spojrzał na nią rozwartymi oczyma, łysnęły intensywną zielenią rozszerzone źrenice.

— Żadna mnie tak nie całowała.

Znów się zaśmiała, ale w głosie jej zabrzmiała lekka uraza.

— Takiś praktyk, jak mówisz... Znałam już wielu podobnych. Krzywisz się, zazdrośnik jesteś? Teraz ciebie tylko całuję, rozchylże usta, zielonooki dzieciaku...

Ten smak jej warg. Chłodne w pierwszej chwili, gdy ich dotykał ustami, a potem tak strasznie gorące. Mocniej, mocniej, niechaj zupełnie już tchu zabraknie, do reszty.

Dyszał ciężko. Jej także na policzki wystąpiły rumieńce, nozdrza drgały, wargi zwierały się i rozwierały od nowa, jakby ciągle nienasycone.

Póллеżeli, wsparci o — czerwonawy o tej przedzachodniej godzinie — pień rozrosłej, wysmukłej sosny. Wąska przecinka rozdzieliała pasmo starodrzewów od młodego zagajnika przetkanego jasnym seledynem listowia brzozy.

— Bardzo mnie pragniesz? — śmiech jej był teraz sztuczny, zupełnie inny.

— Agnes — zachrypiał, przywierając do ust dziewczyny, dłońmi ogarniając jej kibić.

Całował usta, oczy i włosy, przesuwając wargami po kształtnej, pulsującej krwią szyi, wdychał łapczywie zapach jej ciała. A potem dłonie jego zaczęły błądzić po ramionach dziewczyny, zsunęły się na twarde piersi, tuliły je mocno...

Otrząsnęła się nagle z tych rozpalonych dłoni, jakby dla zadośćuczynienia nakryła poca-



łunkami zielone oczy Heńka, po czym wstała otrzepując sukienkę.

Zamarł oszołomiony, pełen zawodu.

— Agnes... Czemu odchodzisz?

— Nie odchodzę. Wstałam po prostu. Patrz, jak ładnie, czerwono słońce zachodzi, wiatr pewnie będzie.

— Ty o wietrze, gdy ja... Kpisz ze mnie, Agnes — ogromnie był rozżalony.

— To nie takie proste, ani ze mną tak bardzo łatwo, dzieciaku. Ciesz się tym co już masz. Na wszystko trzeba zasłużyć — głos jej zabrzmiał ostrzej. — Wstawaj, nie ślimacz już. Bo nie pozwolę ci przyjść jutro na wieżę.

Potrząsnieniem głowy odrzucił włosy do tyłu. Blask zachodu zagrał na ich czerni połyskującą plamą. Ochłonął już, zawiedziony był tylko i zawstydzony własną niezręcznością, tą niedorzeczną rozmową o całowaniu, całą swą naiwnością.

Patrzył na Agnes, jasno oblaną teraz resztkami gasnącego już światła. Mogła się podobać z tą wyzywającą figurą, z trochę kanciastą, ale dobrze ukształtowaną twarzą. Usta, na pewno za duże, kusily zmysłowością. Zbyt małe oczy umiała zręcznie podczernić, stworzyć złudzenie większych, niż były, przez przedłużenie łuków podskubanych brwi.

Mogła się podobać i na pewno niejednemu się podobała. Kryśka była zgrabniejsza, ale nie znać było po niej ani części tej namiętności, którą wabiła Agnes. Umyślnie jeszcze to podkreślała opiętym krojem sukienek, rozcięciami po bokach, dekoltem.

— Długo tak się będziesz gapił?

Podszedł do niej, ramieniem ogarnął za szyję, słyszał o tej ostatniej modzie na zabawę, zdarzała się okazja wypróbowania.

— Bawimy się z sobą, nieprawda, miła?

Strzeliła gniewnym spojrzeniem, w końcu się roześmiała.

— Bawimy. Może nawet za dobrze. Bo w końcu to mi się mocno podobasz. Takich oczu jak twoje u nikogo jeszcze nie widziałam.

Szli skrajem zagajnika, za którym lekką falą szumiało pod wieczór jezioro. Z trzcin dobiegało skrzętne kwakanie moszczących się do snu kaczek, mocnym pluskiem uderzył gdzieś szczupak, cienkim piskiem odezwała się zlatująca do lasu kania.

Dziewczyna przystanęła w pewnej chwili. Z pobliza niosły się już inne, gospodarskie głosy.

— Może byś, Heniek, poczekał tutaj, a potem dokoła ominął naszą chałupę... Jurek krzywo się patrzy, gdy tutaj się płaczesz.

— Ma coś do mnie? O co mu chodzi — najeżył się.

Ucałowała go, w dłonie klasnęła z uciechy.

— Lubię, gdy się tak czupurzysz jak kogut. Nie, nie ma. Mówił, że z waszej paczki ty jesteś najbardziej znośny, z tobą by się można było dogadać.

— To w czym rzecz? Cnoty twojej po bratersku pilnuje? — rzucił brutalnie.

— Dużo go moja cnota obchodzi! Nie włączmy sobie na odciski w tych sprawach. Nie wiem, czego chce. Nie podoba mu się twoje wałęsanie koło naszego domu. Odgrażał się wczoraj. Łaż sobie z nim, i rób, co ci się tylko podoba, ale od chałupy daleko. Bo oberwiecie obydwójce.

— Jaki chojrak!

— Głupi jesteś. W swaty nie pošlesz, żenił się ze mną nie będziesz. Więc nie wszystko ci jedno? Mało jest miejsc, gdzie się możemy spotykać? Las, wieża, łąka — zachichotała, jakby na jakieś wspomnienie. — Nie zima przecież, a lato takie, że nie ma czym we dnie odychać.

Wzruszył ramionami.

— Mam to gdzieś — zaburczał pod nosem. — Właściwie wszystko jedno...

Rozsiadł się wygodnie nad brzegiem jeziora. Nie był zbyt uczulony na urodę pejzażu, a

przecież właśnie nadjeziorne zachody słońca zawsze go rozmarzały. Lubił najbardziej chwile, gdy słońce już zapadło wielką kulą za horyzontem, zgasła nawet wiązka promieni w jego oku, tak jak się to widzi w dzieciennych rysunkach. I tylko barwna plama zostawała w tamtym miejscu na niebie, rzucając kolorowe refleksy na mieniającą się wodę. Zaraz po zachodzie, nawet w najbardziej spokojne i ciche dni, zjawiał się skądś leciutki, delikatny wiaterek i marszczył jezioro drobniutką falą. Od wschodu i północy ciemniało wtedy z każdą minutą, plątały się ze sobą granat i czerń, i srebrna jak na starych sztuccach patyna. W środku wodnego rozlewu woda łyskała jak tkanina dzierzgana czyściutką, srebrzystą lamą. I tylko z zachodu pastelowe pasma od czerwieni przez róż i żółć złociły trzciny i sitowie, zahaczały o wierzchy nadbrzeżnych drzew, rozlewały się delikatną urodą.

Głód mu doskwierał, czas był zmykać do domu. Nie zamierzał przebijać się po ciemku, bocznymi ścieżkami, przewinie się brzegiem jeziora, psów Małwiakowie nie mają, kto mógłby go wypatrzeć?

Pomyślał o dziwnych przestroгах Agnes. Co temu spasionemu osiłkowi przyszło do głowy? Czemu tak mu zależy, aby nie kręcił się właśnie koło ich domu? I bez tego wiadomo na całą okolicę, że kłusuje zarówno w lesie, jak na wodzie. Coś innego? Widział go przedwczoraj, śpieszyli gdzieś z tym Stefanem z PGR-u, który wszczął rozróbę na dożynkowej zabawie. Może zresztą nie w tajemnicy, ale po prostu w niechęci i zapiekłej urazie tamtego gryziopiórka szukać trzeba motywu przestroг Jurkowych?

Pał licho, mam czym sobie zaprzętać głowę, zirytował się wreszcie Heniek. Grunt, że jest Agnes, zginęła nuda, właśnie teraz, gdy skończyli nareszcie z jego głupim pomysłem, aby z rybackich zarobków dwa kawałki odpalić Malickiemu na motor. Zarobili, chłop wziął i podziękował, zaklął się, że o jednym groszu więcej nie chce już od nich słyszeć, siedzieć mogą u niego choćby do zimy. Nie ma teraz obowiązku odłowów, najwyżej z ochoty można wyjechać czasem z sieciami. Niepotrzebnie się Roman wykrzywia. Cóż to, wakacje czy pieruńska jakaś harówka? Musi znaleźć dość czasu, by pogruchać sobie z dziewczuchą. Agnes, ta się dopiero całuje. Jakby całe życie nie robiła nic innego...

Aż się rozgwizdał z uciechy. Trzeba umieć życie układać. Roman w nim wszystko prześlepi. Będzie tęsknił, wzdychał i wyczekiwał, zupełna staroświecczyzna. Czyż nie lepiej po prostu, jakże to mówią, aha, cizia, masz chatę? — i fajrant. Szkło na dodatek dla większej ochoty. A potem cześć, miłe wspomnienie i koniec bajki. Nawet niegłupio.

Zagwizdał mocniej. Bo właściwie trochę mu głupio. Nazbyt tej rozmyślenia widziały mu się cwaniackie. Jakoś tak, cholera, bez sensu. Bo w końcu trzeba o czymś i rozsądniej pomyśleć. Nie zdawać się we wszystkim na tatę. Starego mogą w końcu przyłapać, na techników dentystycznych zawsze milicja ma oko, ojciec zaś rozzuchwalił się już handlem twardymi i miękkimi, jawnie niemal się obnosi z walutą, z ciemnymi jakimiś typami przestaje...

Ciemny kształt nagle wyskoczył mu naprzeciw z zarośli. Cofnął się odruchowo, zaraz jednak rozpoznał Lubusza. Pogładził smukły łeb, przegarnął dłonią po włochatej sierści. Pies wydawał się zachwycony spotkaniem, łasił się, merdał ogonem, zdziwiło jednak Heńka, że coraz to pobiegał naprzód, przystawał, łeb wyciągał w kierunku domu, znów nawracał, jakby miał coś bardzo ważnego do powiedzenia. Wreszcie szczeknął zachęcająco.

Heniek przyśpieszył, co rozradowało Lubusza. Stale już teraz biegł z przodu długi cień, stapiający się z ciemną gęstwą krzaków.

Plaszczyzna jeziora zwięzała się w zatokę zakończoną wodnym przesmykiem z przerzucaną wierzchem prowizoryczną kładką. Heniek zawsze się bał, by po ciemku nie ześliznąć się z wyslizganych bierwion.

— Lubusz, Lubusz — był to głos Benka.

Pies strzałą śmignął do przodu. Heniek włożył dwa palce do ust, gwizdnął przeraźliwie. Odpowiedział mu podobny gwizd. Benek biegł na spotkanie.

— Nareszcie, a ja już głowę tracę, krew ciągle płynie, ani jej zatamować... — głos jego

drżał przejęciem,

— Co się stało?

— Matka po ciemku zawadziła w stodole o jakieś koryto, padając strąciła z belki kosę, ostrze się wbiło głęboko w nogę. Dziura jak diabli. Trzeba po Kryskę.

— A ojciec, Roman?

— Razem z Wieśkiem wyjechali nad wodę, daleko gdzieś, ani ich szukać. Gardło zdarłem na próżno. Węgorze ruszyły, łapią okazję.

Heniek przypomniał sobie, że jeszcze gdy żegnał się z Agnes, słyszał coś jakby wołanie, nie zwrócił jednak na nie uwagi. Pod wieczór pastuchy często wrzeszczeli bez powodu, daleko się niosły ich głosy po wodzie.

Malicka leżała na kuchennym wyrku, przy niej stał wystraszony Tolek. Mimo iż owiniętą płótnem nogę trzymała wysoko wzniesioną do góry, krew wciąż spływała obfitymi strużkami i skapywała na ziemię. Wszędzie w kuchni było jej pełno.

— Panie Heńku, żeby po Kryskę... Może doktora. Bardzo głęboko mi weszło to ostrze. Co będzie? Żeby tak nogi nie stracić.

— Nic, zgoi się, pani Malicka.

Pochylił się, spojrzął, spod świeżej i już zakrzepłej miejscami krwi, aż po piętę, widniała głęboka rana. Krew mieszała się z wodą ze źle wyżętej lnianej szmaty, przyłożonej do rany.

— Jest może jakaś apteczka? — pytał, choć właściwie nie miał zielonego pojęcia, co by należało w takim wypadku stosować.

Potrząsnęła przecząco głową. Błada była, jakby całe życie uciekło jej z twarzy.

— Czego, Heniek, wydziwiasz, siadaj na motor i wal po Kryskę — Benek ostrym szeptem przywołał go do rozsądku.

Zerwał „Zündappa” z miejsca, aż piachem sypnęło spod kół. Od awarii po ochlaju w spółdzielni nie prowadził maszyny. Ogarnęła go radość. Przestał się martwić Malicką, gorzej bywa, na pewno szybko się wszystko zagoi. Kryska da sobie radę, wprawę ma. Bandażuje przecież różnych połamańców poharatanych na szosach.

Kryska. Może i dobrze, że trafia się okazja spotkania z dziewczyną. Ta malowana cwaniara, Agnes, zbyt go podnieciła, to zaś męczyło. Przydałoby się tak parę wieczorów ściskania i całusów z Kryską, dopiero mógłby porównywać, które z dziewczęcych ust lepsze są w smaku... Pewnie, od razu się to nie uda, trzeba będzie wrywać w powrotną drogę do chorej, ale już potem, po opatrunku. Malicka dostanie z pewnością coś nasennego, pęta też będą chrapać, o, wtedy się spróbuje gruchania. Może tym razem będzie jaśnie samarytanka łaskawsza? Roman z Malickim nieprędko wrócą. Mówił Benek, że wiadro rosówek zabrali, na całą noc będzie robota, o świcie zaczną zdejmować węgorze z haków.

Dodał gazu, tak ucieszyła go perspektywa nocy w towarzystwie Kryski.

W tej chwili przyhamował gwałtownie, zarzuciło maszyną, podparł ją nogą. Ostry gwizd lokomotywy, łyskające ślepie, dudnienie pomykających wagonów. Tuż, tuż obok niego! Na śmierć zapomniał o kolejowym przejeździe.

Wygasił motor, otarł gęsty pot z czoła. Teraz go ogarnął paniczny lęk. Czuł, jak dygoce, a mięśnie niezdolne są do żadnego wysiłku. Nie potrafił nawet zwlec się z maszyny, padł twarzą na kierownicę i leżał wstrząsany dreszczami.

Nie wiedział, jak długo trwało, nim wreszcie opanował nerwowy szok, mógł wyruszyć w niedaleką już drogę. Nie w głowie mu była teraz Kryska, nie obchodziła nic Agnes. Jak najprędzej pragnął przywieźć dziewczynę do chorej, a potem położyć się i odpocząć, wydychać bez reszty ten paniczny lęk, z którego ciągle nie mógł się otrząsnąć.

Z ulgą wyjechał na szosę, zatrzymał się przed domkiem dróżnika.

Tam wszyscy już spali. Długą chwilę kołatał do drzwi i bębnił w okno, nim usłyszał ostry głos Brelińskiego.

— To ja, Kubiak, od Malickich. Gospodyni ciężko zraniła się w nogę, przyjechałem po

Kryškę...

Zabłyśło światło. Gospodarz, dopinając portki, wprowadził go do pokoiku, pamiętnego z pierwszej bytności po kraksie „Stara”. Z wnętrza domu dziewczyna wołała, że się ubiera, zaraz będzie gotowa.

Usiadł, ciągle jeszcze pod wrażeniem śmigającej tuż przed nim lokomotywy. Wagony nadal dudniły w głowie. Breliński przyglądał mu się badawczo, wąsy jego podskakiwały, olbrzymiały cieniem na ścianie, jak żuchwy dziwaczного żuka.

— Mileńki, powiedz prawdę — ściszył głos. — Co z Malicką? Nie do życia jej może? Albo już bez nogi została? Takiś biały jak ściana i roztrzęsiony.

— Nie, nie, tam nic tak bardzo poważnego. Kosa ostrzem wbiła się w piętę, krwawi silnie... Ja zdenerwowany jestem dlatego, że jadąc tutaj omal nie wpadłem na przejeździe pod pociąg. W ostatniej chwili zahamowałem.

— Prawda, gwizdało, pociąg szedł. Bieda, uważać trzeba. To może kieliszek?

Nie, czuł w tej chwili obrzydzenie do wódki.

Zawarczał „Zündapp”, ruszyli. Heniek nadal nie mógł się opanować. Żałował, że nie poprosił Kryški o walerianę, podobno takie coś uspokaja. Z goryczą pomyślał, jak go teraz nie ciągnie do tej ani do żadnej innej dziewczyny. Kryška siedzi z tyłu, przy mocniejszych podrzutach na wyboistej drodze obejmuje go ramionami, innym razem rad byłby z tego piekielnie, teraz wcale to go nie obchodziło. Zwolnił. Przejazd, żeby znów się na jakiś pociąg nie napatoczyć...

Chciał teraz spać tylko, spać i spać. Niczego więcej. Odetchnął, gdy w strumieniu światła reflektora pojawił się wywijający ogonem Lubusz.

## ROZDZIAŁ XV

Zmęczony całodziennym pobytym na jeziorze, przybity teraz wypadkiem żony, gorączkowała, ledwie niedawno zasnęła, patrzył na bratanicę strapionymi oczyma.

— Gdzie ja znajdę od razu kogoś do gospodarki? Że to jeszcze węgorsze ruszyły teraz, najlepszy w roku zarobek. Gdybyś ty, Kryška, zechciała pobyć u nas choć parę dni. Może coś się obmyśli w tym czasie? Matka w domu już sobie poradzi bez ciebie.

Nie uśmiechało się jej to, ale trudno było Wojciechowi odmówić. Zawsze się wspomagali z rodziną Brelińskich.

— To jedźmy nie zwlekając. Trzeba w domu powiedzieć, lekarstw trochę też wezmę, kartkę do lekarza napiszę, niech tu zajrzy. Rana głęboka, bez klamer niełatwo będzie się zraścić. Jeszcze temperatura...

Malicki uściskał dziewczynę. Zaraz machnęli się „Zündappem”, było w drewni trochę benzyny.

Roman wyglądał oknem, odetchnął z ulgą na widok odjeżdżającej Kryški. Jednocześnie jednak poczuł serdeczny żal.

Heniek chrapał głośno, spał jakoś niespokojnie, rzucał się na posłaniu. Nie budził go, ganiał w nocy motorem, pomagał przy chorej, coś tam było podobno na kolejowym przejeździe, bąknęła Malicka. Niech śpi, do niczego mu niepotrzebny.

Bolały palce okaleczone od ostrych haków. Niewprawny był w swojej nowej robocie rybackiej. Całą noc przebobrowali, blisko dwa dziesiątki sznurów zaległy w jeziorze, znaczone u końca małymi bojkami. Blisko tysiąc haków. O świcie je zaczęły wyciągać, we trójkę, wraz z Wieśkiem. Rosówek niewiele zostało, trzeba będzie zbierać je na murawie wieczorem gdy zwilgotnieje już trawa. Przywieźli pełną skrzynię węgorszy, śliskie stworzenia wiły się teraz w kaszcie, dwa śnięte przeznaczył Malicki na obiad. Ciekawe, kto go będzie gotował?

Gdy zajdzie potrzeba, sami poradzą, nic strasznego...

Zbaraniał wtedy zupełnie, gdy po wyjściu z łodzi, mokry i zziębnięty nadmiernym chłodem, natknął się na dziewczynę. Stała przed domem, musiała usłyszeć ich głosy. Zatrzymał się jak wryty, mało nie puścił wiadra z resztą rosówek. Pierwsza wyciągnęła do niego rękę.

— Kopęśmy czasu się nie widzieli, od zabawy. Zapomnieliście, chłopcy, o nas?

Dobrze, że nie oczekiwała odpowiedzi, śpiesząc za przestraszonym Malickim.

— Ona śpi teraz — wołała.

Próbował wejść cicho, potracił jakieś krzesło, narobił rumoru. Malicka otworzyła oczy, spojrzała.

— Niezdara ze mnie. Co teraz ty poczniesz z całą gromadą? Mało brakowało, jeszcze z tym Heńkiem mogło być nieszczęście...

Wiedziała od Kryśki, że jakiś czas będzie zmuszona poleżeć, słabo się czuła, noga rwała, ledwie można wytrzymać, kto wie, co jeszcze z tego wyniknie.

Machnął lekceważąco dłonią. Poradzą, niech się martwi o siebie.

— Chodźmy, stryжку, chodźmy — ciągnęła go dziewczyna za poję.

Chora przymknęła oczy. Zmęczenie przewyciężało ból.

Roman czekał na ganku. Dopiero opowiedziała im wypadki minionej nocy. Solecki pomyślał, że wreszcie i Heniek przydał się na coś. Niewiele się przejął jego wypadkiem. Skoro się wszystko dobrze skończyło, to w porządku, nie ma się nad czym roztkliwiać.

— Pójdę trochę się przespać. Gdybym był potrzebny, proszę mnie zawołać.

Stanowczo za spiesznie podreptał po wąskich i stromych schodach na zajmowaną przez nich górkę. Nie krył przed sobą, że ucieka od Kryśki. Ledwo ją zobaczył, już wystarczyło, by budowane przez tydzień postanowienie dania sobie spokoju z dziewczyną zarysowało się na całej linii. Pozostawała tylko ta forma ucieczki. Nie będzie przecież tłoczył się w konkurencji doktora, Heńka, diabli wiedzą kogo tam jeszcze, przy czym każdy z konkurentów był już obdarowany zadatkami. Całuje się na prawo i lewo, może ściska, może pozwala sobie na wszystko?

Zamknięte drzwi nie przegrodziły go od kotłowniny myśli. Zrzuciwszy przemoczone buty dreptał pod popisowe chrapanie Heńka tam i z powrotem po pokoiku, nasłuchiwał, co się dzieje za oknem. Kryśka w pobliżu, a on od niej ucieka. Czy to ma sens? Heniek zaraz by próbował podbojów. Jemu wszystko jedno, Agnes, Kryśka, jakaś tam Zośka z Poznania, byle niebrzydka była i zgrabna. Całą noc spędzili wraz z Kryską, bo nie sposób uwierzyć, aby dziewczyna bez przerwy siedziała u chorej. Malicka na pewno trochę spała i w nocy, mogła otrzymać lekarstwo na sen, Kryśka ma takie w torbie sanitarnej... Tak, gruchali z Heńkiem na ganku, byli we dwójkę, noc ciepła, spokojna, łatwo wtedy o nastrój. Najpewniej znowu się całowali, może litowała się nad nim, że to o mało katastrofie nie uległ, sama mogła podsuwać usta do pocałunku, Heńkowi zaś czegoś takiego dwa razy proponować nie trzeba.

Właśnie zachrapał głośno. Roman spojrzał na niego ze zrodzoną z nagła niechęcią. Pętał, ale szczwany jak ostatni lis. Jak go matka i ojciec wychowali? Zajęci pewnie byli jedynie robieniem forsy, wspominał Heniek coś o tym, chłopak sam sobie układał życie. Naprawdę cwaniak, wszystko sobie ułatwia, nie komplikuje spraw. Jak on chociażby. Bo i co teraz? Będzie tu siedział na stryszku, jak borsuk w norze, unikając spotkania z dziewczyną? To wcale nie takie proste. Muszą się spotykać, chyba że ona powróci do domu.

Jakby w odpowiedzi tym jego myślom zawarczał „Zündapp”. Kryśka zgrabnie wskoczyła na tylny siodełko.

Ulga i żal. I jeszcze niesmak w stosunku do siebie samego. Zawsze się musi wygłupić. Stał tu, dreptał dobrą godzinę, aż deski podłogi skrzypiały, liczył anioły na łebku szpilki, gdy sprawa tymczasem rozwiązała się sama przez się w najbardziej naturalny sposób. Zrobiła opatrunek, nic chyba groźnego, pojechała z powrotem. Może zajrzy dziś jeszcze czy jutro, ale mogąc się tego spodziewać, wcześniej wymknie się na jezioro i koniec. Ach, dosyć tych roz-

myślań, pora się już położyć.

— Roman? — ledwie usiadł na łóżku i zaczął zdejmować spodnie, usłyszał nabrzmiąły snem głos kolegi.

— Śpij, czego chcesz?

Heniek oprzytomniał, podniósł się, Roman teraz dopiero ujrzał jego ściągniętą twarz i niepokój w tak zawsze buńczucznych zielonych oczach.

— Łatwo powiedzieć, śpij, kiedy ledwie się zdrzemnę, zaraz najeżdża na mnie ta pierońska lokomotywa! Nigdy w życiu nie miałem podobnego pietra. Nigdy — wstrząsnął się.

Roman złapał się na tym, że patrzy na Henka obojętnie, jak na jakiś trochę ciekawszy zoologiczny okaz.

— Trzeba uważać na drogę. Są znaki. Kto się pakuje na przejazd, nie sprawdzając, czy tor jest wolny?

— Zdarzyć się może każdemu... Nie o to chodzi, możesz mi wlepić mandat, ale o to, że się nie mogę otrząsnąć z wrażenia. Tak blisko przegnała, aż mnie smarem i bryzgami wody oblała, czy może pary, było gorące. Jakby diabeł rozwarł czerwoną, syczącą gębę.

— Kryśka nie mogła cię uspokoić? Całą noc byliście sami — nie wytrzymał, musiał mu to powiedzieć,

Heniek zamilkł, wytrzeszczył szeroko oczy, potem zaśmiał się przeciągle, z ironią.

— Zastanawiałem się, czemuś taki cierpki jak ocet. Teraz rozumiem. Tu cię boli. Owszem, jadąc po Kryśkę, myślałem nieco o tej dziewczynie. Ale potem ani mi było to w głowie.

Przyjrzał się Romanowi uważnie. Pokręcił głową.

— Nie rozumiem ciebie ni w ząb. Powiedziałeś, że nic ona cię nie obchodzi. Nie widujecie się od tamtej zabawy, diabli wiedzą, co między wami zaszło. Ale jednocześnie niech się tylko ktoś do niej podsunie, skaczesz jak żbik, gorzej, jak przydeptana żmija. Kochasz się w niej czy nie kochasz? Jeżeli tak, nie mnie pilnuj, ale tego doktora z Międzyrzecza. Mnie na tymczasem wystarczy Agnes.

Solecki opuścił głowę.

— No co, Roman? — ton Kubiaka był teraz miękki, niemal serdeczny.

— Masz rację. Tylko że nie tak łatwo wszystko jasno określić. Mnie ona jednak bardzo, bardzo obchodzi.

Powiedział to tak cicho, aż się Heniek musiał przechylić, aby usłyszeć.

— Widzisz, ja jestem inny facet. Nie lubię wszystkiego brać na poważnie. Dlatego nie zawsze się rozumiemy... Chciałbym ci pomóc. Wiesz, Roman, dziewczyny nie lubią, jak ktoś jest niezdecydowany. Trzeba trochę więcej energii. A ty się mazgaisz.

— Muszę jeszcze to przemyśleć. Tymczasem nic nie rób, nic. Jutro, pojutrze może jeszcze to obgadamy... A tym wypadkiem nie przejmuj się. Bywa. Szczęście, że nic się nie stało. Przejdzie ci, na przyszłość będziesz bardziej uważał.

Heniek zamruczał tylko, zawinął się szczelnie kocem, odwrócił do ściany. Szkoda gadania — myślał. Wariat jakiś, romantyk, wzdycha i czeka, aż mu ktoś sprzątnie dziewczynę spod nosa. Ma swoje kłopoty, co się nim w końcu będzie przejmował? Każdy sobie rzepkę skrobie.

Zaraz znowu zachrapał.

Nie obudził go nawet warkot motoru. Roman leżał, sen jakoś nie nadchodził. Zdumiał się, gdy z podwórza usłyszał głos Kryśki. Wróciła jednak?

Bez pukania, jak to on zawsze, wpadł Benek.

— Wiesz, Kryśka zostaje u nas. Będzie gospodarzyć, dopóki mama jest chora. Tolek w strachu, bo oni z Kryśką zawsze się żrą, ale znajdzie się sposób i na nią. Jakby coś, powiemy wszystko, że ona z doktorem. Będziesz spał, Roman?

— Idź do jasnej cholery!

Benek znieruchomiał, po dłuższej chwili wyciągnął w stronę Romana czerwony język. Po wyjściu tak skomentował wydarzenie oczekującemu go Tolkowi:

— Romanowi na głowę coś padło, jak się dowiedział o Kryśce. Musimy jej to powiedzieć.

Solecki ciężko westchnął.

Po godzinie, rezygnując z wypoczynku, ubrał się i zszedł na dół. Malicki odjechał, zależało mu, aby żywe węgorze dostarczyć jak najszybciej do bazy. Skoro była Kryśka, o dom już się nie niepokoił. Malcy hasali na łące wyławiając tam żaby dla żółwi. Benek głośno marzył, że musi jeszcze powiększyć skorupią gromadkę. Kto wie, może będą młode. To by dopiero był sukces.

Roman wahał się, potem porwał za spinning i szybkim krokiem zmierzał do pomostu, przy którym stały przycumowane łodzie.

— Roman, ładnie tak? Nawet nie pomożesz mi przenieść cebra?

Uśmiechnęła się stojąc w progu. Zaczerwieniony, jak sztubak złapany na pokazywaniu nosa nauczycielowi, zawrócił do niej. Zanieśli ceber do obory. Kryśka wytarła ręce w fartuch, spytała prosto:

— Czemu ode mnie uciekasz? Gniewasz się o co?

— Tyś z zabawy też wtedy uciekła...

— Byłeś zbyt natarczywy — zaśmiała się, zniżyła głos. — Nie miałam ochoty na pocałunki.

Czuł, jak ogarnia go rozdrażnienie. Jednocześnie patrząc na dziewczynę myślał, jaka ona ładna i zgrabna. Te jasne włosy, lekko ściągnięte w grymasie usta, szybki oddech, znaczący się falowaniem piersi pod cieniutką bluzką.

— Ciotka mi się nie bardzo podoba. Gorączka spadła, ale noga krwawi pomimo opatrunku. Bardzo głębokie cięcie. Może doktor Kowalski przyjdzie wieczorem, coś wtedy zaradzi. Klamry by się przydały...

— Od razu skorzystałaś z okazji, aby go tutaj ściągnąć.

— No pewnie... A tyś co myślał?

— Nic, nic. Pomóc ci może w czymś jeszcze? Bo się wybieramy na ryby.

— Dziękuję — powiedziała zimno. — Obiad będzie jak zawsze, po trzeciej.

Wcale nie miał na łowienie ochoty. Trochę siekł wodę spinningiem, ale parno było, jasno, szczupaki o tej porze niechętnie brały. Jakiś śledź mu się zerwał, potem nie było już nic. Zwinął wędkę i siedział na łodzi wtulonej w trzciny. Przed trzecią był w domu. Heniek rozgościł się w kuchni, przekomarzając się z Kryską. Roman powiódł po nim piorunującym spojrzeniem. Kubiak nie potrafił się pohamować, wybuchnął serdecznym śmiechem. Obaj malcy wpadli do kuchni, patrzyli zdziwieni na tak odmienne nastroje swych starszych przyjaciół. Benek w końcu pokiwał głową.

— Widzisz, Kryśka, to przez ciebie — powiedział. — Przedtem z Romka był równy chłopak. Dopiero jak się w tobie zakochał, coś go tak odmieniło.

Heniek aż paznokcie wbijał w dłonie w przystępie wesołości.

— Ja ci powiem — zabrał teraz głos Tolek. — Myśmy z Benkiem wszystko już obgadali. Rzuć tego doktora w diabły. Z niego nie będziesz miała pociechy. Wczoraj mówił rządca do agronoma z Międzyrzecza, że Kowalski pewnie niedługo będzie się żenił. Kazał teraz odnawiać mieszkanie... Widzisz sama, że lepiej byłoby się całować z Romanem. Patrz, nie klawy to koleś?

Ledwie umknął spod wyciągniętej w pasji ręki Soleckiego.

— Tolek, chodu! — Benek pierwszy zorientował się w sytuacji. Sekunda i już ich nie było.

Dziewczyna miała pełne oczy łez, czerwona jak świeżo ugotowany rak, stała przy płycie z opuszczonymi bezradnie rękami. Heniek tarzał się w śmiechu po ławie.

— Nie zwracaj, Kryśka, uwagi na wszystkie te brednie — powiedział Roman z wielkim wysiłkiem.

Heniek wytrzeszczył oczy widząc, jak Solecki porywa za czapkę i wybiega z kuchni. Wzruszył ramionami, także się wyniósł. Kryśka była gotowa do płaczu, on zaś nie lubił dramatycznych scen. Pomyślał, że lepiej dać temu wszystkiemu spokój i wybrać się po obiedzie na wieżę do Agnes. Bestia, jakże go wczoraj drażniła, mówiąc, że naga leży na tej wartowni...

Obiad minął w napiętym nastroju. Malicki zdumiony wodził po nich wszystkich nierozumiejącym spojrzeniem, ale nic nie powiedział.

Roman zaraz się wyniósł na górkę, gdzie leżał w bezsilnej złości. Pod sam zachód z terkotem nadjechała stara dekawka. Wszystko rozwijało się według planu, był już i doktor na miejscu.

Gorączka opadła Malickiej zupełnie. Była tylko osłabiona wskutek upływu krwi. Krzyknęła kilka razy przy przemywaniu rany i zakładaniu klamer.

— Za tydzień będzie pani już chodzić. Ja tu zajrzę za parę dni. W razie czego panna Krysia da znać, jesteśmy przecież zawsze w kontakcie.

Malicki ugościł lekarza kieliszkiem wódki pod smażonego węgorza. Trzy opasłe sztuki podarował w związanym worku. Kowalski był z tego prezentu bardzo zadowolony.

Zmierzchało już. Doktor zabierał się do odjazdu. Zajrzał do wnętrza wozu, zrobił zaafektowaną minę.

— O licha, zużyłem wszystkie bandaże, nie będzie pani miała na zapas... Wiozłem cały pakiet, właśnie na punkt, przez pomyłkę musiałem zostawić u pani w domu. Co robić? Chyba pojedę i przywiozę? A może przejedziemy się razem?

Skinęła głową, z niepokojem zerkając ku otwartemu oknu, wydało się jej bowiem, że dochodzą stamtąd podejrzone chichoty.

Dekawka zapaliła z trudem, prychając i krztusząc się. Zostawiając za sobą kłęby dymu, ruszyli wreszcie. Roman z ponurą miną, skryty za framugę obserwował ich.

Gdy pykające podejrzenie auto zniknęło za konturami zagajnika, zszedł na dół i pomaszerował na pomost. Tam przysiadł, nasłuchując odgłosów z jeziora. Chłopcy wybierali się z ojcem na zbieranie rosówek. Błyskały ognie latarek.

Potem usłyszał głos Kryśki. Zdziwił się, dlaczego wraca sama, nie odwozi jej Kowalski, jak zapowiedział. Zaraz na całe gardła rozdarli się Benek i Tolek:

— Roman! Roman!

Niechętnie się podniósł. Speszona Kryśka podeszła do niego.

— Auto stanęło, doktor nie może się połapać, w czym rzecz. Bardzo prosi, czy jako fachowiec nie zechciałbyś mu pomóc.

— Sam nie mógł się zjawić, koniecznie przez posty? — burknął z urazą.

— Chciał, ale powiedziałam, że i tak wracam do domu, stryj jutro przywiezie mi opatrunki, więc został i szuka przyczyn defektu.

— Benzyna nie w porządku — mruknął.

Benek z Tolkiem szturchnęli się pod boki, zachichotali. Oczywiście pobiegli z nim razem, taka okazja, reperacja samochodu.

Doktor był niezadowolony. Miał ważną sprawę w Międzyrzeczu, tymczasem wszystko w motorze się pokiełbało.

— Wytrzymałem pewnie wóz na tych wybojach — sarkał. — Więc gdyby pan był tak łaskaw...

— Ma pan zapas benzyny?

— Cały kanister.

— Proszę opróżnić bak. Ta jest nic niewarta, dostała się do niej woda.

— Woda? Wczoraj kupowałem paliwo w Międzyrzeczu. Dziwne.

— Zdarza się, mogła się dostać woda do zbiornika na stacji benzynowej.



Benek i Tolek w milczeniu przyglądali się operacji. Po zmianie benzyny motor zagrał bez przeszkód. Gorzej było z regulowaniem sprzęgła. Roman znalazł dwie rozkręcone mutry, pośród narzędzi doktora brakowało jednak odpowiedniego klucza.

— Chłopcy, na jednej nodze, ale już, proszę przynieść narzędzia. Gazem.

Chichocząc kropnęli się z miejsca.

— Musimy czekać — powiedział Roman, przysiadając na trawie.

— Pan jest mechanikiem? — podtrzymawał rozmowę Kowalski.

— Tak, trochę...

— Bo ja się na tym nie wyznaję ni w ząb. Przykro mi, ale właśnie dlatego musiałem pana fatygować.

Roman nie odpowiedział.

— Że to aż taki zbieg okoliczności. Zła benzyna, świeca, jechałem na jednej, nie od razu pojąłem, czemu mi tak źle ciągnie, myślałem, że to przez to kasłanie. Albo mutry przy sprzęgle. Tydzień temu dawałem wóz do przeglądu, stary grat, trzeba o niego dbać, nie tak szybko będę mógł sprawić sobie coś lepszego... Dziwne to, wszystko od razu.

— Mnie pan chyba nie podejrzewa? — natarł na niego.

— Ale skądże. Nikogo nie podejrzewam. Gadam tak, bo zły jestem, mam spotkanie w Międzyrzeczu — ściszył głos do konfidencjonalnego szeptu. — Z dziewczyną, między nami zaś mówiąc, z narzeczoną.

— Czemu to między nami?

— Bo po co wszyscy mają o tym wiedzieć? Przyjdzie odpowiedni! czas, rzecz się rozniesie i tak. Proszę nikomu też nie wspominać. Nie chciałbym...

— O pannę Brelińską pewnie panu chodzi?

— Brelińską? Ach tak, o pannę Krysię, zapomniałem na amen jej nazwiska. Właśnie. Bo to ktoś mi kiedyś podszeptał, chyba jednak nieprawda, że ona jakby trochę podkochuje się we mnie. Więc po co by się miała zamartwiać, wie pan, głupio jakoś.

Roman zacisnął pięści. Boże drogi, z jakąż ochotą huknąłby tego mydłka przez łeb. Bawidamek, amator całusów i może nie tylko całusów. Zwodzi dziewczynę, świnia po prostu. Tamtą też zwodzi. Ładny narzeczonny. Ej, tylko by mu tak zawinąć od prawa, ażeby nogami się nakrył.

Przemógł się, zapytał nieswoim głosem:

— To pan ma narzeczoną? Wysoką, postawną, ładnie ubraną, z pierścieniami na palcach, szatynkę?

— Tak, zna ją pan może? — zdziwienie w głosie.

— Nie. Jak pan to godzi, zaręczony i te romanse na boku? O pannie Krysi pan mówił. Widziałem tydzień temu, szliście szosą, przytuleni, jakby też narzeczeni. — Narastała w nim pasja, głos nie był już zimny, drgał namiętnością. Kowalski słuchał zdumiony, coś go ostrzegło przed tym młodym mężczyzną. On zaś mówił dalej: — Ludzie opowiadają, że ona podkochuje się w panu... Ludzie! Sam pan bałamuci biedaczkę! To draństwo.

— Proszę pana, ja sobie stanowczo wypraszam.

— Ja też sobie wypraszam, nic mi do pańskich zwierzeń.

— Nie przypuszczałem, że w stosunku do panny Krysi jest pan aż tak zaangażowany. Ja mogę ustąpić, i owszem, nawet ułatwi mi to sytuację.

— Świnia z pana, doktorze. Ułatwi panu sytuację! Nie, ja jej panu nie będę ułatwiał. Niech pan sam wyplącze się z tej kabały. Zwracam tylko uwagę, że nie pozwolę tego zrobić z krzywdą Kryski. Bo wtedy inaczej pogadamy.

— Proszę mi nie grozić.

— Nie grozę, ale zapowiadam. Czy zaś mnie coś łączy z dziewczyną, czy nie, to pana guzik obchodzi.

— Hop, hop! Są już klucze — chłopcy wyłonili się z cienia.

— Dawajcie je tutaj — chmurnie powiedział Roman. Szybko wyregulował sprzęgło, zakręcił starannie śruby.

— Może pan jechać, w porządku. Naszą rozmowę proszę zapamiętać i treść jej zostawić dla siebie.

— Dziękuję za naprawę i pouczenie. Należy się panu coś? — strzelił doktor zjadliwie.

Roman wpakował ręce do kieszeni. Bał się je trzymać na wierzchu. Przybliżał się do lekarza.

— Coś pan powiedział? Proszę mi to raz jeszcze zaproponować.

— Przepraszam — Kowalski uznał, że zagalopował się zbyt daleko. Wołał zrejterować.

Wóz ruszył szybko, człowiek za kierownicą musiał być mocno zdenerwowany, jeżeli na wyboistej drodze wyciągał wyżej siedemdziesiątki, tak się przynajmniej Romanowi zdawało.

— Świnia — mruknął, zapominając o obecności chłopców.

— I jaka jeszcze! — z przekonaniem powiedział Benek. — Nie możemy go więcej dopuścić do Kryški, nie tak, Tolek?

— Zostawcie nie swoje sprawy, smarkacze! — krzyknął.

Uspokoił się. Zostali z tyłu. Zaraz jednak usłyszał ich chichoty i zduszony śmiechem szept Benka:

— Aleśmy z tym autem dobrze mu zmajstrowali. Tak ze dwa razy jeszcze, przestanie się tu wałęsać...

## ROZDZIAŁ XVI

Malicki wraz z Heńkiem i Stachurą oczekiwali niecierpliwie Romana, wolno wracającego do domu po starciu z doktorem Kowalskim.

— Najwyższy czas, chłopaki. Trzeba łapać okazję. Węgorze łakomią się tak na sznury przez tydzień, dwa najwyżej. Dobrze, że Wiesiek postarał się o rosówki, zabrakłoby, bo te huncwoty zamiast zbierać, musiały pognać do dekawki.

Pojechali w dwie łodzie. Roman tak manipulował, aby znaleźć się razem z Wieśkiem. Nie zniósłby w tym nastroju cwaniactwa Heńka, jeszcze by doszło do spięcia. Jakoś bojowo był nastawiony. Benek też z nimi się zabrał. Tolek i Heniek wyruszyli z Malickim.

Przypadły im do smaku węgorzowe połowy. Nic, że męczące. Noc na jeziorze wabiła mrocznym urokiem, płasaniem świateł i cieni na lekkiej fali, pogłosami idącymi z gęstwy trzcin i od lasów, tajemniczymi pluskami ryb. Długie sznury, nadziane u haków rosówkami, zanurzały się w wodę i tylko małe boje znaczyły ich ślad. Nad ranem znajdowali je nieraz w zupełnie niespodziewanych miejscach, zwłaszcza jeżeli zlakomiło się na robaki więcej węgorzy.

Słońce stało wysoko, gdy wreszcie skończyli robotę. Połów był marniejszy niż minionej nocy. Malicki kręcił głową.

— Trzeba stawiać skrzydlak na rzece, nie ma rady... Gdzie się też mógł tamten sznur podziać? Chyba go ten Mątwiak nie ukradł, żaden złodziej nie grasuje na swoim podwórku...

— Jaki sznur? — zainteresował się Benek.

— Wczoraj zginął nam jeden. Myślałem, że dzisiaj znajdziemy, ale nie... Miał taką boję na biało pomalowaną.

— My poszukamy, tato, prawda, Tolek?

— Szukajcie, szukajcie. Dostaniecie na lemoniadę.

Kryška czekała od dawna z jedzeniem. Wyspała się, bo Malicka czuła się lepiej, nie miała przy niej nic do roboty. Zarumieniona i świeża, z uśmiechem spoglądała na zmordowane połowem bractwo. Potem jednak przygasła, widząc ponurą minę Romana. Wyraźnie unikał

jej wzroku, zaraz po śniadaniu poczłapał na górkę.

— Co mu jest? — zwróciła się ściszym głosem do Heńka.

— Ja wiem? Pogadaj z nim...

Kopiąc się pod stołem chłopcy mrugali na siebie zawzięcie. Dopiero gdy odszedł Malicki, Benek wystrzelił:

— On się wczoraj pokłócił z doktorem. Gdy wróciliśmy z narzędziami, chodzili koło siebie jak dwa wilki. Jeszcze ten doktor pytał, ile ma Romanowi zapłacić, świnia taka.

— Benek!

— A bo nieprawda? Zawsze musisz bronić tego Kowalskiego. Czekał, tak mu zmajstrujemy dekawkę, że jej w ogóle nie pozbiera do kupy. Na piechotę nie będzie do ciebie latał i wreszcie będzie spokój — naczupurzył się Tolek.

Heniek śmiał się bezczelnie, mrugał do Kryśki, szokując jeszcze bardziej i tak zmieszana dziewczynę.

— Uważaj, Krycha — powiedział. — Jeszcze się twoi adoratorzy pozabijają na amen. Widzisz, coś narobiła?

— Bo ty chcesz od razu i z jednym, i z drugim — poparł go po swojemu Benek.

Już nie tylko twarz, ale szyja cała i kark zrobiły się jej czerwone jak dojrzałe borówki. Zakrywając oczy dłońmi, wybiegła z kuchni. Heniek zagwizdał cichutko.

— Tolek, chcesz spać? — zagadnął Benek kompana, gdy pozostali już tylko we dwójkę.

— Pewnie — ziewnął.

Benek wykrzywił się pogardliwie.

— Zupełnie jak stary przyk. Bo ja to nie. Jadę na wodę. Pod bunkry. Zastawię żywcówki, przywiążę sznurkiem do nóg i spać będę na brzegu. Jak szczupiec chwyci, od razu poczuje. W betach mam gnić, gdy na dworze taka pogoda?

— To jedziemy razem. Pod bunkry... — tej pokusie Tolek nie potrafił się oprzeć.

— Może znajdziemy ten zagubiony sznur. Węgorze na pewno zaciągnęły go w trzciny.

Nawet buńczuczny Benek jednak miał dosyć, gdy przybili wreszcie łódką pod przeciwległy brzeg jeziora. Słońce piekło mocno, rozleniwiło, senność sklejała oczy, coraz to któryś podrywał głowę, opadającą bezwładnie na piersi.

— Deszcz pewnie będzie — Benek nadrabiał miną, ale na Tolku nie czyniło to żadnego wrażenia.

Zatrzymali się z lewej strony pionowej płaszczyzny obrosłej krzewami góry, opadającej w mroczną toń jeziora. Nie mieli odwagi ryzykować dzisiaj jak kiedyś, by łowić trzymając się niepewnego obwisu. Dodatkowo jeszcze kusiła zielona murawa łąki. Leniwie rozwijali żywcówki. Tolek zagapił się w mroczną, zacienioną wodę. Bał się tej głębiny pod bunkrami, zarazem pociągała go nieodparcie, kusiła tajemnicą bardziej aniżeli piwnice starego pałacu. W pewnej chwili wydało mu się, że obok spłachcia kory kołyszącego się na fali wyziera coś białego. Przyjrzał się, zemocjonowany szturchnął Benka.

— Patrz, boja!

Tak, nie ulegało wątpliwości, była to boja od zaginionego sznura. Benek odrzucił żywcówki, już się gramolił do łódki. Tolek jednym susem skoczył za nim. Odeszła im zupełnie ochota do snu.

Wiosłowali bez szmeru. Potem Benek wychylił rękę, mocno szarpnął boję ku sobie. Nie wyczuł oporu.

— Czyżby zerwały? — zdziwił się.

— Zwijaj, masz, tutaj jest deska — Tolek podsunął mu deskę.

Miny mieli rozczarowane. Zapowiadała się taka frajda, tymczasem wygląda, że będzie najwyżej guzik.

Ledwie jednak Benek zaczepił pierwsze haki o deskę, szarpnęło sznurem tak mocno, aż

łodzią zachwiało.

— Trzymaj, trzymaj! — wrzeszczał Tolek.

Benek ciągnął sznur obu rękami. Któryś z haków wbił mu się w ramię, wyszarpnął nie zważając na ból. W wodzie szamotało się i kotłowało, aż fale wybijały na powierzchnię, strumieniem pękały pęcherzyki powietrza.

Ukazał się pierwszy węgorz, średnich rozmiarów, nie on wojował tak mocno pod wodą. Benek próbował rybę odczepić. Wyślizgiwała mu się z rąk, zrezygnowany rzucił ją na dno łodzi. Trudno, popłaczą się sznury, ale tam czeka ich wielka szansa. Może sum, jak wtedy, w skrzydlaku? Oby nie zerwał, haka nie rozprostował.

Pod powierzchnią wije się coś nagłymi skrętami, opiera, nurkuje w głąb. Benek szarpie, nogami wpiera się w burtę, Tolek spieszy! z pomocą.

— O rany!

Węgorz, nie widzieli jeszcze takiego. Grubości ludzkiego ramienia, krótki, pękaty. W łodzi odbija się o dno, podskakuje wysoko, próżno! Tolek chce go przytrzymać. Sznur w wodzie nadal wiruje szaleńczo, chybocze ze strony na stronę. Benek ma ręce pokrwawione od haków, nic, ciągnie, ciągnie. To dopiero emocja! Jak dobrze, że nie poszedł spać i namówił Tolka na tę wyprawę. Sznur robi wrażenie, jakby jego koniec znajdował się gdzieś daleko pod urwistym nawisem brzegu, pod gęstwą zwisających krzewów i łożianów o szerokich jak parasole liściach.

Dwa węgorze, na przyległych hakach, normalne, ale to przecież niej koniec. Okoń, nieduży, żarłok, jeszcze mu rosówka sterczy z gardzieli. Znów węgorz, ile ich będzie, dopiero początek sznura...

— Szczupak! — wrzeszczy Tolek.

Benek wrzuca go do łodzi nagłym podrzutem. Widzi, że ryba nie jest ucepiona za hak. Z paszczy szczupaka sterczy okoń tej wielkości jaki dopiero co wyciągnięty. W łodzi okoń w części już strawiony zostaje na haku, szczupak tańczy w przedśmiertnych podrygach.

Za burtą jakby się uspokoiło. Benek spokojniej wciąga linkę, uważa na puste haki, obzarte z rosówek przez drobiazg rybi. Węgorz, nieduży, osłabł zupełnie, nie stawia oporu. I nagle od nowa kotłuje, pieni się. Łyska w niej żółtawy brzuch. Z dudnieniem spada nowy olbrzym do łódki. Tolek z przejęcia aż gębę otwiera. Ten także gruby na ramię, większy nawet od pierwszego okazu. To ci dopiero frajda, ależ jest tego! Nie ma to, jak łowić pod bunkrami.

Dalsze dwa węgorze ukoronowały połów, ale nie odbiegały od średnich wielkością w jeziorze. Usiedli spoceni, zmęczeni wysiłkiem, spoglądali na siebie z triumfalnymi minami. Benek liczył wijące się cielska.

— Piętnaście. Rozumiesz, piętnaście na jednym sznurze. Jeszcze szczupak i okoń.

— Te dwa starczą za dziesięć — wtórował Tolek.

— Ganiamy do domu! Ojciec musi nam odpalić z pięć dych, inaczej zrywamy spólkę. A po obiedzie znów płyniemy pod bunkry!

Chęć pochwalenia się zdobyczą dodała im nowych sił. Ani się spostrzegli, jak wpłynęli na przesmyk. Z daleka podnieśli taki wrzask, aż się wszyscy zbiegli nad wodę. Malicki zdumiony oglądał zdobycz, zaraz zabrał się do odczepiania jej z haków, zrećźnie mu szło. Wrzucione do kaszty węgorze odżywały, wiły się w wodzie od ściany do ściany, szukając wyjścia. Dwa olbrzymy gospodarz poniósł do wagi. Oczom nie wierzył.

— Prawie pięć kilo, drugi cztery. Rekord, jeszcze takich nikt tu nie widział. Pod bunkrami, mówicie?

— Pod bunkrami. Tam zaciągnęły sznur. Tata, żeby tak siecią; sumy, szczupaki zawsze zrywają sznur, takie wielkie konie. Musisz nam za ten połów stówkę odpalić, chcemy kupić dobre latarki.

— Dobrze, dostaniecie. Zasłużyliście.

— Hura! hura! — obtańcowywali rybaka.

Zaraz po południu, wciąż niewyspani, wymknęli się znów na wodę. W łodzi wieźli ze sobą pęk linek z drutu, zakończonych specjalnie hartowanymi hakami. Obok leżały kamienie i boje.

— Wiesz, nasze żywcówki zostały na brzegu przy bunkrach — przypomniał Tolek.

— Wiem. Będziemy na nie łowić, żaby zastawimy dopiero pod wieczór. Sum tylko nocą żeruje...

Pociągała ich głębia pod bunkrem, jeszcze teraz, gdy przekonali się, czego można w niej oczekiwać. Wyobraźnia przywodziła im przed oczy wspaniałe okazy szczupaków i sumów, starych, pokrytych śluzem i namulem żarłaczy, tłustych węgorzy, okoni, jakich nikt jeszcze na jeziorze nie widział. Trzeba tylko znaleźć odpowiedni sposób na każdą z tych ryb.

Czas mijał, Benek drzemał na swej ławeczce, dopiero na gorący szept Tolka otworzył oczy, dostrzegł kątem oka szybujący w głębinę pławik, podciął z nadzieją w oczach. Szczupak łatwo dał się wywindować, niewielki był i wychudzony. Zawiedzeni spojrzeli po sobie.

— Pół kilo najwyżej — skrzywił się Benek. I nagle mu oczy zabłyśły. — A gdyby, gdyby go założyć na żywca? Tylko hak w wędce zmienić, dać któryś z tych przeznaczonych na sumy? Jeżeli tu są żarłaczce, złakomi się taki od razu, będzie to dla niego zaledwie przekąska.

Zapalili się do projektu. Uczepiony za grzbiet szczupak znów powędrował do wody. Benek co chwila podciągał wędkę, ryba uparcie ciągnęła pod stromiznę urwiska.

— Cholera, zachód blisko. Twój stary chciał te rosówki — przypomniał Tolek ze smutkiem.

— Zdążymy, wyłażą dopiero, gdy mocniej ściemnieje.

Cień ogarnął tę część jeziora. Wyzierał z niej chłód, kulili się w swych koszulkach, wytrwale tkwili na posterunku.

— Uważaj, znów ciągnie pod brzeg — szepnął Tolek, gdy przyjaciel zagapił się na czaplę lądującą przy niedalekich trzcinach.

Lekko poruszył wędziskiem, uwięziony szczupak szarpnął się mocniej do przodu, pławik nagle znieruchomiał.

— Zerwał?

Benek szarpnął raz, drugi, linka prężyła się, nie poddawała. Pociągnął mocniej, zaklął.

— Zaczep, cholera.

— Wszystko jedno i tak wracamy niedługo. Trzeba jeszcze założyć te haki na sumy. Dobrze, że żaby wcześniej złapaliśmy.

Próbował podcinać żyłką do góry, szarpał na boki, nawijał na wędzisko, nic z tego. Hak musiał utkwic mocno w jakiejś przeszkodzie.

— Zwiń swoją żywcówkę, podpłyniemy bliżej. Nie mogę zerwać, to pamiątkowa linka starego, jeszcze z wileńskich stron ją przywiózł, posłałby mnie do wszystkich diabłów.

Podsunęli się pod sam kraj urwistej ściany. Benek nawijał linkę, próbował znów szarpać, nie puszczało, że też musieli założyć hartowany hak, inny by się rozgiął i po kłopotocie.

Schylił się nad tonią, dłonią sięgnął pod brzeg.

— Wygląda, że się nie zaczepiło głęboko. Wiesz, wskoczę do wody, znurkuje i koniec będzie — zdecydował się.

Ściągnął koszulę i spodnie, nikogo przecież w pobliżu nie było jaśniejszą plamą zaznaczyła się część ciała normalnie kryta kąpielówkami. Tolek spoglądał na niego krytycznie. Tyle zachodu o linkę, nie lepiej to odciąć tamten kawałek i po kłopotach? Wolał jednak niej oponować, Benek tego nie znosił. Już się zsuwał wzdłuż burty, zasapał:

— W wodzie cieplej niż na powierzchni.

Ręką namacał linkę, zaczerpnął powietrza, zanurzył się, tylko banieczki powietrza wyskoczyły nad wodę. Tolek patrzył za nimi z wyczekiwaniem. Już był znudzony.

Głowa Benka wychynęła nad wodę,, jak wystrzelona z procy.

— Cholera, to trochę głębiej i dalej pod brzeg. Czekaj, jeszcze spróbuję...

— Zostaw, nie warto.

— Ty byś się bał, nie? Tam ciemno zupełnie, na wycucie idę, trzymając się linki.

Znów się zanurzył. Tolek przeciągał się leniwie. Z tyłu za nim rozległ się mocny plusk, obejrzał się, kręgi szeroko rozchodziły się po wodzie. Musiała być spora sztuka. Że też tak dziś nie brało. Może ryby zawsze tutaj nażarte, może wycwanione bardziej niż gdzie indziej. Mógł też być dzień niedobry. Co ten Benek tak długo wydziwia? O głupią żyłkę nic by mu stary nie zrobił, jeszcze po dzisiejszych węgorzach. Wylazłby już wreszcie, przecież się można udusić.

Przechylił się przez burtę, ogarniał go niepokój. Benka wciąż jeszcze nie było. Przysunął się do ciągle napiętej linki, zahaczonej w głębinie. Pociągnął. Tkwiła nieruchomo jak przedtem, zatem Benka przy niej już nie ma. Więc co?

Czuł, jak zaczyna drzeć cały. Uspokajał sam siebie. Zdawało mu się, że jeszcze nie minęło tak wiele czasu. Benek świetnie pływa i nurkuje, tyle razy się popisował, nie bał się żadnej głębi... Jednak tu niebezpiecznie. Taka czarna ta woda, mroczna, ponura. Niech się rzuca, ale nie pozwoli mu więcej nurkować. Do diabła z tą linką...

Nie ma. Teraz to naprawdę już bardzo długo. Przechylony nad tonią, w narastającym przerażeniu zaczął wołać cichym jeszcze głosem:

— Benek, Benek!

Echo tylko dziwacznie się odbijało od wody, wracało ze wszystkich stron. Tolek czuł, jak mu włosy się jeżą na głowie. Czyżby Benek utonął? Jeszcze czekał z malejącą nadzieją. Zaczął krzyczeć przeraźliwym głosem, przykładając twarz do powierzchni wody, jakby to mogło tamtemu w czymś pomóc.

— Benek! Benek!

Odpowiedziało tylko echo, chichotem powracające, upiorne jakieś.

Podniósł się, już ściągając koszulę spojrzął na wodę. Znów usiadł. Bał się tej wody, tak strasznie się jej bał. Ale tam był Benek, najlepszy przyjaciel, jedyny kolega. Benek. Gdyby go teraz wyciągnąć, wyżyłby, wie przecież jak trzeba ratować tonących. Kryśka nieraz go uczyła tej sztuki. Rozebrał się. Stał wahając się, nie mógł przewyciężyć obezwładniającego lęku. Zdało mu się, że woda jeszcze ściemniała.

— Benek — jęknął i desperackim skokiem runął w ciemną toń. Zanurzył się od razu, rozwierał oczy, ciemna, ciemna zieleń wody, nic nie widać. W głowie wali jak młotem, brakuje już tchu. To nic, to nic, trzeba szukać Benka, Benka... Rozgarniał wodę rękami, macał nimi jak ślepiec. Nic, pusto, ani dna, ani śladu po Benku. Dławi go, dusi, prędzej do góry, prędzej.

Półprzytomny wychynał nad wodę, ostatkiem sił uchwycił się burty. W czaszce pulsowało mu tylko jedno, że Benka nie ma. Na pewno nie ma, utonął. Trzeba jeszcze nurkować, głębiej, do dna, tam pewnie leży. Kątem oka dojrzał ciemną, mroczną powierzchnię. To już nie był lęk, to była panika. Gwałtownie wdrapał się do łodzi, chwycił za wiosła. Byle dalej od tego miejsca. Dopiero gdy odbił się na otwartą przestrzeń, mocno oświetloną zwisającym nad lasem słońcem, ochłonał. Skierował się do brzegu, wyskoczył, nie ubierając się, goły gnał, co tylko mu sił w nogach starczało.

Wiesiek był na podwórzu. Obejrzał się na zdławiony zmęczeniem krzyk, poskoczył do Tolka.

— Co?

— Benek utonął! Benek.

— Gdzie? Kiedy — trząśł go, gdyż Tolek nic innego poza tymi dwoma słowami nie mógł wymówić.

— Tam, pod bunkrami, pod samym brzegiem, gdzie jama... Niedawno...

— Rwij do domu po pomoc. Niech biorą bosaki i sznury. Co sił w nogach! Cholera, moich gospodarzy też nie ma. Biegnij, choćbyś miał ducha wyzionąć. To ostatnia nadzieja.

Sam pędem pognął w stronę pagóra na krańcu jeziora...

Gdy Heniek i Roman przygnali motorem, sadząc „Zündappem” przez wyrwy i dziury, a od jeziora, wiosłując jak szalony, nadpływał Malicki wraz z Kryską, Stachura ciągle jeszcze nurkował, wychylał się na powierzchnię, wypoczywał, znów rwał pod wodę.

Spojrzał po nich przekrwionymi oczyma.

— Raz tylko sięgnąłem dna. Cholernie tu głęboko. Macie sznur. Wiążcie kamień, byle duży, razem z nim będę ciągnął na dno, szybciej pójdzie, jedyna szansa.

Malicki nadciągnął już łodzią. Od ogromnego wysiłku żyły na jego rękach nabrzmiały jak liny.

— Nie wszyscy, nie wszyscy — powstrzymał Roman Kubiaka. — Ty z Malickim przy sznurach, ktoś musi je trzymać. My nurkujemy z Wieskiem...

Kamień plusnął w wodę, uczepiony liny tuż przy nim gwałt do dna Wiesiek. Obok zanurzał się Solecki. Zetknęli się niecierpliwymi dłońmi przy piachu i mule, obmacywali wszędzie, szukali. Nic.

— Blżej brzegu, tak coś Tolek mi mówił — dyszał Wiesiek. — Gdzie on?

— Posłałem rowerem do pegeeru po pomoc.

— Romanie — Kryśka błada złożyła ręce jak do modlitwy.

Nie potrzebował tej zachęty, robił przecież, co tylko było w jego mocy. Znów chlupnęło, kamień ciągnął, bańki powietrza rozpryskiwały się na powierzchni.

Przy samym brzegu było jak gdyby płyciej. Grzebali po dnie, odbijali się nogami, rękami wymacywali na wszystkie strony. Czyżby prąd jakiś podwodny odrzucił ciało chłopca na stronę?

— Nic — szepnął wynurzając się Heniek.

Roman również wymownie potrząsnął głową.

Mroczniało. Refleksy zachodu krwawymi płatami kładły się na, jeziorze. Od szuwarów kwakaniem zanosily się kaczki. Jak zwykłej jakby nic się nie wydarzyło.

Od PGR-u nadbiegała gromada ludzi. Z bosakami, linami i pochodniami. Ktoś był przewidujący. Okazało się potem, że to Halina.

Znalazło się jeszcze dwóch amatorów nurkowania. Nadciągnęły dalsze łodzie. Kryśka zesłała na brzeg, nie wytrzymała nerwowo. Z jej własnej apteczki Halina sączyła uspokajające krople. Tylko Malicki tkwił w łodzi jak posąg, uważnie śledził poszukiwania, pomagał. Nie powiedział przez cały ten czas jednego słowa.

Wiesiek zastąpił Romana. Porozumieli się wzrokiem. Była w nim beznadzieja.

Zdawało się, że przeszukali cały teren, daleko od miejsca wskazywanego teraz przez Tolka. Gdzież podziać się mogło ciało?

— Woda zniosła — powiedział któryś z przybyłych szoferów. — Zawsze tak bywa. Na dnie są różne prądy.

Kryśka całym wysiłkiem wstrzymywała płacz. Dwie pochodnie paliły się nierównym światłem. Tylko tyle zostało z ubiegłorocznej zabawy.

— Chleba bochenek puścić na wodę, wskaże... — wołała jakaś kobieta.

Ktoś jej przytaknął, Malicki też skinął głową. Tam, w ich stronach, zwłaszcza na Wilii, też słyszał, że puszczano bochenki chleba na wodę, zatrzymywały się nad miejscem, w którym znajdował się topielec.

Wpatrzyli się wszyscy w bochenek łagodnie wirujący na spokojnej, zdawałoby się wodzie.

— Widzicie, jak krąży — szeptała kobieta.

— Zatrzymał się — krzyknęła Kryśka.

Wiesiek z Henkiem znów zajrzeli sobie w oczy. Spojrzenia ich były krytyczne. Znurko-

wali jednak raz, drugi, trzeci. Bez skutku.

Pierwsza pochodnia przygasła. Ciemno już było zupełnie, blaski pozostałego płomienia oświetlały wąski jedynie krąg.

Bosaki nie sięgały dna. Dziwowali się, co za głębia przy samym brzegu. Bochenek powoli wypływał na toń jeziora, nikt już za nim nie patrzył.

Roman wyczytał w spojrzeniu Malickiego jakby prośbę czy błaganie. Zrozumiał. Brakło mu sił, ale jeszcze kilka razy w ślad za kamieniem poszedł do dna. Na nic. Nigdzie śladu po Benku.

Zaszypiała pochodnia. Żarzyła się jeszcze krótką chwilę, zapadła ciemność. Nie rozjaśniła jej wcale czyjaś latarka.

— Trzeba szukać sieciami — odważył się wreszcie ktoś wypowiedzieć powszechną myśl, ale trudno było powziąć decyzję, patrząc na skamieniałego w rozpaczy ojca.

Roman odszukał Kryškę.

— Słuchaj — powiedział miękko. — Trzeba, byś siadła koło Wojciecha. Heniek będzie wiostował. Malicki sam gotów tutaj pozostać. Rano znów będziemy szukali. Tylko nie płacz — delikatnie pogładził ją po ramieniu.

Piegowaty Józek z traktora przytrzymał go za rękę w chwili, gdy zapuszczał „Zündappa”.

— My po rybaków „Starem” skoczemy. Będą tu z siecią na rano...

Skinął tylko głową. Był znużony bez reszty.

Noc zapadła ponura, skądś napłynęły dawno nie widziane chmury, zerwał się wiatr, podniósł małe grzywki na fali. W domu Roman znów się zwrócił do Kryški.

— Musisz zająć się Malickimi. My z Heńkiem chcemy trochę odpocząć. Zbudź nas przed świtem. Wszystko zrobimy, aby odnaleźć ciało. Pojedziemy tam nie czekając na rybaków.

Do izby cicho wsunął się Wiesiek.

— Przyszedłem, będę razem z wami. Może przydam się na co.

Za nim stała Halina.

Osowiały Lubusz dreptał od jednej osoby do drugiej. Potem wyszedł na dwór, uniósł pysk ku niebu, zaczął wyć przeraźliwym głosem. Próżno próbowali go uspokoić.

## ROZDZIAŁ XVII

Heniek leciutko uchylił drzwi do izby, w której leżała chora Malicka. Oczy miała przyknięte, ale wargi jej poruszały się nieustannie. Modliła się. Na małej kozetce, przykryta szalem, drzemała Kryška. Cofnął się, głową skinął Romanowi, że wszystko w porządku. Niech śpią, i tak teraz nic po nich. Malicki jest z pewnością w przyległej bokówce, inaczej Kryška nie spałaby tak spokojnie. Na dworze natknęli się niespodziewanie na zmarzniętego Tolka. Słońce dopiero weszło, ranek był rześki i chłodny. Malec, zmarznięty jakiś i przygarbiony, zacierał szczerwieniałe dłonie.

— Gdzie byłeś, Tolek?

— Żaby zbierałem. Benek tak bardzo lubił swe żółwie...

Nie odpowiedzieli. Cóż tu było do mówienia? Solecki pogładził chłopaka po skołtunionych włosach.

— Idź, prześpij się, Tolek.

Został u progu, patrząc za nimi zażawionymi oczyma.

— Motor czy łódka?

— Łódki tam są od wczoraj... Szybciej będzie „Zündappem”.



Zapisał maszynę dopiero spory kawał drogi od domu. Roman jechał dzisiaj ostrożniej. I tak nie było już po co się śpieszyć. Jedno tylko sobie przysięgli, że muszą odnaleźć ciało Benka. Nie rybacy, nie ktoś inny, lecz oni.

Nad łąką stała delikatna mgiełka, srebrzyła się teraz w słońcu, rosą skraplała na siatkach pajęczyn. Woda marszczyła się lekką morką, zajądło ganiały za ukleją żarłoczne okonie.

Roman nagle wyciągnął rękę nad kierownicą. Heniek podniósł głowę. Na szczycie pagóra wyrastającego nad brzegiem jeziora siedziała skulona postać, zmartwiała, nie reagująca żadnym ruchem.

Poznali od razu. Malicki. Ojciec.

Głową im tylko skinął na przywitanie, tkwił nadal wpatrzony w czarną, niezbadaną toń. Przerazający spokój bił od martwoty sylwetki tego człowieka. Czuli się speszeni spojrzaniem przymrużonych oczu. Niezdarnie rozplątywali linki, wiązali kamienie.

Dziś postanowili nurkować z planem. Jaśniej jest, będzie w wodzie lepsza widoczność, przeszukają odcinek po odcinku. Nie mogło przecież znieść Benka aż na jeziorną głębię, nawet gdyby istniały na dole jakieś prądy podwodne.

— Podjedźmy pod sam pagór — powiedział Roman. — Spróbuję tutaj — wskazał na upatrzone miejsce.

Heniek sceptycznie pokręcił głową. Przecież szukali tam wczoraj, sam kilka razy nurkował wzdłuż linii stromego brzegu.

Warkot motoru. To „Star” nadjeżdżał z siecią i rybakami. Zatrzymali się u brzegów w chwili, gdy Roman jak rakietka wyprysnął z wody. Za długo zostawał przy dnie, tchu mu w pewnej chwili zabrakło.

Przybyli dojrżeli ich, któryś machnął dłonią, inny zaczął coś wołać i nagle ucichli. Spostregli Malickiego. W milczeniu już zabrali się za wyładowywanie sieci i długich bosaków.

Roman nurkował. Nie wiedział sam czemu, ale uparcie trzymała się go od wczoraj ta myśl, że właśnie oni muszą odnaleźć Benka. Próżno sobie powtarzał, że to przecież nie ma znaczenia, i tak już od dawna za późno, mimo to uparcie postanowienie wracało, kazało mu zanurzać się raz po razie, szukać rękami przy dnie, tracić oddech, wypływać, znów nurkować.

Tym razem podpłynął pod nawis brzegu, gałęziami krzaków sięgający płaszczyzny wodnej. Obmacywał ręką, natrafił na gładszą linię, lekko szorpatą, rzeczywiście jakby z cementu. Przypomniał sobie opowiadania malców. Całe ramię wsuwało się pod nawis, nie trafiało na opór. Może tam woda wpełchnęła ciało, zupełnie pod brzeg, w jakiś loch, w wypłukaną przez falę wnękę?

Heniek czekał przytrzymując u burty ciężki kamień na linie. Niecierpliwił się, niechże wreszcie Roman nurkuje. Soplecki przecząco potrząsnął głową, zaczerpnął powietrza, tym razem próbował bez pomocy kamienia.

Przeliczył się. Do zmulonej warstwy dennej nie dotarł, niewiele także zobaczył, było tu znacznie ciemniej. Jeszcze podciągnął się zagarnięciem ramion do przodu, i jeszcze... Pustka i ciemność. Pomyślał, co musiał przeżywać Benek, z wysiłkiem opanował lęk próbujący ogarnąć i jego. Płuca rozszerzały się, uciskały, lada chwila zabraknie oddechu, nie powinien ryzykować, poszukiwania trwają, a on musi odnaleźć Benka. Szarpnął się silnie do góry. Jakies dudnienie, dziwaczny hałas, czy to mu tak w głowie pulsuje? Prędej na powierzchnię, prędzej... Uderza głową o twardą płaszczyznę, opór, brak powietrza. Tylko bez paniki, jakąś resztką świadomości przestrzega sam siebie. Czuje, jak mu krew uderza do głowy. Ach, prawda, nawis, musiał się dostać pod niego, zatem do przodu, tam gdzie woda jest jaśniejsza, ciemnozielona, nie tak czarna jak z boków. Myśl przygasa, tylko ręce pracują, pracują. Nareszcie uderzenie fali powietrza, jasno, słońce. Heniek wyciąga rękę, podtrzymuje go, schyla się zaniepokojony. Roman z wysiłkiem potrząsa głową, że nic, że dobrze.

Zamroczenie mija. Widzi, jak daleko, od jeziora, rybacy zapuszczają sieć w wodę. Będą ciągnąć w tę stronę, wolniutko, po samym dnie, dali większe obciążenie ołowiu od spodu

saka. Wymachują dłońmi.

— Chcą, żebyśmy już przestali, będziemy przeszkadzać — mówi Heniek. On już stracił nadzieję. Chyba że jeszcze rybacy, sieć, może te długie tyczki... Roman jest uparty. Mówi, że jeszcze raz. Że co? Dudnienie jakieś, hałas? Jeżeli tam jest ten okap pagóra, to nic dziwnego, od samych uderzeń ramion w wodzie podniesie się hałas, echo się będzie rozchodzić.

Roman postanowił nurkować jeszcze raz. Uprzednio zanurzał się w głąb, dążył do dna. Ale nie wiadomo, jak daleko sięga woda pod nawisem. Więc może płynąć tuż pod powierzchnią, zobaczyć, jak wielka jest ta jama. Byłaby to dla rybaków wskazówka.

Zanurza się. Szarpie ramionami, nie szuka już dna. Ciemno, zupełnie ciemno. Pustka i czerń. A jednak pcha się do przodu. Już zaczyna się duszenie, ucisk w płucach, ale się nie poddaje. Jeżeli teraz nie sprawdzi... Boże, jak ciemno. Głusza i ciemność. Nic więcej. Oddechu, oddechu. Teraz nie może już opanować lęku, czuje, jak ogarnia go ślepa, nieprzytomna panika. Tyle, że zawraca, nie wie zresztą na pewno, może pcha się w tę dziwną czeluść bez końca, może trzeba właśnie do tyłu, obraca się kotłuje teraz, szarpie się, młoty wałą w czasie, pęka tam coś chyba.

Matka, tam matka czeka jak co tygodnia na list, staruszka, już pewnie koniec...

Dłoń uderza o powierzchnię wody. Szarpie się ku niej całym ciałem, już nie myślą, jakimś podświadomym tylko odruchem samoobrony. Jest powietrze, jest! Ale skąd i czemu ta ciemność? Myśl zaczyna pracować sprawniej. Nawis, strop pagóra, jama pod nim. Ach tak, pułap jest wyższy od poziomu wody, stąd powietrze. A tam jest wyraźnie jaśniej, wyraźnie. Tam jest wyjście, może i Benek?

Myśl jeszcze się nie związała w ciąg logiczny, gdy za nim zabrzmiał cichy jęk, bełkot na poły. Przerazenie, panika... Nie, nie, opanować się. Czyżby? I teraz pewność, radość. Jęk się powtarza.

— Benek, Benek! — jak ten głos strasznie dudni.

Przesuwa się pod nawisem, dziwnie gładkim, tylko oślizłym od wodorostów i mchów. Ktoś szeptem.

Ramiona Soleckiego natrafiają nagle końcami palców na piasek. Jest więc dno. Nad głową zaś powietrze. Już staje, idzie teraz, coś śliskiego ociera mu się o nogę.

— Benek! — woła.

— Tutaj — głos słaby, słabiutki.

Roman czuje przenikliwy chłód. Ten malec przesiedział tu całą noc, w lęku, strachu i rozpacz.

Płytko, coraz płycej, ani sięgnąć dłonią pułapu. Zupełna ciemność, nieprzenikniona czerń.

Wody ma po kolana, uderza nimi o coś w rodzaju progu. Podnosi stopę, wyciąga rękę, dotyka jakiegoś kształtu, który się go chwyta kurczowo, przywiera jak kleszcz.

Obejmuje małego, ściska, ma ochotę śpiewać z radości i płakać zarazem. Czuje, jak nogi uginają mu się w kolanach, robią się miękkie. Reakcja nerwowa.

Rękami przegarnia piasek, muł, zielska. Siada. Benek tuli się do niego, rozpaczliwie ogarnia ramionami, czuje łkanie malca.

— Benek! Benek! — Gładzi go, głowa jest mokra, włosy zlepione, pewnie nie wyschły jeszcze od wczorajszej kąpieli.

— To ty, Roman?

— Ja, Benek. Ja. Uspokój się, już wszystko dobrze. Niedługo będziesz na słońcu.

Benek drży, tuli się jeszcze mocniej, całą siłą ramion.

— Wwwwiedziałem, że ty przyjdiesz — szczęka zębami, jest przemarznięty na kość, czoło ma rozpalone. Gorączka, na pewno wywiąże się jakieś zapalenie. Zaraz, zaraz, ale jak go teraz przetransportować?

Ogląda się za siebie. Siedział do tej chwili tyłem do wody. Tam jednak coś majaczy

jaśniejszą płaszczyzną, ciemnozieloną. Może Benek widział, gdy nurkował tu pierwszym razem. Pyta o to.

— Wołałem, tak mi się zdawało, ale potem pomyślałem, że to na pewno ryba, sum jakiś. I jeszcze więcej się bbbbałem — długo, bardzo długo, jākając się, rozdygotanymi wargami wymawia te słowa. Roman z trudem może go zrozumieć.

— Benek, zaczekaj jeszcze trochę, teraz popłynę, żeby już zabrać cię z tej pułapki, dobrze?

Jak nieprzytomne dzikie zwierzę złapał się jego piersi, opasał drugim ramieniem szyję, dygotał jeszcze bardziej, nie mógł nawet mówić, jakiś nieartykułowany bełkot jedynie docierał do Romana, spotworniony dudniącym echem.

— Benek, Benek! Ja zaraz wrócę, uspokój się...

Nic nie pomogło. Paniczny lęk był w chłopcu silniejszy nad argumenty.

Nie było się zatem co namyślać. Roman zdecydował się.

— Wobec tego płyniemy razem. Zaczernij powietrza i trzymaj się mnie mocno. Tylko nie szyi i nie rąk.

Ryzykował. Nie miał pojęcia, jaka przestrzeń dzieli go od miejsca, w którym bez ryzyka można już wyłonić się na powierzchnię. W jakim kierunku trzeba też płynąć? To jaśniejsze, ale przecież także ledwie się rysujące przed oczyma tło wody jest jakieś nieokreślone.

Ledwie mu te myśli przemknęły przez głowę, wiedział, że i to na próżno. Benek teraz nie tylko trzymał się go kurczowo i dygotał jeszcze mocniej, ale ciągnął uparcie, ze zdumiewającą siłą w głąb pieczary. Bał się wody, bał się samotności, lęk przeniknął go na wskroś, nic więcej poza tym lękiem nie było.

Teraz był już zupełnie bezradny. Stan chłopca jest taki, że rozsądkiem do niego się nie przemówi. W panice gotów zrobić jakieś głupstwo. Ani tu więc go zostawić, ani wydostawać się na powierzchnię. Co robić? Na Boga, co robić? Przecież tam są przekonani, że on także utonął. Ile też czasu może już tutaj tkwić? Dziesięć minut, piętnaście?...

Na brzegu sięgnął ktoś po ogromną cebulę, spojrzął, szepnął najbliższym:

— Za trzy minuty pełna godzina...

Spotkało go zdziwione wejrzenie. Godzina? Byli pewni, że już kilka minęło. Tyle rzeczy w tym czasie się działo.

Przedtem rozpaczliwe wołanie przyjaciela tego Romana, że kompan jego utonął. Właśnie rybacy zbliżali się z siecią, gwałtownymi znakami kazali mu usunąć się z łodzią. Nawet nie wiedzieli, że ktoś jest w tej chwili pod wodą.

Zaciąg nic nie przyniósł, sieć zaczęła w dodatku o jakieś kamienie na dnie, rwała się, ledwie ją wydostali. Wtedy ten Kubiak zaczął nurkować, krzyczeli, że nie trzeba, nie pomoże, po co zwiększać ofiary? Zaklęte, diabelskie jakieś miejsce.

I na to porwał się nagle wciąż siedzący nieruchomo na szczycie, jakby obojętny na wszystko Malicki.

— Dosyć! Dosyć! — krzyczał przeraźliwie, zupełnie obcym, nigdy nie słyszonym u niego głosem. — Dosyć! Benkowi i Romanowi nie pomoże nic, wy jeszcze się potopicie. Nie pozwalam — rozkrzyżował ramiona. Wiesiek Stachura piął się w jego stronę po zboczu, bali się, że Malicki może się zsunąć z pagóra.

Straszliwie wyglądał, groźny i nieszczęśliwy, gdy stał tak na tle spiętrzonego dzisiaj chmurami nieba, z rozkrzyżowanymi ramionami i otwartymi ustami, wykrzykujący w jakimś zapamiętaniu to swoje: nie pozwalam, nie pozwalam!

Szarpnął się w pierwszej chwili z ramion Wieśka, ale ten trzymał go mocno, przemawiał uspokajającymi słowami. Malicki załamał się, opadły wyciągnięte ramiona, przygarbiony, inny zupełnie człowiek schodził prowadzony pod ramię, nie płakał, ale cichy głos, jaki teraz wyrывał się z jego gardła, wyraźnie brzmiał szlochem.

— Zostawcie, nie róbcie nic. Szkoda waszego życia. Tym tak było sądzone.

Odprowadzili go daleko na stronę, oddali w opiekę kobietom, które nadciągnęły z PGR-u za mężczyznami. Do domu za nic iść nie chciał, prosił, że chce zobaczyć, jak ich wyciągną. Usadzili go pod polną gruszą, znów zacichł i znieruchomiał jak uprzednio.

Łodzie odpłynęły z siecią, aby założyć nowy zaciąg. Heniek ujrzał, że nie są z Wiśkiem sami na wodzie. Zajadle, wytrwale, jakby go wcale to nie męczyło, raz po raz nurkował Jurek Mątwiak.

Rwali w zieloną toń na zmianę, kamień ich ciągnął do dna, puszczała potem linę, starali się zbadać wyciągniętymi rękami jak największą przestrzeń. Romana w żadnym razie znieść jeszcze na głębiny nie mogło, czemu więc poszukiwania ciągle zostają bez rezultatu? Czemu?

Kubiak prawie nie odpoczywał. Ledwie się opierał o burtę łódki, zaraz kotłowało mu się w głowie od dziwaczych myśli pełnych rozpaczliwego buntu. Czemu tak się stało, tak się musiało stać? Roman, takie klawe chłopisko, kompan najlepszy. Czy to naprawdę, czy może mający mu się wszystko i śni...

Mątwiak znów się zsunął w głąb, w tejże chwili zakotłowało się przy burcie, zamiast jednego dwa ciała wypłynęły na powierzchnię.

— Roman! — w przenikliwym okrzyku Heńka było wszystko.

Ktoś się przeżegnał z wrażenia na brzegu. Wszelki duch Pana Boga chwali, zjawa chyba, nie żywy człowiek! Po godzinie pod wodą wypływa żywy i zdrowy?

Solecki oddychał głęboko. Ledwie nieco wrócił do siebie, zakrzyknął jak mógł najmocniej, choć wyszło to dziwnie piskliwie:

— Benek żyje. Jest!

Jakby ich prąd poraził. Znieruchomieli. Mątwiak aż trochę cofnął się od Romana. Oszalał czy co? Heńkowi zawirowało w oczach. Roman, Co z nim?

On zaś zdumiony powiódł po tych zamarłych nagle twarzach, których tkwił jeszcze uśmiech radości z jego ocalenia, wreszcie zrozumiał.

— Nie zwariowałem. Benek żyje.

— Ajajaj — wrzaskiem przerwała mu starsza kobieta i podnosząc kieckę pognąła w stronę Malickiego zamarłego pod gruszą.

— Nie zwariowałem — powtórzył Roman, uśmiechnął się, nareszcie mógł się uśmiechać. — On żyje. Tam jest taka jaskinia, pułap wznosi się ku górze, piach, powietrze. Chłopiec w niej siedzi zmarznięty i przerażony.

Zupełne osłupienie i jeszcze bardziej zwiększone niedowierzanie. Jaskinia pod wodą? Powietrze? Jakim sposobem?

I tylko Późny, roześmiany od ucha do ucha, skwapliwie potakiwał kiwaniem głowy.

— Jest, jest jaskinia. Ja wiem.

Dopiero się otrząsnęli, skłonni byli uwierzyć.

— Czemuś od razu go nie wyciągnął na wierzch?

— Boi się wody. Trzeba się naradzić, co robić. Niebezpiecznie, z pięć metrów najmniej ciągnie się wejście pod wodą.

— Nie pytać go, pod pachę i koniec.

Teraz dopiero rozpoznał zmęczonego Mątwiaka.

— Może się zachłysnąć i utopić jeszcze w ostatniej chwili. Bałbym się ciągnąć go na siłę.

— Roman, moim zdaniem musi ktoś tam popłynąć uwiązany liną. Wtedy ryzyko zmniejszy się znacznie. Gdyby coś, potrafimy już ich wyciągnąć — zastanawiał się Stachura.

— A jeśli się lina o coś zaczepi?

— Musimy ryzykować. Tak jednak to ryzyko jest mniejsze. Roman, ja popłynę, powiedz jak tylko i któredy.

— Lepiej to zrobię, kochasiu — Mątwiak bezceremonialnie odepchnął Stachurę.

— Tak co wy, dzieciuki, zebrali się? Potopić się chcecie? Toż on jeden wie, jak do tej

jamy, żeby do niej trafić. Dawajcie linę i pora kończyć. Nie widzicie, że ojciec czeka? — wskazał na stojącego przy grupce kobiet Malickiego, jeszcze nie mogącego uwierzyć nowinie.

Roman ucieszył się słowami starego Wikswy, który wraz z innymi podpłynął teraz swą łodzią. Jasne, że tylko on. Odpoczął już. Trzeba brać się do ostatniego wysiłku. Wtedy wszystko już będzie dobrze.

Pierwszy opamiętał się Heniek, podawał długą linę, pomagał opasać się Romanowi.

— Długość wystarczy?

Obejrzał się na zwój, skinął głową. Jeszcze kilka razy odetchnął, zsunął się do wody. Lina ciążyła, trudniej z nią było płynąć, znając drogę łatwo jednak już teraz dobrnął do płyciny w podziemnej jaskini.

— Benek, Benek!

Brak odpowiedzi. Nagły skurcz serca. Czyżby coś się stało z chłopcem? Znów wołał. Znów cisza, tylko to echo odbijające się o nieznane ściany.

Gwałtownie zaczął obmacywać grunt rękami. Znalazł. Leżał skurczony, głowa przy podnoszeniu opadła bezwładnie. Nie żyje? Nie żyje?

Długo trwało, nim wstrząsany trwogą doszukał się wreszcie pulsu. Omdlał chłopak z przejęcia i osłabienia. Może tak będzie lepiej?

Ujął Benka pod lewe ramię, zaciskając mu jednocześnie nos, runął trochę na ślepo do wody. Drżał jeszcze, aby się lina o jakiś występ nie zaczepiła. Jednym ramieniem, dopomagając trochę nogami, rwał ku coraz intensywniej zieleniejącej wodzie. Wyczuli tam na górze, szarpnęli za linę. Benek drgnął, zaszamotał się, pewnie napił się wody. Szybciej, szybciej. Niebo nad nim, takie jasne, choć zawleczone chmurami. Odbierają Benka, ktoś go podtrzymuje za ramię, bo zsuwać się zaczął do wody, ten ostatni wysiłek zbyt wiele go kosztował fizycznie i nade wszystko nerwowo.

## ROZDZIAŁ XVIII

Wrzosa wcześniej zakwitły w tym roku, dyskretnym fioletem osnuły polany i poręby, liliową przesłoną pokryły rowy przydrożne i piaszczyste nieużytki, przeznaczone na zalesienie. Pszczoły, osy i trzmiele brzęczały w zgodnej harmonii pośród drobniuteńkich płatków, na szeroko rozpostartych skrzydłach kołysały się pazie królowej, niestrudzenie cykały polne koniki.

Na warkot „Zündappa” Wiesiek podniósł się z legowiska wśród wrzosów, pokiwał ręką ku druhom. Solecki przyhamował, wygasił motor.

— Ależ kurz — Heniek ocierał twarz rękawem i spluwał piaskiem zgrzytającym w zębach. — Gdzie tego Późnego zaniosło na podobną pustynię?

— Mniej przez to byli wystawieni na niemieckie ataki, nikt się nie łakomił na marną ziemię. Zboże nie chce tu rosnąć.

Roman rozglądał się wokoło. Przed nimi, nieco na lewo, teren opadał, pasmem ciągnęły się liściaste drzewa, oznaka, iż wyrosły nad wodą. Resztę przestrzeni pokrywały zwarte plamy sosnowych lasów, wśród nich bardziej już rozrosłe i dopiero po wojnie sadzone młodniki.

— Gdzież domy? Tutaj nic nie ma.

— Za tym laskiem. Kolonia właściwie, nie wioska. Na pół drogi między Chyciną a Bledzewem. Kilka niedużych jezior łączących się ze szlakiem Obry, przy której zresztą tereny są już żyzne, jak w całej tej międzyrzeckiej niecce. Nie śpieszcie się, Późnego nie ma.

— Cholera, tośmy źle trafili.

— Tkwi na jeziorze. Po wontony pojechał, odławiają sielawę, Zapuszczaj motor, Roman. Jest tam i druga łódka, wyjedziemy na wodę.

Aż do brzegu biegł truchcikiem obok wolno jadącego „Zündappa”. Za młodym, gęstym sośniakiem rozłożyło się jezioro, błękitne jak na naturalistycznych obrazkach, nad nim kilka budynków.

— Biedą tu pachnie — Heniek sceptycznie rozglądał się po okolicy,

— Osiem rodzin mieszkało w tej osadzie przed wojną, w tym pięć polskich. Dwie tylko ocalały, tamte wyginęły bez reszty. Teraz jest siedem gospodarstw, bo jedno się kiedyś spaliło, nikt już go nie odbudował. Ziemniaki sadzą, grykę sieją, trochę im jeziora i Obra przyrzucą, z tego żyją. Niełatwo tutaj wysiedzieć. Ale spróbujcie tak powiedzieć Późnemu, obrazi się. Dla niego to najpiękniejszy kraj.

— Ładnie tutaj jest. Tylko pusto i samotnie.

— Nie wiem, czy znalazłaby się jakaś Agnes, żeby cię pocieszać. Tam oni pewnie są? — zamiast odpowiedzieć Romanowi Heniek wskazał łódkę kołyszącą się na środku jeziornej tafli.

— Nikt inny. Dwóch jest teraz w tej wioszczynie rybaków, razem łowią. Późny i Kajetan, obaj miejscowi.

— Gadasz jak chodząca encyklopedia. Skąd wiesz to wszystko?

— Ech, Roman, jakbyś przez cztery lata stale tutaj przyjeżdżał, żył z nimi i pracował, tobyś nie wiedział?

— Na pewno nie. Całe cztery lata wdychałby tylko do Kryski, Gdzieżby na co innego czasu starczyło? — złośliwie zachichotał Kubiak, pokazał Romanowi język. Zachwycony był, że tak mu się zrewanżował za przytyk o Agnes.

Kierując łódź w stronę rybaków Wiesiek przyglądał się im z uśmiechem. Śmieszni mu się wydawali ze swymi miłostkami. Ciągłe pachniało im dziewczęcymi łydkami, dziecienni jacyś w tym byli, a i drugiej strony, zwłaszcza Heniek, nazbyt dojrzały. Dobrze, że on sam inaczej ustawia hierarchię życiowych spraw... Coś mu się zaczęło nie zgadzać w tym miejscu. Przypomniała mu się Halina. Czemu tak lubi z nią razem przebywać, dłużyć na terenie grodziska, wypytywać wspólnie ludzi o dawne podania i klechdy, konstruować hipotezy przeszłości? Że, jak się to mówi, równa z niej babka? Że okazuje zainteresowanie jego zamiłowaniem? Chyba tak, właśnie to. Nie był jednak tego ostatecznie zbyt pewny. Czym prędzej więc nadał inny kierunek swym myślom, znów spojrzął na towarzyszy przysiadłych na ławce i z zaciekawieniem rozglądających się po nieznannej okolicy.

— Uważaj, Wiesiek, bo kraknę w wodzie! — dumania te nagle przerwał mu Heniek.

Szarpnął głowę do góry. Prawda. Zamyślony wiosłował nie oglądając się dookoła, mało brakło, a wpakowałby się na łódź rybaków. Zaniepokojony Późny już chwycił za wiosła...

— Dzień dobry — zawołał Wiesiek przyhamowując gwałtownie.

— Dobry, dobry... kończymy, ostatni płot wybieramy.

Towarzysz Późnego, również w podeszłym wieku, przyjaźnie kiwał głową.

Późny podniósł z wody niewielką boję z zalutowanej łuski od pocisku, wahadłowymi ruchami ramion przyciągał na lince sieć rozpiętą w głębinie. Zaperliły się błonki wody na okach wontonu. Rybacy miarowymi ruchami wyciągali sieć, ręce ich wprawnie wyłuskiwały z niej srebrzące się coraz gęściej podobne do śledzi ryby.

— Gotowe — Późny z ulgą przeciągał ramiona. — Jeszcze skrzynki przesypię lodem, możemy wracać. Dobrze dziś poszło. Zaraz nam żona przyrządzi sielawkę. Nigdy się jej najeść nie mogę. To ryba dopiero, nic jej nie dorówna.

— Ba, ale z pana to smakosz.

— Spróbujesz, zobaczysz — żywo dorzucił Późny. — Dobrze, że przyjechaliście, czekałem na was.

— Już wczoraj zamierzaliśmy, ale się nie złożyło.

— Pewnie, młodym do starego nigdy nie spieszo. Nie tak, Kajetan?

Zamruczał coś, nie rozróżnili jednego słowa.

Przepuścili przed siebie ładowną łódź rybacką, Heniek wiosłował jak zawsze leniwie, a przecież dość silnie, by utrzymać się w tej samej odległości od Późnego. Roman popatrywał przez chwilę na zanurzającego rękę w wodzie Stachurę, przerzucił potem wzrok na sylwetkę starego rybaka.

— Wiesiek, a ci synowie Późnego?

— Jeden zginął pod Leningradem. Drugi żyje, jest w Poznaniu inżynierem — urwał, ale zaraz musiał jeszcze dopowiedzieć to, co mu zawsze tak bardzo imponowało przy spotkaniach z rodziną Późnych. — Miał tylko powszechniaka za sobą. Uwziął się jednak, że nadrobi wszystko, na co mu Niemcy i wojna nie pozwolili. Pracując w fabryce, wieczorami gonił maturę. Potem zdawał na polibudę. Późny jest z niego cholernie dumny, przyjeżdża tu chłopak w czasie urlopów.

Byli na miejscu. Rybacy zanieśli skrzynki sielawy do wykopanej w ziemi lodowni. Późny odsypał jeszcze sporo ryb do wiadra i z powagą podał rękę Kajetanowi.

— Gotowe. Wieczorem zabiorą je ciężarówką.

Otarł ręce o spodnie, dopiero witał się z chłopakami.

— Bardzom rad. Słysząc o was w całej okolicy, ludzie nie wiedzą już, co opowiadać o tej historii. O nim zwłaszcza — paluchem trącił w pierś Romana.

Solecki uśmiechnął się z zażenowaniem. Dokuczały mu już te objawy uznania. Sam ocenił sprawę jako swoje piekielne szczęście. Zabrnął zbyt daleko i tylko ten przypadek spowodował, że odnalazł jaskinię, a w niej Benka. Już zaś najbardziej irytowała go Kryśka. Gdy przyjechali z ledwie żywym malcem do domu, zamiast się nim zając zrobiła wielkie oczy, a potem mocno ujęła Romana za szyję i wycalowała mu policzki, szepcząc, jak mu strasznie, ale to strasznie dziękuje. Śmiała się, wierciła jak w ukropie, aż ją wreszcie Heniek osadził, podszeptując, że czas pomyśleć o Benku.

Tak, wtedy się uwiesiła na szyi, całowała, a przez następne trzy dni, tak jak i uprzednio, obchodzili się bokami. Niby była serdeczna, ale nie o to chodziło. Wcale mu też nie zależało na aureoli bohatera, wołałby stać się dla niej zwykłym, ale za to kochanym chłopcem. Ona tymczasem wybrała to pierwsze. Ciągłe przy tym tkwił mu w pamięci doktor Kowalski. Wiedział, że Kryśka posyłała do niego kartki przez Tolka, że wyglądała niecierpliwie. Ale dekadka nie zawarczała już więcej na bocznej drodze nad przesmykiem. Doktor pamiętał ostatnią nauzkę. Dziewczyna nie mogła odjechać, bo Malicka rozchorowała się po doznanych przeżyciach i Benka też należało trochę podchuchać po tej nocy w wilgotnej, przenikliwie zimnej jaskini. Dopiero wczoraj zdecydowała się Kryśka na powrót. Trzeba ją było odwozić, wykreślił się, scedował zadanie Heńkowi.

— Jak tam chłopak? Nie zaszkodziło mu? — ciekawił się Późny.

— Trochę podmarzł, ale już dobrze... Tylko wody się teraz boi. Na jezioro w ogóle nie chce wy pływać, kapie się na płyciźnie koło domu. Z żółtymi dla odmiany obnosi się do znudzenia — referował Heniek, łowiąc nosem smakowite zapachy płynące z otwartego okna kuchni. Pewnie te sielawy.

— Boi się wody? Przejdzie mu... Żeby to jeszcze wiedział, co może być dalej w pieczarze.

— Co? Niech pan powie, obiecał pan — natarli całą kompanią.

— Macie czas... Zjeść przedtem należy. Słoneczko tymczasem się przybliży nad las, lepiej się opowiada przedwieczorną godziną. Proszę, już żona woła.

Zdębili na widok zastawionego stołu.

Poczęstunek przeciągnął się do późna, do izby wdarły się już dawno cienie zachodu, gdy objedzeni jak baki wstali wreszcie od stołu.

— Kołaczacie ani tknęli. Nie daruję swego, potem zjecie. Gdzie ty ich chcesz, stary, prowadzić?

— Przed dom, na ławce sobie siądziemy, pogadać trzeba o starych czasach.

— Komu takie gadanie potrzebne? — obruszyła się na jego zamiary. — Lepiej nie wracać do tego, co przeminęło. Złe chcesz wyzywać?

Ułagodził ją szybko, uśmiechnęła się wreszcie, maleńka, ale niesłychanie żywa i czerstwa.

— Pamięta naszego Pietrka, nie może szkiebrom darować, że przez nich to syn nasz zginął — dopowiedział, zamigotały jasne, bezbarwne oczy.

Jeziro płonęło krwawo całą powierzchnią, zachód słońca zwiastował wiatr, zmianę pogody. Heniek pomyślał o Agnes, jej wieży, każdy dzień upałów stanowił dla dziewczyny wygraną, dorabiała nadgodzinami przy strzeżeniu lasów od ognia.

— Jeszcze przed pierwszą wojną cały tydzień była taka woda jak krew, nawet gdy chmury słońca na świat nie dopuszczały. W gazetach swoich pisali szkiebry, że to takie małe muszki się namnożyły, czerwone. Ani ich kto z nas widział. Od razu powiedzieli ludzie, że to znak na przegraną kajzera.

— A przed trzydziestym dziewiątym też były? — zaciekawił się Heniek, który się pasjami kochał w podobnych historiach.

— U nas nie...

— To pewnie jednak muszki. Jakżeby przepowiednia się nie zgadzała?

— U tego diabła Hitlera nawet złe siły mogły nie mieć ochoty do służby — zastanowił się stary rybak. — Inna rzecz, że tylko nasze jezioro wtedy krwawiło. Może dlatego, że jedno ono na całą okolicę tak bardzo głębokie. Wszędzie jest płycej. Sielawa się u nas trzyma, a jej dno zawsze za bliskie powierzchni.

— Smaczna rybka... Panie Późny, a o tych bunkrach miał nam pan opowiedzieć — Heńka ponosiła ciekawość. Co tam sielawa, ryba i tyle.

Poblask ogarnął teraz twarz rybaka. Uśmiechnął się.

— Dobrze, dobrze, młodych zawsze do nieznanego ciągnie. A tam, po prawdzie, tak strasznej tajemnicy znów nie ma. Chyba że się niczego nie wie. Ze dwa, a może trzy lata przed wojną gwałt się zrobił w naszych okolicach. Jeździli wojskowi, mierzyli, kopce sypali, to w środku najgęstszego lasu, to znów na ludzkich polach, wśród zboża. Różnie gadało się wtedy, nikt niczego nie wiedział. Potem ściągnęli żołnierzy, cywilów też swoich nawieźli, zadudniło od maszyn, smród benzyny stał ciągle w powietrzu, pociągami pchali żelazo i cement. Umocnienia obronne wymyślili budować, teraz już było jasne. W nas, Polaków, zaraz nadzieja wstąpiła. Jeżeli Hitler buduje okopy i bunkry, znak, że Polski się boi, kto wie, może nasi szykują się, aby swoje ziemie przyłączyć do kraju? Bo i miejscowych zaczęli więcej pilnować, krzywiej niż dawniej patrzeli.

— To wtedy te bunkry? — Heniek nie mógł się doczekać dalszego ciągu.

— A wtedy... Chodzić za blisko nie było można. Straszliwi że strzelać będą. Ale i z daleka się dosyć widziało. Dziw brał, po co kopia w niektórych miejscach takie wąwozy, że i wielki dom by się zmieścił. Bo że jeszcze zwyczajne bunkry, to nic nowego. Aż potem zaczęli budowle w tych jamach stawiać. Wodę mieli doprowadzoną i światło. Największym dziwem w całej linii obronnej, co to aż za Skwierzynę dochodziła, była właśnie budowa nad waszym jeziorem. Ten pagór tam zawsze straszył, gadki chodziły, że to góra czarownic. Tyle wiedziałem, że kiedyś wiewiórek w okolicy było mnóstwo, czasem nawet udało się którą orzechami przywabić. Aż je potem jeden leśniczy wystrzelał...

Chętnie przyjął papierosa, którym poczęstował go Wiesiek. Ściszył głos, drgało w nim jakieś napięcie, udzieliło się także chłopcom, przysunęli się bliżej Późnego, mrok już dokoła zapadał, sły pluski po wodzie.

— Rozryli wszystko. Maszyny pracowały, ziemia szła w górę po taśmach, więźniowie



ją odrzucali dalej na strony. Bo już wtedy więźniów przywieźli. Z kacetów. Jeden uciekł, u nas się chował, w kopcu kartoflanym, nie wytropili, po jakim miesiącu dalej poszedł, z Berlina był... Szeptano, że właśnie nad jeziorem będzie siedziba sztabu, składy jakieś czy magazyny. Nie żałowali cementu. Wodę wypompowali i walili beton, walili. Jezioro było wtedy płytsze, woda stała niżej, teraz inaczej, ten most, co zburzony, grodzi drogę. Od domów, gdzie mieszka Malicki czy Wiesiek, widać było jakby wjazd do pieczary, w której był Benek. Powiększyli go jeszcze i umocnili. To było też jedno wejście do tego sztabu. Łódkami nawet wjeżdżali.

— E, to my jeszcze cudeńka możemy tam znaleźć — wykrzyknął Heniek.

— Lepiej niczego już nie szukajcie. Bóg jeden wie, co siedzi pod ziemią. Z tymi bandytami nic nie wiadomo, mścić się mogą i po dziesiątkach lat. Zło trwalsze, niżby się mogło zdawać. To tylko dobre trzeba hołubić i chuchać na nie. No i tak grzebali tam i budowali chyba dłużej niż rok, dwa pewnie. Potem przysypali wszystko, drzew nasadzili, trawę sieli, nic się nie działo, tylko ludziom zakazali przybliżać się, wachty stały dzień i noc. Czasem ćwiczenia robili, huczało wtedy od strażaków, ślepakami walili.

— I nikt nie wiedział, co się tam kryło w środku? — zmartwił się Roman, aż się stary roześmiał przyjaźnie.

— Wy tacy sami jak ten Benek, choć niby pod wąsem i za dziewczynami się oglądacie.

— Jak jeszcze! — z przekonaniem potwierdził Heniek.

— Nie, nikt nie widział, bo tych, co bliżej mieszkali, wysiedlili, domy przeznaczili dla wojska albo pustkami stały... Nocami, bywało, przyjeżdżały samochody, coś musieli wyładowywać. Przez wojnę i to ustało, tyle że zawsze pilnowali jak oka, ani podejść. Mieszkał tutaj od drugiej strony Bledzewa taki Matynia, swój chłop, choć przekorny i trochę głupawy, wypił kiedyś w bierstubie, polazł wieczorem. Jak go zabrali, że niby szpieg dla Polaków, tak i zginął... Potem nikt już nie chciał próbować. Tych więźniów podobno też wystrzelali, żeby nikt tajemnicy nie wydał... I tak stało wszystko, aż jak się cofać zaczęli, znów ruch się zrobił. Jeszcze bunkrów nowych natkali, już tych nad ziemią, kryte okopy robili, kable ciągnęli. Sami gadali po okolicy, że ruscy sobie zęby na tych umocnieniach połamią, znów zaczną się hitlerowskie zwycięstwa. Ale nawet sami Niemcy im nie wierzyli. Ściągnęły wojska, oficerów dużo się kręciło, ruch był przy całej tej linii. Gdy jednak upadł Międzyrzecz, cała ochota poszła w diabły, zlikwidowali, co było można, wycofali się aż na Krosno i Gorzów. Rzadko gdzie tylko jakiś oddziałek został, żeby opóźnić pochód nieprzyjaciela. Bez większych walk obeszło się tutaj. Żeby nie przekłute SS, może byłoby nawet zupełnie spokojnie, bo to już dawno skończyło się bohaterstwo szkiebrów, w gacie tylko teraz ze strachu robili.

— Wiadomo — mruknął Heniek. I dodał trochę rozczarowany: — Tyle tylko? A ja myślałem, że nie wiadomo jakie cuda. Gadają ciągle o jakichś szczurach, to znowu co?

— To już po wojnie. Głupota ludzka. I nie tylko szczury... Zwiedzieli się ludzie, że tam sztab miał kryć się pod ziemią. Wejścia od jeziora nie, znali, bo to i woda je zalała, i musieli też Niemcy odchodząc zburzyć pułap, krzaki na dodatek zarosły. Więc wierzchem się pchali. Wokoło były miny, trzech wyleciało w powietrze, nikt ich nawet nie zbierał, jakże było dojść. Potem minery ruscy trochę teren przeczyszcili, podobno wleźli nawet do środka. Dość, że odchodząc, kilka min znalezionych wysadzili przy samym wjeździe. Ale szpara została. Wtedy kilku chłopaków zechciało się bawić w poszukiwaczy skarbów. Spuścili najodważniejszego na linie, z latarką. Zaglądają do otworu, latarka błyska, potem ginie, czekają z napięciem. I nagle krzyk, szarpanie za sznur. Ciągną, ten krzyczy coraz przeraźliwiej — zemocjonował się Późny, opowiadał teraz z przejęciem, głos lekko mu drżał. — Wyciągają wreszcie, głowa, piersi, ramiona, wszystko w porządku. Ale u lewej ręki przywarty, aż go dobić musieli, szczur zre człowieka na żywo. Ciągną dalej, chłopiec zemdlął, cały we krwi. Nogę po kolana zupełnie mu oczyściły, trzeba było odrzynać. W Międzychodzie teraz mieszka, o kuli chodzi... Gwałt się zrobił, przyjechali saperzy, bo właśnie w naszym terenie ziemię oczyszczali pod

orkę, pociski, miny, wszelkie takie świństwo. Spuścili się w kilku na dół, w ochronnych ubraniach. Dobrze, że mieli granaty z gazem łzawiącym. Szczury ich opadły, setki, może tysiące, wściekłe wychudzone do reszty, cofali się krok za krokiem, te granaty uratowały. Wtedy wybuchami zasypano wejście na amen, od jeziora zaś drogi nadal nikt nie znał. Aż dopiero wy teraz, ale i tak ludzie się domyślają. Wy wiecie, Kajetan i ja. Szczury wyzdychały, to pewne, ale co jeszcze może tam być w środku, kto wie? Lepiej nie chodzić, nie próbować. Mało takich odważnych zginęło? — stary wymownie popatrzył na Heńka.

Kubiak w tej chwili nie miał naprawdę ochoty do wypraw odkrywczych w podziemne kazamaty. Zbyt żywo widział przed oczyma te szczury. Przecząco potrząsnął głową.

— Nie, nie — powiedział.

Zapadło milczenie. Ciemno już było, księżyc jeszcze nie wzeszedł, tylko gwiazdy mrugały intensywnym sierpniowym migotem. Późny zapalił, ognek papierosa drżał w jego dłoni.

— A pałac? Też cuda opowiadają... — cicho zapytał Wiesiek.

— Biała pani, strachy jakieś? — Heniek odzyskał rezon. Ta sprawa nie była już tak ponura. Tutaj szczurów chyba nie będzie.

— Biała pani? — powtórzył Późny. — To jakaś nowa moda, nigdy takiej nie było.

— Ale wszystkie baby opowiadają. Benek z Tolkiem ją także widzieli.

— Mało to ludziom trzeba? Mógł raz wyjść ktoś w pobliże w białej koszuli, jeszcze pokrzyknął sobie z ochoty albo po dobrym kieliszku i już bajka gotowa...

— Był tam jakiś sztab SS, prawda? — Wiesiek bardziej od legend wolał konkretne sprawy.

— A był. Na dwa lata przed końcem wojny w pałacu go umieścili. Junkrowi na otarcie łez dali majątek w Poznańskim, tu sami gospodarowali. Na cały rejon rządziło się stąd SS. W okolicy też mieli swoje punkty. W Wojnowie, polska w większości wioska, stało nawet Vernichtungskommando. Biedy przez nich my wszyscy się nacierpieliśmy, a już szczególnie w Dąbrówce czy Nowym Kramsku, gdzie byli sami niemal Polacy. Wiele to łez się przez tych zbójów wylało! Oni właściwie jedni próbowali się bronić, ale potem, jak już ogień zajął zburzone mury, uciekli. Podobno zagrodzono im drogę, wszyscy wyginęli, co do jednego.

— A wy, ojczu, długoście siedzieli w obozie? — Wiesiek czuł, że stary rybak jest bardzo przejęty, wolał zmienić temat, choć zaraz po zadaniu tego pytania pomyślał, że wcale mu się to nie udało.

— Zaraz po wybuchu wojny mnie wzięli. Wtedy bardzo wielu Polaków znalazło się w obozie. Ja w Sachsenhausen byłem. Dwa z górą lata. Bo potem wyszło jakieś zarządzenie, że tych co mają synów w Wehrmachcie, zwolnić pod nadzorem do domów... Pietrek już nie żył, przyszło właśnie zawiadomienie. Taka dola, w obcym mundurze, nie swoim. Niełatwo było zostawać Polakiem. Ma któryś z was papierosa? Mało palę, ale dzisiaj większa jakoś ochota...

Wiesiek podsunął pudełko.

— Wiecie, chłopaki. Ja wam opowiedziałem, bo tyle dobrego zrobiliście, a jak to młodych, ciekawi was. Ale wam powiem, pałac jak pałac, też nie warto. Już jednak w tych bunkrach pod ziemią niczego wy nie szukajcie. Zła to sprawa, niech tkwi pod piachem. Po co ją wydobywać? Zemścić się może...

Od jeziora dobiegło mlaskanie, chrząkanie, jakby przewalanie się jakichś ciężkich cielsk. Zastłuchali się zdziwieni.

— To dziki, lubią tak kapać się w przyjeziornym błocie. Noce już chłodnawe — wstrząsnął się. — Stare kości najbardziej to czują. A te szczeciniaste diabły mądrzejsze jak inne stworzenia. Błoto nagrzej się w ciągu dnia, nie tak łatwo ciepło utraci. To sobie ciepłoblotne kąpiele robią.

Roman zerknął na zegarek. Fosforyzujące wskazówki wskazywały północ. Podniósł się z miejsca.

— Bardzo dziękujemy, tak nam czas zleciał, już zaraz dwunasta. Pora wracać.

— Może spotkamy tę białą damę? — zaśmiał się Heniek.

— Lepiej jej nigdy nie widzieć ani nie słyszeć — poważnie powiedział stary.

— Ty, Wiesiek, pedałowac musisz, biedaku?

— Nie, Roman. Już prosiłem pana Późnego. Przenocuję u niego, chcę rano przejść się do lasu, tam jest wzniesienie, może też jakieś grodzisko? Wrócę koło południa, na węgorku wieczorem na pewno zdążymy. Trzeba będzie nadrobić dzisiejszy dzień.

Słuchał wraz z gospodarzem warkotu oddalającego się „Zündappa”, śledził pas świateł, dopóki nie zgasł przesłonięty drzewami...

Roman jechał okrężną drogą. PGR musieli mijać przy drodze spadającej nad jezioro. Nie było sensu przebijać się przez nieznane wertepy.

Motor zaprychał kaszłaco, próżno poddawał mu gaz. Jeszcze zaterkotał nierówno i nagle stanął.

— Ki diabeł — zaklął Roman.

— Może biała pani — zażartował Heniek.

Solecki w rozezleniu majstrował przy motorze. Zatkanął się gaźnik, trzeba było go rozkręcać i przedmuchiwać. Nie lubił tego, brudna robota. Heniek trzymał się w pobliżu „Zündappa”, jakieś nieprzyjemne i groźne wydawały mu się gęsto tutaj rozrosłe krzewy. Jeszcze Roman, w obawie przed wyczerpaniem akumulatora, wygasił reflektor i posługiwał się tylko lampką awaryjną.

Kubiak drgnął w pewnej chwili. Nie opodał nich rozległo się w krzakach jakieś stapanie. Tracił Romana w bok. Solecki zgasił lampkę, zastygli wsłuchani. Ktoś stapał ciężko, trzaskały gałązki. Potem ten ktoś, zwierzę czy człowiek, nie próbowali się nawet domyślać, przystanął. Roman szybkim ruchem włączył reflektor. Mocne światło oblało sylwetkę człowieka z pakunkami na plecach. W ręce jego błysnęło coś, szybko przesłonił to połą kurtki.

— Stój! — krzyknął Heniek w chwili, gdy nieznany osobnik runął przez drogę w kierunku pobliskich krzewów.

Pędził za nim co siły w nogach, wyłuskując po drodze z kieszeni elektryczną latarkę. Coraz bliżej słyszał tupot nóg uciekającego. W pewnej chwili zobaczył go znów. Zatrzymał się z ciężarem, stracił pewność nadziei ucieczki.

— Czego chcesz? — burknął obcy.

Teraz go Heniek rozpoznał. To był Stefan, ten kuzyn rządcy, przywódca rozróbny na zabawie. Znów coś chował gorączkowo pod burką.

— Co tam masz, brachu?

— Gównno cię to obchodzi. Ja cię nie wypytuję, co robisz tutaj.

— Mogę powiedzieć. Co jest w tym worku?

— Na ryby idę. Nie wolno?

— A gdzie oścień? — zakpił Heniek.

— Uważaj, ty mydłku, poznańska wywłoko — zasyczał tamten.

— Heniek, daj mu spokój! Co cię to obchodzi? — przyciągnięty ostrą wymianą zdań nadbiegał Roman.

— Słusznie. A wy, pętaki, nie włączcie mi więcej w drogę. Bo to smutno dla was się skończy. Porządnych ludzi będą zaczepiać po drodze. Na milicję dam znać.

— Tylko nie strasz nas milicją ~ poderwał się Heniek, ale Roman przytrzymał go silnie za rękaw.

Tamten stał jeszcze chwilę, szybkim krokiem ruszył potem w sobie wiadomym kierunku. Heniek wściekły zwrócił się do Romana:

— Puść — zasyczał.

— Nie, po co zaczynać grandę? Wiesz, co tam niesie? Nie, więc jakim prawem?

— Już wlaź do krzaków, ech, teraz go szukaj... Ty, Roman, masz zawsze dzikie pomysły. Strach cię obleciał?

— Rozsądek. I tak już zadarliśmy tu z niejednym. My wyjedziemy, a obrywać będą ci, co są z nami w przyjaźni. Znasz przecież tych facetów.

— Dlatego go chciałem ukrócić — ton głosu Heńka był już mniej pewny.

Zawrócili do motoru. Humory mieli zwarzone. Roman zastanawiał się, czy postąpił słusznie, Heniek wciąż jeszcze żałował straconej okazji rozprawy z łobuzem.

— Żeby tu był Wiesiek — powiedział. — On nie może darować temu Stefanowi, że wtedy nas nie przeprosił... — zastanowił się. — Słuchaj, Roman — powiedział z nagłym ożywieniem. — Co on tak chował pod kurtką? Może broń?

— Armatę — Roman zbył pytanie kpina, tak mu się wydało niedorzeczne.

## ROZDZIAŁ XIX

Piegowaty Józek specjalnie przyjechał traktorem, aby im przekazać nowinę. Wiesiek, był właśnie u Malickich, aż uściskał z radości pyzatego kierowcę.

— Nareszcie. Już nie wiedziałem, co myśleć.

Teraz zrozumieli jego pochmurny nastrój. Od tygodnia oczekiwał na zapowiadany przyjazd międzyrzeckiej ekipy dla przeprowadzenia próbnych badań, mających określić nowe stanowisko archeologiczne. Tyle z tym łączył nadziei, właśnie na dalszą przyszłość. Może rozpocząć się tu w przyszłym roku praca na większą skalę, on sam dostanie przydział do grupy, będzie znów ze swoimi, przy wymarzonej robocie. Tymczasem przyjazd grabarzy, jak ich Benek nieodmiennie nazywał, opóźnił się zdecydowanie. Wiesiek nie mógł dociec przyczyny, przypominać się nie chciał, nie pozwalała mu na to ambicja.

Teraz aż podskakiwał z radości.

— Skąd masz wiadomość? — znów go ogarnął niepokój.

— Od rządcy. Był telefon od przewodniczącego powiatowej rady, żeby udzielić wszelkiej pomocy, a potem ktoś do nich dzwonił z prośbą o powiadomienie pana Stachury. Rządca, mówiła mi Maryśka, co w księgowości robi, krzywił się, ale kazał tu zaraz przyjechać. Co to za heca będzie? Starych umarłaków będziecie szukać? — Piegus był wyraźnie zaintrygowany.

— Spokojna głowa, Józek, niejeden przy tej okazji dobrze zarobi. Trzeba ludzi do przesiewania. Gdyby się powiodło, za rok dopiero zobaczysz.

— Zobaczyć można... — w głosie traktorzysty brzmiał wyraźny sceptycyzm. — Ot, chłopaki, jest co innego! Na zabawę w sobotę przyjdziecie? Halina prosiła. Grandy nie będzie. Już my dopilnujemy.

— W sobotę? Dobra. Ma być w piątek wypłata w zespole, jakiś grosz wleci, starczy na kielicha — rozochocił się Heniek.

— No to fajno. Cześć. Na mnie czas. Mam jechać do drugiego majątku, kawałek drogi.

„Ursus” zapykał mocniej, zakurzył na polnej drodze. Mimo zapowiedzi radiowych deszczu nadal nie było widać. Suszyło nieprzytomnie, zaczynali się już ludzie obawiać o urodzaj ziemniaków.

Wiesiek zaraz pognął do domu, chciał zastawić na jeziorze skrzydlaki, zawsze coś może się wśliznąć, kilka dni na pewno nie będzie czasu na ryby.

Roman dostrzegł, jak Heniek z malcami dają sobie porozumiewawcze znaki.

— Co za tajemnice, Benek? Przede mną?

— Eee, nic takiego.

Pociągnęli całą trójką pod żółwi stawek, jak nazywano powszechnie hodowlę Benka. Romanowi było nawet cokolwiek przykro, zaraz jednak machnął ręką. Dzieciaki jeszcze, przecież Heniek mało się od nich różni. Pomyślał, że nie napisał wczoraj do matki. Regula-

mie otrzymywała jego listy, będzie się niepokoić. Najlepiej, gdy zaraz skrobnie i nada przez kogoś ekspresem, nadrobi opóźnienie w ten sposób.

Pomaszerował na górkę.

Żółwi przy brzegu nie mogli dojrzeć. Widocznie skryły się w mule. Benka się tylko zazwyczaj nie bały, wodził je za wyciągniętym palcem łatwiej niż kto inny domowe koty.

Rozłożyli się na poźółkłej od suszy trawie. Od opowieści Późnego coraz bardziej pociągał Heńka tajemniczy pałac.

— Znów baby plotły w majątku, że straszły przed dwoma dniami. Pokazała się w ruinach, gdzie został ten kawałek pietra, wiesz, takie puste okna. Psy wyły, więc to na pewno duch, na człowieka by tylko czekały. Jak Heniek, idziemy?

— Ostatnia okazja, diabli przynieśli grabarzy Wieśkowych. Wszyscy zaczną teraz łązić, mogą nas uprzedzić, i co wtedy? — płaczliwie wyrzekł Tolek.

— Idziemy. Jak tylko zorganizować, żeby nikt nic nie wiedział? O mnie nie chodzi, ale wy?

— Proste — Benek miał radę na wszystko. — Ja, wiesz, na wodę nocą nie lubię jeździć, no, po tamtym, brrr, tak ciemno było i zimno... Tolka samego nie zabiorą. Dzisiaj znów ojciec stawiać chce sznury na węgorze. Nazbieramy im jak najwięcej rosówek, żeby mieli całą noc roboty. Tylko co z tobą? Zapytaj, czemu nie jedziesz.

— Może mnie głowa boleć albo co. Dość mam już ryb, nikt mnie nie goni siłą nad wodę — z podnieceniem odparował Heniek.

— Latarki mamy, wezmę zapasową baterię. Jeszcze dwie mocne linki i worek — obmyślał Benek szczegóły wyprawy.

— Po co worek?

— Ty, Tolek, masz łeb chyba z kapusty. Po co worek? A jeśli skarby znajdziemy, w rękach będziesz je niósł? Koniecznie musi być worek.

— Lubusza weźmiemy, prawda?

— Lubusza? Przydałby się, ale zaraz rozjazgocą się kundle, wyczują go. Niech lepiej zostanie w domu. Prawda, Heniek?

— Prawda — wysapał. Słońce go zawsze rozleniwiowało, a jeszcze teraz paliło tak mocno.

— To ja już wszystkim się zajmę — zdecydował Benek. — chleb musimy wziąć do kieszeni. Bo nas może na przykład zasypać, jak górników w kopalni, i dokąd nie przebijemy tunelu, trzeba będzie coś jeść.

Heniek parsknął śmiechem, ale zaraz znów przybrał poważną minę. Paradny ten Benek. Istny poszukiwacz skarbów. Trochę przy tej myśli speszył się. A on to niby tak dużo lepszy? Co pcha go w te ruiny, po nocy, przecież nie tylko dziwaczna zjawą zwana białą panią. Też by nie miał nic przeciwko temu, aby znaleźć jakiś schowany trzosik. Słyszało się takie rzeczy, znajdowali ludzie to i owo po starych pałacach i zamkach na ziemiach zachodnich. Cuda o Żaganiu choćby gadali, a Żagań leży przecież na tej samej Ziemi Lubuskiej.

Cały dzień minął im w podnieceniu. Malcy z konspiracyjnymi minami robili przygotowania do wyprawy, Heńka zaraz po obiedzie poniosło do Agnes. Łaskawiej teraz dopuszczała go na swą wieżę. Całowali się, ściskali, potem znużeni wyglądali na świat, rozległy stąd jak na zdjęciu lotniczym. Dopiero teraz zrozumiał Heniek znaczenie tej wieży, na mocnej podstawie żelbetu wzniesionej w gęstwie leśnej. Zewsząd niosły się wieści o leśnych pożarach, straże ogniowe trwały w nieustannym pogotowiu. Każda stracona minuta mogła decydować o setkach hektarów połaci leśnych. Stąd szczególnie rola punktów obserwacyjnych. Dziwił się nieraz, jak najmniejszy dymek z byle ogniska jest stąd widoczny. Linia telefoniczna łączyła wieżę z leśnictwem, od razu wszystko wstawało na alarm.

Inna sprawa, że Agnes wyraźnie lekceważyła swe obowiązki, wylegiwała się często, a i spała godzinami. Nawet Heńka, który do specjalnie obowiązkowych nie należał, drażniła jej nonszalancja. Bo gdyby prawdziwy pożar?

— Nic nie będzie, dzieciaku, ja mam szczęście — odpowiedziała. — Pojadę potem do Zielonej Góry, mam obiecaną posadę w jednym takim zakładzie piękności. Muszę mieć na początek trochę gotówki, no nie? Kiecki jakies też trzeba sobie sprawić, sam rozumiesz, jakie to ma znaczenie. Tu dobrze zarabiam, niech sobie trwa susza choćby do zimy.

Nie oponował. Albo to w czymkolwiek by pomogło? Wolał się zawzięcie, do upadłego, całować... Agnes w dodatku coraz częściej czyniła mu dalsze nadzieje...

Wrócił, gdy już się ściemniało. Malcy wybierali się na poszukiwanie rosówek, pierwsza wilgoć osiadała na trawie. Roman z daleka już wołał na Heńka:

— Pośpiesz się z kolacją. Jedziemy na węgorki.

— Nie mam ochoty, wiesz, łeb mnie boli. Zresztą, mówiłem już, dość mam tej ryby. Patrz, zaraz połowa sierpnia, niedługo do budy, chcę mieć wakacje. Ty dłużej zostaniesz, możesz się bawić w rybaka.

Roman wzruszył ramionami. Pewnie, może iść, może nie iść. Jemu podobała się praca na wodzie. Przynosiła w dodatku trochę dochodu. Jakże zdumiona była matka, gdy przesłał jej pięćset złotych. Pisała, czy nie krzywdzi siebie z jedzeniem, musi pamiętać, aby nabrać sił... W odpowiedzi posłał jej trzy kilo wędzonej sielawy, przysłanej przez Późnego. Heniek odstąpił mu swoją część. On ma posyłać? Po co? Jego starzy mogą się nawsuwać, gdy zechcą, wędzonego łososia. Forsy ojcu nie brak.

Solecki pomyślał wtedy, że on nigdy w życiu nie jadł jeszcze wędzonego łososia. Przecież to tak drogo kosztuje...

Z rosówkami Benek i Tolek uwinęli się wyjątkowo szybko. Gdy Malicki wraz z Wieśkiem siadali do łodzi, Roman spychając ją z brzegu usłyszał porozumiewawczy chichot Benka. Obejrzał się, stali obaj, dwa nieduże cienie, poszeptowali coś.. Na pewno knują jakąś drakę, pomyślał, szok po ostatniej przygodzie dawno Benkowi już minął. Jeszcze tylko nocami bał się jeziora, we dnie bobrował po nim jak dawniej.

— Mama, dobranoc. Jedziemy z Heńkiem zastawić sznury na suma... Proszę na nas nie czekać.

— Tylko się nie potopcie — steranym głosem odpowiedziała, kwękająca ciągle jeszcze, kobieta.

— Dobra nasza — szturchnął Benek w bok Tolka, aż ten zapiszczał po swojemu.

Gdy od dzikich zarośli za parkiem zbliżyli się do ruin zamkowych, chłopiec przechylił się porozumiewawczo do ucha Heńka.

— Mówiłem, w nocy najlepiej, wszyscy śpią. Psy, gdyby nawet czekały, niegroźne. Teraz dziki na kartofle podchodzą, pomyśli każdy, że na nie. I tego magazyniera nie ma. We dnie to ciągle ślepi po murach...

Heniek przytwierdził kłapnięciem po ramieniu Benkowym.

— Aleś krzepy nabrał — syknął chłopak boleśnie.

Piwnice pozostawili na później. Tam już wejście mieli spenetrowane. Ważniejsza była część przylegająca do nie zrujnowanego skrzydła, w którym mieścił się majątkowy magazyn. We dnie zawsze ktoś się tam kręcił.

Przez zarośnięte malinami gruzowisko wspięli się do czernią ziejących okien i zapuścili w głąb mdłe światelko latarki. Lepiej ostrożnie, lichy nie śpi, a nuż się komuś zechce wałęsać po nocy, zobaczy ich?

— Udamy ducha — zaśmiał się Tolek.

— Niezła myśl — podchwycił Benek.

— Nie gadajcie. Benek, świec w prawo na te drzewa.

Kołysały się na zawiasach, piszczały przy byle poruszeniu. Heniek pomyślał, że kto wie, może tutaj kryje się tajemnica dziwnych odgłosów płoszących ludzi. Ten skrzyp brzmi zupełnie jak jęk.

Ostrożnie przesuwali się przez kolumnadę pokoi. Wszędzie leżały sterty gruzu, powała

była zwalona, zwiślała miejscami niebezpiecznie, nadwątlona jeszcze wichurami i deszczem. Jak dotąd nic ciekawego. Szczątki mebli, trudno było nawet rozpoznać dawne ich przeznaczenie, dużo różnych papierów z niemieckim tekstem. Właściwie stawało się nudno.

— Patrz, Heniek! — ostrym, podnieconym szeptem odezwał się nagle Benek. — Za tymi ceglami.

W rogu dziwnej, sześciokątnej sali piętrzyło się rumowisko szczególnie wysokie, tylko od prawa widniała szczelina, jakby pozostałość po dawnych drzwiach. Benek mocniej przyświecił latarką. Tak, jeszcze sterczały strzaskane resztki framugi. Za drzwiami widniały układane ze zwykłej cegły schodki wiodące w dół.

— Może to przejście do piwnic?

Ostrożnie, powoli odkładali na bok cegłę po cegle, starając się nie robić rumoru. Musieli zważać, aby nie runął na nich zruszony z miejsca stos odłamków. Benek sapał jak miech kowalski, tak był przejęty.

— Już chyba dosyć? Spróbuję wleźć.

— Uważaj tylko, ty zawsze masz pecha...

— Gadanie babci na nocniku — zachnął się, pakując już nogę przez grozący obwałem otwór.

— Cisza — syknął Tolek.

Wstrzymali oddech. Benek od razu zgasił latarkę. Nic jednak do ich uszu nie docierało.

— Tam, tam — drżący głos, ledwie widoczna w mroku wyciągnięta dłoń chłopca.

Przez lukę bocznych drzwi, wychodzących na ciągnący się wzdłuż całej długości budynku kryty taras, nadbiegły odgłosy szurających kroków. Heniek jak najostrożniej przesunął się do wyrwy w drzwiach. Obaj malcy tak z ciekawości, jak z ogarniającego ich lęku przywarli ciasno do niego. W pierwszej chwili ujrzeni tylko zruszoną miejscami, a nawet zwaloną zupełnie ścianę budynku.

— O Je... — zapisał Tolek, dłoń Benka zamknęła mu usta. Ale on także struchlał.

Na jaśniejszy płat tarasu, tuż koło zewnętrznego muru, wychyłała biała postać, wysoka, przerażająca. Tolek dygotał jak w febrze. Heniek też zęby zacisnął.

— Biała dama — szept Benka był cichy jak tchnienie, a przecież wydał się tamtym niesamowitym hałasem.

Tajemnicza postać przesunęła się do przodu, rozległ się brzęk żelastwa, jakby łańcuchów. Półgłosny jęk, mrozący krew w żyłach, rozdarł powietrze.

Z majątku ujadaniem zanosły się psy. Biała postać, szurając dziwacznie, znów się przesunęła do przodu, stanęła w otwartej wyrwie muru. Z podwórza musiała być widoczna w całej okazałości. Brzęk łańcuchów.

Heniek widział, jak malcy się tulą do niego, strwożeni bez reszty. Sam czuł, jak mu się włosy jeżą na głowie. Biała dama. Więc jednak prawda, nie miał Późny racji. Biała dama, duch, mara, zjawa... Czuł, jak ręce mu wilgotnieją. Najchętniej prasnąłby wszystko i uciekał, ile sił starczy w nogach. Tylko te dwa pętaki, gdy ochłona, zaczną się śmiać, poruta będzie. Żeby ich wszyscy diabli.

Brzęk, jęki. Boże, jakie to straszne, jakie ponure.

Z podwórka nagły, przeraźliwy krzyk kobiecy. Tupot nóg, trzaśnięcie drzwi któregoś z mieszkalnych pomieszczeń. Biała dama jęczy w tej chwili mocniej. Psy ujadają i wyją. Znów te łańcuchy.

Tolek najchętniej wpakowałby się teraz w kieszeń Kubiaka, skulił się i skurczył, słysząc, jak mu zęby szczękają. Benkowi również niewiele brakuje, Heniek jest u kresu nerwowej wytrzymałości.

Biała postać cofa się w głąb, przesuwa za występ muru. Ledwie ją teraz widać w mroku. Co to? Heniek wyraźnie słyszy, jak zjawa wyciera nos. Benek również zbaraniał, trąca w bok Heńka. Tylko do struchlałego Tolka nic nie dochodzi. Cały się zatracił w panicznym strachu.

Jeszcze, jedno wymowne chrząknięcie.

— Heniek, ona smarka... Ta biała dama.

I po chwili z triumfem:

— To lipa!

Kubiak już także to wie. Mocno ściska Benka za rękę, szepce do ucha, by się nie zdradził. Już oni ją zaraz urządzają, tę białą damę, za ten strach, za spocone ręce i włosy stojące dębem. Przykłada palce do ust, gwizdże przeraźliwie. Biała postać cofa się gwałtownie, spod nóg jej jakaś szczelina sypią się cegły.

Heniek wyje teraz przeraźliwym, ponurym głosem.

Biała dama wydaje nie mniej przeraźliwy krzyk trwogi, zrywa się, biegnie tarasem.

— Chłopcy, gazu za nią!

Tupocą nogi, mało się nie wywracają o cegły, o jakieś czerepy. Biała dama rwie szybciej, lepiej musi znać przejścia. Tupot dobiega teraz jak gdyby od jakichś schodów. Heniek staje przed nimi pierwszy. Jeszcze widzi migającego uciekiniera. W tej samej chwili schyla się, raczej intuicyjnie, z potężnym brzękiem spada coś za nim, ułamek przed nadbiegającymi chłopcami.

— Cholera — klnie Benek, schyla się, podnosi. Łącuch, a jakże, taki do wiązania krów.

— Nie dogonimy — Heniek wstrzymuje zapędy swych towarzyszy. — Wiecie, on może teraz odwrócić sytuację, zmobilizuje ludzi, będą gonili za duchami. Lepiej wywiewajmy stąd jak najszybciej.

Nie poszło to jednak tak łatwo. Długo trwało, nim znaleźli się znów w życzliwie kryjącym ich maliniaku. Sapiąc nie zatrzymywali się jeszcze, pognali aż po mały zagajnik przy pegeerowskich polach. Tam przysiedli, zdyszani, ledwie mogli mówić.

— To był mężczyzna.

— Ja wiem kto — zapisał Tolek. — To magazynier. Słyszałem, jak kiedyś krzyczał na żonę, tak samo...

Heniek zaśmiał się. Paradny ten malec. Ale chyba ma rację. Magazynier. Dziwna sztuka, ponury facet, nieprzyjemny. Wtedy pogonił chłopców, mówili, że był przestraszony. Teraz udawał ducha. Przecież nie dla przyjemności. Musi mieć jakiś cel, aby odstraszyć amatorów kręcenia się po ruinach pałacu, obok jego magazynów. Musi mieć jakiś cel... — ostatnie zdanie powtórzył głośno.

— Ale jaki? — od razu domyślił się Benek.

Ba, żeby to wiedział. Snuł dalej swoje rozmyślenia. Wiadomość o przyjeździe grupy archeologów rozeszła się na pewno szeroko. Nikt się nie zna na ich pracy na tyle, by wiedzieć, czy chodzi tu o rozkopywanie grodziska, czy może o przeszukiwanie ruin pałacu. Jegomościowi, który udawał białą damę, mogło się zdawać, że skoro utrzymywał w lęku całą okolicę, uda się nastraszyć również i młodych naukowców. Osądził ich własną miarą. Dlatego dziś wyszedł również w białej szacie. Magazynier? Może, ale równie dobrze mógł być ktoś inny. W każdym razie wyszła niewąska draka. Spłoszyli ducha.

Od majątku ciągle naszczekiwały psy.

— A mówiłem, żeby zabrać Lubusza. Już by go trzymał za portki — nie bez satysfakcji powiedział Tolek.

## ROZDZIAŁ XX

Od drogi zawarczała ciężarówka, Wiesiek rozpromienił się, łatwo teraz wpadał z nastroju w nastrój, bo na pewno jechali archeolodzy, jednocześnie zaś od pałacu zabrzmiały gnie-



wne krzyki, w których wyróżniały się słowa pełne pogroźek.

— Na pewno coś z Benkiem! — Heniek zerwał się z miejsca, gnał w stronę ruin.

— Pędzę do nich — Stachura biegł na spotkanie niewidocznej jeszcze ciężarówki.

Roman nagle sam został na łące, porastającej część wzniesienia określonego przez Wieśka jako grodzisko. Od paru godzin niecierpliwie czekali tutaj na przyjazd międzyrzeckiej ekipy.

Stał teraz, nie wiedząc, dokąd skierować kroki. Krzyki od pałacu stawały się coraz natarczywsze. Uznał, że tam raczej trzeba, interweniować.

Nadbiegł w porę. Z ponurą miną, łyskając wściekle oczyma, zbliżał się do stojącego w wyzywającej postawie Heńka czarniawy, nie ogolony mężczyzna. Poznał magazyniera.

— Ja wam tutaj pokażę, gówniarze, zasańcy — syczał groźnie facet. Był o parę kroków od Kubiaka, podniósł grubą pięść w górę. Heniek przybrał postawę obronną.

— Stać, do jasnej cholery! — Roman był już w pobliżu, pragnął uniknąć starcia.

Magazynier drgnął, obejrzał się, na twarzy jego odbiło się niezdecydowanie.

— Lubusz, weź go, weź go!

Pies szmyrgnął! błyskawicznie jak strzała spuszczone z cięciwy. Przywarował na sekundę przed magazynierem. Potem skoczył ku jego gardłu.

— Lubusz! Lubusz! Czy wyście zwariowali? Benek, odwołaj go. Benek! — darł się Roman, jakby go zarzynali.

Czarniawy mężczyzna ramieniem osłonił się od psa, odrzucił go od siebie. Lubusz zawarczał wściekle, ponowił atak, zaraz jednak skapitulował, słysząc nagłać nawoływania, by wracał do nogi. Przekrwionymi oczyma patrzył tylko na swego wroga, cofał się tyłem, powoli, gotów w każdej chwili do zrywu.

— Co jest! — Roman śmiało podszedł do miotającego rozeźlonymi spojrzeniami mężczyzny..

— A co to cię obchodzi? Pętają się gówniarze, gdzie nikt ich nie posiał, jeszcze się pozabijać gotowi. Dlatego ich pędzę do wszystkich diabłów.

— Spokojnie, spokojnie... Teraz nic pan nie ma tu do gadania. Zrozumiano? Zaczynamy prace badawcze i my panu, a nie pan nam będzie udzielał zezwoleń na pobyt w ruinach.

— Nie dopuszczę, niedoczekanie wasze!

— To się jeszcze zobaczy. Najwyżej milicja rozstrzygnie tę sprawę. Poprosimy rządcę, żeby to panu dokładnie wyjaśnił. — Roman prawem kaduka uzurpował sobie prawo do występowania w imieniu ekipy. Znał wczorajszą nocną historię, inaczej niż Wiesiek przekonany był także, że to właśnie magazynier udawał ducha białej pani. Czemuś zależało mu na odsuwaniu wszystkich od ruin. Ten jego dzisiejszy atak był przecież furiacko nieprzytomny.

— Uważaj, bubku — Heniek odchodząc pogroził pięścią.

— Spokój, Kubiak — krzyknął Roman. — Jeszcze ten tu zaczyna.

Zauważył, że przez twarz magazyniera przebiegają jakieś skurcze. Czyżby się bał? Zwłaszcza gdy mu napomknął o tej milicji... Gada też spokojniejszym już tonem.

— Jak uważacie... Ale takich smarkaczy lepiej w ruiny nie wpuszczać. Mogą być jeszcze miny czy niewypały. Albo gruz się obsunie i nogę który z nich złamie. Zresztą jeśli to na waszą odpowiedzialność...

Zawrócił zmalaty, jakiś zgrabiony. Roman i Heniek odprowadzali go uważnymi spojrzeniami.

— Biała dama — sarknął jeszcze Kubiak pod nosem, ale tak, aby magazynier tego nie słyszał.

— Roman, Heniek, chodźcie tutaj — wołał ich niecierpliwie Stachura.

Heniek obejrzał się jeszcze, ujrzał, że z rogu pałacowej budowli magazynier patrzy za nimi ponuro.

— Ani chybi, to on był wczoraj. Na pewno. Ten sam głos.

— Dobra już, dobra, dajcie raz spokój tym waszym cudom. Zrób weselszą minę, trzeba przywitać się z grabarzami... Masz okazję, babki też przyjechały.

— W samej rzeczy — zaciekał się Heniek. — Ta czarnulka to już w Międzyrzeczu wydała mi się wcale niczego.

Sami znajomi. Kierownik grupy, Stanisław, dyrektor muzeum ze swoją łysiną skrywaną pod śmiesznym beretem, jego żona plastyczka, dwie pary studenckie.

Gwarno się zrobiło od razu, wesoło. Benek z Tolkiem stojąc z boku rozdziawiali szeroko gęby. Nie bardzo byli zadowoleni z całej imprezy. Bo co będzie, jeżeli tamci właśnie odnajdą skarb, chłopcom zostawiając jedynie figę? Benek zaraz się jednak pocieszył, że do tych rzeczy trzeba mieć specjalną smykałkę. Ci tam w ziemi to może umieją grzebać, ale gdzie im się wyznać w labiryntach piwnic czy pośród nasypów gruzu?.

— No widzisz, dotrzymałem słowa — mówił Stanisław do zachwyconego Stachury.

Ten w odpowiedzi uściskał go serdecznie, to samo uczynił z Alfem z muzeum.

— A my tak na zimno, Wiesiek? — zaśmiała się maleńka, bardzo żywa, stale się wie-rcząca czarnula.

Tak był rozochocony, że i na jej policzkach wycisnął dwa mocne całusy.

— Patrzcie go, jaki donżuan! Myślałem, że od kobiet stroni na kilometry — zaczerwieniła się. Heniek pomyślał, że jest ona naprawdę niczego, niczego. Może być nowa rozrywka, Agnes wszak nie ucieknie...

Posypały się z auta tyki do oznaczania terenu, łopaty i szufle, wiadra, liny, deski jakies i kosze. Kierownik grupy z triumfem osobiście zdejmował worki z ekwipunkiem namiotowym.

— Widzisz, co się udało nam zdobyć? Z Zielonej Góry od komitetu turystyki, tam są morowe chłopaki. Czteroosobowy dla nas i podwójny dla babek.

— To znaczy, że nas eksmitujecie od siebie — zaśmiała się czarnula, łysnęła białymi zębami, aż Heniek wpatrując się w nią bezczelnie przełknął z emocji ślinę.

— Wanda, co ty! — obruszyła się koleżanka.

— Nic, stwierdzam po prostu fakt.

Samochód odjechał, zakurzył ich wszystkich, dodało to jednak tylko humoru. Wiesiek zapomniał już o swoich poprzednich zmartwieniach, nawet Heńkowi i Romanowi wywietrzało zupełnie z głowy starcie z magazynierem. Znowu zaczynało dźać się coś ciekawego. Zawsze to okazja przyjrzeć się pracy archeologów.

— Mamy dla was pięć dni. Wymierzmy teren, oznaczmy stanowiska dla wykopalisk. Siedzieliśmy trochę z Alfem nad naszą mapą — mówił kierownik ekipy. — Wygląda, że tutaj mieścił się spory gród, kto wie, czy nie wcześniejszy od Międzyrzecza. W każdym razie przypuszczam, że twoje grodzisko wejdzie do programu prac badawczych przyszłego roku. Cieszysz się? — z satysfakcją spoglądał na rozpromienioną twarz Wieśka.

Heniek dziwił się entuzjazmowi Stachury. Że też faceta tak pociągają te starożytne wykopki. Rozumiałby, gdyby ta mała, zalotna czarnula, ale jakieś grzebanie pośród starych czerepów? Też ma gust chłopak, niechże go dunder świśnie.

— Gdzie Halina? — rozejrzał się Alf.

— Zna ją pan? — spytał Roman.

— Czy znam? Jak najbardziej. Morowa dziewczyna. Niech tylko jesień nadejdzie, zaraz zacznie suszyć nam głowę, żebyśmy przyjeżdżali z pogadankami, z niektórymi wykopaliskami do pokazania, z wykładem o przeszłości Ziemi Lubuskiej. Ona sporo tu robi, żeby tylko miała lepsze warunki pracy. Jakoś nie szczęściło się jej, choćby z tym...

— Pewnie zaraz nadejdzie... Co Alf, jakże ci się tutaj podoba? — gwałtownie przerwał mu Wiesiek, wtrącając się do rozmowy.

— Podoba, podoba, entuzjasto. Przecież znam to grodzisko od dawna...

Roman badawczo zerknął na Stachurę. To nie był przypadek, umyślnie przerwał tamtemu, gdy mówił o Halinie. Zależało mu na tym. Uświadomił sobie teraz, że rzadziej ostatnio

widywał tę parę razem. Zaszło coś między nimi? Może dlatego Wiesiek bywał czasem w tak podłym nastroju?

Przyszedł rządca, zaraz mu Stanisław wręczył jakieś urzędowe papiery, wyjaśniał, co zamierzają robić, udobruchał zafrasowanego gospodarza majątku.

A potem, wiele nie zwlekając, zabrali się do roboty. Do Heńka podeszli wtedy obaj macy, odciągnęli na stronę.

— Wiesz, Heniek, śmierdzi nam ta sprawa z magazynierem. Facet się cholernie nastraszył, jak Roman wspomniał mu o milicji. Musi coś mieć na sumieniu. Może już znalazł ten skarb, tylko go nie może wydobyć? Boi się, żeby nie wyszło to na jaw?

— Guzik skarb, nie ma nic takiego — Heniek więcej interesował się w tej chwili Wandą, figlarnie łyskającą w jego stronę oczyma.

— Nie ma? Guzik wiesz. Czeka, zostaw tę babkę, zdążysz ją jeszcze przygadać, cztery dni będą — najeżył się Benek. — My z Tolkiem myślimy, że trzeba wziąć tego magazyniera pod obserwację. Ostrożnie, żeby się nie spostrzegł. Tu w krzakach czy w maliniaku znajdziemy takie miejsca, że będziemy go mogli śledzić. Może na czymś go nakryjemy, prawda?

— Prawda, prawda. Tylko uważajcie, bo gęby wam skuje, gdy nas nie będzie i na tym się skończy.

— Wiesz, Heniek, umówmy się. Gdyby coś zaszło ważnego, zagwiżdżę trzy razy na palcach, o tak, dobrze?

Gwizdnął przeraźliwie, aż wszyscy się obejrzel. Heniek pomyślała że na pewno nie przegapi takiego alarmu, choćby nawet w tej samej chwili całował tę czarną Wandę. I takie już myśli chodziły mu bowiem po głowie. Szybki był, jeśli już nie w decyzjach, to w zamierzeniach.

— To cześć. Uważaj, byś ślepi nie zgubił, za tą Wandą oczkując. — Benek nie mógł się powstrzymać, by nie dociąć raz jeszcze Heńkowi, ze śmiechem umknął spod groźnie wyciągniętego ku sobie ramienia. Tolek i Lubusz pociągnęli w ślad za nim.

Wiesiek zaskoczył międzyrzecką ekipę przygotowaniami, jakie poczynił na własną rękę. Z dumą zwłaszcza pokazał topograficzny rysunek obszaru grodziska, łatwiej było teraz wytyczyć w terenie punkty pomiarów. Miał także gotową koncepcję stanowisk, w których by należało prowadzić prace badawcze. Stasiek poczynić mógł tylko małe korekty. Jeszcze przed obiadem wśród krzaków sterczały wszędzie tyczki, wyznaczone były współrzędne, pomalowane zarysy linii projektowanych wykopów.

— Gotowe — odsapnął Stachura. — Po obiedzie możemy zaczynać.

— A obiad zjecie u mnie — rozległ się głos Haliny. — Przepraszam, że dopiero teraz się zjawiam, ale kucharka ze mnie nietęga.

— Brawo, Wiesiek, brawo, Halina — wykrzyknął Alf. — Właściwie powinniście się pobrać. Na przyszły rok przenosimy się do was z robotą, przynajmniej jadłby człowiek porządnie, nie jak w tym Międzyrzeczu.

— Jesteście wierutne lenie, stąd wasze kłopoty — śmiała się bibliotekarka, witając się po kolei z przybyłymi. Uśmiechnęła się do Wieśka, który po odezwaniu Alfa o ożenku stracił znów humor. — Co cię przygniata? Dawno, się nie widzieliśmy...

— Stale byłaś zajęta — mruknął.

Heniek spostrzegł w tej chwili wyraz oczu dziewczyny zwróconych na Stachurę. Nie mogło być dwóch zdań, zakochana w chłopcu na amen. Skąd tylko zarazem jakaś niepełność, niepokój. I Wiesiek nieswój, jakoś nie wszystko się tej parze pomyślnie układa.

— Idziemy, panie Heńku. Porwała pana archeologia? Tak pan nam gorliwie pomagał... — czarnula bezceremonialnie ujęła Kubiaka pod ramię.

— Archeologia? Strzeż Boże. Pani mnie porwała, panno Wando.

— Boże, co za banały! Już niech pan nic lepiej nie mówi. Te zielone oczy wyglądają mądrzej niż pańskie słowa.

Zgłupiał, zaczerwienił się, co mu się bardzo rzadko zdarzało.

— Dobrze, już dobrze — klepnęła go po dłoni. — Musiałam jakoś pana osadzić. Ja lubię koleżeńskie stosunki, ale nudzą mnie flirty.

— To po koleżeńsku pani Wieśka tak całowała?

— No pewnie. Przecież nie będę go odbijała tej miłej Halinie.

— Wy tam więcej wiecie w Międzyrzeczu niż my na miejscu. Jakoś nie bardzo płomienna to miłość...

— Bo to dawniej były tam takie inne sprawy... — nie chciała więcej powiedzieć.

Choroba jasna, co krok dalej, to więcej w tej okolicy różnych tajemnic — myślał zdumiony Heniek. Pałac, duchy, magazynier i ten Stefan, podziemna jaskinia, gawędy Późnego. Teraz Halina i Wiesiek. Sądziłby kto, że to spokojna dziura, zakichana wioska, tymczasem tyle wokoło się dzieje. Skąd choćby taka Agnes tutaj się bierze? Kosmetyczka, psiakość. Przedtem pracowała jako ekspedientka w Delikatesach w Zielonej Górze, uznała, że tą drogą nie robi kariery. Pewnie, kosmetyczka to brzmi inaczej...

Roześmiał się nagle na cały głos. Idąca obok dziewczyna spojrzała zdziwiona.

— Przypomniałem sobie naszą wczorajszą przygodę z duchem — powiedział ni w pięć, ni w dziewięć, musiał przecież jakoś wytłumaczyć swój śmiech. — Biała pani...

— O, coś nowego? Słyszycie? — zwróciła się do reszty towarzystwa. — Tutaj duchy straszą w pałacu. Będą, już to czuję, nie byle emocje. No i co z tą białą panią, niechże pan opowie, panie Heńku... — oczyma wyciętymi w kształt migdałów spojrzała w ten sposób, aż mu się słabo zrobiło.

— Opowiadali miejscowi, że tutaj straszy. Więc chcieliśmy sprawdzić — zaczął opowieść.

Roman idący tuż za nimi parsknął śmiechem. Heniek zaczyna nowe podboje. Zaraz jednak pomyślał o sobie i Kryśce. Jemu to się nigdy nie udaje, także i tutaj. Dziewczyna od wyjazdu ani się odezwała, raz tylko przez kogoś zapytała o zdrowie Malickiej. Nawet nie przysłała pozdrowień. Zacięła się. Trudno, nie będzie się za nią uganiał i skamlał o łaskę.

— Romek, w piątek spotkanie z grupą archeologów. W sobotę zabawa, wszyscy przychodzicie, w niedzielę zaś film. Francuski. Cały koniec tygodnia zajęty. Tylko gdzie ty, biedaku, znajdziesz czas na swoje amory? — śmiała się Halina.

— To taki z pana ananas? — pogroziła mu palcem Wanda. — No i co dalej z tą białą damą o męskim głosie. Dogoniliście ducha?

— Zwiął — zrobił tragiczną minę.

— Trzeba było zabrać ze sobą ładną dziewczynę, jak ja. Nawet duch by na nią się skusił — zażartowała. — No, już jesteśmy na miejscu. Ładnie tutaj, dba Halina o swoją świetlicę. Dzielna dziewczyna.

Roman wchodził ostatni. Zobaczył, że Halina nagle się zatrzymała. Ktoś ją przywoływał. Obejrzał się. To Stefan, ze swoją arogancką jak zawsze miną. Był mocno zafrasowany. Szeptał coś dziewczynie do ucha. Przybladła, przecząco kręciła głową. Namawiał. Wreszcie zgodziła się.

— Zaczekaj — powiedziała.

Zawróciła w sionce do drzwi swego pokoju. Natknęła się na Romana, który nie zdążył w porę uskoczyć.

— Proszę, proszę do środka. W świetlicy zjemy, w moim pokoiku | byłoby nam zbyt ciasno... — była zdenerwowana, prawie niegrzecznie wypychała go w kierunku świetlicy.

Zastanawiając się, co to ma znaczyć, poszedł niechętnie. Widział jeszcze, jak dziewczyna na wybiegła ze swego pokoju, zaciskając coś w dłoni.

W progu stanął w tej chwili Wiesiek.

— Gdzie się podziała Halina? — pytał.

— Zaraz będzie. Jest tam — odburknął Roman.

Stachura żwawo podbiegł do wyjścia z sionki, ale zaraz się cofnął, jakby go piorun poraził. Roman ledwie go poznał, taki zrobił się blady, wargi mu drżały, z trudem klecił słowo za słowem. Nawet gdy po południu wrócili na teren i zagłębili łopaty w ziemi, nie odzyskał swej zwykłej werwy...

Halina starała się jak najlepiej odegrać rolę gospodyni. Śmiała się, żartowała, zachęcała do jedzenia, ale i jej spojrzenie było spłoszone, zachowanie nerwowe, wesołość nienaturalna. Roman widział, jak wierzchem dłoni otarła raz oczy, coś się w nich nienaturalnie zaszklilo.

Odwrócił głowę, chcąc być dyskretny. Napotkał pytające wejrzenie Heńka. On także zauważył.

## ROZDZIAŁ XXI

Wędkę z dawno objedzonymi przez drobiazg rybi haczykami mokły w wodzie, pławki zamarły na gładkiej powierzchni, któryś zwabił ważkę, przysiadła na nim prostując przezroczyście, mieniające się barwami tęczy skrzydełka, a Roman ciągle tkwił nieruchomo, wpatrzony w jakiś nieuchwytny punkt horyzontu. Paliło, horyzontem wałęsały się chmury, wyglądało, że tym razem zbiorą się i spadnie deszcz. Cisza w przyrodzie stała się ciszą wyczekiwania.

Odpowiadał mu ten dookolny spokój. Sam był także spokojny. Spokojny i smutny.

Jeszcze niedawno pisał do matki, że wróci z tak niespodzianie spędzonych wakacji wypoczęty i pełen ochoty do nowego etapu życia, a teraz wszystko się wywracało, robiło przyćmione i szare.

Kochał. Przestał bronić się przed tym uczuciem, choćby już tylko przed nazwaniem go po imieniu.

Pewnie, nie tylko źle ulokował swoje uczucie, ale jeszcze, jak Heniek to świetnie określił, w ogóle dziwaczył. Sam stwarzał dodatkowe przeszkody, przewrażliwiony i przeczulony, robił, co mógł, aby unikać dziewczyny, a gdy nie mógł już przestać myśleć, to usiłował się z nią nie widywać. Ba, dziwaczył... Gdyby zyskał jej wzajemność, można by tamto postępowanie i tak nazwać. Ale skoro przegrana była wyraźna, może te opory miały swą rację? Jakimś przecuciem próbował od początku bronić się przed miłością, która niosła za sobą klęskę.

Żachnął się. Klęska. Wielkie słowo i bardzo, ostatecznie tragiczne. Nie lubił zamykać w swym życiu jakichkolwiek zaczętych spraw klęską. Zawsze wychodził obroną ręką. Dopiero teraz. Bo cóż z tego, że on wie dobrze, jak głęboko Kryśka się myli, jaki czeka ją zawód, gdy nie zmieni to w niczym postaci rzeczy. Jego ona w każdym razie nie kocha. Lubi, szanuje może, na pewno jest wdzięczna za Benka, to wszystko. Tych pocałunków nawet wspominać nie warto. Kaprys jakiś, niezrozumiały nastrój, tyle.

Zupełnie blisko przysiadłej w trzcinach łodzi uderzył szczupak. Widział go, wyskoczył nad powierzchnię długim kształtem, mignął srebrem, kręgi poszły po wodzie. Jakaś drobna rybka panicznym zrywem sunęła tuż pod powierzchnią, zostawiała za nią wyraźna smuga.

Cieszył się, że jest sam. Może się tamci obraża, choć starał się wytłumaczyć swą nieobecność, jak umiał najlepiej. Halina już wyglądała na urażoną. Tyle serca wkłada w przygotowanie spotkania ludności z młodymi archeologami, on jej tymczasem nawala. Trudno, czasem za wszelką cenę musi się być samemu. Wczoraj pomagał, jak mógł, nie wykpiwał się tak jak Heniek, choć i jego też w końcu czarna Wanda zagnała do pracy. Dziś ledwie doczekał obiadu, niepotrzebnie właściwie poszedł tam po wczorajszym spotkaniu z Kryśką. Musiał robić dobrą minę, rozmawiać, uśmiechać się, choć nie miał na to najmniejszej ochoty. Tu teraz jest dobrze, spokojnie i cicho, nawet ryby nie biorą.

Jednak bierze...

Wyciągnął płótkę, zdjął ostrożnie z haczyka, wypuścił do wody. Jak oszalała spłynęła w głębinę.

Heniek został wczoraj w obozie. do późna wieczór. Próbował zawojować małą czarnulę, choć wyglądało na to, że to ona go wodzi za nos. Wcale nie było pewne, czy uda mu się zyskać jakieś sukcesy. W każdym razie z humorem chłopak i werwą. Inaczej niż on...

Benek z Tolkiem także tkwili na wzniesieniu grodziska, uparli się z tym swoim magazynierem. Nawet pomagając przesiewać ziemię wydobytą z wykopu, coraz to skradali się pod ruiny pałacu, by spenetrować, co zaszło nowego na obserwowanym terenie. Do Malickich Roman powrócił sam. I wtedy zrodziło się w nim pragnienie, żeby pojechać do Kryški. Motor nie był Malickiemu potrzebny.

Jeszcze jadąc odczuwał wahanie, czy dobrze robi. Ostatnie dni jej pobytu nad przesmykiem nie przyniosły wszak żadnej zmiany. Raczej odwrotnie, wyraźnie tęskniła za doktorem Kowalskim. Wyczekiwała go rano i wieczór. Nie przyjechał, nawet wskazania lecznicze, o które prosiła dla gospodyni, nadeszła pośrednią drogą. Potem nie odezwał się ani razu, ach, prawda, jakieś tam pozdrowienia. Więc czy to wszystko ma sens?

Nie, wiedział, kiedy przeskoczył przez przejazd kolejowy. A jeszcze tak niedawno kpił z Heńka, że nie zwraca uwagi na drogę...

Kryški nie było, wraz z matką udała się do sąsiadów, miały niedługo powrócić. Breliński siedział na ławce przed domem, kopcił papierosa, ruszał śmiesznie swymi wąsami. Dróznik jak z obrazka, przypomniało się Romanowi pierwsze wrażenie.

Wąsacz rad był z niespodziewanej wizyty. Zaraz przesunął się, robiąc miejsce gościowi.

— Kości mnie dzisiaj łamią, na deszcz pewnie idzie. Pora, bo jeść co nie będzie z tej suszy. Co tam u Wojciecha dobrego? Rybaczy jak zawsze?

— Węgorze łapiemy. Na sznury mniej bierze, ale w zastawie na rzece bywa, że i dwadzieścia, trzydzieści sztuk się zgarnia.

— Dobra ryba, tłusta. To i szczęście Boże. Jakże mój Tolek błagał, żeby go zostawić, czemu nie, lepiej ma, więcej swobody, a jeszcze i żona nietęga, mniejszy kłopot. Tyle że ciągle się o nich boję. Jak się tylko zejda z Benkiem we dwójkę, nie wiedzieć, co im przychodzi do głowy. Strach wspomnieć z tą wodą. Kryška opowiadała. Boże, żeby nie pan. Słów nie miała, toż bohaterstwo, panie. Inaczej zamarzyłby chłopak i zmarniał z głodu za tą wodą.

— Daleko poszły kobiety? — zniecierpliwił się Roman.

— Z kilometr, na początku drugiego mojego odcinka. Wróca, wróca. Pilna sprawa, toby może podjechać warto?

— Nie, nic ważnego. Kolega skaleczył dłoń, prosił, żeby przywieźć jakąś maść, kawałek bandaża.

— No to dobrze. Nie pali się. I ot, widzi pan, nowa kraksa. W ogóle świat ten jak zwariowany, nawet w naszych stronach, przedtem spokój był, teraz co dnia nowina.

— Cóż takiego?

— A te złodziejstwa? Nie słyhać było tam u was? Bo mnie zawsze, wiadomo, prędzej się dowiedzieć jak komu. Człowiek robi przy szosie, jedzie ktoś, przystanie zakurzyć, pogada, nowiny opowie. Jakbyś gazetę czytał, jeszcze ciekawiej, bo to tak z życia...

Pomyślał Roman, że ze starego niezgorszy plotkarz. Kryška się w ojca nie wdała. Skryta jest raczej i małomówna.

— O tym kasjerze, co to wyplątę wiózł do Kaławy, wiecie pewnikiem?

— Słyszałem coś. Podobno dwieście tysięcy?

— Nie, to już ludzie dodali. I pięćdziesięciu nie było... Ale teraz znowu w Porąbce, przy szosie na Skwierzynę, tej pierwszej kategorii, co to ją grubą linią znaczą na mapach samochodowych, cały utarg dzienny w geesie zabrali. Ciemno już było, zamykał sprzedawca sklep, wyskoczyli, za gardło, przyduszonego do środka. Nóż do gardła, gdzie pieniądze? Co miał

robić, oddał, jedenaście tysięcy. Jeszcze litr wódki wzięli, póki do siebie przyszedł, ani gdzie śladu. I skąd tacy zbóje się rodzą? Czysta Sodomia i Gomora się robi. A tak było spokojnie.

Romana niewiele wszystko to obchodziło. Kradną, to milicji, nie jego sprawa. W detektywa będzie się bawił? Już ma dwóch takich na co dzień, czasem na dokładkę jeszcze Heńka się przyłącza do malców.

Zobaczył w oddali sylwetki dwóch kobiet. Wracały Kryśka z matką. Ledwie usiadł na miejscu.

Na jego widok dziewczyna ściągnęła wargi. Chwilę to trwało, nawet nie był pewien, czy mu się nie przywidziało. Słońce zachodu ślepiło prosto w twarz, przymrużył więc oczy, nie spuszczając ich z Kryśki. Patrzy jak zakochany, czy naprawdę ładniała dziewczyna coraz bardziej? Twarz ma tak delikatną, zupełnie jakby nie ze wsi, gdzie przecież i kurz, i słońce. No i cała sylwetka. Tak lekko stawia nogi, a jakie nogi, długie, wysmukłe, jedno marzenie. Uśmiechnął się na ten styl Heńka, nie wiedzieć kiedy przyswojony.

— Dzień dobry.

Przywitał się z matką, przypatrującą się mu uważnie. Uścisnął rozgrzaną dłoń dziewczyny. Nie, to ściągnięcie warg było najpewniej przywidzeniem. Uśmiechała się przecież.

— Mamo, to Roman, ten bohater — mówiła zupełnie serio.

— Kryśka, na Boga, tylko nie z tej beczki.

— Chodź, chodź, matka, do domu, niedobrze tobie pod zachód na dworze, wilgotno, mgła zaraz pójdzie od rzeki.

Jakże błogosławił w tej chwili Brelińskiego. Wąsacz uśmiechnął się do niego jakby porozumiewawczo.

— Przejdziemy się, Kryśka?

Podawała mu ramię. Czuł ciepło bijące od jej ciała przez kretonową sukienkę. Włosy dziewczyny rozwiały się, opadały na czoło.

— Cieszę się, że cię widzę — powiedział, truchlejąc ze strachu. — Tyle czasu, a obiecałaś pokazać się u nas.

— Nie złożyło się jakoś.

Było to bardzo wymijające. Zeszli teraz na polną drogę wzdłuż rzeki. Pamiętał, nie opodal się wtedy kapali, potem ten las, polana. Westchnął na wspomnienie pocałunków, tak nonsensownie przerwanych przez tych smarkaczy.

— Ja wiem. Ty wcale nie chcesz mnie widzieć — nie mógł powstrzymać już tonu żalu, jaki zabrzmiał w tych słowach.

Zatrzymała się nagle.

— Czemu ci na tym zależy?

— Wiesz chyba... Benek kiedyś mówił żartując, ale naprawdę to ja cię, Kryśka, bardzo, bardzo lubię. I więcej jak lubię...

Tak wiele powiedział. Właściwie wszystko. Czuł, jak serce mu wali, w ustach robi się sucho. Co mu odpowie?

— Ja także bardzo lubię was wszystkich — powiedziała. — Choć czasem utrudnia to wiele spraw — położyła mu rękę na piersi. — Roman, czemuś tak zrobił z doktorem?

Jakby oblała go wodą z połyskującej w mroczniejących światłach rzeczutki. Zastygł w jakimś odrętwieniu, czekał w ciągłym napięciu. Nie zamierzał jej ułatwiać tych pytań.

— Opowiadał mi, był bardzo wzburzony. Przecież to moje sprawy, nie prosiłam cię, abys je z nim czy z kimkolwiek omawiał.

Otworzył usta, już chciał powtórzyć tamtą rozmowę dokładnie, powiedzieć o upierścienionej szatynce w Międzyrzeczu, o pogłoskach, jakie krążyły o niedalekim ślubie doktora. Pohamował się jednak, to by nie było szlachetne. Po co przy tym właśnie on ma jej sprawiać przykrość? Właśnie on.

— Wszystko ci opowiedział?

— Chyba wszystko. Miał wiele żalu. Tylko ten jeden raz z nim się widziałam, przestał koło nas się zatrzymywać. Wczoraj przejeżdżał, udał, że patrzy w inną stronę. Może ja nie wiem wszystkiego, co było pomiędzy wami? A mnie... mnie... — z wysiłkiem jej przechodziły te słowa. — Mnie, Roman, bez niego trudno.

— Kochasz go? — zapytał cicho, ledwie sam usłyszał swój szept.

Stała wyprostowana, oczy jej się iskrzyły.

— A jeśli tak?

Zabrzmiało to jak wyzwanie. Do czego, jaką rękawicę miał podejmować? Popatrzył na nią. Tak śliczna mu się wydała w tej chwili, z drgającymi nozdrzami, z roziskrzonym wzrokiem, wyprostowana, dumna.

— Twoja sprawa. Tylko twoja — powiedział po dłuższej chwili.

Wracali w milczeniu. Nie prowadził już jej pod ramię. Szli szybko. Przed domem wyciągnął rękę.

— Do widzenia, Kryśka. I... przepraszam.

Zatrzymała jego dłoń w swojej.

— Roman, ty we mnie się kochasz? — spytała.

Potrząsnął głową, jakby w podziwie dla jej niedomyślności, choć pewien był, że wiedziała, na pewno wiedziała.

— Czy potrzebna ci teraz moja odpowiedź?

— Właściwie masz rację. Teraz ja przepraszam.

Łagodnie puścił jej dłoń z uścisku, poszedł w stronę „Zündappa”. Jeszcze się przy nim zatrzymał.

— Kryśka, mówiłem twemu ojcu, że przyjechałem po jakąś maść i bandaż... Lipa, ale żeby źle nie pomyślał.

Pobiegła, zaraz była z powrotem. Skręcając widział, jak stała z opuszczonymi dłońmi w tym samym miejscu, gdzie ją zostawił. Oglądał się parę razy, sylwetka dziewczyny szarzała, gasła w powiększającym się oddaleniu i zapadającym mroku...

Siedząc teraz na łódce rozejrzał się wokół siebie. Też już ściągały na wodę pierwsze cienie wieczoru. Doba minęła od chwili, gdy widział się z Kryśką. Doba od momentu, w którym ostatecznie musiał pożegnać się z nadziejami. Przedtem też wiedział, że doktor, że nim dziewczyna zajęta, że całusy były także dla Heńka, ale jeszcze się łudził. Teraz byłoby śmieszne mieć jakieś złudzenia.

Jakieś głosy dobiegały od PGR-u. Zwijając wędki spoglądał w tamtą stronę. Spotkanie młodych naukowców z ludnością musiało się już zacząć dobrą godzinę temu. Pewnie skończyli. Ciekawe, czy zdołali w jakiś sposób zainteresować miejscowych?

Wypłynął z trzciny na czystą wodę. Nie opodal wychylał się wlot rzeczki — przesmyku. Skręcił jednym machnięciem wiosła, łódź była zwrotna. Od PGR-u nadpłynął jakiś nieznany dźwięk, przyciszony jeszcze, zaraz pobiegły za nim następne, mocne, natarczywe, odbijały zwielokrotnionym echem od ściany lasu, wdzierały się w uszy, alarmowały.

Już wiedział. Na trwogę! Pożar! Szarpiąc gwałtownie wiosłami, rzucił spojrzeniem w kierunku wysokiej kępy drzew parkowych wokół zabudowań majątku. Rozmazane mrokiem stały takie same jak zawsze.

Z impetem rąbnął o pomost, nie cumując łodzi biegł do domu.

Malicki krzątał się już koło motoru, kobieta stała z załamanyimi rękami. Porozumieli się bez słów. Roman wskoczył na siolecko, „Zündapp” ruszył z kopyta.

Palilo się prawe, w części tylko zniszczone skrzydło pałacu, zajęte przez magazyny zespołu PGR-ów. Ogień wybuchł niespodziewanie, zaskoczył wszystkich. W świetlicy zorientowano się dopiero na sygnał alarmowy. Stłoczyli się wszyscy w drzwiach, bałagan w pierwszej chwili, nikt nie wiedział, co robić. Zaraz jednak zaczęła się akcja ratownicza.

Pożar wybuchł od strony, gdzie na grodzisku stanęły namioty ekipy wykopaliskowej,



dlatego nie został spostrzeżony od razu. Gdyby nie to, że jeden z wozaków nadjeżdżał o tej porze od stawów, sytuacja była groźna. On to wszczął alarm, teraz pierwszy do studni na dziedzińcu przykręcał wąż, ktoś wyrwał mu drugi koniec, biegł w stronę ognia.

— Tolek! Tolek!

Roman obejrzał się, poznał głos Benka. Chłopak podbiegł do niego.

— Tolka nie ma.

— Jak to?

— A tak. Cały dzień czatowaliśmy i nic. Dopiero do tej świetlicy nas skusiło, cupnęliśmy sobie pod ścianą, przy otwartych drzwiach. Jak zaczął się alarm, już go nie było.

— Znajdzie się, nie zwracaj mi teraz głowy.

Benek pozostał na miejscu z bardzo niepewną miną.

Ratunek był utrudniony. Dostępu do części zajętej przez magazyn broniły masywne, zakratowane okna. Od frontu wejście zabezpieczyły solidne drzwi. Ratownicy wdzierali się od ruin, stamtąd przeskakiwali na taras, jeszcze nie zorientowani, gdzie jest główne ognisko pożaru.

— Dawać tutaj magazyniera! Co z nim?

— Janiak, szukajcie Janiaka!

— Biegnie już.

Wielki, czarny chłop pędził od strony swego domu, brzęcząc kluczami.

— Otwieraj!

Wahał się chwilę, dopiero na znak dany przez rządcę skoczył ku wrotom.

Całą kupą wdarli się na korytarz, ciągnęli węże, następni pchali się już z wiadrami. Wbiegali do zapełnionych towarem i opróżnionych pomieszczeń, kilku pognało schodami do piwnic. Stamtąd teraz wołali o wodę.

Ogień musiał wtargnąć od zarośniętej części grodziska. Okazało się, że czernieje tam cała połać wypalonej trawy, płomienie sięgnęły najwidoczniej przez pozbawione szyb okno, znalazły jakieś pakuły, stamtąd poniosły się dalej i dalej.

— Po straż do Międzyrzecza, tam jest ropa i nafta. Po straż! — wołali.

Rządca kopnął się do biur, gdzie był telefon.

— Benek! Benek!

Roman biegnąc z wiadrem wody zirytował się. Co do cholery te pętaki tak się nawołują nawzajem? Najważniejsze zresztą, że są już jeden i drugi.

Mignął mu w przelocie Heniek wracający z opróżnionym wiadrem. Dopiero formował się rząd podających naczynia z ręki do ręki.

— I co ty powiesz, Roman? — zagadnął.

Wzruszył ramionami.

— To ja cię czymś zastrzelę... — już Heńka nie było.

Gwałt się podniósł od strony budynku. Znalaziono drugie ognisko, tuż obok ścianki magazynu z paliwem. Dym buchał stamtąd potężnymi kłębami. Ciemność utrudniała działanie. Na zewnątrz mało się jeszcze wydobywało płomieni, wszystko się koncentrowało w piwnicach i pomieszczeniach parteru. Znalazły się dwie gaśnice, mocne uderzenie, biała piana z sykiem pokrywała tlejące przepierzenie z wysuszonego drzewa.

— Piasek! Piasek! Tam ropa, nafta.

Okazało się, że piasku jest w skrzyniach tyle co kot napłakał. W czym kto mógł, zaczęto go nosić z podwórza. Coraz trudniej było się zorientować, gryzący dym wypełniał wszystko wewnątrz budynku.

— Tam też się pali — to głos Benka.

Pobiegło kilku we wskazanym kierunku. Ogień buchał z przylegającej do skrzydła zrujnowanej części pałacu.

— Co za diabli? W paru miejscach? — ktoś się głośno zdziwił.

Nie było czasu na medytacje. Dym, piekielny swąd.

— Zboże się pali, pszenica.

To już na piętrze. Tam stały sąsiadki. Ale i akcja była już bardziej zgrana, nie patrząc na gorąco i dym biegli ludzie z pomocą. Rozleżał się daleko w noc odgłos bosaków zwalających niebezpiecznie zwęgloną ściankę. Z sykiem chlupotała woda. Od grobli doprowadzono drugi wąż, kilka osób na zmianę mordowało się przy ręcznej pompie.

— Tolek, wiele nie pomożemy, pilnujmy lepiej naszego. Czego on się tu wszędzie pęta?

W mocniejszym wybłysku płomienia mignęła im wielka postać magazyniera Janiaka. Biegł z wiadrem wody, zdziwili się, że chlusnął ją obok ognia na nie zajętą część podłogi, gdy tuż, tuż, dymiło się.

Przenikliwy ryk syreny.

— Jest straż — otucha wstąpiła w serca. Bo cholera wie, co z tym pożarem. W dymie trudno się w końcu rozeznać. Fachowcy, ci sobie poradzą.

— Milicja też przyjechała — szepnął do Wieśka traktorzysta o piegowatej gębie.

Benek z Tolkiem widzieli, jak milicjanci przywołali do siebie magazyniera, odprowadzili go poza obręb płaszczyzny rozświetlonej blaskiem płomienia. Teraz nie mieli nic do roboty. Już tam strażacy lepiej od nich wszystkich sobie poradzą. Stanęli z boku kotłującego się tłumy. Lamentowały kobiety, mężczyźni spoglądali ponuro. Strażacy już byli w akcji. Zgrabnie im to szło.

— Tolek, gdzieś był? — głos Benka był ostry, inkwizytorski.

— Gdzie? Sikać mi się zachciało. Jeszczem nie skończył, widzę, od bocznej strony magazynów sika ten Janiak. Wiesz, pod groblę. Więc ja bokami za nim, ani mnie widział. Zaczął biec kręgiem, od grobli aż po zagajnik. Jak krowa się przez niego przedzierał. Dopiero wtedy łąką od tyłu swego domu. Właśnie zaczął się alarm na pożar. Nie wiedziałem, co robić. Wracać czy dalej pilnować? Zostałem, aż go zaczęli wołać, razem wróciłem. On mnie nie dojrzał. Ty, Benek, czy to nie on może?

— Cholera wie... Tolek, a tam, gdzie myśmy papierosa palili?

— Ee, nie z tej strony się to zaczęło.

— Kiedy właśnie z tamtej.

— To lećmy zobaczyć.

Wielkim kołem obiegli budynek, wychynęli w gęstwie maliniaku za ruinami, stamtąd wyskoczyli na porośniętą trawą gruzy, gdzie czatowali przez dwa dni na Janiaka. Wielki plac trawy zesmalony był zupełnie aż po piwniczne obite kratą okna części magazynowej. Chłopcy spojrzeli po sobie.

— Tu byliśmy?

— Jakby trochę dalej. Nocą nie rozpoznasz tak łatwo. Ktoś idzie, cofnijmy się, może to już magazyniera puścili, sprawdza coś?

Przycupnęli za malinami. Ktoś nadbiegł na plac zesmalonej trawy, rozglądał się, silnym podrzutem nogi kopnął jakąś butelkę, aż rozprysnęła się w szczątki w niedalekich krzewach.

— To Stefan... — szepnął Benek.

— Chodźmy za nim. Czego on szuka?

Stefan zawrócił znów na podwórze. Porwał od razu dwa wiadra wody, pobiegł w stronę rozwartych wrót magazynu. Chłopcy śmignęli za nim.

— Wy dokąd, pętaki?

Tolek uchylił się. Benka czyjaś dłoń uchwyciła za ramię, przytrzymała.

— Stój, stój, gówniarzu!

Tolek nie słuchał. Zaraz za Stefanem runął w otwarte drzwi. Ten biegł korytarzem, potem skręcił na prawo, w drzwi za magazynem z ropą i naftą. Dym snuł się tam jeszcze gryzącymi kłębam. Stefan chlusnął wodą o ścianę, potem szurał dłuższy czas nogą. Tolek słyszał to stojąc w drzwiach. Teraz mężczyzna schylił się, zgarnął coś dłonią, wepchnął do kieszeni.

Porwał za wiadra, omal nie tratując Tolka pobiegł z powrotem.

— Fiuuu — zagwizdał chłopiec.

Wpadł między dym, krztusząc się, gorączkowo szurał nogami po podłodze, osmalonej, częściowo już nadpalonej. Ręka jego natrafiła na garstkę ni to pakuł, ni waty. Wzorem poprzednika zmiął ją i schował. Nie mogąc dłużej wytrzymać, wybiegł znów na korytarz. Ktoś pogroził mu pięścią, zawrzeszczał, inny trzepnął solidnie przez plecy, nic to, już był na dworze, szukał Benka oczyma. Nigdzie go jednak nie było. Wołać nie chciał, i tak zbyt wielu osobom wpadli już w oczy. Przysiadł zatem na ziemi, tarł kułakami zbolące, łzawiące oczy, rozmyślał nad wszystkimi tymi dziwami. Papierosa palili, prawda, i jakby w tym samym miejscu, gdzie ta spalona trawa. Może to oni zaproszyli ogień, Jezu, to dopiero byłaby granda! Ale czemu ten magazynier ganiał jak zając naokoło majątku? I skąd się wziął przy magazynie, jeżeli godzinę wcześniej go zamknął? Teraz ten Stefan. Czego szukał? Butelkę jakąś kopnął, potem te szmaty... Ach, prawda. Wyciągnął swą zdobycz z kieszeni. Były to zwykłe pakuły, nasycone smarem. Traktorzyści zawsze wycierali takimi ręce, podobnie robił magazynier po wydawaniu ropy. Cholera wie, co znaczy to wszystko. Trzeba się z Benkiem naradzić. Tylko gdzie go znowu poniosło?

Już chciał wstawać, gdy zobaczył, że rządca wraz z porucznikiem milicji idą w tę stronę.

— U nas właśnie są zmiany w strukturze zarządzania... Powiedziałem mu rano, żeby robił inwentaryzację, będzie komisja kontrolna. Bo ja wiem... Magazynier uparcie twierdzi, że to archeolodzy. Papierosy, ognisko, stamtąd musiał zaproszyć się ogień.

Tolek się zdecydował. Co mu tam. Będzie jeszcze Janiak na historyków gadał? A kto białą panią udawał?

— Panie milicjancie — wyskoczył przed nich jak z procy. Nie dostrzegli go przedtem. — Widziałem, jak przed pożarem magazynier biegł do pałacu przez groblę, zagajnik i łąkę do siebie... A potem jeden taki... — zatkało go, przecież Stefan to kuzyn rządcy, jakże to powiedzieć? — Jeden taki, po ciemku nie widząc, kopnął za pałacem, gdzie ta spalona trawa, jakąś butelkę. A w magazynie to schował do kieszeni takie pakuły. Ja po nim jeszcze ten kłębek znalazłem.

Porucznik wziął pakuły do dłoni, pomacał, przybliżył do nosa.

— Ropa i nafta — powiedział.

— Wiele się tego używa, traktory, maszyny — bąknął rządca.

— Jak się nazywasz?

— Tolek Breliński, od dróżnika przy moście...

— Aha, wiem. No to dziękuję, chłopcze, nikomu nie mów, co tu widziałeś.

Tolek odszedł uradowany. Ma nikomu nie mówić, a zatem to musi być ważne. Już on teraz pokaże Benkowi, nie będzie mu stałe wymyślał, że jest fujara.

Ogień wygasł. Szczęśliwie został zahamowany w ostatniej chwili. Mało brakło, dostałby się do pomieszczeń, gdzie były paliwa i smary. Wtedy by już nie było ratunku. Spaliło się trochę zboża, poniszczyły narzędzia...

Tolek ciągle szukał Benka i ciągle go nigdzie nie było. Drgnął, gdy nagle ciężka dłoń opadła mu na ramię. Obejrzał się, był to porucznik milicji.

— Powiedz, chłopcze, czemu się tak nagle zawahał, gdy mówiłeś o tym człowieku, który kopnął butelkę i schował pakuły?

— A bo to był ten kuzyn rządcy, nie wiedziałem, jak sobie poradzić.

— Widzę, żeś nie w ciemnię bity. Pamiętaj, milczeć jak grób.

Patrzył za nim. Ale Benkowi to powiem, tylko musi mi złożyć przysięgę — pomyślał.

Magazyniera i Stefana milicja zabrała ze sobą.

## ROZDZIAŁ XXII

— Rewelacja, rewelacja — z daleka już krzyczał Wiesiek do nadchodzących.

— Masz babo placek, teraz z nim już w ogóle człowiek się nie dogada. Ciekawe, co oni takiego znaleźli? — pociągając Romana Heniek przyspieszył kroku.

— W tym drugim wykopie, na niecałych dwóch metrach zachowało się drewniane obwarowanie dawnego grodu. Sprasowane belki, widać je wyraźnie... Staszek zapalił się, obiecuje, na przyszły rok poprowadzimy tu normalne prace badawcze przez cały sezon. Cholernie, ale to cholernie rad jestem. Chodźcie, zobaczycie...

Porwał ich za ręce, rozradowany jak dzieciuch ciągnął w kierunku wykopu, nad którym robiąc rysunki klęczeli młodzi archeolodzy.

— Widzicie? Zaraz pod tym żółtym pasem, ciemniejsza warstwa. Wyraźnie można różnić poszczególne bierwiona. Pomyślcie, w przyszłości odłoni się wszystko i zabezpieczy, ustali kierunki, sposób budowy, uściśli epokę. Może to jeszcze z przedpiastowskiego okresu? piece hutnicze w Borowym Młynie można przypisać na ósmy, dziewiąty wiek. Kto wie, czy gród tutejszy nie był starszy od Międzyrzecza? Może tu właśnie tkwiło centrum życia plemienia zajmującego nieckę międzyrzecką?

— Wiesiek, niech cię gęś kopnie! Wszystko to klawe, ale mów bardziej spokojnie. Połapać się w niczym nie można — ostudzał go Heniek.

— Bo kiedy tak bardzo się cieszę, tak się cieszę. Od dawna mnie to grodzisko korciło. Wiecie, oni jutro wyjadą, tamten wykop zabezpieczymy do przyszłego roku, w tym będę jeszcze po trochu grzebał. Benek z Tolkiem ofiarowują mi się z pomocą.

— Najwięcej liczą na Halinę. Tym pęta kom musiałbyś płacić — wtrącił spokojnie Alf.

Wiesiek ochłonął nieco z zapału.

— Tak, oczywiście, Halina jak najbardziej...

— Pan myśli, że my to już tylko za moniaki? Ryb więcej potrafimy wyłowić, niżbyście tu mogli zapłacić. My z amatorstwa — Benek naburmuszył się, dumnie pierś wypiął do przodu.

— Mamy tutaj także własne badania. W tym pałacu jest...

— Tolek, zamknij się — spojrzenie Benka wyrażało groźbę. Też durna pała z tego Tolka, myślał, roztkliwił się i wszystkim gotów opowiadać o skarbie. Teraz, kiedy Janiak siedzi i nikt nie będzie ich wypędzał, nadarza się wyjątkowa okazja. A Wieškowi pomogą, pewnie, swój chłopak. Co oni o Halinie bajają, baba, jaka z niej być może pociecha?

— Przepraszam, oczywiście, ja dla was z całym uznaniem — Alf próżno się silił na poważny wyraz oblicza.

— Et, jakieś śmichy-chichy — połapał się Benek, demonstracyjnie odmaszerował na bok, przysiadł obok leżącego z wywieszonym jężorem Lubusza.

— Szkoda, że jutro musicie wyjeżdżać — Stachura ujął kierownika grupy pod ramię. — Sam tu niewiele zdziałam, muszę też pomyśleć o zarobieniu grosza na zimę.

— Czekasz tyle, zaczekasz jeszcze przez rok. Tu wyznaczyłem linię dalszego ciągu wykopu. Gdyby zaszło coś specjalnie ważnego, dasz znać, przyjadę. Przejrzymy razem ten planik, wczoraj go szkicowałem. Widzisz, koryto rzeczki musiało biec kiedyś inaczej, potem je przesunięto, zakładając rybne stawy. Linia biegła przez łąki, spad taki. Właziłem na tę najwyższą topolę, z góry ślad odcina się bardzo wyraźnie.

— To mi nie przyszło do głowy — zaciekawił się Wiesiek. — Jeżeli tu istniał kiedyś zamek obronny, jego położenie musiało wyglądać inaczej, niż uprzednio myślałem... Zaznaczyłeś tak, to by się zgadzało. W bok od stanowiska pałacu.

Roman spojrzął na te dwie głowy, jedna przy drugiej schylone nad planem, znów poczuł ukłucie troszkę melancholijnej zazdrości, że oni sam nie znalazł podobnej pasji życiowej

jak tamci. To jednak cudowna] rzecz takie zaangażowanie się całym sobą...

Wzrokiem poszukał Heńka. Oczywiście, jest przy tej czaruli. Dziewczyna nanosi na papier szkic wykopu, łobuz pokpiwa, przeszkadza. Wanda jest wyraźnie poirytowana.

— Dzień dobry, cześć pracy. Jest coś ciekawego w tej dziurze?

Obejrzał się. Ten głos znajomy. Tak, to Stefan. Razem z rządcą.

Mina faceta rozradowana. Pewnie wypuścili go wczoraj, podobno tamten się przyznał do winy, stanowczo także zaprzeczył, jakoby miał współników... Teraz rządcą urządziła małą demonstrację ze swoim kuzynkiem. Pał ich sześć.

Łysawy Alf, kierownik muzeum, grzecznie wyjaśniał rządcy i jego towarzyszowi znaczenie pierwszego odkrycia w dopiero rozpoczętym wykopie. Z dumą pokazywał zżarty rdzą kawałek żelaza, podobno miało to stanowić siekierę, znów te szerniałe płyty to pasek skórzanym. Roman już uprzednio trzął głową, trzeba mieć smykałkę, aby od razu domyślić się znaczenia takiego szcążkowego przedmiotu. No cóż, spece...

Rządcą uprzejmie potakiwał, bakał pod nosem słowa uznania. Nie umiał powstrzymać skrzywienia twarzy na wieść, że w przyszłym roku rozpoczęte zostaną na jego terenie prace badawcze na wielką skalę. Wdał się potem w długi rozhovor o zabezpieczeniu próbnym wykopów, Roman słyszał, jak wypytywał, czy Stachura koniecznie musi jeszcze tu grzebać, lepiej by już zaczekać ten rok...

Bardziej niż rządcą i jego biadolenia interesował Romana główny ich wróg z zabawy, szczególnie przez Wieśka znieawidzony Stefan. Wykop początkowo zdawał się go nawet interesować. Rozmowie przysłuchiwał się już z obliczem wyraźnie znudzonym. Ziewnął, ostentacyjnie. Spojrzenie jego wyskakiwało na strony, dłużej się zatrzymało na Benku i Tolku szalejących z Lubuszem. Jakby od niechcenia odsunął się od swej grupy i wolnym krokiem poszedł w stronę wisusów.

Roman ciekaw był, co teraz nastąpi. Wieść o powrocie Stefana z aresztu rozniosła się wczoraj szybko. Piegowaty traktorzysta wtajemniczył ich w bliższe szczegóły. Janiak, po dwóch dniach upierania się, iż jest niewinny, skapitulował. On podpalił magazyny mieszczące się w nie zrujnowanym skrzydle pałacu. Rządcą zapowiedział inwenturę, bo to szykuje się przejście na inny system administracji, miała przyjechać kontrola. W magazynie zaś zdarzyły się pewne braki. Miał zamiar je uzupełnić, to nie kradzież, taki pechowy przypadek. Był w strachu. Przyszła mu wtedy do głowy ta myśl z pożarem. Nadarzała się dobra okazja. Ci z Międzyrzecza, co kopali, nie grzeszyli ostrożnością, palili papierosy łażąc po zburzonych ruinach głównej części pałacu, wieczorami znowu sypało iskrami ognisko... Przez ich nieostrożność mógł się zdarzyć przypadek... Wykorzystał porę zebrania w świetlicy, tak się zaczęło... Nikt z nim nie współdziałał. Stefan? Cóż on, w biurze pracuje, jeszcze spokrewniony z rządcą.

Sam Stefan też jakby nie miał kłopotów z wykazaniem swej niewinności. Ratował magazyn od pożaru jak wszyscy. Bał się, żeby nie zostawić gdzieś tlejącego skrawka, jeszcze by się ogień odnowił. Obszedł pałac, butelka, nawet nie pamięta, zdaje się kopnął jakieś szkło, coś w tym złego. To tylko tym szczeniakom mogło się coś przywidzieć. Że to była butelka po nafcie? Być może, nie wahał. Pakuły znalazł przy ścianie, która była już mocno zwęglona. Właśnie w obawie, by nie znalazło się w jej pobliżu coś łatwopalnego, przeszukiwał podłogę. I właśnie trafiły się te pakuły. Zabrał je, wyrzucić nie mógł, nużby się gdzie od nowa zajęły, w pośpiechu schował do kieszeni. Teraz ma nagrodę, wstyd taki, do kryminału zamykają, wierzą świadectwu pętałów włączających zawsze tam, gdzie ich nikt nie prosił. Mogłaby milicja poszukać sobie lepszych informatorów...

Przypominając sobie relacje traktorzysty, Solecki nie spuszczał Stefana z oczu. Rzeczywiście, argumenty jego były przekonujące. Ratować chciał, nic więcej. Może tak było naprawdę. Są uprzedzeni, widzą go w najczarniejszych kolorach... Przesunął się teraz o parę kroków. Mówi coś chłopcom, ci podnieśli się z trawy, Tolek rękami przytrzymuje Lubusza,

pies bardzo bojowo przygląda się przybyszowi. Benek gwałtownie zaprzecza. Co tam się dzieje? Facet macha pięścią przed nosami chłopaków, odchodzi. Co on im gadał, miny mają niezbyt wyraźne.

Kierownik grzecznościowo jeszcze raz nachylił się nad wykopem, popatrzał, pomrucał, kordialnie wyciągnął rękę, ścisnął swego informatora. Stefan także podskoczył już z dłonią. Oddalili się wolnym krokiem.

— Panie Heńku, niechże pan mnie wreszcie zostawi w spokoju. Mam jeszcze kupę roboty — z tłumioną pasją warknęła Wanda.

Kubiak podniósł się z ziemi, otrzepał ostentacyjnie kolana. Roman słyszał odezwanie dziewczyny, uśmiechał się.

— Chodź tutaj, Heniek — zawołał.

Kubiak przywitał to jak wybawienie. Samemu trudno było od razu kapitulować, opuścić dziewczynę. Podbiegł do przyjaciela.

— Co jest?

— Stefan groził naszym chłopakom. Dowiemy się...

Benek z Tolkiem biegli już do nich. W podskokach pędził z tyłu kudłaty Lubusz.

— Mędre, rzucał się jak pchła na grzebieniu. Że to nam się pętać po pałacu nie wolno. Groził, że kości połamie. Ciemna masa, nie zna się wcale na prehistorii — jazgotał Benek.

— Prehistoria, fiuuu, jaki słownik.

— Zamknij się, Heniek. Poważna sprawa. Dlaczego tak mu zależy na rumowisku?

— Mnie obiecał rachunek za to, co powiedziałem porucznikowi milicji — głos Tolka nasiąkał płaczem. Kułakiem gwałtownie tarł oczy.

— Trzeba nas było od razu zawołać — poderwał się Heniek.

— Ba, kiedyś ty się właśnie do babki przystawiał, Roman zaś kwiatki liczył na łące. Krzyczeć nie chcieliśmy, myślałby bubek, że się go bardzo boimy.

— Obgadajmy to wspólnie — Romanowi także się ta historia nie spodobała.

Ekipa wraz z Wieśkiem zajęta była podsumowywaniem pierwszych prac wstępnych. Rysowały się ponętne perspektywy, nastroje były więc świetne, plany potężne. Wykopów tymczasem prowadzić się już nie będzie. Chyba że Wiesiek na własną rękę, ale to potem.

Czwórka znad przesmyku wraz z nieodłącznym Lubuszem rozsiała się na zasłanej gruzem murawie. Heniek wyciągnął nogi przed siebie, zmrużonymi oczyma ślepił po ruinach pałacu.

— Ten cały Stefan nie mniej tu winny, moim zdaniem, niż magazynier. Spółka, tamten go kryje, tak mu się najpewniej opłaca... Zobaczmy, co pokaże inventura. Trzeci dzień kontrolerzy już siedzą.

— Wiadomo, co pokaże. Kanty i złodziejstwo. Janiak przecież się przyznał — Roman był w tych sprawach bardzo surowy.

— Powiedział, że jeszcze z nami się porachuje, bo to nos pchamy w nie swoje sprawy — zasyczał Benek.

— Pamiętacie, jakśmy wracali od Późnego? Pakunek na plecach, na pewno z magazynu towary. W czasie pożaru zacierali ślady. I jeszcze... — Heniek urwał, zawahał się. — On jest w komitywie z Mątwiakiem, diabli wiedzą, co kryją, kazali mi przez Agnes powiedzieć, żebym nie ważył się chodzić w pobliżu ich domu.

— A może, może — ożywił się osowiały przez cały ten czas Tolek. — Może razem poszukamy teraz w ruinach?

Heniek przypomniał sobie nocną wyprawę, strach, jaki go ogarnął na widok białej damy. Jakoś za wiele podejrzanych nici skupia się wokoło tych ruin. Magazynier i Stefan, dziwny niepokój Haliny w ostatnich dniach, chociaż to raczej nieprawdopodobne... Wcale jednak nie miał pewności. Świetliczanka była podobno kiedyś narzeczoną Stefana. Była, może i jest, diabeł się wyzna w babskich sekretach. Niechętne jego spojrzenie pobiegło ku

Wandzie. Strzyże oczyma za Alfem, może dlatego jest niedostępna, na nic się zdały trzy dni podrywania dziewczyny.

Pierwszy zerwał się z miejsca, zagarnął dłonią nie zdradzającego ochoty do wałęsania się po ruinach Romana.

— Dobra, idziemy.

— Pamiętacie schodki za rumowiskiem, co ten duch nas wtedy nastraszył? — entuzjazmował się Benek, pierwszy drapiąc się poprzez gruzy do wnętrza pałacu.

— Co tu papierzysk — zdumiał się Roman, podnosząc z podłogi jakiś świstek upstrzony u dołu okrągłą pieczęcią z hitlerowską „gapa” — SS-distriktskommando — czytał. — Warto by tu dokładniej poszperać. Słabo znam niemiecki, może ty, Heniek?

— Guzik tam jakieś szpargały. Patrz, ta ściana każdej chwili gotowa runąć — wskazał zarysowaną, przechyloną płaszczyznę muru. — Mocniejszy deszcz i będzie huczna zabawa.

Ostrożnie prześliznęli się koło niebezpiecznego miejsca.

— Te schodki... — Benek nawracał do wspomnień pamiętnej nocy.

— Zaraz, zaraz, podejźmy bliżej nie zrujnowanej części. Tam jeszcze nie byliśmy, biała pani nas wypłoszyła.

Szli tarasem wzdłuż długiej kolumnady wyrwanych i wypalonych pożarem drzwi. Lubusz nieufnie obwąchujący nieznaną teren zaczął okazywać podniecenie, włos mu się nastroszył, z nosem przy ziemi sunął ku załomowi korytarza. Benek uważnie śledził go, szarpał Tolka za rękaw.

Korytarz rozwierał się w szeroką płaszczyznę schodów, zerwanych na całym poziomie. W gruzach leżał rozbity posąg, nagi tors kobiety ciekawił harmonią kształtów.

— Niczego babka, szkoda, że przetrącona i że z kamienia — zaśmiał się Heniek. — Cholera, jak się dostać tam na dół?

— Można postawić ten drąg, zsuniemy się po nim. — Benek smyrgał wokoło bystrymi oczami. Był w swoim żywiole.

Lubusz stał nad zarywem, węszył, gwałtownym skokiem runął w dół, spadł miękko na łapy, podbiegł kilka kroków, szczerknął zachęcająco. Heńkowi przypomniał się powrót od Agnes, kiedy Malicka skaleczyła nogę o kosę, wtedy pies podobnie zachęcał, aby iść za nim.

Zsunęli się po drągu, w pewnej chwili strop zarysował się, posypał się tynk, z łomotem osunęły się cegły. Zatrzymali się przestraszeni. Nic, reszta sklepienia jakoś się trzyma.

Schody wyprowadzały na szeroki hall, w kącie tkwił wielki kominik rzeźbiony w roślinne motywy, gruzów tu prawie nie było, znów tylko zatrzęsienie papierów, jakieś szmaty, z któregoś kąta wyzierały splecione przewody. Roman powstrzymał Tolka, który pchał się w tamtym kierunku. Nie w smak była Soleckiemu ta wyprawa, diabli wiedzą, czego się tu można spodziewać. Heniek niczym nie różni się od tych smarkaczy, jak dzieciuchowi skarby mu pachną, naiwny, myśli, że znajdzie się coś takiego w miejscu pobytu SS. Bzdura. Te przewody, żeby się nie wpakować w coś, z czego już wyjścia nie będzie.

— Uwaga, Może to miny?

— Et — ton odezwania się Benka był nasycony pogardą.

Lubusz z nosem przy ziemi przybliżył się do osłoniętej cieniem części hallu, nie padało na nią światło od zerwanego stropu, warknął, pazurami zaczął szarpać zwilgotniały mur. Heniek przyjrzał się ścianie.

— Tu były kiedyś drzwi, jest ślad zamurowania. Tynk wyraźnie odstaje.

— Skarb — głos Benka brzmiał triumfalnie, mocnym echem zadudnił po labiryncie ruin dawnego pałacu.

— Gadanie — sarknął Roman, ale i jego zaciekawiło odkrycie Lubusza.

Heniek wyjrzał z hallu do pokoju o wyrwanych drzwiach. Musiał tam rąbnąć pocisk, sufit ział dziurą, nad głową wysoko znaczyło się niebo, szczątki mebli mieszały się z gruzem, spiętrzoną grubą warstwą. Na ścianie krzywo wisiła jakaś mapa podbita płótnem, niemal

nieczystelną od wilgoci, spływającej po tynku przy każdym deszczu.

Rozglądał się za kawałkiem żelaza lub drzewa. Muszą rozwalić tę ścianę w hallu, może naprawdę coś tajemniczego kryje się za nią. Ostrożnie drapał się na stertę gruzu, wyciągał resztki szaf czy biurka, nic się nie nadawało. W rogu pokoju znad cegieł rdzą wystawała jakaś blacha, dotknął ręką, kształt zaokrąglił się. Zaciekawiony odgarnął gruz, gwizdnął z wrażenia. Z rumowisk wyraźnie wyłaniał się kształt jakby żelaznej skrzyni. Myśli Kubiaka skłębiły się. Kwatera sztabu SS, pancerna szafa, kto wie, co się w niej może znajdować; Trzeba zdobyć wyłuskać z gruzu, jeżeli nie jest otwarta, Roman znajdzie chyba sposób, aby do niej się dostać, mechanik przecież.

Zawrócił do swoich. Z hallu dobiegły mocne uderzenia. To sprytniejszy Benek wytrzymał skądś kawał pogiętej szyny. Pod okiem sceptycznego Romana razem z Tolkiem siekli teraz o mur. Zaprawa nie musiała być mocna, pękała, kurz się podniósł wokoło.

— Słuchajcie, ja tam znalazłem... — zaczął Heniek.

Pierwsza cegła skruszyła się, osunęła na podłogę. Heniek rozochocił się, pomyślał, że z obwieszczeniem odkrycia kasy można zaczekać. Wyrwał malcom szynę, sam tłukł teraz o ścianę. Na murze ukazała się jedna rysa, potem druga, znów sporo gruzu opadło, Heniek machnął raz jeszcze, rumor, pył, kurz, łoskot walących się cegieł, odskoczyli wszyscy, z drugiej strony wybitego otworu było jak gdyby jaśniej, wlepiali tam rozszerzone oczekiwaniem oczy.

— Co się tu dzieje, do jasnej cholery? — zabrzmiały nieznane głosy.

Cofnęli się. A to co znowu?

Wśród beczek, widocznych teraz poza otworem, pokazały się jakieś sylwetki.

— Heniek, to magazyny... — rozczarowany zakrzyknął Tolek.

— A, ptaszki, mamy was! Tędy się chcieliście włamać? Stój, stój! — na wszelki wypadek krzyczał mężczyzna biegnący z przeciwnej strony w kierunku otworu.

— Masz babo kaftan — zaklął Roman.

Sytuacja prędko się wyjaśniła. Panowie z komisji inwentaryzacyjnej potrafili zrozumieć zapędy młodych poszukiwaczy dziwów w ruinach pałacu.

— Jakże my teraz zabezpieczymy tę ścianę? — kłopotali się tylko. — Trzeba będzie ściągnąć murarza... Wy zaś chłopcy, na przyszłość rozwalajcie mury z większym namysłem.

Przepraszali, wycofali się z kwaśnymi minami, ryzykując windowali się w górę po niepewnym drągu. Tam dopiero Roman szturchnął w bok Heńka.

— Masz zawsze szczeniackie pomysły. Potrzebne nam to było?

— Spokojna głowa. Nic się nie stało.

— Heniek, teraz do sześciokątnej sali... Wiesz, gdzie te schodki.

— Dajcie spokój, będzie nowy ambaras... — perswadował Roman. — Ja się stąd w każdym razie wynoszę.

— Benek ma rację. Skoro już tutaj wleźliśmy, zbadajmy i tam... — stuknął się nagle w głowę, przypomniał sobie. — O rany, kasa!

— Jaka kasa?

— Tam, w pokoju obok hallu. Jest przysypana gruzem kasa pancerna. Tak mi się zdaje... Do niej trzeba się dostać.

Benkowi i Tolkowi aż oczy na wierzch wylazły. Roman tym razem także nie potrafił ukryć swego zaciekawienia. Może esesowcy nie zdążyli tej kasy opróżnić. Późny mówił, że zaskoczył ich atak radziecki.

— Teraz tam lepiej nie włączmy, aż na powrót zamurują przejście do magazynów — rozsądek wziął w nim jednakże górę.

Niechętnie przyznali mu rację.

Solecki w ogóle był dziś nastawiony sceptycznie i nie reagował z podobnym zapałem, jak pozostała trójka. Na rumowisko w rogu sześciokątnej sali spojrzął krytycznie.

— To nie od wybuchu. Specjalnie musiał ktoś zsypać te cegły.



— E tam, specjalnie... Zaraz, a gdzie nasz otwór, odgrzebaliśmy przecież wtedy część cegieł?

— Cholera niebieska! Ktoś znowu osłonił wejście. Roman, masz nosa...

Spojrzeni po sobie. To już wyglądało ciekawiej. Co za tajemnice, u licha, kryją się w tych ruinach? Kto tu łązi?

Nawet Roman z ochotą odrzucał na bok cegły i gruz. Z każdą chwilą poszerzał się otwór, odsłaniający strzaskane szczątki framugi. Benek wyciągnął elektryczną latarkę, bez niej nigdy nie udawał się w okolice pałacu. Schodki z cegły wiodły wyraźnie do dołu. Tak jak wtedy. Tylko... Tylko w warstwie kurzu zaścielającej stopnie wyraźnie się znaczyły odciski butów.

— Fiuuu — zagwizdał Heniek. — No, wiara, pakujemy się.

Pierwszy wskoczył Lubusz. Kudłaty psiak rwał dzisiaj do awantury, zastukały pazury o stopnie z cegieł.

— Lubusz, Lubusz — powstrzymywał Benek zapędy ulubieńca.

— Piwnice? — pytał Roman, rozglądając się po wąskim korytarzyku.

— Chyba nie, w tej części teren się obniża, wokół pałacu jest dodatkowa kondygnacja, nie pamiętasz? Przystudiowałem wszystko dokładnie.

Na troje zamykających korytarz drzwi pierwsze otworzyły się lekko. Był za nimi zasnuty kurzem mały pokój, w kącie stał na trzech nogach wyliniaty fotel o poręczach przewartych przez kornika, nic więcej. Drugie drzwi również ustąpiły bez trudu. Kurz, zaduch stęchlizny, jak zawsze w nie wietrzonym przestrzeni.

Lubusz zwariował przed ostatnimi drzwiami. Nie był podniecony, nie jeżył sierści, tylko minę miał triumfalnie zadowoloną, jakby pokonał wszystkie kundły w okolicy. Głośnym hauknięciem wyraził w pewnej chwili swój doskonały nastrój.

Próżno naciskali starą, masywną klamkę. Ostatnie drzwi nie ustępowały. W świetle latarki Heniek dokładnie oglądał masywne deski i mocną futrynę. Tu nigdzie nie było śladu wojennych zniszczeń. Mogło tak tkwić wszystko od lat. Ale te ślady?

Lubusz wspiał się na tylne łapy.

— On tam coś czuje — z przekonaniem rzekł Benek. — Próbujemy na siłę.

We czwórkę jak taranem ramionami walili w drzwi. Nie drgnęły. Roman pokręcił głową. W ten sposób nic nie poradzą.

— Dajcie mi jakieś gwoździe, kawałki żelaza, byle ostre — powiedział.

Przyświecił sobie latarką. Nie ulegało wątpliwości, zamek nie tak dawno został dobrze naoliwiony, a przecież zrujnowanej części pałacu w PGR-ze nie użytkowano.

Benek uwinął się szybko, przytargał całą kupę różnego żelastwa. Połowę Roman odrzucił. Jakimś ułamanym pilnikiem grzebał teraz w otworze.

— Fachowiec przy robocie — zachichotał Benek.

Zazgrzytało, Roman nacisnął klamkę, przekręcił pilnik. W zamku szczęknięto, klapnęło. Drzwi nadal były zamknięte. Drugi obrót poszedł już szybciej. Skrzyp, w rozwierające się drzwi wpadł snop światła latarki. Wstrzymali oddech.

— Znowu magazyn — rozpacz zabrzmiała w głosie Tolka.

Patrzyli zniechęceni. Coś nie zgadzały się obliczenia Heńka. Był to jednak magazyn. Całą niemal powierzchnię sporego pokoju z oknem, zasypanym od zewnątrz ziemią, zajmowały różne towary. Błądził po nich snop światła Benkowej reflektorówki. Opony mniejszych wymiarów, stos lemieszki do traktora, skrzynki gwoździ, jakieś bańki i pudła, części zamienne do maszyn.

Myśl Heńka pracowała intensywnie. Nie myli się, do magazynów stąd jeszcze daleko. To wcale nie takie proste. Tu kryje się jakaś tajemnica. Ale jaka?

— Wygląda mi na prywatny magazyn — zauważył. — Daj, Benek, latarkę.

Krok za krokiem obchodził pomieszczenie, prześlizgiwał się pomiędzy złożonymi

towarami, zapuszczał reflektor w każdą szparę. Coś go zastanowiło przy sporych rozmiarów beczulce. Z trudem przesunął ją z miejsca. Gwizdnął.

Znali ten gwizd wydawany przez Heńka zawsze w momencie podniecenia. Otoczyli go kręgiem.

— Widzicie? — pokazywał triumfalnie.

Na podłodze wyraźnie rysowała się sporych rozmiarów kwadratowa kłapa...

W tej samej chwili drzwi, którymi weszli do tajemniczego pokoju, zatrzasnęły się ze straszliwym hukiem. Lubusz poskoczył ku nim, za późno, zgrzytnął klucz, obrócił się raz i drugi, jeszcze usłyszeli szybki odgłos czyichś kroków na schodach...

— Masz babo kaftan. Uwięzili nas.

Na próżno się szarpali przy drzwiach. Roman obmacywał kieszenie, z triumfem wyciągnął obłamany pilnik, zaczął manipulować przy zamku, ale po krótkiej chwili podniósł się zniechęcony.

— Niegłupi facet. Zostawił klucz w zamku, żaden wytrych teraz nie pomoże...

— Kto to był?

— Na pewno Stefan, już ja to wiem — krzyknął Benek.

Heniek zachował spokój. Powrócił do interesującej go kłapy w podłodze.

— Szukasz tam wyjścia? Nie bardzo mi się chce wierzyć — Roman był wyraźnie zgnębiony. Dziwaczne sprawy działy się tutaj. Okazało się, że ruiny miały licznych wielbicieli.

Heniek z wysiłkiem szarpnął płytę za umocowane z jej szczytu żelazne kółko. O dziwo, podniosła się lekko. Latarka pokazała prowadzącą w głąb, świecąca jeszcze bielą desek drabiny. Znow ten zawadiacki gwizd Heńka.

— Pakujemy się? — spytał.

— Nie mamy nic innego do roboty. Boję się tylko, że przeciwnik zabezpieczył się przed takimi możliwościami naszej ucieczki — zauważył Roman. — Nie zdziwię się, gdy i ta kłapa z hukiem zatrzaśnie się nad nami...

— Wypchaj się ze swoimi przepowiedniami. Zakichany prorok — obruszył się Benek.

Stopnie drabiny wiodły do piwnic. Lubusz zawęszył ze wzmożonym zapachem. Na prawo i lewo rozwierały się otwory piwnicznych pomieszczeń, przeważnie puste. W jednej tylko stały jakieś dziwaczne skrzynie. Woleli tymczasem nie dochodzić ich zawartości.

— Górą nasza, chłopaki — wykrzyknął prowadzący kolumnę Heniek.

Reflektorem wydobył w końcu korytarza drabinę podobną do tej, jaką się dostali do podziemia. U pułapu widniał zarys wyjściowej kłapy.

— Nieźle pomyślane. Taki magazynek podręczny — zakpił. Wpakował się na szczeble, usiłował pchnąć kłapę do góry. Drgnęła, zaskrzypiała, nic więcej.

— Cholera, na niej na pewno coś stoi. I to coś pieruńsko ciężkiego. Musiał ten facet w ten sposób osłaniać włącz piwniczny.

— Magazynier? — zastanawiał się Tolek.

— Ale z ciebie głupi pomidor — obruszył się Benek. — Może powiesz, że to magazynier zamknął drzwi za nami, co?

Trochę się bali o wytrzymałość szczebli, gdy we dwójkę z Romanem zaczęli teraz podważać kłapę. Ustępowała z trudem, coś się przetaczało po niej z przeciwnej strony. Narobili rumoru, ale wysiłki ich jeszcze raz spełzły na niczym.

— I co będzie? Nie mamy innego odwrotu — zasapał Heniek.

— No, jeszcze raz. Całą parą!

Roman posłuchał wezwania. Barkami i głowami podważali kłapę. Uchyliła się mocniej, wążutki snop światła wpadł do piwnicy. Benek wydał triumfalny okrzyk. Ciężar podtrzymujący kłapę od góry zelżał, przetoczyło się coś, jak wyrzuceni z procy frunęli nagle Heniek i Roman w górę, a potem z równym impetem spadali w dół, nie wiedząc, gdzie głowy, gdzie nogi i ramiona.

— Pieska niebieska, ależ sobie guza nabiłem — stękał Heniek, podnosząc wzrok ku kwadratowi ciemnego światła u góry.

Lubusz pierwszy zwinnie wdrapał się po stopniach drabiny. Musiała go już zniechęcić wędrówka po dziwacznych zakamarkach zrujnowanego pałacu. Wyskoczył przez kłapę, warknął, coś się zaszamotoło. Benek rwał za czworonożnym towarzyszem, wysadził głowę, w półmroku niczego nie mógł rozróżnić, wypakował się na wierzch. Przerażony uczył, jak za ramię łapie go silna dłoń, szarpnął się, podniósł głowę, ujrzał twarz porucznika milicji, który w drugiej dłoni trzymał rewolwer. Nie wypuszczając z uścisku zmarłego z przestrachu Benka, schylił się nad otworem.

— Hej tam, wyłazić wszyscy!

— Do diabła, przecież to znowu ta sama paczka — rozległ się zdumiony głos jednego z mężczyzn przeprowadzających inwenturę w magazynie Janiaka.

### ROZDZIAŁ XXIII

Otoczyli drgawicą pasmo trzciny nie opodal wylotu przesmyku. Buszując po chrzęszczących łądogach, siekli wodę bełtami, aż muł zwirowaną falą niósł się do góry. Wszystko zależało od wyboru miejsca. Długą, z kilku przeseł wiązaną siecią można było otoczyć każde zgęszczenie trzciny i sitowia. Trafiały się niekiedy dobre zastawki, serca im wtedy rosły na widok spasionych linów i złotem połyskujących rozrosłych karasi.

Heniek, idący bezmyślnym krokiem wzdłuż brzegów jeziora, przystanął na widok kompanów. Nie odzywał się, leniwie śledził ich trud. Cieniem żalu błysnęła świadomość, że tamci mają przynajmniej zajęcie, on zaś pęta się, szukając nie wiedzieć czego. Zachmurzył się. Świadomość dopiero doznanej porażki wracała niechętnie, gasiła resztki znośniejszego samopoczucia.

Splunął na ziemię, już otworzył usta, by skłąć Agnes pełnymi pasji słowami, ale się pohamował. Czego właściwie chce od dziewczyny?! Sam ich znajomości również nie traktował poważnie, niczego jej nie obiecywał, nawet w myśli mu takie coś nie powstało. Po prostu wakacyjne urozmaicenie... Przecież próbował także sukcesów u Kryśki, u czarnej Wandy z archeologii, nie w tym rzecz, iż bez skutku. Fakt, że próbował. Czemu Agnes nie może pozwolić sobie na coś takiego? Że z tym łobuzem? Wedle stawu grobla, ona sama także nie orzeł.

— Heniek, chodź do nas — zobaczył go Benek.

— Idźcie do diabła! — zaklął pod nosem, oddalając się od brzegu pod osłoną rozrośniętej wierzby.

— Heniek, Heniek — darł się Benek jak nieprzytomny.

— Całuj mnie gdzieś! — odkrzyknął głośno tym razem.

W odpowiedzi całe bractwo ze zwiększoną energią zaczęło siec wodę bełtami, szum się podniósł i plusk. Heniek uśmiechnął się. Uspokoił smarkacza.

Zakołem, aby tamci go nie ujrzeli, poczłapał do domu. Parno było, wyglądało, że wreszcie nadejdzie deszcz, chmury krążyły gęsto na horyzoncie. Może by tak machnąć się do stodoły na siano, przespać złość i poczucie zawodu? Żeby to jeszcze kto inny, ale właśnie ten zbój, piekielny Stefan. Bezcelnie w dodatku wychylił głowę z okienka na wieży. Agnes, ta również wcale się nie spieszyła. Odkrzyknęła wesoło, że gra ze Stefanem w dwadzieścia jeden, niechaj im nie przeszkadza. Język jej tylko po szczeniacku pokazał, na tyle go było stać w zaskoczeniu.

Malicki siedział na progu domu, zajęty naprawą sieci. Powoli zbliżała się jesień, nastąpić miał czas najlepszych połowów, trzeba się przygotować. Wyciągnięty na całą długość

leżał tuż przy nim kudłaty Lubusz.

Heniek przysiadł przy gospodarzu, patrzył na grube palce zwinnie operujące drewnianą igliczką.

— Parno — powiedział.

— A parno, może wreszcie przemoczy ziemię, strach, jaka spiekota. Ziemniaki pójda na nic.

Lubusz nastawił uszu, zwrócił łeb w kierunku drogi ciągnącej się wzdłuż gęstwy sośniaków. Podniósł się, merdając ogonem ruszył na spotkanie kogoś zbliżającego się szybkim, lecz ciężkim krokiem.

— Swój ktoś, pies się ucieszył — powiedział spokojnie Malicki odkładając na bok zwój nici.

— Breliński — Heniek pierwszy ujrzał dróżnika. Był jak zawsze w służbowym mundurze, ruszał wąsami, jak gdyby coś przeżuwał.

Heniek ze zdziwieniem spoglądał na ojca Kryśki. Żeby nie mundur i nie te wąsy, trudno byłoby go poznać. Policzki zapadły się, oczy podkrażyły sinymi obwódkami, tym większy stawał się duży nochal, potężnie wysunięty do przodu. Mówiąc rozkładał Breliński ręce:

— Smarkacza chciałem zabrać. Potrzebny w domu... A i poradę byś może dał, ani ja, ani matka dostępu do niej nie mamy. Słowem nie odpowiada, leży w swoim pokoju, krokiem się nie ruszy.

Heniek nastawił uszu. Kryśka najpewniej, o kimże innym mógłby mówić Breliński. Stało się coś? Zamyka się, nie chce z rodzicami rozmawiać? Co to za nowa historia?

Otworzył usta, chciał bliżej wypytać, Malicki dał mu w tej chwili znak dłonią, żeby zostawił wąsacza w spokoju, sam go zagarniał szeroko i serdecznie ramieniem, prowadził do wnętrza domu.

— Chłopaki niedługo wrócą, spocznij tymczasem. Opowiedz co i jak, będziemy szukać jakiejś rady. Stara też nam pomoże...

Heńka Malicki nie zaprosił do środka. Z trochę skrzywioną miną podreptał zatem na swoją górkę. Nie, to nie, nic go ta Kryśka nie obchodzi. O, Roman, ten będzie dopiero węszył, co się tam wydarzyło...

Słyszał z dołu brzęk talerzy i szklanek. Malicki na pewno zechce czymś mocniejszym zakropić rozmowę, czasami alkohol ułatwia zwierzenia, łatwiej znajduje się rada...

Rzucając się jak długi na łóżko, nasłuchiwał jeszcze brzęków i gwaru rozmów, zaklął, wszystko go dziś drażniło, wszystko się układało na opak. Agnes na wieży ze Stefanem, na pewno jest teraz mniej wstrzemięźliwa niż z nim, kiedy to zawsze kończyło się tylko na obietnicach. Malicki również bawi się w tajemnice, teraz, kiedy on także miałby ochotę na kieli-cha. Duszno na domiar, nie pomaga otwarcie okna, pot zlewa ciało, braknie oddechu. Jasny gwint, nudno, może naprawdę lepiej wracać już do Poznania?

Ziewnął, ramię podłożył pod głowę, przymknął oczy. Najlepiej będzie przespać się trochę, do obiadu jeszcze szmat czasu...

Zbudziła go gwałtowna ulewa, która nadciągnęła wraz z wiatrem. Przez otwarte okno lały się na ich górkę potoki wody, wszystko dokoła pływało, pościel, ubranie, drobiazgi rozrzucone na małym stoliku. Ostre cięcia błyskawic dzieliły niebo, grzmoty huczały długo i przeciągle.

Zerwał się, zziębnięty i przemoczony do cna. Fale deszczu dosięgły łóżka. Odpychany przez wiatr z wysiłkiem zamykał rozwarte połówki okna, klnąc jak ostatni wycirus. Bezradnie oglądał się po zalanej podłodze.

Drzwi rozwarły się z impetem. Daleki od swego zrównoważonego usposobienia Roman wpadł jak bomba, nie zwrócił nawet uwagi ni spustoszenia dokonane w ich pomieszczeniach przez burzę.

— Wypałeś się?

Ani patrzył na Heńka. Wyciągnął z szafy jedyne przyzwoitsze nieco ubranie, przebierał się galopem. Kubiak wytrzeszczył oczy. A tego znów jaki giez ugryzł?

— Na bal się wybierasz? — zakpił.

— Jadę do Kryśki. Przyszedł jej ojciec, po Tolka, chłopiec potrzebny w domu...

— Ulewa przecież...

— Zaraz minie, przelotna chmura. Breliński nagli, ma w domu coś pilnego do załatwienia.

Stanął przed nim, łypnął zielonymi ślepiami.

— Roman, nie zalewaj! Co jest z Kryską? Słyszałem, jak mówił; Breliński, płacze, zamyka się w swoim pokoju. Może i ja bym się przydał na co?

Roman przygaś, zapodziała się gdzieś jego energia sprzed chwili. Ujął Heńka za rękę, uściskał.

— Dziękuję... To inna sprawa. Znów z tym piekielnym doktorem, rozumiesz czy nie rozumiesz? Przez niego dziewczyna cierpi, mnie też nielekkko. Cześć. Nie wiem, kiedy powrócę.

Trzasnęły drzwi, zatupotało na schodach. Heniek wzruszył ramionami, ziewając przy tej okazji zawzięcie. Jeszcze mniej teraz rozumiał. Za co mu Roman dziękował, czemu ścisnął dłoń z takim wylaniem? Kryśka, doktor, niby proste, kochała się w nim, ale co dalej zaszło?

Za oknem przejaśniło się, wiatr tylko dał nadal gwałtowny, fala deszczu minęła, ze wsząd szumiało potokami wezbranej wody. Otworzył znów okno, w pokoju bowiem nieodmiennie panowała piekielna dusznota. Wychylił się, słysząc warkot zapuszczanego motocykla. „Zündapp” wyskoczył zza węgła. Na tylnym siodełku rozkraczył się wąsaty dróżnik, trzymając na kolanach sponurzałego syna. Nie chciało się Tolkowi wyjeżdżać. Tutaj wszystko pachniało przygodą, był Benek, także ci starsi koledzy, a tam co? Matka zrzędzi, Kryśka ostatnio jak odmieniona, nuda cholerna.

Heniek uśmiechał się, domyślając się uczuć chłopaka. Cóż go obchodziły nieodgadnione sprawy dorosłych, którzy szukają dziury w całym i martwią się rzeczami, z których warto się tylko śmiać.

Benek, który z powagą dłużył palcem w nosie, trzymając w dłoni siatkę pełną niemrawo poruszających się żab, minę miał także mocno zafrasowaną.

— Co jest? — szturchnął go Heniek.

— Ręce w kieszeń, zabawę sobie znalazł... Co jest? Za mało nerwów popsuliśmy temu konowałowi. Dekawkę trzeba było spaskudzić facetowi na amen.

— Gadaj o Kryśce, nie o doktorze.

Benek z zainteresowaniem oglądał żaby, które objawiły wzmożony ruch.

— Po deszczu złapałem je na podwórku. Z dziur różnych powyłaziły. Trzydzieści sztuk. Będą miały żółwie uciechę... Czego się krzywisz? Sam mało co wiem. Podobno doktor się żeni, czy już nawet na cywilno się ożenił, a w niedzielę ksiądz czytał zapowiedzi w kościele. Dlatego Kryśka rozpacza. Durna, pokraka z tego doktora, nie chłop.

— Aha.

— Co aha? Takie z was wszystkich chojraki, a nie mogliście Kowalskiego od niej odwalić? Całowała się z Romanem, całowała się z tobą, znaczy, miała ochotę. Gdybyś się tam pokręcił, zakochałaby się w tobie zamiast w doktorze. Roman teraz pojechał, ale to łyżka po obiedzie... W gębie tylko jesteście mocni. Do ruin sam pójdę, figę wam zostawię ze skarbu. Może i do bunkrów popłynę.

— Utopisz się.

— Et, gadanie, marudzisz jak stary. Cześć, ja do żółwi — poczłapał bosymi piętami po kałużach parujących w słońcu, które znów zapanowało nad niebem.

Heniek stał niezdecydowany na progu. Z kuchni dochodziły głosy rozmawiających z ożywieniem Malickich. Nadstawił ucha.

— Co tam wydziwiać. Źle Kryśka mierzyła. Taki doktor to się za posagiem ogląda,

zaraz gabinet sobie chce kupić, dobry samochód, meble. A Kryśka co? Tyle, co ma parę łaszków na sobie. Bałamucił dziewczuchę, aż znalazł sobie bogatą... Ludzka sprawa. Mnie ten Kowalski zawsze się nie podobał. Jak mu chłopcy nabroili w samochodzie, tom dlatego i nie zerznął ich pasem.

— Co z nią będzie? Posadę rzuciła, do człowieka, mówił, niepodobna. Ponura chodzi, płacze.

— Babskie łzy i psie głosy nie trafiają w niebiosy — mruknął Wojciech. — Głupia, jest czego szaleć. Przejdzie. No, zajrzę, matka, do krów, może je ta burza spłoszyła, siedzą gdzie w lesie i nie żrą...

Heniek szybko odskoczył. Po co Malicki ma podejrzewać, że podsłuchiwał. Przykro byłoby. To taka historia. Świnia ten cały Kowalski. Kryśka natomiast głupia. Że też oni traktują te swoje uczucia tak bardzo poważnie. Kichać tam, lepiej z kwiatka na kwiatek. Alboż to źle mi z Agnes? Z góry sobie założyli, że flirt ten w niczym żadnego z nich nie zobowiązuje i kropka.

W tym miejscu doznał ukłucia w okolicy serca. Jakoś z tym kichaniem nie bardzo szło z chwilą, gdy nie tyle na horyzoncie, ile na strażniczej wieży pojawił się Stefan. Dał Heniek pokój rozmyślaniom, jakoś gmatwało się to jeszcze bardziej. Przypomniął swój apetyt jeszcze sprzed burzy. Gdyby tak przejechać się do spółdzielni na wódkę? Niewiele, ale parę głębszych na pewno by się przydało. Zajrzał do wnętrza domu.

— Panie Malicki, można wziąć rower? Do spółdzielni pojedę. Przywieźć coś trzeba?

Z ochotą nacisnął pedały. Rozleniwił się ostatnio, ruch na pewno, dobrze mu zrobi. Strzeliło mu do głowy, aby zajrzeć do ruin, pogrzebać; w gruzie, sprawdzić, czy to rzeczywiście kasa, zrodziły się w nim bowiem wątpliwości. Gdyby kasa, inni by już ją dawno odkryli, przydałaby się nawet w majątku, miesząc tam jakieś akta, poufne papiery.

Mijając miejsce próbnych wykopów archeologicznych zaciekawiał się, jakie skutki przyniosła tutaj dopiero miniona ulewa, czy nie zalało; całkowicie odkrywek. Dopiero Wiesiek się zmartwi...

Na gliniastym terenie ślizgały się opony roweru. Postawił więc wehikuł pod pierwszym krzakiem, podyrdał pieszko. Tak jak przewidywał, w pierwszym wykopie niemal po wierzch stała brudna, żółta, w odcieniu woda. Brzegi zatraciły swą linię, pozarywały się, płatami zwiślała podmyta murawa. Heniek smętnie pokiwał głową. Gdy ją podniósł, zobaczył na stercie gruzu plecami odwróconą do siebie parę. Gwizdnął cichutko. Halina i Wiesiek. Przy drugim wykopie stały wiadra i kosz wypełnione rozmazaną ziemią.

Chciał już zawołać na nich, gdy zdało mu się, że ramionami dziewczyny wstrząsa coś jakby płacz. Nie ulegało wątpliwości, szlochała. Wiesiek był jakiś zbiedzony, niezgrabnym ruchem usiłował ją objąć, otrząsnęła się od tego gestu czułości. Stachura zastygł z ręką zawieszoną w powietrzu.

Dziewczyna mówiła przez łzy, Heniek słyszał wyraźnie.

— Zrozum, nie mogę... Ale mnie z nim naprawdę już nic nie łączy. Jak możesz być tak niedobry, by podejrzewać skoro sam wiesz najlepiej, że... — dalsze słowa zginęły w mocniejszym szlochu.

— Hala, już nie płacz, bo mi się wszystko tak dziwnie płacze, nic w końcu zrozumieć nie mogę.

— Ja wiem, ja wiem, ale nic nie poradzę. Nawet się nie domyślasz, jak mi jest ciężko.

Heniek obejrzał się wkoło, speszony jak rzadko. Mam dziś szczęście do podsłuchiwań — pomyślał z wisielczym humorem. — Przedtem Maliccy, teraz ta para pochłonięta sobą. Jak by się stąd wycofać, przykro będzie, jeżeli zobaczą. Zdecydował się, lepiej nie ryzykować, chrząknął głośno, schylił się nad wykopem, coś tam gmerał rękami. Kątem oka widział, jak gwałtownie obrócili się w jego stronę. Wiesiek szcerwieniwał, rozżośćć musiała go ta nieoczekiwana obecność Heńka.

— Halo! — krzyknął.

Kubiak udał, że ich dopiero zauważył.

— Cześć. Chciałem zobaczyć, co tu deszcz nawyprawił. Cholernie ci sknocił robotę. Próbujecie ratować?

— Trochę. — Wiesiek podniósł się, ruszył szybko naprzeciw Heńkowi. — Wyczerpywałem wodę, ten wykop prawie już suchy, reszta wsiąknie. Gorzej, że cała ściana się obwaliła, będzie kilka dni niepotrzebnej mitręgi. Sam wiesz, ile zachodu jest z wydobyciem każdego wiadra.

— Zacząłeś już — wskazał napelnione mazistą ziemią naczynia.

— Halina trochę mi pomogła. Gdzie idziesz? — zastąpił mu drogę.

— Chciałabym się z nią przywitać.

— Zdenerwowana jest dzisiaj, miała duże przykrości. Daj lepiej spokój... — Wiesiek mówił bardzo niepewnie.

Dziewczyna tymczasem sama zbliżała się do nich, nie krępując się Heńkiem, dłońmi ocierała zaczerwienione oczy.

— Dzień dobry... Rozmazałam się, otrzymałam złe wiadomości, nie mogłam się powstrzymać od płaczu. Wiesiek próbuje mnie pocieszać, ale jakoś trudno mu idzie — próbowała się uśmiechnąć, skutek był wręcz odwrotny. Spod półprzymkniętych powiek spłynęły duże łzy, zabłyśły w słońcu, które świeciło, jakby nigdy nie było burzy i ulewnego deszczu.

— Halina, dajże spokój, wszystko się jakoś uładzi — wybąkał Wiesiek, bezradnie spojrział na Heńka.

— Nic, już nic. Widzicie, co ze mnie za baba. Zrobi mi ktoś przykrość i nie mogę się pohamować...

— Kto taki? — obruszył się Heniek. Żal mu się zrobiło dziewczyny; w końcu można ją było lubić, tak się starała o swą świetlicę i bibliotekę, zakochana była w tej pracy, dobra, uczynna.

— E, nic, nic takiego... — wyszeptała.

W tej chwili przypomniał sobie wieczorną rozmowę z Romanem. Solecki opowiadał mu o dziwnym zachowaniu jej i Stefana w dzień Przyjazdu ekipy z Międzyrzecza. Rozjaśniło mu się, tak, to na pewno Przez tę kanalię.

— Stefan? Przez tego drania płaczesz? — zapytał, nie zastanawiając się, czy dobrze robi.

Stachura zdumiony i wystraszony wytrzeszczył szeroko oczy. Halina wzdrygnęła się. Heniek widział, że dobrze trafił.

— Powiedz, przez niego? — nalegał.

— Skąd ty wiesz? — spytała.

— Domyślam się. Jedno pewne, że faceta trzeba wreszcie osadzić.; Za wiele sobie pozwala, wszędzie się płacze, bieda i kłopoty przez niego. Ja także mam z nim na pieńku...

— Nie, nie, zostawcie go w spokoju — wybuchnęła niespodziewanie. — Ja nie chcę, żebyście mu jakąś krzywdę zrobili. Nie chcę.

Stachura zmałał, posmutniał w jednej chwili. Heniek dostrzegł to. Wiedział właściwie już wszystko. Ten spokojny na pozór, opanowany Wiesiek podkochuje się w świetliczance. A ona? Czyżby ją nadal obchodził Stefan? Coś niebywałego! To dopiero historia.

— Czemu nie chcesz? Po co drania osłaniać? — nalegał wzburzony ani dbając o takt, nie zważając na wzrastające podenerwowanie dziewczyny.

— Bo nie chcę. Nie chcę i już. Wystarczy! — krzyknęła głośno. A potem spojrziała na ich osłupiałe oblicza, zakryła twarz rękami, powiedziała cicho, bardzo już cicho: — Bo wy nic, ale to nic nie rozumiecie. I nic nie wiecie...

Pobiegła. Wiesiek porwał się, aby lecieć za nią, uspokajać, przepraszać, pocieszać, sam już nie wiedział co, ale Kubiak wstrzymał go, mocno chwytając za ramiona.

— Puść, do jasnej cholery.

— Spokój, nie tak ostro, Wiesiek. Nic jej nie pomożesz, rozdrażnisz jeszcze bardziej. Uspokój się.

Wiesiek jak nagle się zrywał, tak teraz oklapł w ramionach Kubiaka. Patrzył za Haliną, aż zniknęła mu z oczu, westchnął wtedy i rzekł z rezygnacją.

— Ona ma rację. Ja naprawdę nic nie rozumiem. To wiem, że już tego łobuza nie kocha.

— Jesteś pewien?

— Wiem na pewno. Dlatego właśnie nic nie rozumiem. W innym wypadku sprawa byłaby jasna.

— Wiesiek, ty ją kochasz?

Podniósł spojrzenie, jasne było, uczciwe.

— Kocham.

Heniek gwizdnął przeciągle. To zupełnie zmieniało postać rzeczy. Bo gdyby tylko Halina, ale jeżeli i jemu się na amory zebrało... Piekielnie jakaś kochliwa okolica, tylko że ta romantyka jak dotychczas funta kłaków niewarta. Wszyscy płaczą, cierpią, wzdychają, zupełnie jak w sentymentalnych melodramatach.

— Więc co z tym Stefanem?

— Oni... oni — trudno było Wieskowi wymówić, były to jakieś bardzo intymne, a zarazem bolesne dla niego sprawy. — Oni, widzisz, byli kiedyś po słowie. Dawno już temu. Ale potem Halina zerwała. On nie chciał podobno się zgodzić. Mało wiem, ona mi nic na ten temat nie mówi...

Gwizdnął po raz drugi. Zaręczyny, zerwanie, Stefan nie chciał, mętne to. Szkoda mu było Wieśka. Heńkowi wydawało się, że rozumie już wszystko. Gadać dziewczucha gada, ale w głębi duszy na pewno nadal się podkochuje w szubrawcu. Ot i cała tajemnica. Szkoda Wieśka, dobry kompan. Przecież jednak nie powie mu swoich wniosków. Albo nie uwierzy, albo się załamie bez reszty. Trzeba to wyklarować inaczej...

W zamyśleniu, unikając wzroku Stachury, podszedł nad brzeg drugiego wykopu. Spojrzał. Woda była tu rzeczywiście niemal wybrana, na dnie tylko gromadziła się w małym zagłębieniu. Ziemia z jednej strony osunęła się na szerokości co najmniej metra, znaczyły się warstwy z różnych, jak to Stachura kiedyś tłumaczył, okresów.

Coś go nagle zastanowiło. Schylił się.

— Uważaj, bo się obsunie — w Wieśku górę wziął w tej chwili archeolog.

— Obsunie, nie obsunie... Co to za świecidełko? — wskazał palcem wystający z obrwanej części wykopu połyskujący przedmiot.

— Gdzie? Co? — Wiesiek przyklęknął nad odkrywką.

I zaraz, nie oglądając się już, czy nie spowoduje większego obwałowania, zsunął się do środka. Drżącą dłonią wyciągnął wskazany przez Heńka przedmiot. Wydał cichy okrzyk zdumienia, niespokojnie obracał w palcach żółtawy w kolorze kamyk niekamyk. Potem podniósł oczy na zaintrygowanego Heńka.

— Boję się omyłki... Boję się, ale to dopiero byłoby znalezisko! Już samo ono warte całej naszej mitręgi.

— Co to takiego?

— Czekać, daj rękę, pomóż mi wyleźć... — Gdy już znalazł się na powierzchni, znów przybliżył dziwny przedmiot do oczu. — Nie, chyba naprawdę się jednak nie mylę...

Heniek z zaciekawieniem zaglądał mu przez ramię. Owalny, niewielki przedmiot trzymany przez Stachurę mógł być jakąś broszą, tak przynajmniej wyglądał w kształcie. Na wyszlifowanej powierzchni znaczyły się misterne linie rysunku.

— Mówże, co za cudactwo?

— Masz ty o czym pojęcie! Cudactwo — obruszył się Stachura. Znów był podobny do



siebie. Oczy mu błyskały, wyprostował się, czoło wygładziło się, promieniał radością. — Wiesz, co to jest? Gemma rzymska.

— Gemma rzymska? No i co?

— Jak to co? Dowód, że na tym obszarze istniała nieprzerwana ciągłość osadnicza. To bardzo ważne. A zarazem potwierdzenie moich przypuszczeń, że na miejscu, gdzie stoimy, znajdowała się jedna z najstarszych osad całej niecki międzyrzeckiej. Trzeba więc tu koniecznie prowadzić badania. Miałem nosa. Muszę jutro jechać do Międzyrzecza, niech mi pomogą określić, czy się aby nie mylę. Heniek, ty masz dopiero oko! Aż drzę na myśl, że mógłbym przegapić takie trofeum

— Dużo za to można by dostać? — rzeczowo zapytał Heniek.

— Dostać? Kto ci to kupi? Chyba jakiś zbieracz amator. Ale to pójdzie do muzeum. Będę miał okazję napisać specjalną notkę do „Kwartalnika Historycznego”. Cholernie rzadka rzecz taka gemma...

Heniek miał już dosyć Wieśkowych zachwyków. Myślałby kto, skarb znalazł, garnek złotych dukatów. Jakaś tam gemma. Pewnie, ciekawe, ale żeby aż tak?

— No fajno, Wiesiek. Przydałem się, widzisz. A z Haliną nie przejmuj się, wyjaśni się wszystko. Ona też wyślepia oczy za tobą, że każdy rozpozna, iż ty ją najbardziej teraz obchodzisz.

— Myślisz?

— Murowane... Cześć, jadę na kielicha, w gębie mi zaschło od twojej gemmy.

Wieczór solidnie przeszedł już w noc, gdy niezłe podhumorzony wpakował się Heniek na swoją górkę w domu Malickich. Roman uniósł; głowę z pościeli.

— Wróciłeś — powiedział chmurnie.

— Ty też, jak widzę, jesteś już w domu — odciął się.

— Dawno już, jeszcześmy żywca łowili z Benkiem z pomostu.

Zapadło milczenie. Heniek rozbierał się, porządkował wrażenia całego dnia. Niby nudy na pudy, a proszę, ile tu ciekawostek. Zrezygnował z opowiadania Romanowi swych wrażeń. Jutro zdąży, teraz czuł się nazbyt zmęczony, alkohol wietrzył powoli, pozostawiając uczucie znużenia.

— Co z Kryską? — zapytał tylko.

Roman usiadł na łóżku. Nie spał widocznie do tej chwili, pogrążony w swoich strapieniach.

— Źle. Miała pójść do pracy w międzyrzeckim szpitalu, zrezygnowała. Tu ją rozumiem, żadna to dla niej przyjemność obcować teraz co dnia z Kowalskim... Ponura, zamknęła się w sobie. Tkwi tylko w tym pokoiku, wiesz, gdzie nas opatrywała po kraksie, nic prawie nie mówi. Matka narzeka, że nie ma z niej pociechy w robocie, z podwójną za to ochotą wzięła Tolka do galopu.

— Gadałeś z nią?

— Niewiele. Milczała. Powiedziała wreszcie, że jest bardzo zmęczona. Jasny znak, żebym się wynosił. Heniek, jak by jej pomóc, zamartwi się dziewczyna na amen?

— Przejdzie jej. A tobie radzę, abyś teraz dopilnował swej sprawy. To może być nawet wdzięczna rola pocieszyciela... — zakpił, nawet tego nie zamierzając.

— Daj spokój, ja poważnie...

— Przepraszam, wypsnęło mi się.

Po dłuższym milczeniu, już tylko dla przyzwoitości, Roman zamruczał coś, Heniek zrozumiał w tym pytanie, co porabiał przez cały wieczór. Zaśmiał się.

— Wiesz, cudeńka. Bo i ja dostałem kosza od Agnes. Chwilowo zajęła się innym fatygantem, wobec czego pojechałem na wódkę, to dobry sposób na wszelkie nastroje... Aha, wiesz, znalazłem Wieśkowi w wykopie rzymską gemmę...

— Co?

— Gemmę, rzymską, pytasz, jakbyś nie wiedział. W szkole cię nie uczyli?  
— Nie pamiętam. Więc co ta gemma?  
— Wiesiek ci już opowie... Aha, wiesz, z kim wracałem? Serdecznie sobie pogadaliśmy. Z Jurkiem Mątwiakiem. Zawsze mówiłem, że w gruncie rzeczy to wcale możliwy facet.  
— Co mnie to obchodzi — przerwał mu te wywody Roman z jednoczesnym westchnieniem.  
— Wzdychasz nad Kryską? Wszyscy wzdychacie. Wyobraź sobie. Wiesiek ma również kłopoty ze swoją Haliną. Zastałem ich przy wykopie, jak dziewczyna popłakiwała. Jednym słowem, generalne niepowodzenia w miłości. Na wszystkich frontach.  
Zaśmiał się, ze śmiechem tym zanurkował pod potężną pierzynę.

## ROZDZIAŁ XXIV

Zaskoczyło ich wezwanie do Międzyrzecza. Milicjant przypedałował rowerem, jutro rano mają się stawić w komendzie powiatowej, sprawę należy traktować dyskretnie. Karteluszek jakiś do podpisu podsunął, zasalutował, odjechał. Spoglądali za nim z niepewnymi trochę minami.

— Tylko nie wypapłajcie, że w pałacu mogą być skarby — trącał ich Benek, niemy świadek tej sceny.

— Odczep się ze swymi skarbami — Heniek był w złym humorze. Od czasu gdy w poznańskim parku Kasprzaka przyłapany został na jakiejś rozróbce, nie żywił szczególnie braterskich uczuć dla organów milicji...

„Zündapp” nie zawiódł, gładziutko wylądowali następnego ranka w ruchliwym Międzyrzeczu, w komendzie oczekiwał ich już znajomy porucznik. Grzecznym ruchem wskazał krzesła, poczęstował papierosami. Potem przyglądał się na zmianę to Romanowi, to znów Heńkowi.

— Obywatele nie dopełniliście dotąd formalności zameldowania — powiedział wreszcie surowo.

Spojrzeli po sobie. Właściwie niby tak, wypadaloby, Malicki kiedyś nawet o czymś podobnym napomknął.

I znów milczenie. Heniek wiercił się niespokojnie, szybko przebiegali myślą rejestr ostatnich tygodni. Nic specjalnie karygodnego sobie nie przypominał.

— Jak to było z tym duchem w ruinach? No, z białą damą? — porucznik spojrzał na Heńka.

Roman omal nie parsknął śmiechem, tak niedorzeczne wydało mu się to pytanie w dostojnie ponurym pokoju.

— Ano, pokazywała się taka, straszyla ludzi, łańcuchami brzękała.! Teraz jasne, facet osłaniał w ten sposób swój lewy magazyn, cośmy go ostatnio nakryli. No więc pewnego razu chcieliśmy zobaczyć z bliska dziwnego ducha...

Porucznik słuchał uważnie, nawet się parę razy uśmiechnął.

— Czy to na pewno był Janiak? — zapytał.

— Nie wiem. Malcy twierdzili, że tak. Oni z nim szczególnie mają na pieńku, wytarmonili ich parę razy za uszy.

— A co to za spotkanie było z tym, no, Stefanem? W nocy, paczki miał jakieś ze sobą? Pan nie chciał go ściagać, prawda? Czemu? — niewielkie, bystre oczy spoczęły na Romanie.

— Dostyc już mieliśmy rozróbek. Ostatecznie uważałem, że każdy ma prawo chodzić nocą, gdzie mu się podoba.

— Proszę opisać mi przebieg tego zajścia...

Wymienili spojrzenia. Skąd oni wiedzą o tym spotkaniu? Nawet Roman poczuł się trochę nieswojo.

— Co obywatele wiecie i jaki jest wasz sąd o tych wszystkich rabunkach w okolicy?

Wybałuszyli oczy. Pewnie, słuchy krążyły, kasjer, sklep GS-u, jakieś zatrzymanie samochodu na szosie... Nic nie wiedzą, nie interesowali się.

— A kłusownictwo w lesie, na wodzie?

Wzruszyli ramionami. Nie zetknęli się, chyba że te ościenie wtedy na Obrze, jak się wybrali na połów raków. Podobno był tam także i Stefan, ale gwarancji by dać nie mogli.

— Mątwiak?

— E, gadają o nim, że kłusuje, ale chyba to bujda. To fajny chłopak, poruczniku — Heniek pamiętał ostatnie spotkanie z Jurkiem, gdy pod muchą wspólnie wracali ze spółdzielni.

— A jego siostra? — porucznik lekko uśmiechał się patrząc na Kubiaka.

— Nic, kława babka. Na wieży siedzi. Kosmetyczka. Bo niby o co chodzi? — Heniek był trochę zmieszany.

— Nic, nic, tak sobie pytam... Gdzie był Stefan w czasie pożaru? Co robił?

— Widziałem, że biegł z wiadrami. Tolek się zetknął z nim bliżej, pakuły, butelka.

— Tak, po benzynie... Panowie nic nie zauważyliście?

— Nic. Nie lubimy faceta, ale to jeszcze za mało, aby o coś go podejrzewać.

— Rzecz jasna. Chodzi o konkretne dowody.

— Pan porucznik coś podejrzewa? — wyrwał się Heniek.

Milicjant zbył pytanie dyskretnym milczeniem.

— Panowie lubicie się bawić w poszukiwania skarbów, prawda? W ruinach pałacu, w bunkrach nad jeziorem? — śmiał się teraz, a przecież Romanowi wydało się, że w jego głosie brzmi pewne wyczekiwanie. — O bibliotekarce wiecie może panowie coś więcej?

— Kława dziewczucha. Ten Stefan podobno ją prześladowa. Jakoś rozbita nerwowo jest dziewczyna w ostatnim czasie — wyskoczył Heniek, przypominając sobie dziwną rozmowę nad wykopami.

— To dawny jej narzeczony.

— Tak, słyszeliśmy. Podobno nadal jej nie daje spokoju.

— A Stachura? Często z nią przebywa, wie może coś więcej o Stefanie?

— Chyba nie za wiele. Wyklina go wprawdzie, ale gdyby coś wiedział, na pewno by nam napomknął.

— Pan interesuje się Mątwiakówną. Pana zdaniem nic ją z tym Stefanem nie łączy?

— Chyba nie... — bąknął Heniek i zarumienił się lekko. Przecież widział Stefana u dziewczyny na wieży. Tego jednak nie będzie gadał, po co przyznawać się do takiej przegranej. Dotychczas sądził, że sam tylko pretenduje do wdzięków dziewczyny.

Porucznik skinął głową i pisał coś na formularzu papieru. Podsunął go chłopcom do podpisu. Przeczytali uważnie protokół przesłuchania, złożyli cyrografy. Milicjant podniósł się z miejsca.

— Nie potrzebuję przypominać, że cała nasza rozmowa nikomu nie może być ujawniona... Przy okazji dziękuję za pomoc w wykryciu lewego magazynu, to bardzo uprościło nam sprawę.

Żegnając się, przetrzymał przez chwilę rękę Heńka w swej dłoni.

— Winienem może jeszcze parę słów wyjaśnienia. Przy inwenturze bezpośrednich braków nie wykryliśmy wiele. Natomiast kontrola ksiąg materiałowych w połączeniu z tym magazynkiem, który miał sekretne, boczne wyjście na zakrzewiony teren za pałacem, wykazała, iż straty państwa sięgają z górą dwustu tysięcy.

— Fiuuu — zagwizdał Heniek.

Porucznik roześmiał się serdecznie, otworzył drzwi przed chłopcami.

— No i co powiesz na cały ten jubel? — pytał zamyślony Heniek, gdy znaleźli się już

na ulicy miłośnicy.

— Śmierdzi grubszą grandą niż tylko sam pałacowy magazyn. Gadał facet ogólnikami, jego prawo, nic się z tego nie można dowiedzieć, ale...

— Właśnie, ale... Oni cholernie dużo wiedzą. O Agnes pytał i o Halinę. Stefana jak to osadzał. Cholera wie. Żebyśmy sami niej wdepnęli przy okazji w jaką kabałę.

— Ja tam na wieżę nie łażę — zaśmiał się Roman.

— O, bohater! — rozzłościł się Kubiak, przystanął przed sklepem ze spirytualiami. — Może by kupić pół basa? Nieprzyjemnie po tej całej komendzie. Tak na mnie patrzył, jakbym człowieka zabił. Ej, Roman, wiesz ty — tu Heniek z rozmachem stuknął się w czoło, aż zadudniło. — Co on z tymi skarbami? Pałac i zwłaszcza bunkry?

— Mnie też to zastanowiło.

— O, o, o! Tam musi coś być. Znów nabrałem ochoty. A gdyby raz jeszcze spróbować? Benek ciągle namawia...

— Wiesiek! — wykrzyknął Roman.

Z rozwartymi ramionami, promieniejący Stachura szedł im naprzeciw.

— Wiecie, ta gemma, zgadza się, nie myliłem się. Rzymska, oryginalna. Potwierdza moje tezy. Staszek jedzie do Poznania, zabiera ją ze sobą. Niech ją zobaczą profesorowie. Ledwie zaczęły się prace, a już znalezisko tej miary. Heniek, cholernie ci jestem wdzięczny.

— Dobra już, dobra, jak tak się wdzięczysz, to zaprosiłbyś przynajmniej do knajpy...

— Proszę.

— Dajcie spokój, o dziewiątej rano? — zdumiał się Roman.

— Rozgrzejemy się, patrz, deszcz zaczyna padać — naciskał Heniek.

— Wiesiek, skąd ty w tym zacnym grodzie?

— Wezwali mnie na siódmą do komendy milicji. Sprawy kradzieży i pożaru w majątku.

— No to jestem już w domu. Tyś gadał temu porucznikowi o naszym spotkaniu ze Stefanem? O Agnes, Mątwiaku, o ościeniu i rozróbie na zabawie? Po cholere tyle paplać? Jeszcze się potem przyczepią, że coś nie tak — natarł Heniek na Bogu ducha winnego Stachurę.

— Gadałem. Muszą wiedzieć, ich obowiązek. Mój też.

— Phi. Obowiązek. Niechaj sami dochodzą, nie my.

— Głupi jesteś — uciał Stachura. — Tak się cieszę z tą gemmą, szkoda, Roman, żeś jej nie widział. To nic, może się trafi okazja w Poznaniu.

— Ja jestem z Warszawy.

— Nic, przecież Stasiak przywiezie ją tu z powrotem... Roman, Heniek, pomożecie mi dzisiaj przy wykopie? Mam nadzieję na dalsze znaleziska.

— Na taki deszcz? — Kubiak powiódł dłonią po chmurnym niebie, mokrych chodnikach, własnych twarzach spryskanych mżawką. — Będzie padać pewnie do jutra.

— Ja przyjdę — krótko wyraził Roman swą zgodę.

Heniek wykrzywił się przeraźliwie. Był w złym humorze. Nie odzyskał rezonu przez cały czas drogi powrotnej, po domu też pętał się jakiś burkliwy. Mżawka rozgościła się tymczasem na dobre. Sponurzało dokoła, jezioro nabrało szarostalowej barwy, kontury drzew i krzewów nad przesmykiem zamazały się, razem z kroplami siąpiło nudą.

Około południa trochę się przejaśniło, deszcz ustał, chłodem ciągnęło od ziemi i wody. Malicka przygotowała smażonego szczupaka. Na męża i syna, powiedziała, nie ma co czekać, wyjechali z sieciami, późno wrócą. Roman trochę się jeszcze pokręcił, poszedł do PGR-u pomagać Wieškowi w jego poszukiwaniach. Spojrzenie jego raz i drugi tęsknie pobiegło ku stronie, gdzie stał przy szosie dom Kryski, jechać do niej nie miał jednak odwagi. Znów go wyprosi, powie, że jest zmęczona... Gdy wracali z Międzyrzecza, na próżno wypatrywał sylwetki dziewczyny, tylko Tolek dźwigający jakiś kosz pokiwał im z dala dłonią. Trudno, może jutro się trafi okazja, minie dziewczynie najpierwszy żal, rozrusza się. Wtedy się do niej

zbliży.

Heniek pozostał sam. Wysłuchał narzekań Malickiej, że to i owo nie tak, że takie przesłuchania zawsze wychodzą człowiekowi na złe, że noga ją jeszcze pobolewa przy dżdżystej pogodzie, że to z Kryską tak niedobrze się stało, źle wymierzyła, nie wierzyć nigdy takim Kowalskim. Znudził się wreszcie, pod byle pretekstem wyszedł na dwór. Nie padało, niskie chmury harcowały tylko nisko nad ziemią.

Lubusz ze znużoną miną przyczłapał do niego, polizał w rękę. Heniek pogładził psa, gwizdnął zachęcająco. Warto zobaczyć, może Agnes jednak jest na wieży. Lasu nie przemoczyło, pożar i teraz mógł łatwo wybuchnąć. Psiak może iść razem, zawsze weselej.

Droga wychynęła na wielką polanę. Z jednej strony zwartą ścianą wyrastał sosnowy starodrzew, z drugiej świeżutką, intensywną zielenią wabił młodnik sosnowy. Od tej strony z nagłą rozległ się tupot, trzask łamanych czy tratowanych gałęzi, piękne stadko jeleni, dwie łanie i potężny byk o wspaniałym porożu przecięły porębę w panicznej ucieczce. Heniek widział grające muskulaturą ciała, suknie intensywnie brunatne, jak zwykle latem, i ogromne, wilgotne oczy.

Lubusz zerwał się z przeraźliwym szczeniem, pognął za stadem,; Zahuczało wśród starodrzewia, wygięły się krzewy poszycia, zaperliły krople wody strącone z gałęzi. Ucichło. Tylko oddalający się, coraz bardziej zmęczony naszczek Lubusza świadczył, że pies nie rezygnuje, ciągle jeszcze usiłując doścignąć trójkę leśnych mieszkańców.

Heniek długi moment tkwił jeszcze w tym zapatrzeniu. Potem! otrząsnął się z nastroju, gwizdnął przeciągle, spojrzął na niebo. Chmury zasłaniały je całe, ale wznosiły się wyżej, wyraźnie się przejaśniało. Przypomniała mu się wieża, przyspieszył kroku. Na pewno zastanie Agnes. Uśmiechnął się gorzkawo na myśl, że w jej obecności nie zachwyciłyby go śmigłe ciała jeleni, myślałby tylko, jaki osiąść dziewczynę. Niby tak łatwa, a przecież ciągle się opierała, mrużyła wyzywająco oczy, kusiła obietnicami. On zaś przypadał do jej warg, tulił piersi, zgorączkowany, półprzytomny z tej swojej ochoty. Ech, diabli wiedzą, czy wszystko to wiele jest warte...

Jednak szedł do niej, ciągnęła go jak magnes. Cóż z tego, że cyniczna, że podrwiwała, mówiąc o wielu już takich, którzy równie łapczywie jak on sięgali jej ust, którzy zyskiwali może znacznie więcej od niego. Kto wie, czy to właśnie nie podniecało go jeszcze bardziej. Nie kochał się w Agnes, o, to było nawet o wiele mniej niż chociażby z tą Zośką z gimnazjum Dąbrówki, ciągnęła go ta Agnes jedynie wyzywającą urodą, chętnymi do pocałunków ustami, zgrabnym ciałem, ruchami pełnymi świadomej zaczepności.

Lubusz dopędził go w chwili, gdy z krzywą miną gapił się na strażniczą wieżę. Pies był zziąjany, jęzor wywieszał na milę, białka oczu zaszyły mu krwią. Z wysiłkiem kręcił ogonem, jakby chciał powiedzieć, że mimo miernych sukcesów pogoni jest szczęśliwy. Tak się wyhasał... Ale Heniek nie miał ochoty wgłębiać się w tajniki psiej psychologii. Agnes nie było. No tak, deszcz, mokro, więc Agnes nie przyszła, nie uznaliby w nadleśnictwie tych godzin.

Oparł się o masyw żelaznych rusztowań, gryząc w zębach jakąś zerwaną trawę zastanawiał się, co robić dalej. Do domu nie chciało mu się wracać, wyjeżdżać na ryby byłoby za późno, do spółdzielni ganiać nie było z czym, kieszeń świeciła pustkami, czekał znów niecierpliwie na przekaz od matki. U licha, zdecydował się, pójdę do Mątwiaków. Teraz Jurek nie będzie się już chyba zwierzał, minęło mu, w rozmowie krzywił się trochę na tego Stefana.

Gwizdnął na Lubusza, który zawieruszył się wśród krzewów bujnie tutaj rozrosłej leszczyny. Zaczęło znów lekko mżyć, pułap nieba obniżył się, Heniek westchnął, wyglądało, że zła pogoda zaciągnąć się może na parę dni. Co wtedy robić? Agnes, tak, ale gdzie, przecież nie u niej w domu. Można na tej samej wieży, przynajmniej nie będzie miała wykrętu o pilnowanie lasu. Zawsze bowiem w najbardziej nieodpowiednim momencie przypominała sobie? że należy skontrolować okolicę.

Myślał o Jurku Mątwiaku. Dziwaczna rodzina, każdy chodzi samopas. Ta Agnes,

kosmetyczka, cholera, jak to zabawnie brzmi, marzy o bogatym życiu, zabawach i luksusach, ten ojciec tyran, zaharowany podobno jak wół, żądający takiej samej harówki od syna, Jurek wreszcie, niegłupi, pracuś jak rzadko, cwaniak zarazem nie z tego świata. Wyleli go podobno z budy, czy został na któryś tam rok, stary zdecydował, nie uczonego mu trzeba, lecz robotnika. Cuda gadano w okolicy o tej ich gospodarce, nikt podobno nie zgarniał tak forsy, jak stary Małwiak...

Jurek był wtedy bardziej pod gazem niż on. Jeszcze na odchodnym wypili w spółdzielni ćwiartkę, niezgrabnie wpakowali się na rowery. Potem zrezygnowali z wysiłków przebijania się przez piaszczystą mimo deszczu drogę, prowadzili swe wehikuły, rozgadali się. Małwiak jeszcze raz wyrażał sympatię dla Heńka.

— Z tobą — powiedział — można by niejedno zorganizować. Wyglądasz na równego faceta. Tylko ta reszta...

— Ze mną, mówisz, a przez Agnes groziłeś, że mordę zbijesz, jeżeli będę łąził koło waszego domu? Sekrety masz jakie, że się tak boisz?

— Gówno, nie sekrety. Ojciec nie lubi, jak ktoś za dużo się pęta w pobliżu. Jeszcze w dodatku Stefan się napalał na ciebie, groził, wołałem, żebyś nie podpadł nikomu. Mnie tam mucha, mógłbyś i cały dzień siedzieć na naszym podwórku.

Zapytał go wtedy, czemu trzyma z tym obrzydliwym Stefanem. Przecież to ciemny typ.

— A z kim mam trzymać? Widziałeś ty kiedy gorszą wiochę niż nasza okolica? Lepszy ten Stefan od innych.

Zasapali się, alkohol robił swoje. Ciężko było wlec rowery po nierównej drodze. Przysiedli obok rozrosłego brzeźniaka. Małwiak rozżalił się wtedy na swoją dolę.

— Wam wszystkim to dobrze. Jeszcze ujadacie tu na nas, babki podrywacie co lepsze. Nie, nie myślę o Agnes, choć siostra, ale wycirus z niej. Tak w ogóle mówię. Teraz lato, przyjemnie, rybami się można pobawić, odstawić dobroczyńcę dla ludzi. Potem zacznie się jesień, przyskacie wszyscy do Warszawy czy Poznania, mało kiedy wspomnicie naszą wiochę. Odstawiacie wtedy, psiakrew, inteligentów, cóż tam robociarz czy chłop od gnoju. To dobre na lato, tak trochę z góry, a trochę z łaskawym wyrozumieniem. Nie, Heniek, nie przecz, nie wyłuj się, wiesz najlepiej, że masz wszystkich nas gdzieś. Łącznie ze mną i Agnes. Zamknij jadaczkę, słuchaj, ja gadam...

Zapalił papierosa. Oстрыm punktem żarzył się ten ognik w ciemni; nocy. Od mokrej jeszcze po przedpołudniowej ulewie trawy ciągnęła wilgoć. Najmniej na to zważali. Im było ciepło, wódka jeszcze działała.

— Tak, wam łatwo — podjął swoje Małwiak. — A my, na tym; zadupiu? Halina w świetlicy robi, co może, radio jest, gry jakieś, książki, kino raz na dwie niedziele. Ale jak długo można się tym zachwycać? Jeszcze zawsze te same gęby, wiadomo z góry, co która powie. Zadupie, rozumiesz? Niektórzy wytrzymują, ja nie. Ojciec wariat, orze bez przytomności, ciuła forszę, czort jasny wie, ile jej ma. Takiej gospodarki nie znajdziesz w okolicy. Stary za wszystko się łapie, byle dochód dawało. Wychodzi mu. Ja haruję przy nim jak dziki osioł. Mam co z tego? Że mi tam czasem stowę czy dwie odpali, ubranie kupi, na litra wsunie do łapy. Kicham, ładna zapłata za tyranie. Ja bym, wiesz, chciał inaczej, do miasta. Nawet nie takie musi być duże, niechby nasza Zielona Góra. Byłeś w niej kiedy?

— Byłem. Ale przelotem, wiesz sam, jak to jest na autostopie. Coś ciebie goni, ledwieś wysiadł z jednego wozu, już polujesz na drugie auto.

— To guzik wiesz. Zielona Góra niby takie maleńkie miasto. Ale żywe jak jasny gwint. Rozrosło się, nabudowali sporo, można w nim żyć. Jest taka „Ratuszowa”, knajpa, że i warszawiaczy chwalą. Żarcie, wieczorem muzyczka, palce lizać. Albo w „Palomie” co za babki, aż ochota każdą poderwać. W ogóle ładnych dziewczyn jest do cholery. Teatr, kino, jazz, czyste wszystko wokoło, nie jak u nas prześmiardłe gnojem. Kupisz sobie dobrej wódki w Delikatessach, zagrychę w puszcze, masz chatę, to ci niejedna się skusi. Tylko że tam, rozumiesz —

złapał Heńka za guzik kolorowej koszuli z flaneli — tylko że tam trzeba mieć forszę. Na rozruch. Potem się ułapisz jakieś roboty, trochę dokładając można zaradzić. Marzę o czymś takim. Żeby już nie łązić dzień cały za pługiem, nie babrać się w gnoju widłami. Wiesz, ja i ryb, i lasu też mam dość. Pukawki nie mam, zimą kłusuję z wnykami, nie ze mną leśniczym wojować, zawsze ich okiwam. Albo ryby, też są sposoby, węgorzy ja wziąłem mało mniej od was razem. Matka uwędziła, przyjechał facet, prywaciarz z Poznania, hurtem zabrał. Parę kawałków z tego było, stary dał mnie dwie stowy, resztę schował, sknera. To co, jest jaki sens w tym papraniu, w tej harówie? Wielka mi emocja — wypitka w spółdzielni, jak dziś. Jeszcze teraz ty jesteś, pogadać można, zrozumiesz, ale normalnie? O jednym tylko marzę, podłapać większą forszę, przenieść się na zawsze do takiej Zielonej Góry albo gdzie indziej, zacząć spokojne, ludzkie życie. Cholera wie, może kiedy wypenetruję, staremu poderwę, co ma, dam nura, ani będzie wiedział, gdzie ma mnie szukać. Agnes, myślisz, byłaby taka, no, sam wiesz, żeby nie nasz dom? Nic w nim nie ma poza tą ochotą do robienia pieniędzy. Ty masz inaczej, to tego nie zrozumiesz...

Małwiak widocznie dosyć już miał zwierzeń, może też wypita wódka powoli wietrzała mu z głowy, bo podniósł się nagle, otrzepał ubranie, przybliżył swą twarz do twarzy Heńka.

— Ty, zielonooki, gadałem ci różne takie rzeczy. Krzywa twoja dola, jeżeli komu wy-papłasz, pamiętaj. Na Małwiaka lepiej się nie narywać.

— Spokojna głowa, Jurek.

Niedługo potem rozstali się, każdy podążył w swoją stronę. W domu zastał wtedy zgnę-bionego po wizycie u Kryśki Romana. W tej sytuacji postawa życiowa Jurka wydała mu się najwłaściwsza. Gwizdać na wszystko, niczego nie brać poważnie do serca. Tak najłatwiej. Bo inaczej? Ma przykłady wokoło. Roman gryzie się Kryską, Stachura dla odmiany ma kłopoty z Haliną. Ech, kichać na cały świat...

Mżawka przechodziła w nużące, jednostajne siąpienie. Ubranie Heńka nasiąkło wilgo-cią. Ucieszył się, gdy zza drzew wyłonił się dom Małwiaków. Pomyślał, że na takim odludziu można lichu wie co wyprawiać, wspaniała melina.

Jurek był na podwórzu, wracał z pola po podorywce, zmęczony koń parował całym ciałem. Małwiak zobaczył Heńka, bez entuzjazmu pokiwał dłonią.

— Cześć, Heniek. Nudzisz się? Przyszędłbyś kiedy pomóc w orce, przyjemna robota — zaśmiał się zgryźliwie. — Agnes szukasz? Siedzi w domu, o, już się wywlekła na ganek... — ani odrobiny respektu nie było w jego słowach, gdy mówił o siostrze.

Ona natomiast była zadowolona z przybycia Kubiaka. Ciepło, wymownie uściśnęła mu rękę.

— Przeszkadzam wam pewnie? — zaśmiał się Jurek. — Nic, zaraz wyprzęgnę konia i umyję się trochę. Mam gdzieś ćwiartuchnę, rąbniemy, potem możecie iść sobie na spacer, mnie tam mucha...

Wcale się nie spieszyła jego słowami. Mrugnęła tylko do Heńka.

Przysiedli na ławeczce na ganku, deszcz szemrał wśród liści bluszczu. Lubusz, niespo-kojny czegoś, wiercił się koło ich nóg.

— Jeżeli się rozpada na dobre, wyjadę chyba do Zielonej Góry. Tam już na mnie cze-kają, parę groszy na początek się znajdzie. Smutno ci będzie, mały? — przychyliła wargi do jego ucha, ugryzła je lekko, leciutko. Heńka przebiegł dreszcz, chciał ją objąć, przytulić, odsunęła się.

— Tu nie wieża, potem... — wymownie spojrzała w stronę lasu, zaśmiała się drażniąco, znał świetnie ten śmiech. — Wilgoci się chyba nie boisz?

Lubusz poderwał się na równe nogi, węszył coś.

Od studni, gdzie mył umorusaną twarz i ręce, szedł Jurek.

— Gotowe — wołał. — Teraz kielicha i możecie sobie romansować do woli. A temu co się stało? — spojrzał na Lubusza.

Pies zjeżył grzbiet, nastroszyły się wszystkie włosy, warcząc przez odsłonięte w pasji zęby, napięty jak łuk, drobnym krokiem sunął przez podwórko w stronę krzaków łączących się z sosnowym młodniakiem.

Heniek uchwycił zaniepokojone, porozumiewawcze spojrzenie brata i siostry. W tejże chwili Lubusz pomknął jak strzała, zniknął w krzakach, słychać było tylko warczenie, nigdy nie czekał, gdy atakował. Potem krótki krzyk, gwałtowna szamotanina, Heniek z Jurkiem biegli już w tę stronę, Agnes patrzyła za nimi szeroko rozwartymi oczyma. Lubusz zaskowytał boleśnie, przejmująco, zaczął szczekać, jakby przywoływał, ponaglał. Od młodnika dobiegł tupot nóg, ktoś się tamtędy przedzierał, Lubusz jazgotał przeraźliwie.

Kubiak pierwszy dopadł psa, który niezdarnie skakał na trzech łapach. Tylną lewą włócił bezwładną, coraz to skowytał boleśnie.

Jeszcze słychać było czyjeś przedzieranie się przez młodniak. Heniek chciał biec w tamtym kierunku, rozwścieczony jak diabli, Jurek złapał go za rękaw.

— Daj spokój, nie wiadomo, co to było. Może jakiś odyniec, samotnik, jeszcze cię poharata.

Heniek przykląkł nad Lubuszem. Obejrzał chorą nogę, pies zaskowyczał przenikliwie. Nie było nawet śladu zadrapania czy krwi. Podniósł głowę, w tonie jego głosu brzmiało podejrzenie.

— Odyniec? Kijem albo kamieniem? Ej, łzesz coś, Jurek...

— Ty, zamknij się...

W spojrzeniach ich, gdy się teraz spotkały, nie było już cienia życzliwości.

— Mogę, i tak mi nie powiesz, chociaż dobrze wiesz, kto psa skatował. Pewnie ma nogę złamaną, zwisa mu bezwładnie. To drab dopiero.

Lubusz z trudem kuśtykał na trzech łapach. Popiskiwał cieniutko. Heniek wziął psa na rękę, ciężki był. Tak go doniósł na ganek. Agnes spojrzała pytająco. Brat porozumiewawczo skinął głową, westchnęła ciężko.

— Heniek — ujęła go za rękę.

— Dajcie mi spokój — otrząsnął się. — Gdybym ja tam trafił zamiast Lubusza, też by mi pewnie ten odyniec gnaty przeliczył?

— Głupi jesteś — odeła się.

Próbowała pomóc coś przy Lubuszu. Nie dopuszczał jej rąk, warczał, kłapał zębami. Heniek też był bezradny. Przypomniawszy sobie, jak Maliccy, a już szczególnie Benek, są przywiązani do psa. Trzeba go w jakiś sposób dostawić nad przesmyk, tam znajdzie ktoś radę.

— Jurek, macie tu łódkę? — zapytał.

— Jest. Chcesz go wieźć? Sam dojdzie.

— Szkoda męczyć zwierzaka. Można tę łódkę?

— Bierz, jeżeli chcesz.

Obojętnie podał dłoń Agnes, z Jurkiem pożegnał się zupełnie już chłodno. Zaniósł Lubusza do łódki, chwycił za wiosła. Złym spojrzeniem spoglądał na oddalający się brzeg. Pies leżał cicho, czasem tylko skowytał cichutko.

Na kładce w przesmyku stał Benek.

— Skąd taką krypę wyrwałeś? Wiesz, Heniek, nowina. Byliśmy z ojcem koło bunkrów. Woda w jeziorze przez tę suszę mocno opadła. W jaskini nad wodą jest wolna przestrzeń, na dłoń, może więcej. Z daleka nie widać. Heniek, wybierzmy się, dobra?

— Dobra, dobra — burknął. Ten Benek zawsze nie w porę wyskakuje ze swymi pomysłami.

Chłopak teraz dopiero dostrzegł coś niepokojącego w pozycji Lubusza.

— Co mu jest?

— Łapę ma przetrąconą. Nie wiadomo kto, pognał w krzaki, oberwał:

— Cholera jasna — zaklął zmartwiony chłopak, pięścią pogroził komuś niewidzialne-



mu.

Malicki orzekł, że pies ma złamaną nogę. Sami nie zestawiają, tu trzeba wprawy. Żeby tak Kryśka? Spojrzał na Romana.

W takim tempie wyprowadzał Roman „Zündappa”, aż Heniek nie mógł powstrzymać się od śmiechu. Kryła się w nim jednak nuta pewnej zazdrości. On nie ma do kogo tak śpieszyć...

Benek klęczał przy Lubuszu, tulił głowę do jego sierści, szeptał coś pieszczotliwie.

## ROZDZIAŁ XXV

Ledwie zdążył zatrzymać motor, Kryśka ukazała się w progu. Rozjaśnił się. Ona też odpowiedziała nikłym uśmiechem, smutnym i jakby zawstydzonym. Mocno ścisnął jej rękę, długo, stanowczo za długo. Aż mu ją wyrwała z przeproszającym uśmiechem.

— Myślałam, że przyjedziesz.

— Naprawdę? Cieszysz się?

— Cieszę się. Tak bardzo jestem teraz sama. A tobie — zawahała się — a tobie ufam.

W porównaniu z tym, czego zaznał ostatnio, dzisiejsze jej zachowanie rozwierało przed nim niebo. Znowu ją chwycił za rękę, uścisnął serdecznie.

— Przykro mi, że wtedy cię wyrzuciłam — powiedziała cicho.

— Nie ma o czym mówić. Nieważne.

— Proszę do domu — zorientowała się, że stoją od dłuższej chwili pośrodku podwórza.

Poczłapał za nią, rozradowany i onieśmielony jak jeszcze nigdy. To co, że był doktor, już minęło, zapomni, a może nawet, może... Nie, to było zbyt oszalamiające, nawet przed samym sobą bał się nazwać rzecz po imieniu. Najważniejsze, że już nie płacze, nie kryje się po kątach, rozmawia, nawet oczekiwała jego przyjazdu. Kochana dziewczyna.

— Cześć, Roman. Widzisz, ganiają mnie teraz jak ochwaconą klacz — dźwigając kosz wynurzył się skądś Tolek.

Roman westchnął tragicznie. Zawsze te pętaki zjawiają się, kiedy ich najmniej trzeba. Bo oto Tolek, rozradowany widokiem starszego kompana, wpakował się razem z nimi do pokoiku Krystyny, paplał zawzięcie, gdy zaś siostra próbowała go delikatnie usunąć, załapał tylko oczyma, syknął:

— Kryśka, bo...

Nic, nic tu nie wskóra. Ten smarkacz zepsuł nastrój, już Kryśka znowu jest smutna, teraz dopiero widać, jak przybladła, twarz ma ściągniętą, cienie ścielą się pod oczyma. Trzeba wyjaśnić, z czym przyjechał.

— Ktoś złamał nogę Lubuszowi — powiedział. — Myśleliśmy, tylko ty potrafisz zestawić. Gdybyś się tak ze mną zabrała...

Widział rozczarowanie, jakie odbiło się na jej twarzy, nie potrafiła tego ukryć, ale głos jej miał brzmienie najzupełniej już obojętne.

— Dobrze. Zaraz wszystko zabiorę. Łupki wytniecie już na miejscu. Biedny Lubusz... Odwieszysz mnie potem, prawda? Ty albo Heniek — dodała i Roman zmroczył zupełnie. On czy Kubiak, to jej nie robi żadnej różnicy.

Tolek na odjeźdźnym nachylił się do ucha Romana.

— Kryśco już przechodzi. Ojciec obiecał, że za parę dni puści mnie do was. Cieszę się jak jasny gwint. Tutaj harowa była tylko i nuda. Nawet kraksa żadna na szosie w tym czasie się nie zdarzyła. Taki mój pech.

Jechał wolno. Gdyby mógł, przedłużałby jazdę tę w nieskończoność. Przynajmniej mógł być z nią, czuć jej ramiona trzymające się go silnie na licznych wybojach.

Za przejazdem zdecydował się nagle. Zjechał w bok pod wielką, powykrzywianą wiezbrę, wygasił motor. Spojrzała nań zdumionymi oczyma.

— Kryśka — powiedział i nagle zabrakło mu słów. Oczy jej rozszerzyły się jeszcze bardziej.

— Kryśka — powtórzył. — Źle zrozumiałaś. Ja ciągle o tobie myślałem, ale przyjechać nie miałem odwagi. Wiesz, po tamtym... Dlatego, choć lubię Lubusza, niemal się ucieszyłem, że stwarza się okazja spotkania z tobą. Bo, bo we mnie nic się nie zmieniło. Nic a nic. I bardzo mi było ciebie żal.

Uśmiechnęła się lekko, tyle że zadrgały kąciki jej warg. Patrzył na nie i przypomniał sobie tamten pocałunek na leśnej polanie. Właściwie wtedy się wszystko zaczęło.

— Nic się nie zmieniło? — spytała.

— Nic.

— We mnie zaś bardzo dużo.

Oczy jej umknęły na stronę. Tylko dłoń wyciągnęła się i spoczęła na klapie marynarki Romana.

— Bo widzisz — ciągnęła — winnam ci trochę wyjaśnień. Nie, nie przecz, to dla mnie samej konieczne. Przeżyłam sprawę Kowalskiego ciężko. Głupia byłam czy może naiwna, nie wiem. Jeszcze w szpitalu zakochałam się w nim. Wiedział o tym, choć nigdy mu nie mówiłam. Czy to zresztą trudno wyczytać? Byłam w rozpacz, gdy na skutek choroby matki musiałam wrócić do domu. Pocieszał mnie, że będzie przyjeżdżał. Po drodze mu zresztą do Sulęcina, gdzie jeździł jako konsultant. Czasem przez pół dnia zostawał u nas. Myślałam, że on też... Zapewniał mnie o tym.

— Kryśka, po co to mówisz? Niepotrzebne te zwierzenia. Ja wiem, domyślałem się, już to przekreśliłem. Gdybyś też mogła przekreślić — przerwał z ożywieniem.

Dłoń jej pogładziła delikatnie klapę marynarki Romana.

— Psuć się zaczęło jeszcze przed waszym przyjazdem. Myślałam, chwilowe nastroje, może ma jakieś kłopoty. Już mnie nie zapraszał do Międzyrzecza, coraz rzadziej zabierał na spacer, dekawka, stale brakło mu czasu. Docierać do mnie zaczęły różne plotki, broniłam się, nie chciałam słuchać. Ciągle wierzyłam i bardzo ufałam... Ale fakty były nieubłagane. Wiedziałam już o niej. Kiedyś słyszałam, że czasem trzeba podrażnić ambicję mężczyzn, ot, wydziwiania koleżanek. Chciałam też jemu zrobić na złość, rozumiesz? Niechby nawet nie wiedział, ale żebym ja wiedziała. Tak jak dziecko, które nasusia w majtki na złość swej mamie, pamiętam to u Tolka. I wtedy...

Przybladł. Więc to była zabawa, ani chwili nie brała sprawy poważnie. Na złość, Boże drogi, jakie to dziecinne i zarazem okrutne. Na złość... Z Heńkiem, z nim, lichy wie z kim jeszcze.

— Pojedziemy już chyba — powiedział przez zaciśnięte wargi. Bał się, że wybuchnie, że wypowie jej swój żal i obrzydzenie do tego „na złość”.

— Muszę ci to powiedzieć. Musisz to wiedzieć. Nie wiedziałam wtedy, że ci tak na mnie zależy. Inaczej bym tak nie postąpiła — mówiła teraz bardzo cicho, oddech jej stał się przyspieszony. — Pamiętasz, po tej kąpieli, tak się mi przyglądałaś, było mi przyjemnie, myślałam, że jestem przecież coś warta, wtedy całowaliśmy się. Chłopcy nam przeszkodzili. Dobrze się stało, to było podłe z mojej strony... Z Heńkiem także się całowałam. Także. Ale jego mi nie żal, on to traktował inaczej, podobałam mu się i tyle. A z tobą bardzo mi przykro... Potem wyrzucałam to sobie, bo przecież ja was lubiłam jak kolegów, a tylko jego kochałam. A jeszcze jakby się odmieniło, zaczął znów częściej przyjeżdżać. Nie wiedziałam, że to z nudy, bo tamta wyjechała, nie miał co robić, więc okłamywał mnie, on zawsze lubił dziewczęta. Aż się wszystko wydało. Myślałam, że nie przeżyję. Mija jakoś, tylko gorycz, żal i taka jakaś pustka.

Spojrzał na jej zwieszoną smutnie głowę, na jasne włosy, delikatne, zawsze niesforne,

na zgębną twarz i uczucie niechęci, jakiego doznawał jeszcze przed chwilą, wygasło zupełnie. Widział przed sobą tylko dziewczynę, którą naprawdę głęboko kochał.

— Ja nic nie chcę od ciebie... Nic. Ale gdybyś pozwoliła, częściej bym do ciebie przyjeżdżał. Bo mnie ciebie straszliwie brak.

I nie czekając już na odpowiedź, ze zdławionym gardłem, zapuścił motor, zerwał z miejsca, aż nią szarpnęło do tyłu, kurczowo złapała go za szyję, pognął wariacko.

Nie odjechali daleko, gdy teraz Kryśka gwałtownie zaczęła go szarpać, krzycząc do ucha, ażeby stanął. Zdziwiony przyhamował.

— Wygaś motor — powiedziała.

Wyłączył kluczyk, patrzył na nią zdziwiony. Nie mógł pojąć jej zachowania.

— Jesteś bardzo dobry i taki jakiś dziwny — powiedziała. — Myślałam, że nie będziesz mnie chciał znać po tym, co powiedziałam. Przyjeżdżaj, dobrze mi będzie posiedzieć, porozmawiać z tobą. Bo ja cię bardzo lubię.

— Lubię — szepnęła z żalem.

— Tylko lubię. Chcę być z tobą uczciwa — powiedziała stanowczo. Objęła go za szyję, ucałowała w oba policzki. Chciał sięgnąć do ust, uchyliła się.

— Romek — szepnęła. — Nie trzeba. Tak niedawno ktoś inny mnie jeszcze całował...

Zawrzało w nim. Znów zabawę sobie robi. Ciągłe będzie wspominać tamtego. Jaka szkoda, że wtedy, przy reperacji dekawki, nie stukł go po rumianym, cynicznym pysku. Miałyby teraz taką choć satysfakcję. Inny, inny... Pierwszy raz uczuł, co znaczy zazdrość. Nienawidził Kowalskiego, na myśl o nim odczuwał ból nieomal fizyczny.

— Po co go przypominasz? Mnie to niepotrzebne — warknął.

Nie odpowiedziała. „Zündapp” jechał teraz wolniutko, wszystko bowiem w Rumunie się poplątało, pogmatwało. Nie wiedział, czy ma być zadowolony z tej odmiany, z szansy spotkania dziewczyny, z tego „lubię”, czy raczej traktować sprawę jako ostatecznie przegraną. Z niejaką ulgą powitał budynki Malickich. Musi wszystko przemyśleć, rozważyć. Tłumaczył tak sobie, a przecież wiedział, że nie zdobędzie się na żadne rozważania, że z szansami czy bez Ignąć będzie do dziewczyny, marzyć o niej i tęsknić. Kochał przecież, na miłość zaś nie ma rady.

— Co z wami się działo? Myślałem, że do Zielonej Góry zajrzeliście po drodze — przywitał ich Heniek z cwaniacką miną.

Umilkł jednak, gdy spojrzął na twarze obojga. Już nie poruszał tego tematu, udał zainteresowanie chorym Lubuszem. Roman pomyślał, że Heniek potrafi być subtelny i delikatny. Znaczna część jego postępowania to tylko cwaniacka poza.

Kryśka miała doskonałą praktykę, musieli to przyznać, obserwując jej zręczne ruchy, gdy obmacywała nogę Lubusza. Pies zaskowytał cichutko, polizął rękę dziewczyny wyschlłym językiem.

— Pić trzeba mu dać. Benek, kropnij się po wodę... Stryjku, łupki, mocną buczynę, suchą — pokazała wymaganą szerokość i długość, przyklęła, gładziła łeb psa. Spoglądał jej w oczy rozumiejącym spojrzeniem.

Malicki uwinął się błyskawicznie. Szerokie listewki pasowały jak ulał. Kryśka spojrzała po chłopcach.

— Musimy go teraz wygodniej ułożyć. Potrzymajcie, zestawienie boli, mógłby się wyrwać.

Lubusz był wytrzymały, rozumiał, że chodzi o pomoc dla niego. Raz tylko szczechnął żałośnie, zapiszczał, drgnął, ale nawet nie próbował się szarpać. Łupki ciasno ujęły złamaną nogę, potem jeszcze owijanie bandażami, wreszcie pies podniósł się, chciał jak przedtem pociągnąć za sobą chorą kończynę, nie mógł, postawił ją niezdarnie, oglądał się bezradnie, pokuśtykał pod okap domu, gdzie najchętniej zawsze się wylegiwał.

— Patrzcie go — dziwował się Malicki.

Bo Lubusz, jakby coś sobie przypomniał, zawrócił nagle w połowie drogi, podpełzł do Kryśki, serdecznie wylizał jej rękę, dopiero z westchnieniem, jakby dobrze spełnionego obowiązku, ułożył się na swym legowisku.

— To ci bydlę dopiero — Heniek nabrał dla Lubusza respektu.

Malicka rozradowana była przyjazdem Kryśki, serdecznie lubiła dziewczynę. Nim się uporano z Lubuszem, stanął na stole smażony sandacz, obok micha ogórków podlanych śmietaną. Malicki także uśmiechał się do dziewczyny, podsuwał półmisek.

— Jedz, jedz, ryby tam na co dzień nie macie.

Wszyscy starali się, jak mogli, nawet zazwyczaj tak nieużyty Heniek wysiłał teraz cały swój dowcip, aby ożywić nastrój. Mimo to jednak Kryśka z trudem ukrywała trapiący ją smutek i przygnębienie, Roman również siedział osowiały, od niechcenia dłużał widelcem w talerzu. Gdy wreszcie dziewczyna oświadczyła, że musi już wracać, Benek dał wyraz ogólnemu odczuciu ulgi, wołając:

— Na drugi raz przyjechałaśbyś nastrojona mniej pogrzebowo. Lubusz przecież wyżyje, czego się martwisz...

W powrotnej drodze już się nie zatrzymywali. Właściwie wszystko zostało wyjaśnione. Dopiero przy pożegnaniu Kryśka powiedziała bardzo spokojnym już głosem:

— Przyjeżdżaj, Roman, proszę cię o to.

Zajrzał w jasne oczy, wyczytał w nich wyraźną zachętę. I nagle uświadomił sobie, że przecież zyskał już bardzo wiele. Sytuacja wcale nie była beznadziejna. Ma przed sobą parę tygodni, kto wie, jak wiele może się w tym okresie odmienić.

Wracając pogwizdywał trochę fałszywie.

W domku spotkał go podniecony Benek.

— Nareszcie, bo Wiesiek miota się jak zając na sznurku, czekając na ciebie. Co mu się stało? Błady, gada tak, jakby dopiero co wylał z lodowatej wody. A Heniek się na niego obraził.

— Czemu? — zdążył jeszcze zapytać, bo Stachura biegł już w jego stronę.

— Bo Wiesiek nie chciał z nim gadać, na ciebie tylko czekał.

Wsadził ręce do kieszeni, oddalił się kołyszącym krokiem. Roman pomyślał, że wido- cznie nie tylko Heniek poczuł się obrażony.

— Co się stało? — przestraszył się zmienionej twarzy Wieśka, którego polubił serdecznie. — Gemmę ci ktoś ukradł? — próbował jeszcze podżartowywać.

Ten machnął dłonią.

— Pal diabli gemmę... — U Haliny była milicja, robili rewizję — powiedział gwałtownym szeptem.

Roman zaniemówił z wrażenia, wielkie oczy wytrzeszczył na przyjaciela, nie mogąc uwierzyć, że mówi prawdę. Wiesiek wziął go pod ramię, poprowadził przez łąkę.

— Muszę z tobą pogadać. Muszę, sam już nie wiem, co robić. Bo parę godzin wcześniej Józek, wiesz, traktorzysta, stłukł głowę Stefanowi. Właśnie za Halinę. Przyszedł na wykop powiedzieć mi o tym. Pobiegłem do niej i... — głos mu się jakoś dziwnie załamał.

— Uspokój się, wszystko się wyjaśni.

— I odbyliśmy dziwną rozmowę. Nic z niej właściwie nie rozumiem. Albo może rozumiem za dużo — wywalił Wiesiek jednym tchem.

— Czekaj, czekaj, coś mi się gmatwa. Tylko u niej była rewizja?

— Nie. U Stefana także. Jeszcze w dwóch domach, krewni jacyś magazyniera, i u szofera, tego młodego, od „Stara”.

— Znalezli coś u Haliny?

— Nic.

— Tutaj możemy usiąść, nikt nas nie usłyszy, teraz opowiedz dokładnie — Roman wskazał mały kopczyk zarośnięty trawą.

— Jedno tylko. Jeździłeś teraz motorem. Nie spotkałeś Stefana? Tropię go. Nigdy nie rwałem się do bijatyk, ale tym razem skuję pysk facetowi, że do Wielkanocy się nie wyliże — głos Wieśka brzmiał zaciętością.

— Nie widziałem. A do kucia gęby się nie pal, zawsze zdążysz. Podenerwowany jesteś, na gorąco nie wszystko dobre, co się robi.

— Dobrze ci gadać, ale gdybyś ty wiedział wszystko. Przecież ja kocham Halinę, kocham ją. Dlatego przeraża mnie i boli, co się wokół niej dzieje.

— Opowiadaj...

— Więc najpierw było z Józkiem, pytałem potem także Halinę. Porządkowała właśnie bibliotekę, otrzymała trochę nowych książek z centralnego zakupu. Niespodziewanie zjawił się Stefan, podniecony bardzo, przejęty. Prosił ją o załatwienie jakiejś sprawy, nie chciała mi tego bliżej określić. Odmówiła. Wtedy zaczął się awanturować i grozić, wrzask podniósł, wybiegł jak zwariowany, jeszcze na dworze wyzywał ją od ostatnich, wolałbym nie powtarzać, rozumiesz...

Roman skinął głową.

— Józek szedł w tym czasie do biblioteki, dla chorej siostry chciał pożyczyć jakąś książkę. Trafił na całą kabałę. Od czasu zabawy, gdy Stefan ze swoją bandą nie dotrzymał obietnicy przeproszenia nas, Józek jest na niego szczególnie cięty. Był w tej straży, pamiętasz... Stefan groził Halinie, nazwał ją, niech tam, wiedz już wszystko, otóż nazwał ją dziwką. Krzyczał jeszcze, że pójdzie do mnie, do mnie, kapujesz, Roman, żeby z różnymi takimi cudeńkami mnie zaznajomić. Dziewczyna stała podobno jak zmartwiała, dygotały jej wargi, błada była niesamowicie. Nasz piegus wtedy już nie wytrzymał, rączkę ma ciężką i dosyć pokąźną, jak niezgorszy bochenek chleba. Wyrzwał faceta raz i drugi, aż ten się nogami nakrył. Zerwał się, podobno sięgał nawet po nóż, nie zdążył, dostał jeszcze raz, wtedy już zrezygnował, pogroził tylko w milczeniu pięścią i nawiał. Józek mówił, że za pazuchą Stefan miał jakąś mocno obwiązaną sznurkami paczkę, jakby książkę, coś takiego. Upadła mu przy tej kotłowaniu na ziemię, zaraz ją chwycił, schował przestraszony...

Wiesiek umilkł, Roman widział, jak ponownie przeżywał całe to wydarzenie. Przypomniały mu się w tej chwili pytania porucznika w międzyrzeckiej komendzie milicji. Właśnie o Halinę, niby tak mimochodem, ale wiadomo, faceci w śledztwie nie rzucają zbędnych pytań. I zawsze przy niej ten Stefan, ona zaś jakby bała się go, bo nic chyba przecież innego? Czyżby sprawa magazyniera była tylko początkiem większej afery? Coś milicja zanadto się tutaj płacze, ciągle ten Stefan włazi w paradę, z Lubuszem także jakoś dziwnie wygląda...

Dał spokój tym rozmyśleniom przekonany, iż nic z nich sensownego nie skleci. Spojrzał na Wieśka i nagle zrobiło mu się go strasznie żal. Nie było już tajemnicą, że chłopak kocha Halinę, ale staje między nimi nie wyjaśniona sprawa. Czyżby tajemnica kryła się w brutalnych słowach Stefana? Czemu nazwał ją dziwką, czemu groził, że powiadomi Stachurę? Trzeba chłopcu dopomóc, bo się zżera wewnątrz.

— Józek przyszedł do ciebie, tak? — poddał dalszy ciąg opowieści.

— Tak. — Wiesiek ręką tarł czoło, jakby się nie mógł połapać w tym wszystkim. — Próbował jeszcze się porozumieć z Haliną, wypytać dokładniej, co tamtego tak rozwścieczyło, ale mówił, że była jak nieprzytomna, powtarzała, że ona nie wie, nic nie wie, wreszcie pobiegła i zamknęła się w swoim pokoju. My z Józkiem żyjemy od dawna w przyjaźni, więc uznał za konieczne przyjść do mnie. Widział, że jestem w pobliżu, przy wykopie, dziwne, że w ogóle nie słyszałem tej całej awantury. Powiedział jeszcze, iż zauważył, że od pewnego czasu Stefan napastuje Halinę. Nie miał pojęcia, z czym to wiązać. Bo, jego zdaniem, chyba nie z dawnymi sprawami.

Solecki wzruszył ramionami. Jakie, u diabła, dawne znów sprawy? Wiesiek zauważył ten ruch. Przygryzł wargi, potem zmienionym, przycichłym nagle głosem powiedział:

— Znam tę sprawę. Przykra historia. Skoro już zacząłem, trzeba, żebyś wiedział wszy-

stko... Przed paru laty, krótko po moim tutaj przybyciu, Halina kochała się ze Stefanem, byli nawet już oficjalnie zaręczeni. No cóż, zdarza się, nie znała go. — Przerzywał, trudno mu było mówić na ten temat. Roman przypomniał sobie w tej chwili doktora Kowalskiego i Kryskę, trochę jakby podobna historia. Słuchał uważnie z trudem wyrzucanych z siebie słów Wieśka.

— Wtedy wybuchła w PGR-ze sprawa o jakieś nadużycia, matactwa, kradzież pieniędzy. Podejrzany był Stefan, zebrano się przeciw niemu sporo dowodów. Aresztowano go, odbył się proces. Uratował się głównie, czy może nawet jedynie, dzięki zeznaniu Haliny. Dała mu świetne alibi, tak się to bodaj nazywa. Otrzymał jeden rok z zawieszeniem... W jakiś miesiąc po rozprawie Halina zerwała z nim, zgodził się potulnie, nastął spokój. I dopiero teraz, od kilku miesięcy, znów ma do niej jakieś pretensje.

— Tak, to dawne dzieje, nie musisz wiązać od razu jednego z drugim — trochę niepewnie powiedział Roman.

— Skąd mogę wiedzieć, co i z czym wiązać? — wybuchnął Wiesiek. — Bo słuchaj, co potem zaszło między mną i Haliną. Zaraz do niej pobiegłem. Musiała się uspokoić, znowu była przy książkach, wpisywała pozycje do katalogu. Wcale nie była zachwycona moim przybyciem. Powiedziałem od razu, że od Józka wiem o tym, co zaszło. Rozpłakała się, powiedziała, że ją wszyscy maltretujemy. Rozumiesz, maltretujemy? Ja i maltretuję, kiedy bym nieba chętnie przychylił dziewczynie. Uspokoilem ją, powiedziałem, że ze Stefanem zrobimy jeszcze porządek, żeby się go więcej nie bała. Chciałem się czegoś bliżej dowiedzieć... Słuchała spokojnie, miałem już nadzieję, gdy raptem zaczyna mówić, tuli jednocześnie swoją dłoń do swych piersi, co tam mówić, wołać zaczyna jakoś tak rozpaczliwie, mówię ci, wszystko się we mnie ścisnęło, że ona nienawidzi Stefana, że przez niego wciąż musi cierpieć, że nie jest mnie godna, że sama już nie wie, co robić, że bym ja na koniec dał jej zupełny spokój, zapomniał o wszystkim, ona też będzie próbowała swoje życie ułożyć na nowo, wyjedzie stąd, i jeszcze w ten deseń. Tyle, widzisz, wiem. Bardziej niezrozumiałe to teraz niż przedtem.

Jakimś patyczkiem zaczął ryc ziemię, w końcu podniósł oczy na Romana, zapytał dziwnie bezradnie, dziecinnie:

— Roman, co to znaczy? Powiedz, poradź.

Jemu zaś zaczęło się coś kojarzyć, musiał tylko rozmieścić w czasie wydarzenia mijającego dnia.

— A ta rewizja?

— Z rewizją też nieprosta sprawa. Właśnie byłem u Haliny, gdy przyjechała milicja. Przyszli do świetlicy, przeprosili, powiedzieli, że chcą przesłuchać parę osób, najlepsze miejsce, najspokojniej. Widziałem, że oni od razu się rozeszli po domach, mówiłem ci już kogo rewidowali... Gdy przyprowadzili tego młodego szofera, nie lubię go, nieprzyjemny facet, ma tam podobno różne sprawki za sobą, przyjechał tutaj aż spod Krakowa, otóż wtedy wyprosili mnie delikatnie, że nie potrzeba im świadków. Był to porucznik, wiesz, z Międzyrzecza, który dziś rano nas przesłuchiwał... Usiadłem na stercie bierwion na podwórzu, myślałem, co to wszystko ma znaczyć. Do biblioteki przyszło jeszcze dwóch milicjantów, skończyli rewizję w domu Stefana, jego zresztą tam nie zastali. Szofera trzymali bardzo długo, potem na zmianę równie długo kuzyna magazyniera Janiaka. W pewnej chwili zobaczyłem sylwetkę milicjanta w oknie pokoiku Haliny. Łazili po całym budynku. Coś mnie tknęło. Trwało to jeszcze dobrą godzinę, nim zawinęli się i odjechali. Nie mogłem wytrzymać, żeby się nie dowiedzieć. Halina smutna siedziała na swoim łóżku. W pokoju był straszliwy bałagan. Gdy stojąc w progu patrzyłem na to w zdumieniu, powiedziała, iż tego w końcu się doczekała, że milicja robi u niej rewizję. Rąbnęło mnie jak pałką w łeb. Pytam czego chcieli, jak śmieli? Odpowiada, że nic już nie wie, że bym też o tej rewizji ludziom nie rozpowiadał, zaznaczyli jej, że robią to dyskretnie, pod pozorem przesłuchiwania tamtych, w tym samym czasie. Bo to, powiedzieli, różnie bywa, ktoś przecież mógł schować coś w bibliotece, w świetlicy, podrzucić nawet w jej własnym pokoju... Widzisz, niby prawda, ale Halina mówiła to bez przekonania, po prostu

zdawała relację z doświadczeń milicji. Dziwne, prawda? Pożegnała mnie obojętnie, jakby najzupełniej obcego człowieka... Tłukłem się jakiś czas nad jeziorem jak głupi, wreszcie pomyślałem o tobie. Wyjechałeś po Kryskę. Jakie jest więc twoje zdanie, Roman? Jakie?

— Stefana przy rewizji nie zastali w domu? — zapytał z namysłem.

— Nie. Słyszałem, mówili o tym. Nic zresztą tam nie znaleźli.

— Czyli że po starciu z Józkiem musiał gdzieś pójść. To się zdarzyło krótko po południu. Szukałem cię wtedy przy wykopie za ruinami, nawet się zdziwiłem, że nastraszyłeś się byle mżawki. Musiałeś już być u Haliny... W tym czasie Heniek był z psem po drugiej stronie jeziora. Lubusz pognął za kimś, przedzierając się przez krzaki. Musiał go ktoś uderzyć kamieniem, kijem, tylko w ten sposób mogło nastąpić złamanie nogi.

Zdecydował się.

— Wiesz, Wiesiek, musimy zapoznać z tym wszystkim Heńka. To dobry chłopak, już go przejrzałem, ma tam czasem swoje wyskoki, udaje cynika, wyłazi zaś z tego dziecinada. On ma smykałkę do takich spraw. Nie musisz zresztą relacjonować wszystkich szczegółów. Dobra?

— Jak uważasz. Mnie już wszystko jedno. Wiem tyle, że muszę się policzyć z tym draniem. Nie będę się na nic oglądał. Jak ja go strasznie nie cierpię. — Stachura zacisnął pięści, wyglądał w tej chwili groźnie. Roman się wzdygnął. Nigdy by mu do głowy nie przyszło, że takie lichy siedzi w zawsze spokojnym i opanowanym chłopaku.

Heńka znaleźli na górcie. Na wielkiej, dokładnie wyheblowanej desce wyrysowywał coś tuszem. Na wchodzących Romana i Wieśka spojrział zezem.

— Co tam rysujesz? Nie wiedziałem, że masz takie talenty — schylił się Roman nad deską.

— Dla Benka. Ustawimy to nad jego błotkiem z żółwiami... Wiecie... — spojrzął na nich chmurno, zaczepnie. — Ten Benek to jedyny możliwy facet w naszym gronie. On przynajmniej z byle gówna nie robi tajemnic.

Wiesiek skrzywił się, zaraz jednak szepnął z wysiłkiem:

— Przepraszam cię, Heniek.

— Nie mądrz się, gdy nie wiesz, o co chodzi — zniecierpliwiał się Roman. — Spójrz na Wieśka, jak on wygląda. Właśnie przyszliśmy do ciebie po radę. A ten żółw to naprawdę ci się udał. Benek będzie się cieszył. — Chwalił nie tylko po to, by zjednać nadąsanego Kubiaka. Żółw mocnymi konturami wymalowany na desce rzeczywiście bardzo mu się podobał.

Heniek gładko przełknął pochlebstwo, nie zamierzał jednak rezygnować tak łatwo. Zaburczał:

— Po radę. Do mnie. Widocznie szanownym panom własnych łepetyn było za mało, co?

Roman szturchnął go, wskazał dyskretnie na Wieśka. Kubiak spojrzął na niego. Stachura miał twarz ściągniętą, zdawać by się mogło, że przychudł od rana, gdy spotkali się w Międzyrzeczu. Wtedy rozpromieniony był swoją rzymską gemmą, teraz stał przed nim zupełnie inny już człowiek.

— Dobra, dobra — powiedział. — Na drugi raz bądźcie przyzwoitsi, żadnej poruty jeszcze wam nie zrobiłem, wiem, co znaczy kumpel i swoja sitwa.

Roman pokrótce opowiadał przebieg wydarzeń, opuszczając co bardziej drastyczne szczegóły. Heniek słuchał ze wzrastającym zaciekawieniem. Gdy Solecki zakończył, gwizdnął po swojemu raz i drugi.

— Podoba mi się ten Józek, muszę z nim przy pierwszej okazji; wypić kielicha... Jedno zaś z tego wszystkiego wiem już na pewno. To Stefan rozwalił nogę Lubuszowi. Przychodził z czymś do Mątwiaków, moja obecność była mu nie na rękę, pies go wyczuł w dodatku... Ta sprawa z paczką, którą miał za pazuchą. I zaraz potem rewizja. Ciekawe, gdyby natknęli się na tę paczkę, co by też w niej znaleźli? Może o nią właśnie chodziło?

Ze zmarszczonym w namyśle czołem ujął w rękę pędzelek, poprawił kreskę w rysunku żółwia.

— Tak, jedno jest pewne — zamruczał. — Musimy na własną rękę obstarwić Stefana. Tak mi się zdaje, że wtedy wyjaśnią się wszystkie tajemnice, gromadzące się wokół jak chmury. Tolek przyjedzie? — zwrócił się do Romana.

— Chyba tak, już teraz Kryśka pomaga matce.

— To dobrze, te pętaki lubią podobne rzeczy i mają do nich smykałkę — spojrzał na Wieśka. — Stary, nie martw się. Jeszcze nasze będzie na wierzchu.

## ROZDZIAŁ XXVI

Po krótkim okresie deszczów spiekota wróciła ze wzmożoną siłą. Liście na drzewach kurczyły się i żółkły. Nawet sitowia i trzciny przykładały zmęczone żarem. Woda stała gładziwną, jedynie świtaniami przelatowały nad nią mizerne podmuchy, marszcząc nudno wypolerowaną powierzchnię.

Dwie łódki zastygły u podnóża zbocza, kryjącego w swych głębiach wabiące nieznanym bunkry Wehrmachtu. Emocja chłopców sięgała teraz zenitu. Wpatrzeni w pokrywające spadziczną podzółkłe krzewy, spod których wyłaniały się warstwy piachu i ciemniejsze żyły cementu, wspominali tak zdawałoby się dawne już chwile, gdy u szczytu siedział nieruchomy jak posąg Malicki, oni zaś nurkowali w poszukiwaniu Benka...

Późny bezwiednie nakłonił ich do podjęcia wyprawy. Zajrzał do Malickich, zgadali się przy tej okazji, zapytał półżartem, czy jeszcze marzą o penetrowaniu podziemi. Dostyc chyba mają już przeżyć w pałacowych ruinach, szczęście, że czerwony raubritter szczeł razem z hitlerowcami. Bo biała pani, zawsze mówił, to wymysł, jakieś cygaństwo.

Malcy nie marzyli o niczym, nawet atrakcja śledzenia Stefana zbladła bez reszty wobec rysującej się perspektywy. Heniek również palił się do tamtych bunkrów od dawna, Roman zaś od czasu, jak sprawy z Kryśką zaczęły się cośkolwiek lepiej układać, był w tak doskonałym nastroju, że dałby się na wszystko namówić.

Dwa razy jeździli do Międzyrzecza, Heniek otrzymał właśnie forszę od matki, nie żałował, kupowali latarki i baterie, celofan, ceratę, szyli nieprzemakalne worki, jednym słowem, przygotowania szły całą parą.

I oto kołyszą się na łódkach u podnóża wzniesienia. Poziom jeziora obniżył się znacznie, przez zmizerowane listowie zwisających krzewów przezieriała szpara między powierzchnią wody a nawisem niemal prostopadłego zbocza.

Heniek pierwszy otrząsnął się z dziwnego nastroju, jaki ich wszystkich ogarnął.

— Coście się zagapili jak sroka w kość, żaden jadaczką nie ruszy? No, Roman, pakunczki na plecach i jazda.

Solecki uśmiechnął się, ale spojrzenie, gdy patrzył na głębokim cieniem spowitą wodę, nie było entuzjastyczne.

Heniek trzymał w dłoniach mocną linkę rybacką. Pytająco spojrzał na Romana. Solecki zaśmiał się.

— Ależ ci się pali...

— Czasu szkoda, diabli wiedzą, ile go nam trzeba będzie pod ziemią.

— Nie będę się opasywał. Wtedy co innego, stawka szła o uratowanie Benka. Zawsze mogą być jakieś zaczepy. Będę trzymał ją w ręce, w razie czego puszcze i tyle...

— Może i racja — zgodził się Heniek. Wszystko jedno, myślał, aby szybciej. Ale z tego Romana guzdrała. Co on myśli zwojować w życiu przy takim tempie?

Solecki zsunął się za burzę, na chwilę zanurzył wraz z głową, dreszcz nim wstrząsnął, w



tym wiecznie cienistym miejscu woda była znacznie chłodniejsza.

— Roman, gazem, żeby pakunek nie przemókł — przynaglał Benek dziwnie czegoś rozpromieniony.

Zaczerpnął powietrza, nogami odbił się od powierzchni, trysnęły bryzgi. Fale wybiły spod nawisu urwiska. Linka, przytrzymywana przez Heńka, rozwijała się szybko, w pewnej chwili znieruchomiła.

— Już — wrzeszczał Benek.

Kubiak pociągnął linkę ostrożnie, bardzo leciutko. Uczuł w odpowiedzi równie łagodne szarpnięcie. Roman był już w jaskini. Szybko umocowali teraz sznur do specjalnie przygotowanego zaczepu u łodzi. Trzymał mocno. Heniek uśmiechnął się do chłopaków, jednym susem runął do wody. Ręką uchwycił za linkę, mającą mu służyć jako drogowskaz. Zanurzył się, jeszcze tylko poszły bąbelki powietrza, gwałtowne fale, aż się łodzie rozkołysały.

Chłopcy spojrzeli po sobie. Benek z cwaniacką miną uniósł wieko kaszty, wyciągnął ceratową paczkę. Tolek wytrzeszczył oczy.

— Co to?

— Ekwipunek podwodny — z dumą, choć z pewnym trudem wymówił Benek to słowo. — Zaczekamy, niech się już tam rozgoszczą, wtedy i ja popłynę. Będiesz tu pilnował wszystkiego...

Tolek szeroko otworzył usta, oczy jego zrobiły się okrągłe i wielkie jak tenisowe piłki, zachłysnął się usłyszaną nowiną.

— Ty... ty — wyjąkał.

— A ja. Mam siedzieć jak głupi, gdy oni pładrować będą w tym hitlerowskim sztabie? Guzik, bez Benka nic nie ma.

— Ale oni nie pozwolili... — Tolek był bliski płaczu.

— Cicho, bekso, bo w czerep oberwiesz...

Tolek zastygł w straszliwym rozżaleniu. Benek myślał był przy swoich starszych kamratkach. Co oni tam robią, czy się już może rozpakowali, mają światło, ubrali się? Rwało go wszystko w dół, pod wodę, ani cienia nie zostało z tak jeszcze niedawnych lęków. Bał się jednak, że zechcą go zawrócić, lepiej nieco dłużej poczekać, niech się trochę oddalą, dopędzi ich w samych już bunkrach, ma przecież latarkę.

Dłonią chwycił za sznur, odbijał twardo. Musiał już zostać umocowany w pieczarze. Chwacko im idzie, pomyślał. Zerknął na Tolka,; siedzi z nosem pomarszczonym jak trufla, gotów się naprawdę rozplakać. Właściwie to żal chłopaka, każdy na nim jeździ jak na łysej kobyle, gdy zaś szykuje się taka atrakcja, musi zostać na wierzchu. Trudno, taka już jego dola, trzeba mieć lepszą smykałkę...

Ani by do głowy przyszło Heńkowi i Romanowi, jakie zamiary ma ich mały przyjaciel. Pochłaniały ich tam całkowicie dalsze przygotowania.

Heniek łatwo dobrnął do piaszczystej łachy. Liny trzymał się raczej dla wszelkiego przypadku. Odetchnął jednak z ulgą, gdy przy swojej ręce uczuł dłoń Romana.

— No, fajno — odsapnął i aż się zdumiał, tak mocnym, grubymi echem rozległ się jego głos w ciemnej przestrzeni. — Cholera, jak grzmot — roześmiał się.

— Dawaj scyzoryk — Roman przejmował dowództwo dwuosobowej wyprawy.

W przyszłej do kąpielówek Heńka kieszonce umieścili scyzoryk, trzeba przecież czymś przeciąć owiązania szczelnie pozaciskanych paczek.

— Ale chłód, jakby w lodowni.

— Pomyśl, Benek wysiedział tu prawie dobę... Już gotowe, przesunę się tylko wyżej, tam piasek jest jakby suchszy.

Umilkli, to echo działało dziwnie drażniaco, stwarzało jakiś grobowy nastrój. Głośnym zgrzytem rozległo się darcie ceraty, rozwijanie plastikowych opakowań, brzęk metalowych części. Zatrzymali oddechy, teraz nastąpi albo rozczarowanie, albo dopiero otworzą się necą-

ce perspektywy.

— Mam latarkę — szept Romana był ledwie słyszalny.

— Zapalaj, na co czekasz? Prędeż.

Roman czuł, jak ręce mu drżą, z trudem nakazał sobie skupienie. Nacisnął guzik. Długi błysk światła oślepił ich w pierwszej chwili. Zamrugali oczyma.

— Patrz, beton ciągnie się daleko, opuść reflektor...

Kanonadą pobiegły słowa Kubiaka. Ale w świetle nie było już tak groźnie jak jeszcze przed chwilą. Snop z latarki spłynął niżej. Z piersi obu wydarło się coś jakby westchnienie.

— O rany Julek!

— Co za jaskinia zbójcka. Z komfortem...

— Świeć, świeć, albo daj mi drugą latarkę.

Zdumieni wyławiali szczegół po szczególe. U ich stóp cichutko pluskała woda, brzeg jej owity był płataniną zielska i brudu, ale wyżej rozciągał się czysty, żółciutki piasek. Kilka żab w popłochu umykało na wszystkie strony.

— Dla żółwi Benka — uśmiechnął się Heniek. — Roman, patrz! — chwycił przyjaciela za ramię, wskazywał na prawo.

— Motorówka — wystękał Roman.

— Idziemy do niej.

— Zdążymy, trzeba wszystko obejrzyć.

Żółty piasek piał się do góry korytarzem wybetonowanym u stropu. Przy betonie ciągnęły się elektryczne przewody, zwisiała nawet pokryta siatką żarówka. Zaraz od linii wody wykop rozszerzał się. W miejscu gdzie stali, pod nogami był tylko piasek. Ale z lewa tkwiło coś w rodzaju betonowego pomostu, zabezpieczonego na pół przegniłymi deskami. Wyżej na kilku drągach stała łódź motorowa, lakier oblaził z niej liszajowatymi strzępami. Na wbitych w ścianę żelaznych klinach umocowane były półki, piętrzyły się na nich jakieś ubrania, narzędzia rdzą przeżarte, na betonowej podstawie stały żelazne beczki.

— Dawaj latarkę — Heniek wyszarpnął ją z dłoni Romana. Ślizgając się na przegniłym zielsku, naniesionym tu widocznie przez fale, rwał do kadłuba łodzi. Musiał się przekonać bez zwłoki, czy to tylko próchnica, czy może... Aż się zachłystywał tą myślą. To by dopiero była heca, takie znalezisko w podziemiach.

Był już przy łodzi. O dłoń otarły mu się strzępy spleźłego lakieru, z szelestem posypały na ziemię. Przeciągnął palcem po kadłubie.

Zapukał, głuchy stuk był odpowiedzią. Przesuwał się wzdłuż burty dalej i dalej. Wszędzie to samo. Drzewo wyglądało na zdrowe, lakier je chronił przez długie lata...

— Heniek, stój! — błysk drugiej latarki zagroził Kubiakowi drogę.

— Czego się drzesz? — zatrzymał się.

— Radzę ostrożność, znasz hitlerowców...

— Nie znam, za mały jeszcze byłem, aby cokolwiek spamiętać — przerwał ze złością.

— Zatkaj się. Tu mogą być miny, takie różne pułapki. Słyszałeś, co mówił Późny? Na wszystko będzie czas. Wracaj, ubierzemy się, potem zaczniemy przeszukiwać systematycznie.

— Aleś kazanie odstawił — Heniek skrzywił się, nie mógł jednak nie uznać tego głosu rozsądku.

Rozcięli drugi pakiet. Nic nie zamokło. Z przyjemnością wkładali ciepłe dresy, już przecież drżeli, szczękali zębami.

— Kadłub cały. Ładny ma kształt, będziemy mieli własny pojazd. Ej, Roman, tam przecież musi być także motor?

— Przypuszczam, cóż by to była za motorówka? Zaraz wszystko się zbada. Przy motorze może być jakaś zasadzka. Kto wie, w popłochu hitlerowcy stąd wiali, czy zdążyli jeszcze spokojnie opuścić teren...

— Późny gadał, w popłochu...

— To oddziały bitewne. Sztab czy dowództwo jakiegoś odcinka mogło znacznie wcześniej zlikwidować kwaterę... Bierz do kieszeni zapasowe baterie. Torby z żarciem przez ramię. Świece będą się tutaj palić? Jest jakiś podmuch, ciąg idzie stamtąd od góry — prysnął w głąb korytarza światłem latarki.

— Z ceraty zrobimy osłonę, dawaj te świece...

Heniek także ochłonął już z pierwszego oszołomienia, zebrał się do kupy, nie gorączkował jak pierwiej.

Dwie świece zapełgały żółtym blaskiem. Zrobiło się jaśniej. Powietrze było czyste, żadnego swędu, zaduchu, odoru.

— Fajno jest. Roman, zajrzyjmy, jak z tym motorem. Plandeka, coś takiego na wieżchu...

— Czekaj, co to u diabła? Ryba? Jak płynąłem, jakieś cielsko otarło się o mnie, tak jak poprzednio. A to pewnie... O, diabli! Benek, ty co tu robisz, do jasnej niespodziewanej!

Benek wygramolił się niezdarnie na piasek, utykał przy okazji w przegniłych wodorościach i zielsku. Dyszał ciężko, ale okrągła gęba promieniała radością, oczy świeciły cwaniactwem. Rękami otrzepywał wodę z troskliwie piastowanego pakunku.

— Uff, napiłem się trochę wody. W połowie drogi strach mnie chwycił cholerny, tamta noc mi się przypomniała...

— Co tu robisz? Miałeś być na powierzchni — ostro natarł Solecki.

— Ba, jakiś ty skory do szumu! Nie bręcz, Roman. Myśleliście, że puszcze was samych? To moja jaskinia, ja pierwszy w niej byłem i mam prawo iść z wami. Za nic nie wrócę.

— Coś taki, Benek, mordziasty? Ryzykować tobą nie mamy zamiaru. Zawracaj, ale już!  
— Heniek niedwuznacznie zacisnął pięści.

— Bohater zakichany, na słabszego się rwie, patrzcie go! — Benek odskoczył w bok, już mu siły wróciły. — Ja i tak nie wrócę.

— Heniek, zostaw! Sam nie wiem, co robić...

Benek wyczuł wahanie w głosie Romana, zwrócił się teraz bezpośrednio do niego.

— Będę was słuchał, pozwólcie tylko mi iść. Nie bądźcie już takie chojraki. Ja też mam dresy, latarkę, żarcie i wszystko. Roman, dobra? No, Roman...

— Pal cię sześć — machnął ręką zrezygnowany Solecki. Znał malca, wiedział, że krzykiem nie wymogą na nim niczego. Uparty jak rzadko.

— Widzisz, Heniek? Takiś magik, próbowałeś mi zasunąć kometę i nici z tego — zagrał Kubiakowi na nosie.

Wyszło to tak paradnie, że ostatecznie roześmiali się wszyscy troje.

— Ubieraj się, ale już — Heniek ratował resztki swego autorytetu.

W mig był gotów. Z dumą zapalił swoją reflektorówkę i ujrzał łódź wspartą o drewniane stojaki.

— Jaka fest krypa!

Roman szedł pierwszy. Myślał, a nuż natrafią na jaką minę, niech przynajmniej on jeden wyleci w powietrze. Tyle się o tych rzeczach czytało. W Warszawie, w Lublinie, w kętrzyńskiej kwaterze Hitlera. Niekoniecznie tu musi być od razu inaczej.

Drewno łodzi doskonale zachowało się pod powłoką farby, aż byli zdumieni. Wilgoć była przecież.

Z niemałym lękiem odkrywał Solecki zeszywniałą, kruszącą się w rękach płachtę okrywającą rufę. W blasku latarki wyrósł w całej okazałości niewielki motor.

— Cholerna, rdza — z żalem wystękał Heniek.

Śmieiej zsunęli płachtę. Roman zajrzał jeszcze pod spód, czy nie ma tam jakichś obcych przedmiotów, czy nie wystaje gdzieś niepotrzebny kabel. Pociągnął palcem, rzeczywiście rdza. Tyle lat, wilgoć, woda, przewiewy. Skamieniała warstwa pokrywająca w innych miej-

scach żelazo wyglądała na smary albo oliwę. Scyzorykiem spróbował to zdrapać, ukazał się świecący metal.

— Nie wszystko stracone — mruknął.

— Hura! To byłaby frajda, motorem po naszych jeziorach. Moglibyśmy Obrą spływać do Noteci i Warty, aż do Odry — wydzierał się Benek, myszkując przy tej okazji po półkach. — Kombinezony jakieś, ale sypią się w palcach.

— Erzacowy materiał, co dziwnego.

— Hitlerowska tandeta — zadowoleni używali co wlezie.

— A w tych beczkach? — Benek potracił pepegami o jedną, zadudniła głucho.

— Zostaw, lepiej ostrożnie, teraz i tak nie będziemy badali, co jest w środku.

Mówiąc to strumieniem reflektorówki Roman obrzucił najbliższą okolicę motorówki. Nic tam ciekawego nie było.

— Pontony gumowe, aż trzy też poszły w diabły. Guma pęka, jakby spalona — Benek nie ustawał w swoich poszukiwaniach.

Ledwie go Roman oderwał od półek. Czas był udać się dalej. Ustalili, że pójdą w odległości paru metrów od siebie. Na zmianę. Bo gdyby co...

— Zołza by ci siadła na język — splunął Benek, przypominając słowa i zachowanie starego Wikswy.

Solecki szedł pierwszy. Piasek się skończył, głucho dudniły ich kroki, chociaż szli w gumowym obuwiu. Korytarz zwęzał się. Ze wszystkich stron beton, wydłużona klatka. Miejscami małe wnęki w ścianach, u stropu zachowane w całości przewody, lampy. Co parę kroków Roman przystawał, wyławiał światłem każdą grudkę, wypukłość terenu, wnęki, ślady dodatkowych przewodów. Potem dopiero posuwali się dalej.

Nawet przez dresy doskwierał ostry chłód, nie ziąb, lecz chłód. Betonowe omurowania były suche, ani śladu wilgoci.

Reflektor wyłowił ślepa ścianę. Heniek gwizdnął przeciągle, co u diabła, czyżby tu miało wszystko się skończyć? Nie, korytarz zakręcał nagle pod kątem prostym, przestawał się wznosić ku górze. Za zakrętem na pół otwarte rdzawiły się żelazne drzwi. Zwiększyli ostrożność. Ani śladu jakiegos niebezpieczeństwa. Naparli na zaporę, drzwi zapiszczały, ze zgrzytem przesunęły się na zatartych, zardzewiałych zawiasach, mogli się już precisnąć.

Znowu skręt, w prawo tym razem.

— Myślałem, że tu ciekawiej — burknął rozczarowany Heniek.

Za nowym załamaniem korytarz rozszerzał się w niewielki hall. Na wprost zamykały go jedne drzwi, z prawa i lewa było ich po dwoje, wszystkie żelazne. Otwierały się z trudem. Roman drżał przy każdym, właśnie tutaj mogła się kryć jakaś hitlerowska zasadzka, zdolna się odezwać po latach.

Dwie klitki świeciły pustką. Trochę gałganów, nie można było rozróżnić, czym kiedyś były, skrawki papieru. U góry przewody i lampy.

— O, bańki jakieś — triumfalnie wykrzyknął Benek, gdy zajrzeli przez rozchyloną szparę do lewego pomieszczenia. — Otwierajmy, może się uda...

Roman nieufnie patrzył na starannie ułożony stos dużych rozmiarów blaszanek. Żadnych napisów, nic, tylko rdza i osypująca się polewa.

— Zostawmy, musimy obejrzeć całość bunkra, dopiero potem szczegóły.

Benek ustąpił niechętnie.

Długo mordowali się przy kolejnych drzwiach. Wreszcie ustąpiły ze zgrzytem, rozległ się przyciszony syk.

— Do tyłu — krzyknął Roman.

Odkoczyli, cofnęli się, ukryli w załamaniu korytarza. Czekali.

— Coś się nam przywidziało — burknął Heniek, ocierał pot z czoła, nagle zrobiło mu się bardzo gorąco.

— Zaczekajcie, ja sam zobaczę — głos Romana był rozkazujący, surowy.

Zawołał ich po chwili. W dłoniach trzymał wygiętą leciutko blaszkę.

— To się dostało pod drzwi, zapiszczało przy tarcu o beton. Klamra od żołnierskiego pasa. Jest jeszcze napis, można odczytać: Gott mit uns. Nawet Boga chcieli angażować dla siebie, łajdaki.

Klitka wyglądała na jakąś dyzurkę. Wmurowane w beton łóżko na żelaznych klinach, również żelazny niewielki stół, dwa taborety. Na stole czysta kartka papieru.

— Nikt tu chyba nie mieszkał — kręcili głowami.

— Zupełnie jak w więzieniu. Oglądałem kiedyś — powiedział Roman. — Myślałem, że takie bunkry, jeżeli tu naprawdę się mieściło dowództwo, wyglądają trochę przyjemniej. Cholerne kazamaty...

— Pchamy się dalej.

Te drzwi były inne, masywniejsze. Heniek gwizdnął swoim zwyczajem, widząc, że nie ma w nich klamki. Obok we wnęce muru kryła się maszyna, jakby dźwignia czy korba.

Próżno napierali na drzwi, nawet nie drgnęły.

— Cholera, czyżby już koniec wędrówki? — straszliwe rozczarowanie zabrzmiało w głosie Kubiaka. Twarz Benka się wydłużyła.

Roman oświetlał latarką dziwny mechanizm we wnęce przyległej do masywnych wież. Mruczał, ostrożnie próbował poruszyć korbę. Ledwie drgnęła, zapiszczała jazgotliwie.

— To mechanizm do otwierania, myślę, że drzwi są stalowe. Dopiero za nimi możemy się czegoś spodziewać. Dotychczas była to jakaś część dodatkowa, może wyjście rezerwowe, specjalnie zabezpieczone, gdyby na przykład atak nastąpił od góry, bo ja wiem zresztą co... Tylko czy my coś tutaj zrobimy? To masyw. W mechanizmie są jakieś otwory, może do specjalnych kluczy? Heniek, pomóż, spróbujemy we dwójkę.

Benek też się przypiął do korby, przesunęli ją zaledwie o parę centymetrów, słyszeli jednak wyraźnie, jak drzwi zgrzytnęły, Heniek przysiągłby, że się nawet uniosły, nie było pewności, żelazna bariera wgłębiała się w cement posadzki.

— Gdyby tak naoliwić? — zastanawiał się Roman.

— W tamtych beczkach, jedna była otwarta, przysłonięta pokrywą. Na pewno smar jakiś... — poderwał się Benek.

— Albo benzyna. Dawno wyparowała.

— Et, jak mówię, to wiem. Zaglądałem, było tam coś gęstego — upierał się Benek. — Pobiegnę, przyniosę.

— Dobrze — z ociąganiem zgodził się Roman. — My, Heniek, będziemy próbowali rozluźnić ten cały mechanizm. No, ciśnij!...

Benek zawrócił, widzieli, jak skrzył w załamanie korytarza. Wczepili się w korbę, szarpali w jedną i drugą stronę, poruszała się luźniej, nie było jednakże mowy o jej swobodnych obrotach.

— Zaczekamy albo może pójdziemy po Benka? Mam wyrzuty sumienia, że puściłem pętaka samego...

— Tu przecież bezpiecznie, nic podejrzanego nie było — uspokajał go Heniek. — Zaraz, słuchaj...

Niedaleko rozległ się jakiś szmer, brzęk, potem nagle przeraźliwy, pełen jazgotu, olbrzymiejący dziwaczny echem, długi, narastający huk.

— Benek — wspierając się o ścianę szepnął osłabły z wrażenia Solecki.

— Wybuch? — usta Heńka drżały jak w febrze.

Huk ustał, tylko echo przetaczało się jeszcze, powoli ścichając pośród ponurej szarzyzny betonowych ścian.

— Idziemy. Trzeba, cokolwiek się stało — z nawrotem energii powiedział Roman.

## ROZDZIAŁ XXVII

Pędem gnali w głąb korytarza, latarki zagarniały zamkniętą betonem przestrzeń. Myśli ich kłębiły się, mieli piekielne wyrzuty sumienia, jakże tak mogli samego puścić smarkacza, na pewno trafił na minę, może właśnie przy beczkach obok motorówki zastaną najwyższej strzępy...

— Roman! Heniek! — zadudniło wołaniem.

Wpadli na siebie, gwałtownie się zatrzymując. Nie od razu zorientowali się, że głos Benka dobiega od tyłu, właśnie z miejsca, które minęli przed chwilą.

— Benek! — wrzasnął Roman oszalały z radości. Chłopiec żyje, nie stało się to najgorsze.

— Tutaj jestem, gdzie was poniosło?

Błyskał latarką, szedł w ich stronę. Zawrócili, omal go nie uściskali z radości.

— Co to było?

— To te diabelskie blaszanki... Zajęliście się korbą, więc pomyślałem, że warto zobaczyć, czy właśnie w tych puszkach nie ma jakiegoś smaru albo oliwy. Jakem sięgnął po jedną u góry, zważyło się wszystko, pietra miałem, taki pieroński był huk.

Heniek nie potrafił się opanować, złapał Benka za ucho, pokręcił silnie.

— Te, odwal się, bo kopnę cię w pizszczel. Boli... — szarpał się Benek.

— Zostaw go... Uff, aleś nas nastraszył. Jeszcze nigdy w życiu tak się nie bałem. Myśleliśmy, że to mina, że rozerwało cię na drobny mak.

— Et, marzyciele — strzelił Benek ni w pięć, ni w dziewięć. — Bańki się zwały, a im mina już w głowie. Zobaczcie sami. Całe, ani jedna się nie rozbiła, nie wiadomo, co w nich tam jest. Ciężkie, nogi mi potłukły, znów będę laził z sińcami.

Wcale się swoją przygodą nie przejął, nie bardzo też rozumiał przyczyny podniecenia starszych kolegów.

— Ani się waż. Idziemy razem szukać tych smarów. Na krok teraz cię nie puścimy. — Roman powoli wracał do równowagi.

— Za te uszy porachujemy się jeszcze na górze, niech tylko wyjdziemy — malec tarł zbolełe miejsca, krzywo się oglądając na Heńka.

Solecki zastanawiał się, czy nie zrezygnować z dalszych poszukiwań. Historia z bańkami mogła stanowić ostrzeżenie, kto wie, na co jeszcze mogą się natknąć za żelazną zaporą, jeśli się ją nawet uda otworzyć. Dawka Benkowej przygody była za silna.

Niepewny jeszcze w swoich decyzjach, stanął obok motorówki. Niewielka była, zgrabna w kształcie. Nachylił się nad beczką, spenetrowaną uprzednio przez Benka. Odsunął pokrywę, ostrożnie dotknął palcem zastygłej mazi. Potrzęsnał głową. Musiał to być jakiś asfalt czy lepik, zaschły teraz na amen.

— Ta beczka ma czop, może spróbujemy? Leży na boku, mniejsza, więc chyba nie od benzyny — podsuwał Heniek.

Dopiero młotek znaleziony w gmatwaninie narzędzi na półce zezwolił na poruszenie czopu zardzewiałego w gwintach. Potem poszło już łatwo. Z przechylonej beczki kleistym sznurkiem pociekła ciemna ciecz. Roman ostrożnie wypróbował ją w palcach.

— Oliwa, dobra jest.

Ponowna droga do masywnych drzwi tarasujących dalszą wędrówkę trwała krótko. Zarzeli do kłitki, w której wywracający się stos baniek narobił takiego hałasu, Heniek snopem reflektorówki oświetlił jedną z blaszank. Żadnego napisu, cyfr ani liter. Wzruszyli ramionami lepiej nie ciekawić się zbyt. Diabli wiedzą, co może kryć się w takich blaszankach. Chyba nie materiały wybuchowe, dawno byłoby już przeciwnym razie po Benku, a może i po nich.

Nie żałowali oliwy, obficie skapywała z dźwigni i połączonych z nią trybów. Roman młotem próbował ruszyć z miejsca zardzewiałe zapieczone żelazo. Przesuwało się bardzo nieznacznie.

Korba obracała się lżej. Szarpali nią w przód i znów do tyłu zyskiwali centymetr za centymetrem.

— Hura, idzie do góry — darł się Benek, dudniło wokoło.

Zgrzyt i pisk trybów mieszał się z okrzykami chłopca. Zawora stalowa powoli, ale nieustannie unosiła się do góry.

— Żeby chociaż z pół metra, już byśmy mogli przeleźć — wzdychał Heniek, pocierając zbolące dłonie.

— Gazu! Gazu!

— Benek, zamknij się, uszy puchną.

— Jakiś ty delikatny, phi — naburmuszył się. Położył się na cemencie, przez powstałą szparę usiłował puścić strugę światła z latarki. Nawet rękę ostrożnie wsadził, zgarnął nią coś.

— Cholera, kości jakieś — znów zaczął krzyczeć.

Zgrzyt korby ustał. Jakoś się im niewyraźnie zrobiło. Podeszli bliżej.

— Maleńkie, pewnie któryś Niemiec zarł kurczaka. To świnia dopiero, nawet do kosza nie chciał wrzucić, lenia kawał — utyskiwał Benek, w świetnym nastroju, że tak nabral starych kamratów.

Heniek zamruczał coś tylko pod nosem.

Stale podlewali tryby oliwą. Korba poruszała się coraz lżej.

— Starczy, prześlizniemy się dołem — Benek nie mógł pohamować emocji. Światło wyłapywało pustą ścianę, widocznie korytarz znowu się załamywał. — Roman, zostaw to żelastwo...

Solecki przecząco potrząsnął głową. Skoro się już zabrali do tej roboty, trzeba ją skończyć. Znowu pisk i zgrzytanie, korba obracała się względnie łatwo, naciskać musieli ją jednak we dwójkę.

— Benek, stój, do jasnej niespodziewanej — wrzasnął Roman. Przez uniesione prawie w dwóch trzecich drzwi chłopak zmierzał do nieznannej części korytarza.

— Idziemy, wystarczy — Heniek również miał dosyć mordęgi przy korbie.

Ostrożnie prześliznęli się pod stalową płytą.

— Mam uczucie, jakbym się znajdował pod gilotyną — zaburczał Kubiak, czym prędzej starając się znaleźć poza zasięgiem drzwi.

W murze z przeciwległej strony znajdował się podobny mechanizm. Uznali, że to było wcale niegłupio pomyślane. Korytarz skręcał w lewo, zaraz znów w prawo, stąd się znacznie rozszerzał. Tak jak przedtem, na obie strony rozchodziły się drzwi, drewniane tym razem. Jedne były otwarte, w innych u dołu widniały spore dziury, nieregularne, jakby zorane poci-skami.

— Wiecie, one są po prostu powygryzane — Heniek znacząco spojrzął po kamratkach. Przypomniały się im opowiadania o szczurach. Benek stracił w jednej chwili swój rezon, przezornie wsunął się pomiędzy starych kolegów.

Stali niezdecydowani. Na korytarzu w kilku miejscach leżały kupki drobnych kosteczek, białe dziwnie w rozbłyskach światła. U stropu ciągnęły się przewody i kable, gdzieś tam w ścianę wprawione były druciane siatki.

Heniek rozpiął kołnierz wiatrówki.

— Cholera, czyżby z emocji? — mruknął. — Ależ mi się zrobiło gorąco.

Roman przecząco potrząsnął głową.

— Tu jest po prostu duszno. Zaduch, jak w nie przewietrzonym pomieszczeniu. Tamta część miała wentylację, przewiew od jeziora. Pchajmy się do tych pokoików.

Mocnym szarpnięciem otworzył pierwsze drzwi. Podenerwowany był, źle na niego

działała ta atmosfera, pragnął już skończyć jak najprędzej nonsensowne poszukiwania czegoś, czego wcale nie zgubili

— Troszkę lepiej — sapnął Heniek.

Klitki, nie większe od widzianych poprzednio, wyglądały schludniej. Cement podłogi pokrywał rodzaj linoleum, oprócz łóżek i stolików stały w rogach żelazne szafki. Błaty stołów obciążone były jak gdyby gumą, łóżka nakryte kocami, spod których wyglądały strzępy materacy.

Heniek odrzucił jeden z koców. Z szelestem posypały się na ziemię skrawki materiału, resztki jakiejś trawy czy włosia.

— Cholera, jak to pogryzły wszystko. Żarcia nie miały — powiedział Benek. — Szczury. Prawda, ludzie opowiadali...

— Nikt tu chyba nie mieszkał. Może dopiero czynili przygotowania, plany się potem zmieniły.

Roman wzruszył ramionami na te domysły Heńka.

W jednej z klitek znaleźli jednak prześcieradło i poduszkę w strzępach, do cna wyżartą przez zagłodzone czworonogi. W szafie wisiał wehrmachtowski pas, w dolnej części też pogryziony.

— Idziemy dalej, jakieś ponure myśli mi łażą po głowie — zdenerwował się Heniek.

— Hop, hop!

Benek już znowu wyrwał do przodu.

— Patrzcie, maszyna do pisania, taka jak mają w PGR-ze.

W ostatnim z tej amfilady służbowych pokoików, dla oficerów, jak należało przypuszczać, stała na stole maszyna do pisania o tekturowym wieku, spiłowanym zębami gryzoni do cna. Heniek zapukał w klawisze. Dziwnie zabrzmiał ten dźwięk w głuszy podziemia.

— Druga zdobycz. Cholera, my tu jeszcze forsę zrobimy na tej wyprawie — Kubiak wyraźnie się rozochocił.

— Spokojnie, spokojnie — Roman miał całkiem inne zdanie w tej kwestii.

— Proszę, sala balowa, tyle że można boki poobijać o te kolumny — zaklaskał Benek w ręce. Już nie bał się szczurów. Prędko zmieniały się jego nastroje.

Strop był tu znacznie wyższy, wmurowane weń połyskiwały płaszczyzny siatek, najpewniej wentylacyjnych. Szeroką przestrzeń podpierały dwa rzędy nie wygładzonych żelbetowych słupów. Po trzy w każdym rzędzie.

— Ślady ław jakichś czy krzesel, zostały same klamry. Te diabły żarły wszystko, cokolwiek mogły zmiażdżyć zębami — wydziwiał Heniek. — Zostało tylko żelazo. Chyba nie zdążylibyśmy zwiać, gdyby tak nas napadły, jak myślicie?

— Głupie dowcipy — zachnął się Solecki, posłał Heńkowi piorunujące wejrzenie.

— Tu musiały być wejścia, w prawo i lewo. Te wnęki widzicie? Idziemy? — krzyczał Benek. Nie umiał mówić cicho, podobało mu się zresztą dudniące echo.

Na prawo strome schody. Trzydzieści ich naliczyli. U końca leżały zwały gruzu, bloki betonu, brylasta ziemia, żelazo, kamienie. A jeszcze bliżej całymi stosikami białały drobne kości, można było rozróżnić kształt szczurzych tułowi.

— Tu wyzdychały albo wyżarły nawzajem. To pewnie jest wejście zasypane przez saperów. Pamiętasz, Roman, ten chłopak, co to Późny nam opowiadał? — Heniek mówił ściszym głosem.

Zawrócili. Myny mieli coraz bardziej nietęgę. Oczekiwali Bóg wie jakich rewelacji, tymczasem tylko beton, trochę żelaza, koce kruszące się w palcach, nadżarte przez szczury, widocznie erzacowe, skoro ich nie połknęły do reszty. Zarazem atmosfera makabry, grobowe echo. Nawet iść starali się możliwie najciszej.

— Nie ma Tolek czego żałować — powiedział Benek.

Heniek i Roman pomyśleli tak samo.



— Teren tutaj opadał, więc inna konstrukcja — bąknął Heniek, bez wielkiej ochoty włączając w przeciwną stronę.

Chodnik wiódł skośnymi tarasami, niskimi, musieli się schylać, co jakiś czas kilka stopni wyrównywało stromiznę.

— Szczury — krzyknął Benek, przerażony odskoczył do tyłu, na nogi Heńka, który aż zawył z bólu.

Roman błysnął światłem za parą jakichś stworzeń śmigających do góry. On także je dojrzał. Zabłyły duże oczy, plamą wybiły białe płyty części owłosienia.

— Głupiś — głos jego drżał. — Króliki.

— No, dobre i to — odetchnął Heniek. — Palce mi tylko, psiakrew, Benek przydeptał — uniósł nogę, rozcierał zbolące miejsca.

— Jeżeli króliki, muszą się jakąś szczeliną dostawać od zewnątrz — głośno myślał Solecki.

— Na górze ich pełno, hasają pomiędzy rozwalonymi bunkrami. W każdej jamie dziesiątki. Lubusz na nie poluje, gdy ma ochotę na mięso — Benek spieszył z informacjami.

I tutaj zamykało drogę zwałisko gruzu.

Było tak duszno, że szli spoceni jak po największym wysiłku. Z ulgą odetchnęli w kolumnowej sali balowej, jak to określił Benek.

— Tam jeszcze nie byliśmy — Heniek skierował się na wprost wejścia, którym się tutaj dostali. — Znowu korytarz, ale szeroki, luksusowy. Może tu jest dopiero ta główna część? Zejście jakieś albo... Zaraz — latarką świecił w oddzieloną żelazną listwą niszę. Zapadała się prostopadle w głąb. — Nic, cholera, nie widać.

Rozejrzał się, nie bez odrazy podniósł bielutką czaszkę szczura, wrzucił w mroczną głąb szybu. Nasłuchiwali. Rozległ się cichutki plusk. Benek zaraz przyciągnął skądś kawał żelaznej sztaby. Dopiero teraz plusnęło.

— Studnia. Niegłupio. Mieli oni do tych rzeczy smykałkę. — Kubiak z uznaniem kiwał głową.

Uchylone drzwi ze stali zamykały korytarz. Obok wnęki też czerniała blacha, zamykająca jakieś pomieszczenie. Zajrzeli najpierw do dwóch pokoi po przeciwną stronę studni, o drzwiach drewnianych, w części tylko obitych blachą.

— Wszędzie te szczury — westchnął Benek. — Phi, tu siedział najpewniej lepszy jakiś gość...

Łóżko, spod strzępów koca wyzierało prześcieradło, na stole błyszczało lusterko, piętrzyły się flaszeczki, przy nodze poniewierała się zrzuciona strzykawka.

— Lekarstwa? — Heniek pociągał nosem, jakby sądził, że po latach mogły się jeszcze uchować zapachy. Podszedł do większej szafy żelaznej, szarpnął za klamkę.

Z brzękiem coś stoczyło się na podłogę. Drgnął, ale klamki nie puścił.

— Fiuuu — zagwizdał. — Cała medycyna. Roman, to twoja specjalność — zaśmiał się. Gdy Solecki spojrział na niego pytająco, zdziwiony tym posądzeniem, dorzucił: — Przez, Kryskę...

Prawie wszystkie półki zajmowały słoiki, flaszki, pudełka z lekarstwami, nadbutwiały rurki gumowe, w osobnej kasecie lśniły chirurgiczne narzędzia. Benek cmokał ustami, dotykał niektórych przedmiotów, aż go Roman solidnie trzepnął po łapie. Zobaczył właśnie na którejś flaszeczce trupa główkę. Ładna historia, gdyby coś takiego się zbiło, przecież to mogą być kwasy, różne żrące historie... Na szafce leżały dwie książki. Sięgnął po nie...

Heniek wyszedł na korytarz. Zaczynało mu się dłużyć, chętnie by odetchnął świeżym powietrzem, wyjrzał na słońce. Benek prześliznął się pod jego ramieniem.

— Ty gdzie?

— Dalej, zajrzę tutaj — kierował się już do następnego pokoju, jeżeli cementowe klitki można tak było nazwać.

— Ale słowo, że niczego nie będziesz dotykał?

— Mur.

Kubiaka czemuś ciągnęło za uchylone stalowe drzwi, kończące korytarz. Wśliznął się tam, obwiódł wokoło latarką...

Gdy wyszedł po chwili, dłonie mu drżały. Starannie zamknął drzwi za sobą. Otarł pot z czoła.

— Heniek, chodź, coś znalazłem — malec przywoływał go nagłym ruchem ramienia.

— Tam co? — wskazał na drzwi, które Kubiak zamknął przed chwilą.

— Nic, nic nie ma. Pusto, nie ma nawet po co zaglądać... — czuł, że głos jego nie jest normalny.

Benek spojrzał uważnie. Całe szczęście, myślał Heniek, że w świetle latarki trudno rozróżnić wyraz twarzy.

— Duszno mi, dosyć już mam tej eskapady — wybąkał. — Co takiego znalazłeś?

Omiótł klitkę blaskiem latarki. Mała była, tak jak te w pierwszej części, od strony jeziora. Benek śpieszył do uchylonej szafki.

Na pasku wisiała kabura z pistoletem, łyskała oksydowana rękojeść. Nic tu więcej nie było.

— Uważaj. Ale to będzie moje — Benkowi paliły się oczy.

Wyciągnął pistolet z kabury, zaraz wsunął go tam na powrót. Nie znał się na tym. Nabity pewnie, do diabła, niech się kto inny tym martwi. Aż się sam zdziwił swojej ostrożności. No pewnie, po tamtym to się człowiekowi wszystkiego odechce.

Romana zastali przed szafką. Ciągłe jeszcze przeglądał znalezione książki.

— Pomyśl sobie. „Faust” Goethego. Dziwne zamiłowania miał ten lekarz, bo to chyba był lekarz? Ta druga kniga to jakiś spis leków, coś takiego. Goethe, pomyślałbyś, że w tych podziemiach będzie właśnie Goethe? Obejrzelście już resztę? Nic nie ma?

— Nic. Wracajmy. Aha, masz, Benek rewolwer znalazł, wisiał tam w szafie.

— Walter, ósemka — powiedział Solecki odchodząc do kąta. Zgrzytnęło, coś posypało się z brzękiem. — Sześć sztuk. Wezmę do kieszeni. Trzeba będzie oddać milicji, nie warto tutaj zostawiać, nuż się kto inny dobierze naszymi śladami, jeszcze by zechciał skorzystać. Choćby ktoś z tych bandziorów, o których tyle się słyszy wokoło.

— Milicji? Czyś ty zwariował? To mój, ja go znalazłem. Oddawaj — rozzłościł się Benek.

Roman zaśmiał się, ale Heniek powiedział bardzo poważnie:

— Benek, uspokój się. Pogadamy jeszcze o wszystkim. No, wracamy. Właściwie cała radość to z tej motorówki.

— Maszyna jeszcze.

— I maszyna, tak. Ale w ogóle lipa, mogliśmy zostać w pierwszej jaskini, w ogóle nie pchać się tutaj.

Romana zastanowił ton jego głosu.

— Heniek, co ci?

— Nic. Później powiem...

Nie nalegał. Zrozumiał tyle, że coś musiało się stać. Heniek był bardzo przejęty. Nie żartował, sędzi wyrażnie zgnębiony. Latarka Romana wyłapywała przed sobą dziwnie przygięte plecy kolegi. Co się stało, zachodził w głowę.

— Zabieramy maszynę, prawda? — dopytywał się Benek. On też był rozczarowany.

Co to za sztab, myślał, kiedy taka bieda była tu u nich? Mogli mieć jakąś kasę, pieniądze, złoto może czy pokradzione pierścienie. Przecież hitlerowcy rabowali, gdzie mogli. W ogóle żadnych rzeczy, wszystkiego by te szczury przecież nie zjadły. Dobrze, że chociaż jest maszyna. Jeszcze pistolet, Roman chyba żartował, po co go oddawać milicji?

— Można — powiedział Roman po chwili zastanowienia. — Przeniesiemy ją przynaj-

mniej bliżej do wyjścia, nad wodę.

Weszli właśnie w szerszy korytarz. Zrównał się z Heńkiem.

— Co ci się stało?

— Nic... — szepnął. I zaraz dodał: — Widziałem coś takiego, że aż wszystko we mnie się trzęsie. Potem, Roman, potem...

Z ulgą przywitał piasek pod nogami, kształt motorówki, płaszczyznę wody. Żaby uciekały w popłochu.

— O rany. Musimy wracać raz jeszcze — rozdarł się z nagła Benek.

— Co takiego? — przestraszyli się.

— Heniek, ty byłeś za tymi drzwiami na wprost, tak? — dopytywał się.

— Tak, tak — odburknął, Roman znów wyczuł ton niechęci.

— A te drzwi obok studni? Zamknięte, za blachą? Tam dopiero mogło coś być. Wrócimy, prawda?

— Nigdy nie wrócimy, zatkaj się wreszcie, pętaku! — Heniek natarł na chłopca tak gwałtownie i ostro, że ten cofnął się strwożony, umilkł, nie odszczeknął się nawet swoim zwyczajem.

— Patrzcie, świece się dawno wypaliły. Ładny kawał czasu musieliśmy tutaj spędzić — Roman odwracał ich uwagę, tuszował starcie. — Ciekawe, godzinę, dwie?

— E, chyba mniej. To szybko szło — Benek nie zwykł się długo przejmować. — Co z motorówką?

— Nic, innym razem po nią wrócimy.

— Ja już tutaj więcej nie będę nurkował — stanowczo powiedział Heniek. — Jeżeli macie na coś ochotę, a ja wam jestem potrzebny, to proszę bardzo, ale zaraz, za jednym zamachem. Łódź możemy zabrać. Tylko jak?

— Teraz? Nie wiem, czy poradzimy... Warto ją dokładnie obejrzeć. Zgaście na parę minut latarki, żeby oczy przyzwyczyły się do ciemności...

Trochę zdziwieni, posłuchali. Ogarnęła ich ponura ciemność. Roman uczył, że ktoś dotyka go ręką. Ujął ją, Heniek. A temu co się stało? Trzymał dłoń przyjaciela w uścisku, czuł, jak drży, nie pytał jednak o nic. Heniek wyraźnie przecież oznajmił, że opowie wszystko potem...

Intensywnie wpatrywał się w powierzchnię wody. Wzrok stopniowo przyzwyczajał się do mroku, wyławiał jaśniejsze plamy. Nad samą wodą pełgało przyćmione światło dzienne. Roman schylił się. Tak, nie mylił się, między stropem a wodą istniała niewielka warstwa powietrza. O to właśnie chodziło.

— Dobra jest — powiedział. — Teraz będziecie mi świecić przy łodzi...

Dokładnie opukiwał dno motorówki. Dudniło głucho, nie znać było, aby gdziekolwiek puściły spojenia. Atmosfera musiała tu być ani zbyt wilgotna, ani za sucha, drzewo dzięki temu i warstwom ochronnym lakieru mogło się uchować w niezgorszym stanie.

— Motor nie jest zbyt ciężki. Żadne cudo, kombinowany typ. Wymontowywać go nie damy rady, zresztą jak byśmy wtedy wywindowali? Przed wejściem jest ta cholerna głębina.

— Wymyślisz coś, Roman? — zaciekawił się Heniek, ale daleki był od zwykłego zapału.

— Wydaje mi się, że znalazłem sposób, jak wyciągnąć ten cały interes na jezioro. Pod stropem jest trochę wolnej przestrzeni, może wystarczy... Spuścimy łódź i zalejemy, żeby tylko krawędziami burt wystawała nad wodę. Wtedy nurkując, przepchniemy ją na jezioro. Innej rady nie widzę. Bo jak? Jeszcze z motorem...

— A jeżeli zatonie?

— Nic nie ryzykujemy. W każdym innym wypadku musielibyśmy holować ją z dna. Mamy zapasową linkę, uwiążemy mocno za burty, gdyby coś, będzie o co zaczepić przy nurkowaniu.

— Wytrzyma? — sceptycznie odniósł się Heniek do tego projektu.

— Jeżeli wytrzyma skrzydło niewodu i matnię, to na pewno i motorówkę. Do roboty, bo znowu zimno i głodno.

Łódź łatwo zjechała z żelaznych podkładek na piasek. Głucho stęknęła uderzając o grunt.

Zepchnięta na wodę zakołysała się obiecująco. Benek w zachwycie aż pogładził szorpatę od splekanego lakieru brzegi. Blaszkami znalezionymi na półce wlewali wodę. Motorówka zanurzała się powoli, powoli.

— Dostyc chyba, Roman? — niespokojnie pytał Heniek, gdy burty wystawały już nad poziom wody nie więcej jak na szerokość dłoni.

— Jeszcze...

— Cholera, zatonie — emocjonował się Benek.

— Dobra, wystarczy. Pakujemy manatki. Benek pierwszy po linie pcha się na górę... Ja za tobą, pociągnę na wszelki wypadek drugi sznur, ten od motorówki. Przywiążesz go mocno do łódek.

— To ja wam nie będę pomagał? — skrzywił się.

— Wystarczy nas dwóch.

— Na pewno nie będzie szczelne, ale teraz to mucha, wysuszy się — na solidne pakowanie już nie mieli ochoty. Szczękali zębami, teraz dopiero poprzez ten chłód poczuli zmęczenie.

Benek wzdrygając się włąził do wody, jego ciemna głowa zniknęła, zakotłowało się. Heniek trzymał linkę czekając na sygnał, że wszystko odbyło się pomyślnie. Sznur zadrgał trzy razy.

— Dobra, zaraz wracam. Czekaj — Roman mocnym odbiciem pogąrzył się w toni.

Heniek został sam. Podniósł drugą latarkę Romana, zaświecił. Mimo to czuł się nie-swój, bał się obejrzeć w kierunku korytarza wiodącego do podziemnych kazamat. Żałował, że nie zamienił się z Romanem rolami.

Zafalowało, wychyliła się z wody twarz Soleckiego.

— Teraz łatwo idzie, jak się ma wprawę, nawet nie straciłem oddechu... Bierzemy się do roboty, ja z prawej, ty z lewej. Latarki zostaw, żeby oświecały nam wodę. Wypalą się, gdybyśmy kiedy tu jeszcze zajrzeli, przyniesiemy baterie... Tylko bardzo ostrożnie, bo nam łódź pójdzie na dno, motor ją pociągnie. Diabli wiedzą, może niedobry mój pomysł? — zasepił się.

— Dobry, dobry, nie ma co czekać.

Płynąc po obu jej stronach, pchali łódź. Jeszcze mieli powietrze u stropu. Heniek w pewnej chwili silnie otarł czoło o cement, zabolalo, syknął. Usłyszał ostrzegawczy głos Romana. Motorówka omal że nie nabrała wody.

Ogarnął ich mrok. Blask latarek już nie docierał, światło słoneczne jeszcze nie miało siły, rozmazywało się mgliście.

Przestrzeń powietrza między wodą a stropem zmalala teraz, łódź szorowała o cement. Zachybotala, woda chlusnęła do środka. Znowu ją wyrównali. Roman bał się, że się przeliczył, w którymś miejscu w ogóle może nie być wolnej przestrzeni, łódź się zanurzy, koniec zabawy. Licho wie, czy zdołają ją potem wywindować z dna.

Wyraźnie uczyli, że bez ich wysiłku motorówkę coś ciągnie. To Benek wpadł pewnie na pomysł, pomagał, szarpiąc za sznur.

— Jeszcze, Heniek — sapnął Roman, niemal bez tchu. Czuł, że opuszczają go siły.

— Nabiera wody — głos Kubiaka doszedł jakby z wielkiej oddali.

— Jedna rada, mocno do przodu — Solecki zdobył się jeszcze na tę komendę.

Odbijając się od wody nogami, szarpnęli raz, drugi, mocnym zgrzytem szorowała motorówka o strop, czuli plusk wlewającej się wody. Ale już rozjaśniło się, znów więcej powie-

trza, przestrzeń wolna od wody mocno się poszerzyła.

Czy zdążą?

Udało się. Pełna po brzegi zdobyczna łódź zakołysała się na jeziorze. Tylko rufa tkwiła jeszcze pod zwisającą płataniną zielska i krzewów nadbrzeżnych.

— Hura, hura — darli się Tolek z Benkiem, ciągnęli sznur, na ile im tylko starczało siły.

— Ostrożnie, ostrożnie — płynąc, nie mniej głośno wydziwiał Heniek. Widok jasnego blasku słonecznego, migotu wody, sylwetki przelatującego ptaka przywrócił mu siły.

Wdrapali się do drugiej łodzi, odpoczywali. Chłopcy z zapalonymi wygarniali wodę z motorówki, powolutku burty jej podnosiły się coraz wyżej. Nie było już obawy, że może zatonać.

— Ty, Roman, a spluwę zapakowałeś, bo nie patrzyłem? — przypomniał Benek.

— Tak, tak, rób swoje — osadził go w miejscu.

Długo jeszcze trwało, nim opróżnili motorówkę z wody na tyle, że mogli ją bez obawy pociągnąć na holu. Benek przesiadł się na mniejszą łódkę. Za drugą, z trzyosobową załogą, dostojnie ruszyła upolowana w jaskini zdobycz.

— Co to, już popołudnie? — zdziwił się w pewnej chwili Solecki.

— Czwartą — flegmatycznie powiedział Tolek, zachwyconymi oczyma wpatrzony w motorówkę.

— O rany, dziesięć godzin — zdumiał się Heniek.

— Pewnie, nudziłem się jak mops. A potem już bałem się o was, mówiliście, że wrócicie za parę godzin. To było nieładnie tak mnie samego zostawić — rozżalił się Tolek.

— Miej pretensje do Benka — Solecki promieniał teraz. Skończyło się wszystko pomyślnie, mają już tę całą wyprawę za sobą. Tyle razy w podziemiu wyrzucał sobie, że w ogóle do niej dopuścił. Ale już po zmartwieniu, a w dodatku ta łódź. Tylko czy mają do niej prawo? Zasepił się...

— Przed godziną przechodził tędy Stefan z jeszcze jednym facetem — przypominając sobie bąknął mały Breliński.

— Stefan? I co, wypytywał o coś? — poderwał się Heniek.

— Pewnie. Siedziałem z tymi wędkami, cośmy je z Benkiem zabrali, jak nam, Roman, kazałeś. Tylko że Benek mnie zdradził, popłynął za wami... Nic prawie nie brało, przepłoszyliście rybę...

— Gadaj o Stefanie.

— Pytał, co tu robię. Powiedziałem, że ryby łapiemy. Że z tobą, Heniek, byłem, ale poszedłeś do Agnes na wieżę...

Wybuchnęli śmiechem, choć śmiech Heńka był jakiś kwaśnawy.

— Uwierzył?

— Bo ja wiem? Długo stał i przyglądał się, szeptali do siebie z tym drugim. Potem wdrapali się tam, na bunkry...

Siedząc przy rufie Roman obejrzał się. Na szczycie nadwodnego pagóra zobaczył wycofującą się ukradkiem przygiętą sylwetkę.

— Jasna cholera — zaklął soczyście.

## ROZDZIAŁ XXVIII

Benek awanturował się, obrażony na nich śmiertelnie. Dopiero Malicki energicznie wdał się w sprawę i malec musiał stulić uszy po sobie. Pan Wojciech także był zdania, że znaleziony w bunkrze pistolet należy jak najszybciej przekazać milicji.

— Już zmarnowaliście wczorajszy wieczór i dzisiaj pół dnia. Takie sprawy nie lubią czekania, zawsze ono potem na złe wychodzi.

— Nie pali się, zdążymy — zbywająco odburknął Heniek.

Zaraz po obiedzie zawarczał „Zündapp”. Kubiak obejrzał się na słońce.

— Wczoraj o tej porze byliśmy jeszcze w podziemnej mordowni. Drugi raz za nic bym tam chyba nie poszedł...

Roman przytakująco kiwnął głową. Gdy późnym wieczorem w świetnym humorze powrócił od Kryśki, zastał Heńka w paskudnym nastroju. Właśnie się zastanawiał, czyby nie jechać gdzieś na poszukiwanie wódki. Zbliżył się nawet do okna, wyrzwał w mrok, cofnął się.

— Cholera, po tamtym gotów jestem nawet ciemności się strachać...

Wtedy dopiero Roman przyjrzał mu się uważniej.

— Powiedz wreszcie, coś tam widział takiego?

Heniek rzucił się na łóżko, leżąc na wznak zabębnił po pościeli 1 piętami.

— Słuchaj zatem — powiedział. — Może mi ulży. Niemcy to byli, i hitlerowcy pewnie, ale również ludzie...

Roman też był wstrząśnięty. I jego długo w noc prześladował obraz wyłaniający się z beładnej trochę opowieści Heńkowej.

Tym lepiej zrozumieć mógł teraz jego zachnięcie się na wspomnienie godzin spędzonych w bunkrach.

— Nie ma potrzeby więcej tam chodzić — powiedział. — Ładuj się, Heniek, nie myśl już więcej o tamtej historii...

Przed przejazdem kolejowym przyhamowali. Drogę tarasował szlaban oznaczający roboty drogowe. Grupa robotników kopała doły, zwalone beładnie na ziemi leżały słupy z oznacznikami w biało-czerwone pasy, przy samym torze stawiano fundamenty pod jakiś budynek. Ciesle zbijali deski w szerokie płyty.

— Co to nowego? — zdziwił się Kubiak.

Roman zatrzymał motor. Robotnicy chętnie skorzystali z poczęstunku papierosami. Wyjaśnili, że od jutra na tę linię okresowo kierowane będą wszystkie pociągi od strony Gorzowa, gdyż na głównym torze przeprowadza się remont nadwątlonego wiaduktu. Na czas wzmożonego ruchu przejazd będzie strzeżony. Szlabany, oznaczniki drogowe, prowizoryczna budka dla dróżnika.

— Najwyżej dziesięć dni, z wiaduktem nasi szybko się uporają — pokrzykiwali za odalającym się „Zündappem”.

— Weselej będzie. Lubię gwizd przejeżdżających pociągów — powiedział Heniek. — W Poznaniu mieszkamy blisko torów, przyzwyczailem się od dzieciaka...

Wysłużona maszyna zerwała się do szybkiego biegu. Wyjechali na główną szosę. Roman obejrzał się, czy nie ujrzy gdzieś Kryśki. Ale schludne otoczenie domku Brelińskich świeciło pustkami.

Pięli się pod górę linią ostrych zakrętów. Motor warczał z wysiłkiem, ale niósł gładko, nie wytracał szybkości. Wśród listowia drzew, gęsto obsiadłych na zboczach, znaczyły się plamami żółtawe kolory, buki grały nawet czerwienią. Zbliżała się jesień.

Roman spokojnie patrzył przed siebie. Dawno już nie odczuwał podobnego stanu wewnętrznej pogody. Wiedział, że to sprawa Kryśki, jego rosnących nadziei.

Od pamiętnego spotkania, wtedy gdy przywoził ją do chorego Lubusza, widzieli się kilka razy. Długie rozmowy, spacerzy cichą o wieczornej godzinie, jakby uśpioną szosą, poszum drzew, nieznane szmery przewalające się przez noc. Tuląc ramię dziewczyny do boku czuł ciepło jej ciała, słuchał przytłumionego głosu, rosła w nim radość, że smutek Kryśki powoli przemija, że coraz częściej powraca na jej usta uśmiech taki jak dawniej.

Same w sobie rozmowy nie były ważne. Impresje, oderwane zdania, czasem długie

chwile milczenia. Opowiadał jej sporo o sobie. O trudnych latach, gdy sami z matką musieli sobie radzić, od siódmej klasy dorabiał lekcjami. Potem biegał pomagać w niedalekim warsztacie mechanicznym. Teraz odzyskali domek poojcowski, ogródek, jabłonki ładnie kwitły w tym roku. Już jest łatwiej, jesienią pójdzie do pracy jako technik, zmieni się ich życie. Matka jest strasznie dobra, dzielna, poczciwa kobieta, życie nigdy jej nie głaskało, przecież potrafiła zachować wrodzoną pogodę.

Któregoś razu przy pożegnaniu dziewczyna bardzo serdecznie, inaczej niż zazwyczaj, uścisnęła mu rękę. Mogło to być przypadkowe, ale wiązał takie drobiazgi w jakąś całość. Chyba się nie mylił sądząc, że w stosunku Kryśki do niego następuje wyraźna zmiana. Bał się marzeń nazbyt daleko sięgających w przyszłość, ale chociaż nie nazwane, istniały w nim, może one to właśnie budziły wewnętrzną pogodę.

Ani się obejrzał, jak wyrosła przed nim długa uliczka Międzyrzecza. Zatrzęśli się na kocich łbach. Słońce skryło się za chmury. Heniek pomyślał, że stare miasto zawsze wita ich niepogodą.

Zsiadając z „Zündappa” przed szarym budynkiem powiatowej komendy, Heniek westchnął ponuro, nigdy nie lubił mieć do czynienia z milicją. Zameldowali się u znanego im porucznika. Nie kazał długo czekać, zaraz przyjął, wyglądał na uradowanego wizytą.

— Jakie wieści? — spytał. — Bo i myśmy też o was dzisiaj myśleli. Od rana.

— O nas? — zmarszczył się Kubiak.

— Ano tak, ale to później, nic znów takiego — oczy porucznika przebiegały z jednego na drugiego, jakby się w czymś chciały upewnić.

— Chodzi o to, panie poruczniku, że wczoraj zrobiliśmy wyprawę do bunkrów nad jeziorem. Prawdziwy labirynt. Znaleźliśmy tam pewne rzeczy, inne widzieliśmy, uważamy, że naszym obowiązkiem jest przekazać to panu.

Mówiąc to Roman sięgnął za pazuchę, wyjął owinięty w gazetę pistolet, z kieszeni wysypał naboje. Podał wszystko porucznikowi.

Milicjant błyskawicznie spojrzął po nich, wydało się Heńkowi, jakby się leciutko uśmiechnął, tak jakoś zadrgały mu wargi.

— Żadnej broni więcej nie macie?

— Przywieźlibyśmy — zachnął się Roman.

— To dobrze, to nawet bardzo dobrze... — milicjant umilkł, uważnie oglądał pistolet, zajrzał w lufę, dotknął jej palcem. — Nie używany od lat, nie czyszczony... Tak, bo to widziacie, my już wiedzieliśmy, że macie tę spluwę... Zastanawialiśmy się, czy od razu, hm, porozumieć się z wami, czy trochę odczekać. Byłem tego drugiego zdania.

— Jak to: wiemy? Był ktoś od Malickich u pana? Kiedy?

Potrząsnął głową.

— Nie mam co ukrywać. Z samego rana otrzymaliśmy anonim, taki typowy, nie adresowana koperta, na papier naklejone litery wycięte z gazety. Podpisano; dobry Polak... Że macie broń, że robicie niepokojące wyprawy, że warto się nad tym zastanowić, ponieważ w okolicy mnożą się bandyckie napady, właśnie od czasu, jakście tutaj przybyli.

Heniek aż poderwał się z miejsca.

— To niby te napady i broń to wszystko my? Cholera jasna, ja bym takiego drania zaraz bykiem i w mordę.

— Spokojnie, kolego — uśmiechnął się porucznik. — Dotąd nie znamy nawet autora anonimu. Więc z tym biciem w mordę byłoby trudno.

— Ja go znajdę, skurczybyka — szarpał się Kubiak.

— Nie zna pan? Więc jak się ta koperta tutaj dostała? — podjął Roman.

— Jakiś chłopak rano przyniósł, prosił, aby przekazać komendantowi. Dyżurny był zmęczony po nocy, nim się połapał, już malca nie było...

— Chyba nie żaden z naszych — szepnął Roman. — To niemożliwe.

— Nie, nie, my ich znamy, tych waszych drapichrustów. Nie macie się czego unosić. Różne sprawy bywają. Ale, jak widzicie, rzecz mimo wszystko poważna. Może byście mi opowiedzieli dokładnie, jak jest z tymi bunkrami? — rozsiadł się wygodnie za biurkiem, ołówkiem zaczął rysować na kartce jakieś esy-floresy.

Solecki przejął na siebie ten trud, referował rzeczowo przebieg wyprawy. Porucznika szczególnie zaciekały blaszanki z nieznaną zawartością, których zawalenie przez Benka spowodowało tyle popłochu. Ucieszył się także, iż nie naruszyli zawartości szafki lekarskiej.

— Zbadaliście wszystkie pomieszczenia?

— Jedno oglądał sam Heniek. Ponura historia. Ale to już on najlepiej opowie. W tym całym ferworze nie zajrzeliśmy do ostatniej kabiny na prawo, obok studni na wodę.

— Co znów za ponura historia? — spojrzął na Kubiaka.

— Słyszał pan opowieści o szczurach, jakimś chłopcu pokaleczonym przez nie, o walce saperów?

— Tak, to było jeszcze w czterdziestym piątym. Od tamtego czasu nie mieliśmy kłopotów z bunkrami. Dopiero wy teraz od nowa wyciągacie je na tapetę. Kto wie zresztą, może naprawdę czas zająć się tym podziemnym zamkiem.

— Roman zajęty był lekarstwami i „Faustem” znalezionym w szafce. Benek jak zawsze myszkował swoimi drogami. Zajrzałem wtedy do ostatniego pomieszczenia, zamykającego korytarz. Drzwi były uchylone, wśliznąłem się bez kłopotu. I tam... — oczy Heńka rozwarły się szeroko, łysnęły zielenią, tak się przynajmniej Romanowi zdawało. Ale głos Kubiaka był inny, ściszony, bez tych śmieszków, które w nim zawsze brzęczały. — To pomieszczenie było chyba największe ze wszystkich. Wypełnione od jednej strony rzędem piętrowych łóżek. Jeszcze z niektórych zwisały białe prześcieradła. Pomyślałem, że to jakiś szpitalik. Dolne prycze były próżne, na górne zaglądać nawet nie miałem zamiaru, gdy nagle ujrzałem, że z jednego łóżka coś zwisa. Zaświeciłem latarką...

Urwał, przełknął ślinę. Wcale łatwo mu nie szło. Porucznik podsunął papierosa. Heniek zapalił, mocno zaciągnął się dymem. Mówił teraz jeszcze ciszej niż przedtem:

— Obejrzałem w miarę dokładnie. To straszne. W pierwszej chwili nawet się nie zorientowałem. Myślałem — szpitalik, ciężko ranni, nie mogli ich zabrać w trakcie ucieczki. Ale potem zastanowiło mnie, że te szkielety były jakieś powykręcane, jakby ich właściciele konali w mękach. Piszczące palców jednej ręki ścisnęły drobne kosteczki jakimś konwulsyjnym uchwytem... To był szczur...

Podniósł swe zielone oczy na porucznika, dorzucił:

— Ci ranni, jeden musiał mieć amputowaną nogę... ci ranni zostali po prostu pożarci przez wygłodniałe szczury.

Zapadło milczenie w szarym, mrocznym pokoju porucznika milicji. Tylko muchy brzęczały wirując około lampy. Przedłużającą się ciszę przerwał Roman.

— Przywieźliśmy, panie poruczniku, podniszczoną maszynę do pisania i małą łódź motorową. Kadłub jest w niezłym stanie, wymaga tylko renowacji. Motor, o ile się orientuję, nadawałby się do użytku dopiero po wymianie niektórych części...

Jakoś niesporo mu szło z wyjaśnieniem tej prośby czy właściwie z postawieniem pytania. Milicjant sam mu przyszedł z pomocą.

— Rozumiem. Kwestia, czy te przedmioty możecie przejąć na własność?

Roman skinął głową.

— Wydaje mi się, że chyba tak. Gdyby nie wy, zmarnowałyby się tam doszczętnie. Niemniej nie ode mnie zależy decyzja. To dziedzina wojska. I tak muszę się porozumieć w całej tej historii z dowódcą jednostki. Niech podejmą jakąś decyzję co do tych bunkrów. Sprawa na pewno się już rozniosła, znajdą się niejedni amatorzy podziemnych poszukiwań. O wypadek nietrudno. Mogliście mieć piekielne szczęście, innym ono już nie posłuży. W każdym razie nie ujawniajcie bez potrzeby sposobu, w jaki się dostaliście do wnętrza. Zaraz,



ale czy was nikt obcy nie widział?

Solecki z całym rozmachem uderzył się w czoło. Dopiero teraz przypomniał sobie Stefana. Tolek mówił, że był z jakimś kolegą, wypytywał chłopca, nie zdawał się wierzyć jego wyjaśnieniom. A potem, już z jeziora, gdy się obejrzał, dojrzał kulącą się sylwetkę na szczycie nadwodnego wzniesienia. To nie mógł być kto inny, tylko ten Stefan. Krył się, aby obserwować dwie łódki zakotwiczone u wejścia do podwodnej jaskini.

— Anonim na pewno też pisał Stefan — powiedział, po czym powtórzył treść swoich domysłów.

— Czemuś od razu nie mówił, że ten bęcwał krył się na wzgórzu? — z wyrzutem spojrział na niego Heniek.

— Wtedy dosyć już mieliśmy wrażeń, a później wszystko wyleciało mi z głowy...

Przy pożegnaniu porucznik powiedział:

— W najbliższych dniach postaram się powiadomić was o decyzji dowódcy jednostki. Powiadacie, były króliki, zatem ziemia musiała się gdzieś usunąć, powstały wyrwy od zewnątrz. To także ważne. No, do zobaczenia, bo tak coś czuję, że się jeszcze będziemy spotykać...

Heniek spojrział na niego niechętnie. Porucznik zrozumiał, zaśmiał się, zginęła gdzieś jego ponura powaga.

— Myślę po prostu o tym, że koło was coś zawsze się dzieje. Ponieważ zostajecie tu jeszcze, więc nie wykluczone...

Zaraz po wyjściu z komendy musieli się schronić do bramy, buchnęło bowiem ulewnym deszczem, jezdnia zmieniła się w rozhukany strumyk. I wtedy wolniutko, siejąc na strony bryzgami błota, przesunęła ulicą pąsowa warszawa. Heniek trącił Romana.

— Patrz.

Za kierownicą siedział Kowalski, obok, poznali, kobieta, z którą widzieli go kiedyś w miejscowej restauracji.

— Fason odstawia, nawet z domu do szpitala wozem jeździ. Za forszę żony kupił to auto... — odezwał się przygodny przechodzień, razem z nimi szukający w bramie schronienia przed deszczem.

— Głupia ta Kryśka — Heniek z politowaniem pokiwał głową.

Roman wpatrzony był w jasny domek Brelińskich. Może tym razem zobaczy Kryskę, zawoła ku niej, pomacha dłońią. Pusto było jak i przedtem, przecież twarz Soleckiego nie schmurzyła się pod wpływem doznanego zawodu. Przeciwnie, rozpromienił się, ku zdumieniu Heńka zaśpiewał nawet półgłosem. Jest, jest rozwiązanie! Jej wszystko jedno chyba, ale dla niego, cóż za perspektywa! Tak, dzisiaj jeszcze napisać, jeszcze dzisiaj, nadać jutro z samego rana. O, słońce błysnęło, jakby na dobrą wróżbę. Najlepsze pomysły zawsze przychodzą najbardziej niespodziewanie. Jak dzisiaj.

W oddali na torach zagwizdał pociąg. Prowizoryczny szlaban już grodził drogę. Szkielet budki stał gotowy, oznaczniki łyskały białoczerwonymi pasami.

— Towarówka, pies z nią tańcował. Możesz gasić motor, widzisz, jaki długi skład? — zasarkał Heniek.

„Zündapp” umilkł. Jeden po drugim przetaczały się przed nimi brudnoczerwone wagony, dudniły koła, podskakiwały na spojeniach szyn. Z breka wyjrzała twarz konwojenta. Przyjaźnie pokiwali mu dłońią. Wybałuszył wielkie oczy, nie odpowiedział.

— Nieużyty cymbał.

— Daj mi spokój, ciężka służba, diabła mu tam potrzebne nasze kiwanie — Roman był w tak doskonałym nastroju, że każdemu by teraz wszystko wybaczył.

Po podniesieniu szlabanu zerwał maszynę, aż się Heniek, sam amator kawalerskiej jazdy, skulił na siodelku i mocniej uchwycił kurtki kierowcy.

Benek z kuśtykającym ciągle w swym opatrunku Lubuszem czekał ich na drodze.

— Nareszcie, coście tak frajerowali z tym czasem? — natarł obcesowo.

— Bo co?

— Bo ważne sprawy. Mędrki, oddaliście spluwę, a kto wie, czyby się tutaj nam nie przydała — oczy jego pałały, wyraz okrągłej twarzy był niezmiernie poważny.

— Pies cię z bronią tańcował... Stało się coś nowego, gadaj? Cholera, wyjechać na godzinę nie można, zaraz awantura — żołądkował się, Heniek. Wszystko go dzisiaj drażniło.

— No, ze Stefanem...

— Stefan? Co?

— Powoli, powoli, wam się nie śpieszyło, ja też mam czas — włożył ręce w kieszenie, drwiąco zaświecił bystrymi oczyma. — Żartuję, tylko że trzeba tu po kolei, zgaś motor, Roman. Dłuższa sprawa.

— To może w domu?

— Guzik, jeszcze stary przeszkodzi. Tu lepiej... Jakaście pojechali z tym pistoletem, poszliśmy z Tolkiem pomagać Wieskowi w wykopie. Grzebie się tam teraz bez przerwy, choć nam się widzi, że mniej dla tych swoich czerepów, jak dla Haliny. Ona tymczasem ani myśli spotykać się z nim, wyraźnie ucieka. Ale nie w tym rzecz... Nam też nie ochota paprać się w ziemi, tyle że stamtąd widać wszystko jak na dłoni, można się pętać, nikt nie zwraca uwagi, jeszcze puściliśmy gadkę, że Wiesiek nam płaci, i to bogato. W to zawsze ludzie wierzą.

— Benek, bo cię podgonię — Heniek wyczuwał, że malcy musieli natrafić na ważny trop...

— Ważniak... No to kopujemy, ale na zmianę, bo zawsze drugi siedzi w krzakach blisko mieszkania Stefana. Maryśka z buchalterii powiedziała nam, że Stefan prosił o urlop i dostał na dwa tygodnie, należy mu się podobno jeszcze z zeszłego roku. Ma gdzieś wyjechać, mówiła. Ona go cholernie nie lubi, a takich nam trzeba. Ja mu nie daruję mojego Lubusza, co mu pies winien?

— Benek! — ponaglił Roman.

— Już, już, ależ wam się zaczęło palić... Godzinę temu Stefan wyszedł, rozglądając się, czy ktoś go nie widzi, za parkiem skręcił do jeziora. Tolek mi zaraz dał znać. No to my Wieskowi zrobiliśmy cześć i za nim, krzaki gęste, ani co widział. Przy brzegu stała łódka, w niej Jurek.

— Małwiak?

— Innego tu nie ma. Zostawiłem Tolka, bo on niezgrabny jak krowa, sam się podczołgałem krzakami, jak mogłem najbliżej. Wiatr dął na szczęście w moją stronę.

— No i co?

— Grunt, Heniek, to zimna krew. Wszystkiego nie słyszałem. Nie dało rady. Stefan coś mówił, że zaraz wyrywa na PKS, a z Międzyrzecza jakoś się już dalej zabierze, cholera tylko wie dokąd. Potem szeptali, zrozumiałem, że Jurek każdej nocy ma czekać. Coś mu dalej Stefan tłumaczył, pokazywał, nic wykapować nie mogłem. Zaraz się pożegnali. Jeszcze na odchodnym powiedział Jurkowi, że sprawa murowana, jeden skok i będzie spokój na długo.

— Nic nie rozumiem. I co dalej? — pytał Heniek.

— Nic. Stefan poszedł krzakami, bałem się, żeby mnie nie nadeptał albo Tolka, ten pęta nie umie się dobrze chować. Jakoś się jednak udało. Więc Tolka posłałem, żeby pilnował, czy naprawdę ten Stefan wyjedzie, sam przygnałem, aby wam opowiedzieć. Naradzić się trzeba.

Roman wzruszył ramionami. Heniek także stracił kontenans.

— Co tu radzić? Facet wyjeżdża na urlop i kwita. Za dwa tygodnie mnie już tutaj nie będzie. Do jasnej Anielki, nawet mu gęby nie skuje...

Czarny Benek łypał oczyma, patrzył na nich z pogardliwym uśmiechem.

— W trąbę was nabić, nic więcej. Mnie się inaczej widzi. Na co Jurek ma czekać, i to każdej nocy w dodatku? Na nas może? A ta murowana sprawa, ten jeden skok, to mucha? Daj

Heniek, grabę, ty Roman przebijaj, idę o zakład, o co tylko chcecie, że tu się szykuje większa rozróżba.

— Gadanie — słowo to Heniek wypowiedział mniej pewnie. Ale na zakład nie chciał się zgodzić.

— Nie chcecie, to nie. Wolę już moje zółwie od was. One mają większą smykałkę. Sami z Tolkiem będziemy radzić... — parsknął im śmiechem prosto w twarz, odmaszerował zawadiackim krokiem, z rękami w kieszeniach. Poszedł do swojego blotka na łące, gdzie już z daleka czerniała tablica z wymalowanym na niej wizerunkiem zółwia.

Roman spojrzął w tamtym kierunku, uśmiechnął się.

— To ci dopiero kompania spod znaku zółwia.

— Kto ? — Heniek zastanawiał się nad czymś, nie słyszał słów przyjaciela.

— Kto? My wszyscy...

— Aha. Może być. Wiesz, jednak ten Benek ma rację, to wcale nie takie proste. Oni szykują jakąś machlojkę.

Roman zapuszczał motor. Spieszyło mu się, miał swoje zamiary na dzisiejszy wieczór. Na myśl o nich jego chuda, pociągła twarz poszerzyła się wyraźnie w uśmiechu.

W domu ucieszył się szczerze, gdy Malicki oznajmił im, że przełożył stawianie żaków na następny dzień. Zaraz po kolacji pognął na górkę, Heniek został z gospodarzem. Wtedy, przydrałował Tolek, nie musiał przynosić specjalnie ciekawych nowin, inaczej na pewno by zaraz wdrapali się tutaj na stryszek.

Z piórem w dłoni zasiadł nad arkuszem. Teraz, gdy swoje zamysły musiał przelać na papier, okazało się to wcale nie takie proste. Bo co, będzie matkę zapytywał, czy tamto jej zdaniem jest aktualne? Nie wyjaśniając ani słowem bardziej złożonych przyczyn tego pytania? Westchnął, trzeba chyba napisać wszystko szczerze. Wszystko o Kryśce, jak bardzo ją kocha, jak wiele z tym łączy nadziei, jak wszystko łatwo może się rozwiązać, dlatego chciałby zachować dla siebie tę szansę.

„Od Ciebie, mamó, wszystko zależy, co mi poradzisz, jak rozwiążesz...” — kończył swój list.

Jeszcze dopisał prośbę o najszybszą odpowiedź, zapieczętował kopertę. W samą porę, bo już się Heniek gramolił na górkę.

— Tolek wrócił — powiedział. — Ten Stefan rzeczywiście zabrał się PKS-em. Benek chyba nie ma racji.

Romana właściwie niewiele to wszystko obchodziło w tej chwili. Myślał o Kryśce.

## ROZDZIAŁ XXIX

Na otwartej przestrzeni oswojone z ciemnością oczy mogły jeszcze rozróżnić jakieś kontury, w gęstwinie leśnej czy pośród krzewów musiał brnąć po omacku. Wpadał na ostre, kłujące gałęzie, ścierając twarz dłonią wyczuwał krew. Latarkę bał się zapalać.

Później dziś wyszedł niż poprzednich dwóch nocy. Zmęczenie i niewyspanie robiły swoje, jeszcze dodatkowo zdenerwował się Tolkiem. Baba zupełna, mięczak, trochę się tylko wysilił i oklapł, już do niczego niezdatny. Aż rozpląkał się, piszczał, że nie pójdzie, nie może, sił nie ma i boi się. Pewnie, wczoraj nie było przyjemnie, o mały włos byłby ich Mątwiak nakrył, dopiero by się z pyszna mieli, nie mówiąc już o tym, że rozłożyliby całą sprawę.

Nie chciał pętać, to nie. Maminsynek, lalusz, dupek żołądny. Starając się możliwie cicho, ale zarazem szybko przedzierać przez gęstwę podmokłych krzewów, kłął Tolka w duchu, ile tylko wlezie.

Wywrócił się na jakimś wykrocie, latarka wypadła z rąk. Ledwie ją odnalazł po dłu-

ższym szukaniu. Od strony kolei rozległ się gwizd lokomotywy. Zaniepokojony nadstawił uszu. Pociąg nadjeżdżał od Międzyrzecza, ważne były raczej te od Skwierzyny.

W końcu to jednak dobrze, że utrzymali w tajemnicy nocne historie. Tak się Heniek i Roman stawiali, wykpiwali, że coś im stale się przywiduje, gdy tymczasem Stefan zwyczajnie wyjeżdża gdzieś na urlop, a podsłuchana rozmowa musiała wyglądać inaczej, po prostu się Benek przesłyszał...

— Przesłyszał, właśnie... — zamruczał.

Wspomnienie o zlekceważeniu przez Romana i Heńka ważnej nowiny polectało od nowa ambicję Benka. Jakby mu sił przybyło, szybko zaczął się teraz przedzierać na suchszy teren. Mokradła kończyły się, lasek sosnowy, potem najgorszy odcinek polami, gdzie jest się widocznym jak na tapecie, znów zagajniki, niemal aż pod sam kolejowy nasyp.

Przystawał chwilami i nasłuchiwał. Cisza dudniła w uszach, nawet wiatru nie było, we dnie teraz siąpiło deszczem, nocami znów się wypogadzało. Jakiś ptak zakwilił cichutko, może spłoszony jego krokami, nic więcej. Ani turkotu kół, ani echa końskich stąpaniec. Benka zdjął lęk, co będzie, jeżeli się spóźnił, jeżeli to stanie się właśnie dzisiejszej nocy pod jego nieobecność? Nawet się nie domyślał, co ma się stać, wiedział tyle, że kolej musi tu pozostawać w bezpośrednim związku, ale dalej nie sięgała jego imaginacja.

Już niedaleko. Teraz te zagajniki, parę stają od toru wóz Mątwiaka, on sam waruje blisko nasypu. Ciekawe, że takie miejsce wybrali. Szlak skręcał tu wielkim łukiem, pociągi musiały zwalniać, potem dopiero od nowa nabierały rozpędu.

Między krzakami wiodła droga rzadko uczęszczana, porośla trawą. Szedł teraz ostrożnie jej skrajem, kryjąc się w cieniu leszczyn, kaliny i wszędobylskiej wierzby, splecionej z marnymi drzewkami olszy. Pod stopą trzasnęła gałązka. Rozległo się to jak huk wystrzału, może mu się zresztą tak tylko zdawało.

Prychnięcie. Ucieszył się. Wóz stoi, zdążył w porę, nic się jeszcze nie stało. Skręcił w gąszcz.

Od strony Skwierzyny, odległy jeszcze, nadbiegł gwizd pociągu. Benek uczył, jak załomotało mu serce.

Skręcił na prawo. Każdy krok sprawdzał, czy nie natrafi stopą na gałązkę, chrzęściły przy nadeptaniu tak mocno. Wiedział, że teraz ryzykuje najbardziej.

Spocony jak mysz, poprzednie zmęczenie także się odezwało, dobrnął wreszcie do skrytej w rozrosłych chwastach kotlinki. Przez dwie noce mościli się w niej wraz z Tolkiem. Ułożył się wygodnie. Widok miał doskonały. Lekko połyskując znaczył się zaginający się zakolem szlak torów. Niski nasyp porastał żółtawo kwitnącymi roślinkami, nawet teraz odcinały się od tła jaśniejszym kolorem. Tuż przy nich, przyczajony za wielkim krzakiem, tkwił Jurek Mątwiak.

Pociąg zbliżał się, echa już biegły szynami. Parę minut i będzie tutaj. Benek westchnął, musiał się widocznie zaziębić, pokapywało mu z nosa, otarł rękawem. Dreszcze go przebiegały, nie wiedział już, z emocji, niewyspania czy przeziębienia. Od nasypu dobiegł hałas, spojrzął, na tle nieba wyrosła wysoka, wydłużona teraz dziwacznie sylwetka Mątwiaka. Stał wpatrzony w stronę, skąd dobiegał narastający stukot pociągu. Po chwili znów przycupnął za krzakami.

Benek łamał sobie głowę, co to wszystko ma znaczyć. Poprzednich nocy było podobnie. Prawie dziesięć pociągów przebiegło od wieczora do świtu, na każdy Jurek wyczekiwał z wyraźnym niepokojem. Oni w swojej kryjówce brali udział w tym jego oczekiwaniu, zastygali na każdy turkot zbliżający się po szynach.

Słychać teraz wyraźnie, pociąg zwalnia, musi, być już niedaleko zakrętu. Benek czuje ściskanie serca.

Ostrożnie podciągnął się, rozchylił chwasty, by mieć lepsze pole widzenia. W oddali ukazały się dwa punkciki, rosły powoli, a w Benku narastało tempo uderzeń serca. Nie wie-

dzieć skąd, pewien był, że teraz, właśnie tej nocy, właśnie w związku z nadjeżdżającym pociągiem, rozstrzygnie się wszystko.

Słychać sapanie parowozu, rosną jego świecące oczy. Już wyłania się za nim sznur wagonów, chwila, wyrzuszają się na zakręcie, nie widać ich. Jurka nie ma, przyczał się w swojej jamie, czyżby i tym razem miało się skończyć tylko na wartowaniu? Ślepią żelaznego potwora łyskają zupełnie blisko, narasta huk, turkot, dudnienie echem rozchodzi się wokół, jeszcze olbrzymiejącym.

Z rumorem, sypiąc skrami, minęła Benka lokomotywa, zadygotał na spojeniach wagon-węglarka, teraz kilka platform wyładowanych deskami. Co to? Tuż obok niego z na pół otwartych drzwi wagonu wypada jakiś kształt, toczy się w tę stronę, odbija o ziemię, zastyga wreszcie. Benek wzdyga się, patrzy. Skrzynia.

Bezwiednie kieruje wzrok za lokomotywą, daleko już odbiegła, dudnią wagony, widać ich coraz więcej, szlak się wyprostowuje. Znow ciemny kształt, jakby z tego samego wagonu, z którego wytoczyła się skrzynia. Leży tutaj o ćwierć rzutu kamieniem, kilka susów, już byłby przy niej. Ale ten drugi cień jest inny, wydłużony, podnosi się, biegnie w tę stronę.

Dopiero teraz Benek uświadamia sobie niebezpieczeństwo. Ta podejrzana skrzynia znajduje się zbyt blisko. Mogą go w każdej chwili zauważyć. Na ucieczkę za późno, od drugiej strony widnieje sylwetka Mątwiaka, schyla się, ciągnie coś. Czyżby jeszcze inne paku-  
nki? Tupot nóg tuż obok, gwizd mocny, rozgłośny, Benek myśli z podziwem, cholera, wcale się nie kryją, jakby byli u siebie w domu. Kuli się zarazem, na tle nieba poznaje sylwetkę Stefana. Zatem po jego stronie racja, mylili się Heniek z Romanem. To był ten skok: obrabowanie wagonu. Ciekawe, co się znajduje w skrzyniach, na pewno nie ryzykowaliby na ślepo, z góry musieli wiedzieć, co znajdują. Minał go, nie zauważył tej skrzyni, leży osłonięta cieniem krzaków. Mówią coś...

— Widzisz? Mówiłem ci, spokojna głowa. Ile masz? Sześć było.

— Cztery.

— Szukamy tamtych. Nie rozbiły się? Mówię ci, towarek pierwsza klasa, gruba forsa. Pończochy, nylony, z Gorzowa. Gazu teraz, nie bój się, świeć latarką, tu nie ma nikogo...

Benek kuli się, chciałby zapaść się pod ziemię. Błyska latarka. Szukają tej skrzyni. Pończochy. Kryśka mówiła kiedyś, że to cholernie drogie. W takiej skrzyni ile ich może być? Pewnie bardzo dużo. Złodzieje, żeby ich jasna krew zalała. Już znaleźli piątą, idą w tę stronę... Nie, stanęli. Aha, każdy bierze jedną pakę na plecy, pewnie poniosą do wozu. Znow się któryś zatrzymał. Stefan? Tylko Jurek idzie w kierunku krzaków, gdzie spokojnie pasie się koń... Tutaj zbliża się Stefan, bezczelnie sobie przyświeca, ten to ma zimną krew. Co robić? Uciekać, od razu się zdradzi, tak to jeszcze istnieje szansa, że może go nie zauważy. Czemu Stefan nie poszedł wraz Jurkiem, byłby czas na ucieczkę.

Snop światła baterii coraz bliżej. Przyłgnąć do ziemi, jeszcze bardziej. Może jakoś ominie. Żeby już znalazł tę skrzynię. Latarka wymacuje drogocenny towar, Benek słyszy, jak Stefan chichocze do siebie radośnie. Pewnie myśli, że się obłowi. Guzik, już po to on, Benek, tu jest, żeby im w tym przeszkodzić. Trzeba będzie iść za wozem, zobaczyć, gdzie wyładują to wszystko.

Co to za gwizd? Jurek najpewniej. W tej samej chwili Benek czuje, jak promień latarki, skierowany w stronę, skąd rozległ się gwizd, zatrzymuje się na nim. Zapiera dech. Może nie rozpozna? Długa chwila oczekiwania, serce tak bije, omal że nie wyskoczy. Poznał czy nie?

Teraz przekleństwo i tupot. Benek, już wie. Zrywa się, ale czy osłabł, czy strach go sparaliżował, czy nogi ścierpły w niewygodnej pozycji, biegnie niezgrabnie, tamten jest coraz bliżej, nie woła, nic, goni jedynie.

Benek rozwiera usta, przeraźliwie krzyczy o pomoc. Ostatnia szansa, może jest ktoś w pobliżu. Czuje za sobą kroki przeciwnika, gwałtownie rzuca się w bok, tamten go mija, klnąc straszliwie, zawraca. Już, koniec, ręka chwyta za kark, koniec...

— Ty zasrańcze!

Boże, jaki straszny ten głos.

Cios w twarz, gorąco się robi Benkowi, mniej czuje ból niż to ogarniające całe ciało gorąco. Znowu, znowu, znowu, jak strasznie wali ten Stefan, jak strasznie...

— Co jest, Stefan? Kogo tam masz?

— Młody Malicki. Znow wlał mi w paradę. Szukaj, Jurek, czy nie ma w pobliżu tego drugiego gówniarza.

Benek szarpie się gwałtownym ruchem, resztką sił. Trzaskają szwy kołnierza, zaraz jednak twarda dłoń ponownie osadza go w miejscu, nie zrobił nawet dwóch kroków. Znow wala, ojej, jak wali, w ustach smak krwi, wszystko boli, jeszcze bije, bije, bije, gorąco, jasno, czyżby już dzień? A teraz ciemno, ból jeszcze mocniejszy, ciemno, nic...

Nie czuje już, jak tamten ciska nim o ziemię jak workiem, z wyciągniętą latarką kluczy wraz z Jurkiem, przetrząsają wszystkie krzaki, przystają, nasłuchują, znowu przystają.

Mątwiak drży. Latarka w jego rękach zatacza dziwaczne esy-floresy.

— Ależ z ciebie galareta — kpi Stefan.

— On nas wsypie...

— On nie wsypie na pewno. Drugiego, wygląda mi, nie ma... Dziwne, że się sam szczeniaki wyprawił, ale on to potrafi. Ciekawe, w jaki sposób wykombinował wszystko, wywachał nasz skok?

— Nie wiem. Nikogo nie widać.

— Tamten bardziej strachliwy. Już byśmy go mieli. W porządku. Zabieraj się teraz, Jurek, za targanie paczek do wozu. Sześć skrzyń. W każdej po tysiąc sztuk, czy ty rozumiesz, co to za forsa? Sześć tysięcy par nylonów. Opłaci się. No, bierz na plecy, nie rozklejaj się, wszystko będzie w porządku.

Nawrócili dwa razy, ostatnią paczkę Jurek niósł sam. W tym czasie Stefan przykleknął nad nieprzytomnym Benkiem, nasłuchiwał uważnie oddechu. Zarechotał cieniutko, podciągnął chłopca bliżej nasypu, spokojnie zapalił papierosa.

— Gotowe. Można jechać. Tego zabieramy ze sobą? — wynurzył się z krzewów Mątwiak.

— Nie — mocniej zaciągnął się dymem. — Masz, zapal po tych emocjach.

Trzask papierośnicy, przypalanie papierosa, potem drżący głos Jurka.

— Jak to nie? To co zamierzasz? Zostawić tutaj, ocknie się i wsypie. Trzeba go przetrzymać w jakimś zamknięciu, znajdzie się coś, przez ten czas opylimy pończochy i w świat. Innej rady nie ma... Stefan, czego się śmiesz tak dziko? Słuchaj, a może on już nie żyje? Zakatowałeś go?

— Jeszcze żyje.

— Jak to jeszcze? Stefan, ty...

— Nie gładź. Za niecałe pół godziny leci tędy pośpieszny. Nawet mniej zostało, już osiemnaście minut. Przełoży się gówniarza przez tory i koniec bajki, nikomu nie przyjdzie nawet do głowy, jak było naprawdę.

Mątwiak drżał z każdą chwilą coraz bardziej. Stefan mówi tak spokojnie, zaciąga się papierosem, ręka jego nie drgnie nawet na chwilę. Benka na tory, pociąg pośpieszny, za osiemnaście minut...

— Stefan, tego nie zrobimy.

— Zamknij się. Wiem, co mówię. Inaczej się nie wywinimy, Teraz ostrzej patrz na takie szusy, można dostać nawet po dziesięć lat. Gówniarz zresztą dość mi zalał sadła za skórę. Przy pożarze mało brakło, a byłby wsypał, on i ten jego kompan. Szkoda że nie ma obydwóch, choć wtedy mogłoby to podejrzanie wyglądać. A tak, cóż, przypadek, koła potną pętaka na kotleciki i spokój. Będziesz jeszcze mógł kwiaty posłać stroskanym rodzicom na pogrzeb.

— Stefan.

— Mówię ci, zamknij się. Bo i z tobą sztama może się skończyć. Uważaj, Jurek...

Piekielnie długie milczenie, ciężkie jak kamień, ponure jak noc wokoło, bezwietrzna, bezkسیężycowa. W głowie Mątwiaka chaos myśli. Na tor chłopaka, jedyna rada, prawda, może i jedyna, gdzie uciekać, nawet z pieniędzmi, wszędzie znajdą, nakryją, więzienie, koniec marzeń... Na tor, kotleciki, kwiaty stroskanym rodzicom, jakie to straszne. Morderstwo.

— Jeszcze sześć minut i będzie spokój — mówi Stefan, podnosi się leniwie, podchodzi parę kroków do leżącego bezwładnie Benka. Kopie go nogą, nic, żadnej reakcji. — Czemu ty nic nie gadasz? — ostro naciera na Jurka.

— Ja? Nic, nic. Zmachałem się trochę... Wiesz, emocja, taki skok... — bąka, boi się Stefana, czuje jak strach ten narasta, potężnieje, staje się większy nad wszystko inne.

— Słuchaj? Może ty się nie zgadzasz, żeby z tym pętakiem?... Może się nie zgadzasz? — tłumiony gniew w głosie.

— Zgadzam się — wargi Jurka dygocą, wszystko w nim dygoce.

— To dobrze, że się zgadzasz — kpina w tych słowach. — Bo ja i na ciebie miałbym sposób. Spotkałeś się z taką zabawką?

Mątwiak patrzy, widzi, w niewyraźnych smugach mroku połyskuje stal. Ciemna, oksydowana. Pistolet.

— Ty, ty masz spluwę?

— A mam. Zawsze pukawka może się przydać. Gdyby na przykład kompan zechciał nawalić... Ale ciebie to nie tyczy. Mądry jesteś, rozumiesz, w. czym sprawa.

Rechoce, nasłuchuje, czy Jurek się nie odezwie. Ale w nim wszystko już zostało sparaliżowane przez strach, nawet struny głosowe. Co zresztą miałby mówić? Stefan ma go w swym ręku, a po tym, po tych kotlecikach, Boże mój, będzie miał jeszcze bardziej. Jako współnika zbrodni... Wszystko wiruje wokoło, ziemia, krzewy, tory wiją się jak węże, niebo zdaje się opadać do dołu, nasyp dla odmiany się wznosi. Słuch łapie dobrze znajomy od tych trzech nocy turkot zbliżającego się pociągu.

Stefan także go słyszy. Spokojnie wygasza papierosa, wstaje, odruchowo otrzepuje z piasku ubranie.

— Bierz go za nogi... — Chwilę czeka, potem powtarza ostro: — Mówię, bierz go za nogi.

Jurek bierze wiotkie, bezwładne nogi Benka. Stefan dźwiga go pod ramiona. Wspinają się na nasyp, układają ciało na torach. Stefan patrzy, zastanawia się jeszcze chwilę, przesuwając tak, aby głowa znajdowała się bezpośrednio na szynie.

— Mogą być ślady mordobicia — oznajmia. — Po co mieliby się czegoś domyślać. No, zawracamy, cupniemy sobie w krzakach, z osobówki mógłby nas kto zobaczyć.

Mątwiak nie stawia oporu, jak człowiek pozbawiony zupełnie woli i sił pozwala się ciągnąć, stapa niemrawo, słania się.

— Ty też jesteś niezgorszy mięczak. Nic, może kiedyś się przyzwyczaisz — sięga jeszcze do koronnego argumentu. — Nie ma innego wyjścia, może i ja bym się na to nie zdecydował, ale nie ma wyjścia. Kto wie, może on zresztą naprawdę ma już dosyć?

Turkot pociągu jest coraz bliższy. Jurek czuje, jak turkot odzywa się w nim każdym nerwem. Jest na pół przytomny, nie może myśleć, przestaje rozumieć, co wokół się dzieje. Dudnienie narasta, zaraz będzie słychać sapanie lokomotywy, w taką spokojną noc głos rozchodzi się bardzo daleko. Jakby zwalniał już przed zakrętem.

Ostry, długi gwizd parowozu. Ten gwizd przywraca Mątwiakowi świadomość, budzi z odrętwienia. Zrywa się z ziemi, na której siedział, jednym skokiem przesadza krzew, pędzi co siły w stronę nasypu.

— Jurek... Ach ty, taka twoja... — Stefan rozumie, co się święci, pędzi w ślad za nim.

Na nasypie ścierają się ze sobą. Mątwiak jednym uderzeniem ramienia wytrąca pistolet

z ręki Stefana. Głuchy brzęk. Cios, jeden, drugi. Uchyła się. W nim także wzbiera siła. Wie jedno, że któryś z nich tutaj zostanie, ta walka toczy się naprawdę o życie. O dwa życia. Jego, Mątwiaka, i Benka. Stefan gotów jest przeciw na wszystko.

Ciosy sypią się gradem, piekielnie mocne. Obaj znają stawkę, o którą walczą. Padają, wiją się pośród szyn, ciosy błyskawiczne jak ułamek sekundy. Jurek czuje w pewnej chwili piekielny ból w pachwinie, to Stefan go kopnął, pada, tamten korzysta, siada mu na piersi, z góry w dół siecze bez miłosierdzia. Znów gwizd, straszliwie już blisko. Jurek ma głowę zwróconą w kierunku, skąd nadbiega pociąg. W ciemności łyskają ślepie lokomotywy.

Nie wiedzieć skąd bierze siły, jednym szarpnięciem spycha z siebie przeciwnika, w zwariowanym uścisku zwalają się z torów na brzeg skarpy, kotłowanina, nie wiadomo kto kogo bije, kto się osłania. Łomot pięści, w tym narastający, bliski, coraz bliższy turkot pociągu...

Benek słyszy też ten turkot, nie wie, co to oznacza, ale jest takie dziwnie znajome. Otwiera oczy, bołą go, wszystko boli, głowa, ciało, znów przymyka powieki. Ten łomot to chyba pociągu... Tu także coś dudni, jakby zaraz nad uchem. Z wysiłkiem podnosi powieki, patrzy, żółte latarnie, ślepie jakies straszliwe, zna już takie, co to? Pociąg, lokomotywa? Ruch dłoni natrafia na szynę, zimna, śliska.

Teraz rozumie wszystko. Wszystko pamięta. Leży na torach, Stefan go zmasakrował. Nadjeżdża pociąg... Czy już po wszystkim? Dudni tuż obok chrapliwe sapanie, widzi dwie splecione kurczowo sylwetki, czasem uniesie się ramię, opada całą siłą. Piekielna walka. To pewnie Stefan, ale kto jeszcze? Jurek?

Wzrok pada w bok. Te ślepie. Już blisko, ogromnieją w oczach, łomot toczących się wagonów. A on na torach. Kurczy się, rozprostowuje ciało, zsuwa się trochę, ale ciągle jest jeszcze na szynach. Że też nie ma siły, aby się podnieść, odbiec parę tych kroków. Ślepie tuż, tuż. Znów się przesuwa, i jeszcze, wreszcie gwałtownym szarpnięciem, desperackim, najbardziej rozpaczliwym, odczołguje się ze stalowej linii toru, pazurami zagarnia ziemię, podciąga się, jeszcze...

— Benek! Benek!

Razem z tym krzykiem, dziwnie znajomym, czuje żar o włos przelatującej maszyny. Jakiś zgrzyt, wizgot, toczą się wagony, toczą, toczą...

— Stój! Stój! Roman, pędź za nim! Ja tego trzymam.

Benek widzi jeszcze, że z przeciwległej strony błyskają czerwone światełka końcowego wagonu, jest szczęśliwy, są obok niego Roman i Heniek, zatem wszystko już dobrze. Przy- myka oczy, nic więcej nie chce wiedzieć, nic nie wie.

Ale nie, co to, ktoś szepce, czyżby Tolek?

— Benek, Benek, żyjesz?

Otwiera oczy. Tolek widzi to, rozjaśnia się. I zaraz zrywa się, biegnie gdzieś.

Z krzewów powraca zmęczony Roman.

— Zwiął. Diabła tam kogo dogonisz w takich ciemnościach.

— Nic. Mamy drugiego... Wiesz, on cały poharatany... Poświeć latarką.

Roman wzdrygnął się, gdy spojrział na twarz Mątwiaka. Właściwie twarzy tam już nie było, jedna wielka opuchlizna, strugi sączącej się krwi.

— Kto cię tak urządził?

— Stefan — było to pierwsze słowo, jakie powiedział Mątwiak od chwili, gdy go zła- pali.

— Za co?

Wzruszenie ramionami. A potem potok słów szybkich, gwałtownych.

— Ja nic już nie chcę, nie będę uciekał. Wszystko mi jedno... Chciałem uratować małe- go, nie udało się. Jestem morderca, morderca, morderca — powtarzał to słowo obcym, nie swoim głosem, zobaczyli, że wzrok jego patrzy spod przypuchniętych powiek daleko, jakby



był nieobecny.

— O rany! Kogoście zabili?

— Benek żyje — znalazł się przy nich Tolek. — Tylko jest bardzo słaby.

— Już mi lepiej, minęło — na czworakach czołgał się ku nim. — Zaraz przejdzie. Mątwiak mówił o mnie. Bo gdy się kapnęli, że ich złapałem na tych pończochach, Stefan złął mnie tak, że zemdlałem... Czekaście, odsapnę, bardzo boli, gdy mówię... I wtedy pewnie położyli mnie na szynach. Gdy się ocknałem, jechał pociąg. A obok mnie oni się bili, straszliwie się bili. Ale ja nie miałem siły, żeby szczołgać się z toru. Te ślepie były tuż, tuż. Ale udało mi się...

Struchleli. Wszystko mogło się im pomieścić w głowach, ale nie taka ostateczna poślódź. Roman dłonią tarł czoło, Heniek poruszał szczęką, jakby w niej nagle coś się wykrzywiło.

— Ja widziałem, teraz już dobrze pamiętam — znowu powolny, zbolaty głos Benka. — Zawsze mówiłem, że Jurek swój chłop. On chciał mnie ratować, bronił przed Stefanem. Mówię wam, cholernie się haratali, cholernie...

Heniek drgnął, usłyszał cichy szloch. Zdumiał się. To Mątwiak płakał.

— Tak, broniłem, ale dopiero na koniec, jak już pociąg się zbliżał, przedtem się bałem, on mi groził, miał broń...

— Jurek swój chłop — powtórzył uparcie Benek.

Roman uznał, że czas na zwierzenia nadejdzie później. Trzeba było coś działać. Obejrzał się po swoich trochę bezradnie.

— Co my zrobimy z dwoma kalekami?

— Tu jest furmanka. Mątwiak na niej przyjeżdżał — rzekł nagle Tolek.

— Daleko?

— Ze dwieście metrów. Ja wiem dokładnie.

— Heniek, biorę Benka na plecy, ty prowadź tego bandziora. Tolek, pokazuj drogę, masz latarkę?

— Mam.

Heniek gwizdnał na widok skrzyń mieszczących w sobie potężny ładunek pończoch.

— Można by z tego prezenty robić babkom przez dziesięć lat. No, zabieramy się razem z towarem. Gdzie jedziemy?

— Do nas.

— O mnie się nie bójcie, nie będę uciekał. To było za wiele, niech mnie teraz skarżą za napad na pociąg, wszystko jedno. Najważniejsze, że Benek żyje. Nigdy nie myślałem, że Stefan jest taki — bełkotliwie powiedział Jurek.

— Zamknij się — rzekł twardo Heniek. — Ja ci na grosz nie wierzę. Smyrgnąłbyś, potem szukaj wiatru w polu.

Roman milczał, tylko Benek westchnął jakoś żałośnie...

Pierwsze brzaski złudną jasnością dopiero się pojawiły na horyzoncie, gdy już Malicki zapuszczał „Zündappa”, aby jechać po milicję do Międzyrzecza. Po drodze miał zawiadomić Kryškę, aby bez zwłoki, chociażby rowerem, przybywała na przesmyk. Heniek i Roman bali się ryzykować jazdy, nużby przez ten czas Mątwiak im umknął.

Benek leżał w łóżku, przerażona Malicka załamując ręce dreptała tam i na powrót. Tolek tkwił kołkiem przy przyjacielu.

W małym pokoiku obok stołowego Roman z Kubiakiem popatrywali w milczeniu na obmytego już trochę ze krwi, straszliwie zmasakrowanego Mątwiaka. Oczy miał przymknięte, głowę wsparł na łokciach, siedział przy stole nieruchomo.

Heniek patrzył na niego, na leżące w kącie potężne paki, pokręcił z podziwem głową.

— Jakaście to zorganizowali? — zapytał wreszcie.

— Prosto — Mątwiak mówił z wyraźnym trudem, uznał jednak widocznie, że musi im

sprawę wyjaśnić. — Gdy skierowali naszą linią wszystkie transporty, Stefanowi dał cynk jakiś jego kompan w Skwierzynie, kolejarz, osie sprawdzał czy coś takiego. Ja nawet nie znam tego faceta. Stefan wziął urlop, pojechał do tego kumpla, tam mieli uważać. Jak nadarzy się dobry transport, już po kontroli plomb, ten kolejarz otworzyć miał wagon, wpakować tam Stefana. Reszta już łatwa. Ja czekałem z koniem, przy zakręcie Stefan wyrzucił paki, zeskończył, pociągi idą wolniutko w tym miejscu...

— Jasny gwint, nawet niegłupio pomyślane. Żeby nie malcy, mogłoby się wam udać.

Roman dał mu znak dłonią. Niech lepiej zostawi tego Mątwiaka w spokoju. Ale Heniek miał jeszcze jedno pytanie, musiał je postawić.

— Czy Agnes o tym wiedziała?

Mątwiak ożywił się.

— Nie — powiedział stanowczo.

Zaprzeczenie to przyniosło Heńkowi pewną ulgę.

— Już jadą — wpadł do pokoju Tolek.

I bez niego usłyszeli klakson. Na podwórze wtoczył się milicyjny gazik, zaraz za nim nadjechał „Zündapp”. Malicki przywiózł Kryskę.

— Aha. Tutaj jest nasz jegomość — na rękach Mątwiaka ponuro brzęknęły kajdanki. Roman wzdrygnął się.

— To są te pończochy — powiedział.

— Dobra, dobra — burknął sierżant. — Proszę nie wychodzić — krzyknął, widząc Heńka podnoszącego się z miejsca. — Jesteście też podejrzeni.

Gwizd Heńka był mocniejszy niż kiedykolwiek. Parsknął śmiechem, zrobił do Romana ogromne oko, usiadł. Ale na sierżanta spoglądał tak, jakby tejże chwili miał zamiar połknąć go razem z kośćmi i urzędowym mundurem.

— Rozmawiać także nie wolno — padł nowy rozkaz.

Czekali tak dobre pół godziny. Kryśka zajrzała przez drzwi, zaraz ją usunięto. Zmieniło się, gdy na podwórko zajechał motocykl z przyczepą. Do pokoju wszedł znajomy chłopcom porucznik.

— Dzień dobry — powiedział niemal pogodnie. — Miałem nosa, mówiąc rano, że na pewno jeszcze się zobaczymy. W każdym razie dziękuję, oddaliście nam panowie wielką przysługę. Przede wszystkim uratowaliście życie chłopcu.

— To nie my — powiedział Heniek, ku zdumieniu służbistego sierżanta ciepło ściskając rękę porucznika.

— Nie wy? A kto?

— Mątwiak.

— Mątwiak? — powtórzył porucznik w zdumieniu. Zastanawiał się przez chwilę, innym wzrokiem ogarnął zmasakrowaną twarz Jurka. — Zobaczy się wszystko później. Teraz musimy się zająć formalnościami. Szkoda, że nie udało się złapać tamtego gagatka. W domu nie był. Pewnie kryje się w jakiejś melinie.

Zasiadł za stołem, wyciągnął duży blok, wyraźnym pismem skreślił u góry słowo protokół. Potem wziął jednak ołówek w zęby, z zainteresowaniem spojrzął na chłopców.

— Jednego nie rozumiem. Z opowiadania Malickiego wywnioskowałem, że Benek był sam przy torach... Skąd wy się tam wzięliście?

Roman uśmiechnął się.

— Spaliśmy już, gdy z płaczem, w samej koszuli przyszedł do nas Tolek. Że to był zmęczony i puścił Benka samego. Że jednak się potem przestraszył, nie mógł usnąć, bał się o kolegę. Dlatego niepokoi nas. Gdy opowiedział, co się działo poprzednich nocy, zdaliśmy sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie może zagrażać młodemu Malickiemu. Prowadzeni przez Tolka pobiegliśmy nad zakręt.

— Nigdy w życiu nie miałem takiego maratonu — wtrącił Heniek.

— No tak, tego mi brakowało do pełnego łańcuszka — westchnął porucznik.  
— Proszę pana, czy my możemy wyjść z tego pokoju? — zapytał nagle Heniek, piorunując wzrokiem strapionego obrotem sprawy sierżanta.  
— Oczywiście, dlaczego nie? Skąd to pytanie?  
— Bo pan sierżant powiedział, że my też jesteśmy podejrzani — zaśmiał się Roman.  
Porucznik wpadł w dobry nastrój.  
— Ano, lepiej przeholować w ostrożności niż coś przegapić... Spać się jeszcze nie kładźcie, trudna rada, ale protokół musimy spisać.  
— Wedle rozkazu — Heniek zamrugał znów do sierżanta.

## ROZDZIAŁ XXX

Przez podwórze majątku znużonym krokiem szedł Wiesiek w stronę swoich archeologicznych odkrywek, gdy w drzwiach świetlicy niespodziewanie ukazała się Halina. Na jego widok spieszyła się i zawahała. Szybko podjął decyzję, niech się w końcu wszystko wyjaśni, jak długo można żyć w niepewności?

— Hala — powiedział. — Hala, muszę z tobą porozmawiać. Pół godziny wystarczy. Nie odmówisz mi chyba.

Zbladła.

— Dzień dobry, Wiesiek... Dobrze, ale nie teraz. Naprawdę nie mam czasu, bo... — żadne kłamstwo nie przychodziło jej do głowy.

Energicznie ujął ją pod ramię, prowadził do wnętrza budynku.

— Idziemy do ciebie. Niechby się nawet paliło, nie odłożę już tej rozmowy. Ja muszę wiedzieć. Muszę, rozumiesz? Są takie sytuacje, że wszystko staje się lepsze od niepewności.

Nie oponowała już, z jakąś rezygnacją otworzyła przed nim drzwi pokoiku. Rozejrzył się. Nic się nie zmieniło, było niby tak samo jak dawniej, a przecież czuł wyraźnie, że jest inaczej. Machinalnie dotknął dłonią blatu stolika, zostały na nim wyraźne ślady. Dostrzegła to.

— Nie sprzątałam od paru dni. Mam dużo roboty.

Pokoik Haliny lśnił zawsze czystością. Teraz zabrakło w nim tej troski.

— Proszę, siadaj — przerwała przedłużające się milczenie. Obydwoje czuli się niepewnie, rozdzielała ich nienazwana przegroda.

Ujął jej dłoń.

— Nie gniewaj się, że wtargnąłem tak obcesowo. Ale ta sytuacja nie może ciągnąć się w nieskończoność. Nie może. Łażę po świecie jak głupi, niczego mi się nie chce, stale myślę o tobie. Co się stało, Halina? Nie kochasz mnie już? Powiedz to jasno. Bo ja w końcu nic nie wiem.

— Wiesiek — szepnęła, przysiadła na tapczanie, ukryła twarz w dłoniach.

— Co jest naprawdę z tobą? Ze Stefanem? Wiem, kiedyś was wiele łączyło. Sama mówiłaś, że wszystko minęło, wszystko, wołałaś wtedy, jak Józek trochę go pokiereszował, że nienawidzisz tego człowieka. Ale mówiłaś i to, że ja nic nie rozumiem, gorzej, że cię maltretuję.

Milczała, Nieruchomo tkwiła wciąż na tapczanie, skurczona teraz, zmalęła.

— Stefana szuka milicja. Nie tylko kradł czy rabował, chciał jeszcze zabić człowieka, gorzej, bo dziecko. Nawet w Małwiaku zbudziły się jakieś ludzkie uczucia, nie chciał dopuścić, wdał się z nim w walkę. Jeżeli cię z nim dotąd coś mogło wiązać, sentyment, wspomnienie, chyba tego wystarczy, aby na zawsze wykreślić łotra z pamięci? — Uniósł się, krzyczał głośno, wysoki, śmieszny ze swymi rozwianymi włosami.

Podniosła głowę, utkwiała w nim spojrzenie pełne bolesnego zdumienia. Nie zwracał uwagi. Cierpiało w nim wszystko, jego uczucie, ambicja, miłość własna, bliżej nie określone nadzieje.

— Mówiłaś, że nic. Ale ja wiem. Po cóż by do ciebie przychodził, po cóż mieliście jakieś konszachty? Przechowywałaś jego rzeczy, tuż przed rewizją wyniósł stąd paczkę. Masz prawo, możesz kochać się w tym bandycie, możesz, ale po co mnie okłamujesz? Jakim prawem śmiałaś mówić mi o miłości, ty... ty...

Nie znalazł właściwego słowa. Różne mu się cisnęły na usta w tej pasji, ale nie mógł, nie miał prawa, na tyle jeszcze panował nad sobą, aby nie obrazić dziewczyny i swojego do niej uczucia. Bezsilny zacisnął pięści, trwał oniemiały, wzburzony bez reszty.

— Skąd wiesz o tej paczce? — spytała.

— Wiem. Przyznajesz, więc prawda, nie mylę się.

Wstała, spokojna teraz, opanowana. Błada była jedynie bardzo, nawet żywe zazwyczaj oczy przygały. Zwilżyła językiem wargi.

— Dobrze, Wiesiek, chcesz wiedzieć wszystko, to ci opowiem. Może ty zresztą masz rację, to ja się myliłam, sądząc naiwnie, że czas przyniesie rozwiązanie, szczęśliwe jakieś rozwiązanie... Proszę cię, usiądź.

Uniesienie mijało, nastąpiła rezygnacja, zarazem wstyd, że uniósł się, narobił wrzasku w pokoiku dziewczyny, kto wie, może ją uraził głęboko.

— Bo widzisz, Halina... — zaczął.

Przerwała, jakby cień uśmiechu przebiegł po przybladłych wargach.

— Pozwól, niech ja teraz ci powiem — usiadła tuż obok, patrzyła mu w oczy, była bardzo poważna.

— Nie miałeś racji. Nigdy ci nie kłamałam. Możesz mieć żal o to najwyżej, że nie powiedziałam wszystkiego. Stefan był niegdyś bardzo mi bliski. A ja? Ta świetlica to moja pierwsza praca, przyjechałam tu głupia, chowana w innych warunkach. On też był inny, w każdym razie nie można było nigdy przypuścić, co potem nastąpi. Gdy został zamieszany w tamtą aferę o nadużycia, jeszcze wierzyłam w niego, myślałam, przypadkowy zbieg okoliczności. Moje zeznania uratowały go.

Trudno jej było mówić, oddech miała krótki, urywany. Pogładziła Wieśka po dłoni.

— Próbował wiele razy nawrócić do dawnego, wreszcie się uspokoił. Wszystko zaczęło się od nowa, gdy ty się zjawiłaś, a ludzie, wcześniej jeszcze, zanim my sobie to powiedzieliśmy, zaczęli mówić, że się kochamy. Były chwile, gdy sądziłam, że po prostu zazdrość się odzywa w Stefanie, może to głupie, ale początkowo sprawiała mi ta myśl pewną przyjemność. Widzisz, dziewczyny lubią mieć powodzenie. Ale naprawdę to ja potrzebna mu byłam do czego innego. Domyślałam się, że to coś złego, ale naprawdę nie miałam pojęcia. Dopiero rabunek na kolei, a zwłaszcza to z Benkiem ukazało mi prawdę. Mówił mi różne rzeczy, groził, przechwalał się...

— Jak śmiał ci grozić?

— Czekaj, Wiesiek, mnie i tak trudno mówić... Kilka razy dawał mi na przechowanie różne paczki, niewielkie, owinięte zawsze dokładnie. Mówił, że boi się trzymać je w swoim mieszkaniu, łatwo tam mógłby dostać się złodziej. Potem przychodził i zabierał... Pożyczał też u mnie pieniądze. Wszystko, co miałam. Wiedziałam, że nie odda, ale się bałam. Zagroził, że ci powie...

— Mnie powie? Co mnie? — zerwał się z miejsca, coś mu świtało, nerwowo biegał po ciasnej przestrzeni.

Patrzyła za nim, uśmiechnęła się cierpko.

— Jeszcze raz widzę, że dobrze cię przejrzał. Na wiele spraw spoglądasz rygorystycznie, jakoś, zasadniczo. Bałam się, bo ciebie kochałam, Wiesiek. Inaczej bym dawno nie miała z nim nic wspólnego, I ani by krokiem tu nie stąpił... Bo wtedy, wiesz, jak byliśmy

zaręczeni, ja z nim żyłam. Przez długi czas. Tym mnie szantażował, tej prawdy bałam się dla ciebie i dla siebie. Teraz ci powiedziałam, wiesz wszystko. Nic już więcej nie skrywam.

Oczekiwała wybuchu, był dziś taki gwałtowny. Tymczasem Wiesiek zamarł tylko w swojej wędrówce po ciasnej klitce, opuścił głowę.

— Masz całą prawdę — powtórzyła.

W głosie tym brzmiała nuta nadziei. Zgasła, gdy Halina zobaczyła, że Stachura zmierza ku drzwiom. Z ręką na klamce przystanął, powiedział z wielkim wysiłkiem:

— Przepraszam, Halina, że tak wychodzę... Mówiłaś, jestem zasadniczy, rygorystyczny. Nie wiem, nie wiem. Ja... ja to muszę jeszcze przemyśleć...

Trzasnęły zamykane drzwi. Nasłuchiwała jego kroków, potem podniosła się z westchnieniem. Nie miała złudzeń, skończyło się. Drugi raz w życiu.

Najniespodziewaniej dla samej siebie energicznie zabrała się do porządków. Musiała coś zrobić, żeby nie myśleć, nie rozpaczać, nie tęsknić...

Stachura również przeżywał nie byle rozterkę. Nie pojmował własnego postępowania. Nie od dzisiaj domyślał się, że więzy Haliny ze Stefanem musiały być szczególnie intymne. Oświadczenie dziewczyny stawało się pewnym ciosem, czy tak bardzo był jednak na ten cios nie przygotowany? Czemu więc uciekł, uchylił się od decyzji, od odpowiedzi, zostawił Halinę samą w chwili, gdy był jej może najbardziej potrzebny. Jeśli zdobyła się na tę spowiedź, musiała również pragnąć wyraźnego nie albo tak. Zarzucał jej, że dręczy go niepewnością, sam zaś w stosunku do niej postąpił podobnie.

Szczylił się zawsze tym, że jest zrównoważony, że traktuje życie poważnie, umie znaleźć rozwiązania pojawiających się w nim problemów. Sam regulował własne losy, wytyczał granice marzeniom, umiał urządzić się w ramach możliwości, nie powinny były w tym życiu zdarzać się niespodzianki tak straszliwie i boleśnie zaskakujące. Wierzył, że ma umysł naukowca, nie tylko w stosunku do wybranej dyscypliny zawodowej, ale w ogóle do całokształtu spraw, z jakimi los mu każe się zetknąć. I oto zjawia się pierwsza poważniejsza przeszkoda, postępuje jak głupi smarkacz, jak niedorostek, przedtem urządził melodramatyczne sceny, awantury kochanej przez siebie dziewczynie, a potem osłania się najłatwiejszą formą zwykłej ucieczki.

Idąc do domu pragnął spokoju, rozważenia wszystkiego, co stawiało przed nim konieczność decyzji. Gryzł się jednocześnie myślami, które go obskakiwały ze wszystkich stron, nękały tysiącem pytań i wątpliwości.

Jedno wiedział na pewno, nie postąpił ładnie z Haliną. Ona w niczym nie była tu winna. Jeżeli świadomie odsuwała się ostatnio od niego, to właśnie dlatego, że nie chciała go angażować, że dręczyły ją tamte wspomnienia, może się bała dla siebie nowej przegranej. A jego ucieczka? Właśnie cios w jej złudzenia.

Co gorsza, wiedział, że w rzeczywistości wcale tak nie jest. Nie zrezygnował z Haliny. Nie było to uczucie gwałtowne, narastało przez parę lat, ale może w tym właśnie kryła się gwarancja jego trwałości. Zamiast jednak się na decyzję zdobyć, babrze się, gmatwa wszystko, rozszczępia włos na czworo.

Zwolnił kroku, zza niedalekich krzewów nadbiegł plusk fali bijącej o brzegi jeziora. Z chaosu myśli, nieskoordynowanych, zaprzeczających sobie, wyłania się świadomość, że z decyzją nie może zwlekać. Musi powziąć ją jak najszybciej. Dla własnego dobra i nade wszystko dla dobra tej dziewczyny. Jeśliby jednak zrezygnował, powinien stąd odejść, nie powracać już, pożegnać się z marzeniami o pracach wykopaliskowych na grodzisku, z własną teorią dawnych dziejów niecki międzyrzeckiej, która wymagała sprawdzenia w terenie, właśnie tutaj, w miejscu, z którym wiązały go nie tylko kalkulacje naukowe, ale i silne przecucie, że jest na tropie najlepszym z możliwych.

Zawstydził się tej chwili. Przecież sprawy wykopalisk, w ogóle cała prehistoria i archeologia nic nie mają i nie powinny mieć wspólnego z jego uczuciem. To odrębne dwie katego-

rie. Jakże chociaż przez chwilę mógł łączyć je z sobą.

— Ogłuchłeś, do cholery? Wiesiek?

Obejrzał się jak nieprzytomny. Heniek i Roman wymachiwali w jego stronę rękami.

— Wrzeszczę, że i nieboszczyk już by usłyszał. Co z tobą się dzieje? Udowadniasz nową naukową teorię? — śmiał się Kubiak.

Roman, uważnie przyglądający się Stachurze, szturchnął Heńka pod żebro, szepcząc, aby dał spokój. Nie widzieli jeszcze Wieśka w stanie takiego podenerwowania. Zupełnie inny człowiek.

— Na Boga, czuję, nowa jakaś rozróżba. Już trzeci dzień spokój, na te strony to stanowczo za długo — zamruczał Kubiak.

— Nic takiego, mam po prostu swoje zmartwienia. Zdarza się. Gdzie tak gonicie? Do mnie może?

Roman porozumiewawczo mrugnął na Heńka.

— Do ciebie. Potrzebny jesteś. Widziałeś, jest na bunkrach pluton saperów. Był u nas niedawno porucznik z pewną prośbą, tyczy się to także twojej osoby.

— Mojej? Po cóż ja jestem porucznikowi potrzebny?

— Długa historia. Skocz do chałupy po dresy, zaczekamy na ciebie.

Wiesiek, w pierwszej chwili niezadowolony ze spotkania, teraz nabrał ochoty. Znał siebie, wiedział, że w nieskończoność gryźć się potrafi jakimś problemem, gdy tymczasem rozstrzygnięcie nadchodzi potem w chwili najmniej spodziewanej. Może będzie lepiej, gdy pójdzie z nimi, odwróci uwagę od tamtych spraw, kto wie, poradzi się nawet Romana.

— Coś tak raptem wyskoczył z jego pomocą? — zapytał Heniek, gdy zostali we dwojkę.

— Chłopaka musiało coś rąbnąć, i to niemiłosiernie. Wygląda na spokojnego, ale jest nerwus cholerny. Zagryzie się własnymi myślami. Zabierzemy go do podziemi, zapomni o tamtym.

— Ale o czym?

— Ba, żebym to wiedział.

— Mam dresy, teraz gadajcie, w czym rzecz — Wiesiek był już nieco mniej chmurny.

— Przyjechali dziś rano, ciężarówka i gazik. Grzebali się na powierzchni, chcąc znaleźć wąż do kwatery. Wszystko tak poryte jest pociskami, że w niczym nie mogli się wyznać. Zawiodły nawet jakieś tam aparaty. Wtedy porucznik przyjechał do nas, po raz drugi, bo przedtem wypytywał się o wszystko dokładnie, jeszcze wczoraj... W ogóle mamy teraz gości. Malicki za głowę się łapie. Milicja, prokurator, wojsko. Ruch w interesie. Chodzi o to, króliki natchnęły ich taką myślą, żeby od wewnątrz wskazać gdzie szukać wążu.

— Zarzekałem się, że za nic już do tych szcurzych piwnic nie pójde, a teraz chcą mnie wyszkolić na zawodowego jaskiniowca. Roman też krzywił się, bo to, widzisz, przy Benku murem tkwi Kryśka. Przy Kryśce zaś Roman, cały łańcuszek — pytlował Heniek, w doskonałym dzisiaj nastroju.

— A ja?

— Razem z nami będziesz nurkował. Benka nie ma, a tam koniecznie trzeba we trójkę — stanowczo rzekł Roman.

Porucznik wyszedł im naprzeciw. Na wodzie kołysał się gumowy ponton.

— Bardzo jestem zobowiązany — salutował. — Możemy chyba zaczynać? Świece już nasi zabezpieczyli przed działaniem wody. Mają jaskrawo żółty dym, niech tylko znajdziemy jedną szczelinę, będziemy już w domu.

— Heńkowi chodziło głównie o motorówkę. On by diabła poszedł łapać za rogi, nawet mu te szkielety przestały być straszne — szepnął Roman Wieskowi do ucha.

— Oddadzą wam?

— Porucznika nie pytaliśmy. Zdecydować ma podobno dowódca jednostki.

Szli z tyłu za Heńkiem towarzyszącym porucznikowi.

— I co będzie z tymi bunkrami? Dla wojska? — pytał ciekawie.

Porucznik zamachał dłońmi, jakby się odpędzał od muchy.

— Nam to niepotrzebne. Wczoraj rządca razem z ogrodnikiem prosił, aby im przekazać te kazamaty na hodowlę pieczarek. Może wreszcie majątek przestałby być deficytowy. Ten argument przeważał u naszego starego.

— Pieczarki? Tuby dopiero Niemcy się wściekli, gdyby mogli przypuścić, jaka przyszłość czeka ich betonowe kwatery. — Ta koncepcja podobała się Heńkowi.

— Przedtem jednak musimy wszystko zbadać i zabezpieczyć...

Zatrzymali się nad brzegiem. Strone zbocze czarnym cieniem spadało na wodę.

— Mam prośbę do panów. Żebyście nie przeszukiwali tamtych pomieszczeń. Raz mogło dopisać wam szczęście, ale nigdy nic nie wiadomo. Zaraz wracajcie — powiedział jeszcze porucznik.

Zgrabnie to poszło. Nie trzeba już było linki. Wieśkowi wytłumaczyli, jak ma płynąć pod wodą.

— Jak cię zacznie już dusić, to smygaj pod wierzch, będziesz w jaskini — mrugnął wesoło Heniek, saperzy zaśmiali się rehotliwie. — Roman, ty zaczynaj, jak tam który zamacha piszczelem, dostanę udaru serca. — Teraz jego głos zabrzmiał nieco inaczej.

Solecki już się znajdował w jeziorze, przycisnął paczkę ze świecami dymnymi do boku, zaczerpnął powietrza.

Wiesiek pięknym szusem od razu z pontonu poszedł pod wodę. Heniek także długo nie czekał. Saperzy ze zdziwieniem kręcili głowami.

Na górze nastąpiły teraz długie chwile oczekiwania. Po półgodzinie porucznik stracił nadzieję. Te króliki stanowczo musiały się im przywidzieć. Tyle czasu, można już było dzie sięć razy obejść podziemie. Że też hitlerowcy lubowali się w takich cudach, jakby to wiele mogło w tej wojnie dopomóc. Wzruszył ramionami.

— Panie poruczniku, jest dym, jest! — dogonił go radosny wrzask.

— No, jak tam, dymi? — pierwsze pytanie wysapał Heniek jeszcze przed wdrapaniem się do pontonu.

— Dopiero wołali, że tak.

Całą trójką wdrapali się na górę, mokrzy jeszcze, ociekający wodą. Roman przy tym zerkał na twarz Stachury. Entuzjazmował się pod ziemią jak dzieciak, wypytywał o wszystko, pierwszy rwał się, aby zapalać świece. I teraz ciągle jeszcze był ożywiony. Jak dobrze, że go zabrali ze sobą...

Dym ukazał się na powierzchni w dwóch punktach. Ciemnożółty, leniwie snuł się przy samej ziemi, omijał duże bryły betonu, oparem przykrywał mizerną trawę. Saperzy uważnie oglądali miejsce czekającej ich pracy.

Z drugiego korytarza, gdzie także zapalili dwie świece, nie wystąpiła najmniejsza smużka.

— Szkoda — powiedział porucznik. — Jakoś się jednak poradzi... — spojrzął na zegarek. — Dziesiąta. O trzynastej jest obiad, mają nam przywieźć. Zapraszam na żołnierską przekąskę. A teraz będziemy musieli zająć się naszą robotą, nie obejdzie się bez huku, beton to piekielnie odporny materiał...

— Jasny gwint, to znaczy, mówiąc delikatnie, mamy się stąd wynosić? — skrzywił się Heniek.

— Takie są przepisy — dwornie się skłonił porucznik.

Gdy już ubrali się, Heniek tęsknie spojrzął na las, gdzie sponad wierzchołków drzew widniał czubek wieży przeciwpożarowej. Wprawdzie przez ostatnie dni stale padało, nawet dziś rano siąpiło mżawką, a chmury gnane wiatrem przewalały się zwałami po niebie, niemniej miał nikłą nadzieję, że może zobaczy się z Agnes. Wczorajsza próba odwiedzenia jej w

domu skończyła się fiaskiem, pogonił go stary Małwiak do wszystkich diabłów, pobiciem zagroził.

— Ja na spacerek, podobno rydze ruszyły po deszczu — mrugnął w stronę kolegów.

Wiesiek ucieszył się z takiego obrotu rzeczy. Jeszcze w podziemiach zdecydował, że poruszy z Romanem dręczącą go sprawę.

— Roman, muszę być z tobą nie tylko szczery, ale i bardzo, nazwijmy, ciekawski. Dlatego daruj, ale to takie intymne sprawy. Bardzo mi na tym zależy.

— Proszę, mów.

— Ty kochasz Kryskę, mówiłeś o tym. Wiem, co przeżywałeś w związku z doktorem Kowalskim. Podobno teraz między wami się zmieniło na lepsze?

— Tak.

Trochę zdziwiony był tą przymusową spowiedzią. Ma Wiesiek własne sprawy, o nich niech mówi. Co go Kryśka obchodzi.

— Roman, powiedz. A gdyby... gdyby dziewczyna, którą kochasz, mówię ogólnie, gdyby ona kiedyś żyła już z innym? Rozumiesz, żeby z nim spała, no, w ogóle? Czy miałbyś urazę, żal, czy zostałbyś przy niej?

— O Kryskę pytasz? — w głosie Soleckiego zabrzmiała groźba.

Wiesiek wyrzucał sobie niezgrabność. Jeszcze na dodatek Roman się obrazi. Jak to trudno w miłosnych sprawach. Wszystko człowiek robi odwrotnie, niż trzeba...

— Przepraszam cię, nie o Kryskę, głupio się wyraziłem. Problem mnie interesuje. Problem, Roman.

Dłuższy czas trwało milczenie. Roman dławił w sobie wściekłość. Nie spodziewał się po Stachurze czegoś takiego. Delikatny zazwyczaj, spokojny i dyskretny, raptem wyskakuje z pytaniami, których by nawet trzpiotowaty Heniek nie zadał. Są przecież granice szczerości, nawet w przyjaźni.

Dzięcioł zakolatał energicznie w sosnę o czapierzastej koronie, wyrosłą trochę z dala od zwartej kolumnady swych smukłych towarzyszek.

— Nie wiem, dlaczego ci na tym zależy. Grajmy w otwarte karty. Na przykładzie Kryśki. Trudno, sam postawiłeś sprawę w ten sposób. Możliwe, że łączyło ją z doktorem znacznie więcej niż pocałunki. Przecież kochała go. No cóż? Mogę różnie traktować te sprawy, bardzo nawet surowo. Ale pokochałem dziewczynę taką, jaką ona jest, z jej przeszłością i dniem dzisiejszym. Mam rezygnować? Mój drogi, moralność to wcale nie są proste kanony, to cholerna mozaika postaw, sytuacji, nastrojów. Zupełnie to sobie wykreśliłem z pamięci, żałuję zresztą, że w ogóle muszę ten temat odgrzebywać.

— Czyli że to nieważne?

— Nieprawda. Ważne może być lub nieważne, zależnie od tysiąca okoliczności. Wiesiek, czy możemy zamknąć już sprawę? Zbyt wiele ode mnie wymagasz.

Stachura jakby nie słyszał tych słów. Patrzył na rozgałęzioną sosnę, w miejsce gdzie niedawno tkwił dzięcioł, czoło miał zmarszczone, oczy Przymrużył.

— Nie chciałem ci mówić, choć prawem kaduka żądałem pełnej szczerości... Teraz powiem, Halina kochała się w Stefanie, mówiłem ci już. Byli zaręczeni, nieraz u niej nocował. Dziś o tym się dowiedziałem. Wiesz, czemu on ciągle miał nad nią władzę? Bo jej groził, że mi o tych sprawach opowie. Bała się tego.

Roman zaczynał pojmować. Pierona, o Halinie myślał, a wypytywał o Kryskę, diabli wiedzą po co. Ani chybi, z tego Wieśka będzie; profesor, najprostszą sprawę chce podbudować specjalną teorią, gmatwać i komplikować.

— I co? — zapytał.

— No właśnie, widzisz, zastanawiałem się, jak trzeba widzieć te rzeczy. Bo ja...

— Co? Powiedz wreszcie.

— Bo ja bym wolał, żeby moja dziewczyna nie miała przede mną, nikogo.



— Przypuszczam, każdy by tego pragnał, ale nie zawsze jest to możliwe.

— Więc może lepiej... Choćby to miało boleć, choćby trzeba było odchodzić?

Teraz dopiero Roman się zdenerwował. Zajrzał Wieškowi w oczy.

— Powiem ci prawdę. Jesteś ostatni bałwan. Twoja Halina też głupia. Po licha tak zagmatwaliście wszystko? Para dzieci albo raczej wariatów. Z ciebie też moralista z zapiecka. O Stefanie wiedziałeś od dawna, po coś wobec tego sam się pakował w całą historię, po coś zawracał głowę dziewczynie, jeszcze szpikował ją swymi teoriami, aż nastraszona zbaraniała jak ty.

Wiesiek wytrzeszczył oczy, patrzył na Romana, jakby go pierwszy raz widział, a potem nagle obłąpił i ucałował serdecznie w policzki. Solecki udobruchał się tym gestem, to było tak odruchowe...

Znad północnego krańca jeziora dobiegło kilka wybuchów.

— Czuję, żeś nabroił dzisiaj z Haliną. Najlepiej będzie, jeżeli teraz pognasz do niej co siły. Wyciąłować, przeprosić. Sam wiesz, nie będę przecież cię uczył...

## ROZDZIAŁ XXXI

Traktorzysta Józek specjalnie zboczył „Ursusem” nad przesmyk, aby donieść, że ubiegłej nocy milicja złapała Stefana. Podobno aż w Gorzowie na dworcu, miał przy sobie grubszą gotówkę. Dziś rano robili jeszcze raz dokładną rewizję w jego mieszkaniu, tak samo zresztą u magazyniera Janiaka. Ludzie gadają, że chodzi już nie tylko o głośne wydarzenia w starym pałacu i na kolei, wymienia się napad na kasjera, samochód na szosie, sklep GS-u...

— Kto by pomyślał, że mieliśmy takiego bandziora pośród nas — trzęsa się w podziwie usiana piegami, pyzata twarz.

Nie zdążyli po jego odjeździe obgadać sensacyjnej nowiny, nawet Benek z kolorową od sińców twarzą przydyrdał znad żółwiej sadzawki, gdy na podwórzu skrzył łazik wojskowy.

— Ruch jak na autostradzie — zakomunikował Heniek.

Porucznik, uśmiechnięty jak zawsze, z daleka wywijał dłonią na powitanie.

— Przybywam z polecenia dowódcy — oznajmił służbowo, choć oczy śmiały mu się wesoło. Dziwili się, skąd w nim tyle pogody. Saper, specjalista od rozminowywania terenów. Przy połowym obiedzie opowiadał sporo o swoich i nie swoich przeżyciach.

Zatrzymali spojrzenia na jego twarzy. Czegóż ten dowódca może znów pragnąć? Wzrok Romana bezwiednie pobiegł ku oczyszczonemu starannie z warstw lakieru błyszczącemu gładzizną starannie spajanych desek kadłubowi motorówki. Porucznik zauważył ten ruch.

— Zgadza się. Dowódca nie ma najmniejszych zastrzeżeń, abyście przejęli łódź motorową. Nam ona nie odpowiada, nietypowa, przekazalibyśmy w najlepszym wypadku dla LPŻ-u, ale że się i wam cokolwiek należy za wszystko, co tutaj zrobiliście, więc sprawa jasna. Życzę wodniackich sukcesów.

Wyszedł z domu Malicki, zapraszał serdecznie.

— Jakże, poruczniku, chłopakom oczy się świecą, motorem ganiać będą po wodzie. Trzeba by opić tę uroczystość. Bo inaczej silnik się będzie zaciął.

Ustał bez specjalnych skrupułów. Korzystając z okazji wypytywali o prace przy bunkrach. Wejście do podziemia zostało już oczyszczone z gruzu, co tam na dole?

Opowiadał rzeczowo, bez zbędnych ozdób. Tak, teraz pracują przy oczyszczaniu z gruzów prawego chodnika. Konieczne są dwa wejścia dla bezpieczeństwa. Wczoraj badali, czy nie ma gdzieś min albo pocisków...

W tym miejscu porucznik przerwał, znikł z jego oczu wesoły, błysk, spoważniał zwracając się do Benka.

— Miałeś, chłopcze, szczęście. Wy wszyscy zresztą, bo ładunek z puszek wystarczyłby, aby całą tę żelbetową jaskinię zamienić w drobnutki proszek...

— Te blaszanki, które posypały się na mnie?

— A te. Zawierały materiał wybuchowy, mieszaninę o szczególnie silnym działaniu. Może właśnie były przeznaczone dla wysadzenia kwatery sztabowej, tylko hitlerowcy nie zdążyli, zbyt błyskawicznie posuwało się radzieckie natarcie.

— Fiuu — zagwizdał Heniek.

— Ten mój Benek ma szczęście. Wierzę, że nic mu już nie potrafi zaszkodzić — głęboko odetchnął Malicki, patrząc na syna najmniej przejętego tym wszystkim.

— Panie poruczniku, a pokój za studnią, cośmy go nie zdążyli obejrzeć, bo się Heniek wystraszył szkieletów? — skorzystał zaraz z okazji, że na niego zwrócono ogólną uwagę.

— Znaleźliśmy tam agregat elektryczny, właśnie dla potrzeb podziemnej kwatery. Chłopcy go teraz wymontowują — spojrzawszy na Heńka, powiedział innym już tonem: — Szpitalik również uporządkowaliśmy...

Gdy dymiący spalinami łożysko zniknął za najbliższym zakrętem, zakręcili się w tańcu zwycięzców. Benek obracał Romanem z taką mocą, jakby wcale nie leżał przez parę dni niemal bez duszy.

— Hura, hura, a ty już wysiadłeś, nie chciałeś montować motoru. Hura, niech żyje wojsko — wykrzykiwał.

Potem się zastanowił.

— Trzeba będzie ochrzcić tę łódź? Jaka nazwę jej damy?

— Mamy czas, odłożymy na później.

— Oblewanie można odłożyć, ale nazwę dziś wymyślimy. Ja mam pomysł. Zgodzicie się? — podniósł ślepią, przewracał nimi, był bardzo przejęty.

— Gadaj — zniecierpliwiał się Heniek.

— Nazwiemy ją „Żółw”, dobrze? Bo to wszystko tutaj się kręci koło tych żółwi.

— Wszystko, jak wszystko. Ty się kręcisz — sprostował Kubiak.

— Tablicę kto malował, ja? — odparował malec, łyskając czarnymi oczyma.

— Dobra. Może być „Żółw”. To nawet dobrze brzmi. Bo właściwie Benek ma rację. Patrzcie, koło bunkrów znaleźliśmy żółwia. Tam, gdzie nas spotkały te wszystkie przygody. Pod jego znakiem zaczęły się wszystkie awantury.

— A my nazwiemy się klanem spod znaku żółwia. Pycha, no nie?

— Jak nas jeszcze karmić zechcesz żabami, to już stanowczo zaprotestuję — Heniek przypieczętował sprawę.

— Tolek, ganiamy po żaby, przerwali nam — Benek rąbnął przez plecy kolegę stojącego z niemo rozwartą gębą.

— Słońce, zapowiada się ładny dzień — w zamyśleniu powiedział Kubiak, gdy zostali we dwójkę z Romanem. — Cholera, ten Stefan, różne takie rzeczy mi łożą po głowie. Złapali faceta na dworcu w Gorzowie, musiał więc tam dopiero przyjechać. Z forszą był. Nie nosił jej na pewno ze sobą, nie brał na kolejową wyprawę po te pończochy. Gdzie on ją chował, gdzie sam krył się przez cały tydzień?

— Nie masz większych kłopotów? — wzruszył ramionami Solecki. — Może wyjedziemy na wodę, przejrzymy, czy co nie wpadło do żaków.

— Nie, Roman, ja to muszę przemyśleć. Bo widzisz, coś mi się tu kupy nie trzyma...

Roman ogarnął go zdziwionym wejrzeniem. Zupełnie nie miał pojęcia, o co Heńkowi chodzi. Stefan aresztowany, wszystko zatem się wyjaśniło. Będzie nowa robota z motorem, po powrocie z jeziora zaraz się za nią zabierze. Umyć wszystko po rozmontowaniu, usunąć przeżarte rdzą części, zobaczyć, ile to w ogóle jeszcze jest warte. Wieczorem zaś pojedzie do Kryški. Wyraźnie cieszyła się teraz na jego widok. Czemu matka nie pisze, wiele spraw mogłoby się wtedy wyjaśnić. Bardzo wiele, może nawet i wszystko...

Heniek zostawił go przy tych rozmyślaniach. Jakoś gorzko uśmiechnął się jeszcze do siebie na myśl, że wśród tych wszystkich cudactw, jakie wokoło się działy, naprawdę gotowi zaawansować na ponuraków. On ma swoje problemy, Roman swoje, nie wolny od nich i Wiesiek, choć ten się jakoś ostatnio rozruszał, zaskoczył ich wczoraj nad wodą, jak się z zapalem całowali z Haliną. Ona także wyglądała jak odmieniona, tak rozpromienionej jeszcze jej Heniek nie widział.

Wychodząc gwizdnął na Lubusza. Zerwał się spod okapu składzika na drzewo, gdzie miał ulubione miejsce, zręcznie przykuśtykał na trzech nogach. Kryśka uznała, że jeszcze przez tydzień powinien chodzić w łupkach. Szkoda, pomyślał Heniek, gładząc łeb kudłatego mieszańca, zawsze przyjemniej łązić z takim po lesie. To ten cholerny Stefan tak go urządził. Pomyślał w tej chwili, że gotów wpaść w obsesję: Stefan i Stefan, wszędzie Stefan.

Dla wyrwania się z tego nastroju, dręczył go od paru dni dziwny niepokój, postanowił jeszcze raz spróbować szczęścia u Agnes. Słońce świeci od rana, może jest dziewczyna na wieży? Innej szansy spotkania nie było. Tęsknił już, brakło mu żarłocznych pocałunków, podniecających uścisków, ciągle jeszcze nie spełnionych obietnic dziewczyny. Ech, ta Agnes, ta Agnes.

W lepszym humorze dotarł w pobliże wieży. Może to słońce sprawiło, od razu bowiem poweselało wokoło, zasrebrzyły się rozpięte u traw i kwiatów siatki pajęczyn, złotem osnuły się podłużne szyszki u szczytów jodeł rzadko rozsianych wśród sosnowego pospółstwa. Pełen nadziei podniósł Heniek głowę do góry, zagwizdać chciał łobuzersko, jak zawsze gdy przybywał do Agnes.

Zaklął. Jak i minionych dni kłódka zwisała u drzwi budki strażniczej.

Wyciągnął się nie opodal wieży na wysuszonej przez słońce trawie, leniwie patrzył na sunące górą obłoki. Od lasu ciągnął mocny zapach żywicy. Z przygiętej ku ziemi sośnicy zwinnie zeskoczyła wiewiórka, przysiadła spokojnie na mchu, kita jej sterczała wysoko nad głową. Kręciła pyszczkiem, drgały wąsiki, ślepiły połyskujące oczka. Zatrzymały się w pewnej chwili na zastygłym w bezruchu Heńku. Aż się podniosła wiewiórka na tylnych łapkach, równie zaciekawiona jak przestraszona. Zerwała się nagłym susem, podbiegła do drzewa, widząc, że nikt jej nie goni, znów przystanęła szukając pośród trawy sylwetki człowieka. Heniek nie wytrzymał, parsknął śmiechem, śladu nie było już po wiewiórce.

Przeciągając się postanowił, że wróci jednak do domu. Pojadą z Benkiem na wodę, szczipaki znów się chętnie łakomią na błysk, może upolują jakiegoś żarłacza. Nie ma co wylegiwać się pod wieżą w charakterze odraconego kochanka. Znów musiał przyznać, że choć prześmiewał się z nich, ale trafniejszy był ten stosunek do życia, jaki przejawiali Roman i Wiesiek. Nie uganiali za dziewczętami w rodzaju Agnes. Zarówno Halina, jak Kryśka są inne. Na pewno nie święte, ale po prostu normalne dziewczyny, dla których istnieje coś jeszcze poza uściskami, pocałunkami i naiwnymi marzeniami o wielkim świecie. Wiesiek szalał czas jakiś, coś tam się działo, nie powiedzieli mu wszystkiego i on, i Roman, gdy była rewizja w świetlicy, a Lubusz został ugodzony kamieniem lub kijem. Szalał, ale dzisiaj jest już szczęśliwy, chodzą z tą Haliną, czują się do siebie. Zagadani i roześmiani, dobrze im. Albo Roman, jak odżył, gdy sprawy z Kryską zaczęły wkraczać na inne tory. Nie ten sam człowiek. Ona też coraz bardziej się garnie do Soleckiego, ciekawe, czym się to skończy?

— Na mnie czekasz, dzieciaku?

Zerwał się z miejsca na równe nogi. Agnes. Ależ go zaskoczyła. Słońce oblewało jej całą sylwetkę, suknia jak zawsze opięta, rozchylona mocno przy piersi.

— Na ciebie. Tak mi się zdawało, że przyjdiesz dzisiaj na wieżę...

— Straży dziś nie ma, dzwoniłam do leśniczego. Jeszcze las mokry, od jutra może. Teraz mniej będzie okazji, nie zarobi się wiele, myślę już o Zielonej Górze. Co się tak, Heniek, gapisz? Pocałuj lepiej...

Skorzystałby nawet bez tej zachęty. Rozchyliła usta szeroko, dziwnie się całowała,

zachłannie, jakby połknąć pragnęła jego wargi. Język jej stawał się ruchliwy, drgał, szukał zębów partnera.

Oderwała się wreszcie zdyszana. Twarz jej zaczerwieniła się, oczy zabłyśły żywiej.

— Puść już... Zaraz zejść, mam w budce coś do zabrania.

— Ja ci przyniosę.

Cień przestradchu w jej oczach.

— Nie, nie... — a potem ten dziwny uśmiech, którym go zawsze obezwładniała, uśmiech tak wiele obiecujący. — Tam zostało trochę mojej bielizny, wyprałam kiedyś po drodze, zostawiłam, by przeschła. Nie wypada...

Śmiejąc się z własnych słów zgrabnie wskoczyła na stopnie żelaznej drabinki. Pięta się szybko, nie krępowano jej wcale, że Heniek stoi u dołu, widzi jej nogi, bieliznę.

Zazgrzytał klucz w zamku, uśmiechnęła się jeszcze do chłopca. Zdecydował się wtedy, podążył w ślad za dziewczyną.

— Jednak jesteś — sapnęła widząc go drapiącego się do budki strażniczej.

— Tutaj najlepiej, prawda? — porwał ją w objęcia.

Westchnęła, przymknęła drzwi.

— No, to już całuj — powiedziała zrezygnowana.

Zaprzestał dopiero, gdy tchu już obydwójgu zupełnie zabrakło. Tulił ją tylko nadal w mocnym uścisku.

— Tęskniłem za tobą, brakło mi naszych spotkań... Tak już ich dawno nie było. Przedtem świństwo zrobiłaś mi ze Stefanem, po coś go brała na wieżę? Potem znów były deszcze...

Dziwny błysk w oczach, gdy wspomniał o Stefanie. Tym razem zauważył. Sama go teraz pierwsza pocałowała, jakby pragnąc, aby nic więcej nie mówił. Nawrócił jednak do nurtującego go tematu.

— Agnes, czy ze Stefanem także się... całowałaś?

— Niebrzydki chłopak — zaśmiała się, cynicznie zajrzała mu w oczy.

Odwrócił w bok głowę, nie znosił tej nonszalancji, wierzył, że nie jest jej w końcu zupełnie obojętnie, jaki chłopiec ją tuli do siebie. Wzrok jego padł na leżące w kącie paczki sportów. Agnes nie paliła. Czyje to były? Przypomniał sobie, na dole pod wieżą walało się sporo niedopałków. Zaraz, zaraz, wczoraj go dopiero złapali w Gorzowie. Gdzieś kryć się musiał przez cały ten tydzień. Znał wieżę. Czyżby? I nagle przeszła go całkowita pewność, że Stefan tkwił tu właśnie na wieży, u Agnes. W jednej chwili zbladł mu nagle smak ust dziewczyny, przestało kusić ponętne ciało.

— Po coś go tutaj przechowywała cały ten tydzień? — głos jego zabrzmiał inaczej, obcy był jakiś i nieznamy.

Patrzyła z trwogą, dłonie przycisnęła do piersi, rozkołysały się nagle wzmożonym oddechem. W oczach wyraźnie tkwił lęk.

— Czyś ty już zgłupiał, dzieciaku? — niezdarnie wyciągnęła ramiona, chciała go objąć, pocałunkiem, uściskiem zagłuszyć dalsze pytania, oddalić to, czego się bała od kilku dni.

— Wiem dobrze. Bandytę przechowywałaś, Agnes. Dlaczego?

— Nie... nie — zatrzepotały powieki, wargi poruszały się szybko, suche były, coraz to je zwilżała językiem.

— Dlaczego? — napierał.

Już nie oponowała. Z dużych, wyciętych w kształt migdałów oczu zaczęły spływać łzy. Nie wzruszył się. To nie były łzy z kategorii tych, które budzą współczucie czy choćby zwyczajną litość.

— Wczoraj stąd wyszedł?

— Tak...

— Że też się przedtem nie domyśliłem. Wcześniej siadłby drań za kratami — syknął i zaraz dodał: — A ty... a ty razem z nim. I tak ci zresztą to grozi.

— Więzienie? — powieki jej uniosły się w niepomiernym zdumieniu, strach odbił się na obliczu. Łzy sprawiły, że wyglądała teraz brzydko i znacznie starzej.

— Za współudział i przechowywanie bandyty.

— Ale ja nic...

— Wystarczy.

Mówił brutalnie. Mścił się teraz na niej i za nią samą, i za siebie, za czas zmarnowany z tą złą dziewczyną, za głupie jej pocałunki, za żądze nie spełnione, jakie w nim wzbudzała.

Milczenie. Długie, przerywane tylko chlipaniem Agnes. Wiatr silniej zaszumił, za-trząsał wierzchołkami sosen. W budce robiło się parno. Heniek kopnięciem otworzył drzwi.

Spojrzał na Agnes. Odczuł jakby cień żalu. Głupia, straszliwie głupia. Po co się wba-brała w to wszystko?

— Agnes, między nami. Powiedz prawdę, wiedziałaś, kim był Stefan i co zamierzał? O tym napadzie na pociąg?

— Nie. Wiem, że się z Jurkiem zrywali, że Jurek wyjeżdżał gdzieś każdej nocy. Ale u nas w domu o wielu rzeczach się nie mówiło. Myślałam, że może kłusują razem. Zdarzało się, że Jurek zaprzęgał nocami konia, wyjeżdżał po sarnę czy jelenia, które wpadły w żelaza...

— A potem? Dlaczego go ukrywałaś? Wiedziałaś przecież już wszystko?

— Wiedziałam... Więc czemu?

Nagłym ruchem sięgnęła pod załamanie daszka, wyciągnęła paczkę owiniętą w gazetę. Heniek wziął ją do ręki, rozwinął. Zabłysło plikami pięćsetek i setek.

— Za forszę? Za taką cenę? — to było tak obrzydliwe, aż słowa przychodziły mu z trudem.

— Myślałam, że skoro Benek żyje, skończyło się tylko na tej kradzieży, nieudanej, to wszystko już jedno. Ja chciałam jak najprędzej wyrwać się z domu. Nuda, harówka, ponury ojciec, brat, który mnie traktował jak ścierkę. Nie tak łatwo urządzić się w dużym mieście samej dziewczynie, jeżeli zupełnie nie chce już zejść na psy. Ja nie chciałam. Co innego tak sobie spotkać się z chłopcem, wyciąwać, nawet coś więcej. Ale nie za coś. Z ochoty, tak, nie za zapłatę, rozumiesz?

— Mów dalej, Agnes.

— On mi już kiedyś przyniósł taką dużą paczkę na przechowanie. Wtedy, jak kijem zła-mał nogę Lubusza. Bał się rewizji. W tej paczce były pieniądze, leżały schowane tu, w wieży. Tej nocy, jak Jurka zamknęli, też przyszedł, zapukał w okno, nawet ojciec się nie obudził. Powiedział, że muszę go ukryć, zaraz mam pójść z nim tutaj, na wieżę, zamknąć w niej, nikt nawet się nie domyśli. Zrobiłam tak. Rano była u nas rewizja, ale nic nie znaleźli.

— Dalej — warknął, aż sam się zdumiał, nie poznał w tym tonie własnego głosu.

— W nocy przynosiłam mu jeść. Przedwczoraj powiedział, żebym go już nie zamykała, tylko kłódkę zawiesiła dla niepoznaki. Rano go nie zastałam, nie wiem nawet, kiedy poszedł...

— Został aresztowany. W Gorzowie — powiedział sucho.

Zbladła, zacisnęła wargi. Wskazał jej na paczkę pieniędzy.

— Na pewno powie i o tym. Ile ci dał?

— Dwadzieścia tysięcy.

Gwizdnął. Dwadzieścia patyków, nie w kij dmuchał. Skąd ten facet miał tyle forsy. Przypomniał sobie opowieść Józka traktorzysty, że zdaniem ludzi wszystkie napady rabunko-we w okolicy to sprawa Stefana. Zgadza się, cóż wobec tego znaczyło dla niego dwadzieścia tysięcy? Resztę forsy znaleźli przy nim. Krąg zamknięty.

— Tych dwudziestu kafli zabraknie, będą go wypytywać, wygada.

— O Boże — zakryła twarz dłońmi.

Ponuro przygryzając wargi patrzył na Agnes, zupełnie niepodobną do tej, jaką znał od szeregu tygodni. Skulona, bezradna, z trzęsącymi się barkami, z twarzą wtuloną w wypięle-gnowane dłonie, zakończone modnym, srebrnym lakierem paznokci.

Myślał intensywnie. Co tu robić? Ostatecznie tlił w nim jakiś sentyment do tej dziewczyny. Bardziej głupia niż zła. Nie znała pochodzenia pieniędzy, na pewno nie kłamała, zbyt była tym wszystkim wstrząśnięta, aby się zdobyć na łgarstwo. Skusiły ją pieniądze, myślała, że za ich pomocą łatwo urządzi sobie życie poza ponurym domem, wśród innych ludzi. Miała fach kosmetyczki, może by jakoś sobie radziła. Tak, bardziej głupia niż zła.

— Heniek, ty mnie wydasz milicji? — głos jej dygotał.

— Powiniennem — powiedział ponuro. I zaraz dodał: — Trochę mi ciebie szkoda, Agnes. Muszę jeszcze wszystko przemyśleć.

Patrzyła na niego wyczekująco, lzy powoli przysychały już na jej twarzy, w spojrzeniu pojawiła się dawna zalotność. Boże, jakaż ona straszliwie pusta, pomyślał.

— Dwie rzeczy są ważne. Pierwsze, musisz natychmiast przekazać te pieniądze do komendy milicji. Domyślą się, o co chodzi, tam na pewno im braknie tej sumy. Zaraz potem bez zwłoki musisz wyjechać. Mówiłaś, że masz się gdzie podziąć w Zielonej Górze?

— Pracę tam mi proponowali.

— Tym lepiej. Nie wiem, czy to wiele pomoże, ale innej szansy nie ma. Kto wie, może machną na ciebie ręką, bo przecież się chyba domyślą. Musisz spróbować. Jeszcze wcześniej, nie ma południa, zdążysz forse dziś nadać. Najlepiej w kopercie jako list polecony. Obejdzie się bez przekazu. Wyjechać radziłbym ci także dziś jeszcze.

Podniósł się z miejsca. Od siedzenia w bezruchu ścierpły mu nogi.

— Ta już pójdę — powiedział cicho. — Żegnaj, Agnes. Pewnie się więcej nie zobaczymy.

Raptownie ogarnęła go mocnym uściskiem. Poczuł na swych ustach jej wargi. I dziwne, nie było w tym pocałunku nic z dawnych zachłyśnieć, poczuł jedynie niesmak. Usiłował uwolnić się z objęć dziewczyny. Trzymała go kurczowo.

— Heniek — szepnęła. — Zostań jeszcze, całuj, rób co chcesz... Heniek, słyszysz?

Było mu straszliwie przykro. Jakby mu w twarz kto splunął w tej chwili. Wyrwał się energicznie z objęć dziewczyny.

— Agnes — powiedział, stojąc już na drabinie. — Jedno ci na pożegnanie poradzę. Szanuj się bardziej na przyszłość.

Był już w połowie wysokości wieży, gdy na sośnie, tuż obok niego, zaczerwieniła puchata kita wiewiórki. Uśmiechnął się do niej jakoś bardzo żałośnie.

## ROZDZIAŁ XXXII

— Koniec — powiedział Wiesiek podsypując na nasyp ostatnią łopatę piasku i starannie ją przyklepując.

Patrzył teraz na wspólne dzieło. Drugi wykop został zabezpieczony. Na cały rok. Jeszcze pozostaje wystawić ostrzegawcze tablice. Rządca obiecał się o nie postarać, przygotowują majątkowi stolarze.

— Byłem pewny, że będziesz tu grzebał do ostatniego dnia pobytu — odezwał się Roman.

— Na pewno, gdyby nie perspektywa, że na przyszły rok ruszymy tu całą parą, już nie po partyzanku, ale tak jak archeologom przystało — oczy Stachury zabłyśły, gdy mówił o swojej pracy. — Widzisz, trzeba się zająć rybami, mało zarobiłem ostatnio. Na wrzesień Wikswa obiecuje niewodowe zaciągi... A jeszcze, jeszcze — podrapał się w głowę. — Jakoś czasu nie mam teraz zupełnie.

— Ja myślę, Halina ci go zabiera — parsknął Heniek.

Stachura spojrział na Heńka, jakby ten uczynił wielkie odkrycie.

— A wiesz, że naprawdę tak — powiedział naiwnie.

Aż się dłońmi zakleпали po bokach, tak ich to ubawiło.

— Zabierajmy się stąd, nie będziemy tkwić na tych gruzach aż do wieczora — zaproponował Roman.

Benek gwałtownie przychylił się do ucha Kubiaka, zaszeptał coś gorączkowo. Heniek przytaknął.

— Mam projekt — powiedział. — Pamiętacie, w ruinach znalazłem sterczącą z gruzów jak gdyby kasę pancerną, ale nie ma pewności. Gdybyśmy tak zrobili mały spacer, teraz nic już nam chyba nie grozi... Mamy czas. Ty, Roman, do Kryški pojedziesz dopiero pod wieczór, Halina wyjechała po książki do Międzyrzecza, macie się pętać na próżno po świecie?

Nie było powodu, aby nie przyjąć tej propozycji. Wiesiek zwłaszcza ciekaw był wnętrza pałacu, nigdy jeszcze tam nie był. Tolek i Benek aż kozły fikali z radości, lubili takie historie.

— Tylko znowu nie wplączcie nas w jaką kabałę — Roman spojrzął po nich nieufnie.

— Heniek, a potem poleziemy do piwnic... Żebyś ty, Wiesiek, widział, jakie tam dziwne cegły, cholernie stare, może jeszcze aż od Chrobrego — agitował Benek, jak tylko umiał.

— Za Chrobrego niczego tu jeszcze z cegły nie budowali — prostował Wiesiek.

— At, ty tam wiesz.

Znów się przedzierali, większą tym razem niż kiedykolwiek gromadą, przez zwały gruzu, przez komnaty zamknięte czterema ścianami, obwalonym sufitem zagładające w niebo, przez długi taras znaczący się kolumnadą powypalanych drzwi.

Odżyły dawne wspomnienia.

— Jest to kamienna babka — nawet Roman okazał zainteresowanie, gdy stanęli nad zerwaną płaszczyzną schodów. Drag służący do ześlizgiwania na dół tkwił na tym miejscu, gdzie go pozostawili. Nie było już amatorów wałęsania się po ruinach.

— Jazda — zakrzyknął Benek, zręcznie jak małpa zsuwając się do hallu.

— To tutaj, na prawo — powiedział Heniek.

Pierwszy wszedł przez szeroką wyrwę po dawnych drzwiach. Wszystko wyglądało dokładnie tak jak za pierwszej bytności. W suficie poszarpanymi strzępami jaśniała wielka dziura, ślad złowrogiego pocisku, błękitem zagładało jasne dziś niebo. Gruz, nasiąknięty po ostatnich deszczach wilgocią, pachniał gliną i wapnem. Nieczytelna mapa osunęła się ze ściany, szeroko rozpostarta zleżała na szczątkach cegieł. Odłamki żelaza, drewno, resztki mebli wypełniały obszerny pokój.

Spojrzenie Kubiaka niespokojnie pobiegło ku najwyższej stercie gruzu w rogu pomieszczenia. Pokryty rdzą zmieszaną ze szczątkami lakieru wyłaniał się kant żelaznego pudła.

— Rzeczywiście wygląda na kasę — zauważył Roman.

— Odsypujemy?

— Tylko ostrożnie. Diabli wiedzą, co się może znajdować w tych gruzach. A jeśli ten pocisk, który przebił sufit, nie wybuchł? Byle potrącenie i pięknie fruniemy w powietrze — dodał sceptycznie nastawiony Wiesiek.

— Wy tylko gadać umiecie — zachnął się Benek, pierwszy sięgnął po jedną z przyniesionych z wykopów szufli, zagarnął gruz.

Pomagali sobie rękami, szufle okazywały się chwilami bezużyteczne, tam zwłaszcza, gdzie natrafiali na większe odłamki cegieł. Tolek silnie skaleczył rękę o jakiś kawałek blachy. Posykując, wysysał ranę.

Stalowa bryła wyłaniała się bardzo powoli. Dokoła wzbiły się tumany pyłu. Krztusili się, kichali. Jedno było pewne, rzeczywiście natrafili na kasę. Wyłoniły się już zarysy drzwi. W pewnej chwili Wiesiek przechylił się, przyjrzał uważnie.

— One są nie domknięte — powiedział.

— To może pusta? — rozczarowanie zaznaczyło się w głosie Heńka.

— Kopmy, czas mija. Jeszcze cholernie dużo roboty. — Dla odmiany Romana ogarnęła

teraz pasja poszukiwacza.

— Nawet jeżeli otwarte, mogli nie zdążyć zabrać z niej wszystkich diamentów i złota — pocieszał się Benek, niepomierne zdumiony, gdy starsi koledzy zanieśli się na te słowa serdecznym śmiechem.

— Z papierami ostrożnie, oddawajcie mi je — Wiesiek wyszarpnął z rąk Tolka jakieś arkusze, które ten chciał już zgnieść i wyrzucić do kąta.

Przejrzał pobieżnie, skrzywił się. Były to jakieś cyfrowe sprawozdania związane z żywieniem jednostki.

— Cholera, alem się zmachał. Dwie godziny już tu harujemy — Heniek ocierał pot rękawem koszuli. — Jeszcze trochę.

Wielka szafa pancerna. Leżała przed nimi w całej okazałości. Od tyłu jeszcze przywalały ją cegły, ale to już nie było ważne. Wiesiek szarpnął za klamkę noszącą już tylko ślady niklu. Leciutki pisk, drzwi wysunęły się nie więcej jak o milimetr. Heniek podskoczył z pomocą. Znów pisk, znów ten milimetr.

— Wszystkie szatany z piekła rodem — spoglądając na ich wysiłki wyzywał zaczewrwieziony z wrazenia Benek. — Pieruna, jakież one cholernie grube.

— Zawsze tak się kasy buduje — wyjaśniał Roman.

Szarpięte ponownie drzwi rozwarły się teraz gwałtownie wraz z ostrym piskiem zawiasów. Całą trójką runęli na gruz, wywracając stojącego z tyłu, Bogu ducha winnego Tolka.

— Alem się wyróżnął w łeb... — zastękał Heniek, zaraz zawrzasał: — Benek, czekaj, do jasnej Anielki.

Korzystając z przygody towarzyszy, malec pierwszy się dorwał do wnętrza szafy. Na dolnej półce leżała bokiem stalowa skrzynka. Złapał ją obydwojma rękoma.

— Skarb, skarb, jakie to strasznie ciężkie.

Postawili skrzyneczkę na gruzie, Benek szarpnął za wieko. Odskoczyło od razu, nie była zamknięta. Jęk zawodu. Dno świeciło ciemnoczerwoną farbą. Pustka, ani nawet strzępka papieru.

— Jakież akta, może to będzie ciekawsze.

Jeszcze tylko Wiesiek objawiał niewygasłe zainteresowanie. Oni wszyscy mieli już dosyć. Tyle wysiłku, nadziei i pustka. Bo cóż tam trochę tych teczek aktówek na górnej półce?

Stachura wywalił wszystko na podłogę, przerzucał szybko, odczytując tylko napisy na tekach. Przeważnie były to jakieś hasła czy kryptonimy.

— Wszędzie napisano „streng geheim”, to znaczy ściśle tajne — powiedział. — To może być nawet ciekawe. O, Benek, jest coś dla ciebie...

— Dla mnie? — patrząc na wyblakły granat cieniutkiej teczki Benek zdziwił się tylko już grzecznościowo.

— Tu jest napis: Aktion Schildkröte. To znaczy Akcja Żółwia. I też ściśle tajne.

— Żółw? To naprawdę dla mnie. Zobacz, Wiesiek, może są tam jakieś plany miejsca ukrycia skarbów. Mogło i tak być, nieprawda?

— Ja mam to wszystko gdzieś, razem z żółwiami — naburmuszył się Heniek, usiadł na stercie gruzu. — Więcej się już nie bawię w poszukiwacza dziwów. Albo szkielety, albo tajne esesmańskie papiery.

— Spokojnie, Heniek, spokojnie — odezwał się Wiesiek, głos jego brzmiał podnieceniem. To niebywała historia. Aż mi się wierzyć nie chce.

Gorączkowo przerzucał kilka spiętych ze sobą kartek maszynopisu, upstrzonych pieczęciami i podpisami. Roman widział, jak Stachura zbladł, oddech jego stał się krótki i urywany. Powoli, jakby nie swoimi ruchami, zamknął wreszcie Wiesiek aktówkę, spojrzął po twarzach przyjaciół.

— Gadaj wreszcie — nie wytrzymał Heniek napięcia.

— To jest rozkaz, ściśle tajny, dotyczący likwidacji polskich wsi w Międzyrzeckiem i



Babimojszczyźnie. Adresowany do Vernichtungskommando SS. — Znów sięgnął do teczki. — Dąbrówka Wielkopolska, Nowe Kramsko, Stare Kramsko, Podmokle Wielkie, Podmokle Małe. Pięć miejscowości. Tylko że różne sposoby. Słuchajcie — czytał przez chwilę. — Ni mniej, ni więcej, tylko ludność Nowego i Starego Kramska ma być spędzona na jezioro. A potem armatami zaleca się rozwalić lód, aby wszyscy potonęli... rozkaz mówi wyraźnie, że tyczy się zarówno mężczyzn, jak kobiet i dzieci. W Dąbrówce znowu tę samą rolę odegrać ma ogień, spalić wieś i wszystkich jej mieszkańców.

— Późny mówił coś na ten temat — wtrącił Solecki.

— Tak. Że takie słuchy chodziły. Nie wiadomo jednak było na pewno. Boże, co za szczęście, że, zmuszeni do nagłej ucieczki, nie zdążyli tego wprowadzić w czyn. To są ogromne wsie, nieraz po tysiąc mieszkańców. Bardzo twarde były w polskości — Wiesiek mówił szeptem, tak był przejęty..

Nawet Benek i Tolek, przejęci głęboko, wpatrzeni niemo w Stachurę, przeżywali odgrzebany spod gruzów ponury dowód hitlerowskiego bestialstwa.

— To bardzo ważne odkrycie. Są pieczęcie i podpisy, znawcy odcyfrują nazwiska. Tego argumentu nie uda się nikomu obalić, doskonała broń na rewizjonistyczne nastroje w RFN. Niebawem dokument — Wiesiek już opanował się, myślał teraz rzeczowymi kategoriami. — Trzeba to jak najszybciej dostarczyć we właściwe ręce. Dzisiaj jeszcze dokładnie to przestudiuję. Halina ma słowniki niemieckie, bo nie wszystkie słowa rozumiem, może to zresztą także jakieś symbole?

— Komu to zamierzasz przekazać? — zapytał Roman.

— Nie wiem... W Zielonej Górze mieści się stacja naukowa Polskiego Towarzystwa Historycznego. Chyba do nich. Będą wiedzieli, co z tym zrobić.

Benek szturchnął go w bok.

— Wiesiek, to znaczy, że opłaciło się nam tutaj szabrować? Choć złota żadnego nie ma...

— Opłaciło, Benek, bardzo opłaciło. Te akta na pewno więcej są warte niż cała skrzynka złota. To bezcenny argument polityczny, nie mówiąc już o wartości dokumentu historycznego.

— To klawo, jeżeli tak — malcowi powrócił dobry humor. — Wiecie, zajrzyjmy jeszcze do piwnic, może i tam coś znajdziemy.

Tolkowi zapaliły się oczy.

— Jutro albo tak kiedykolwiek. Tylko nie dzisiaj — odrzucił projekt podniecony bez reszty Stachura.

Wiesiek tak był zaabsorbowany odkryciem w pancерnej szafie SS, iż nawet się nie obejrzał na budynek mieszczący świetlicę i mieszkancko Haliny.

Całą drogę snuł opowieść o dziejach ludności wiosek wyszczególnionych w dokumencie.

— To była dzielnica V Związku Polaków w Niemczech, tak zwane Pogranicze. Obejmowało tereny w szeregu zwartych skupisk, zamieszkane przez ludność polską. Jedno z takich skupisk tworzyła właśnie Babimojszczyzna, od miasta Babimost biorąca swą nazwę. Tylko Dąbrówka z wymienionych wsi leżała ściśle w naszym, międzyrzeckim regionie. Niemcy szczególnie byli wyczuleni na teren Pogranicza, zwany przez nich Marchią Wschodnią. Pasja ich ogarniała, gdy zawodziły wszelkie próby germanizacji. Różne szykany aż po skrytobójstwa, aresztowania, obozy koncentracyjne, pobory młodzieży do Wehrmachtu, wydalania z pracy, grzywny z byle powodu stanowiły tutaj codzienny polski chleb. Nic nie pomagało. Macie dowód na naszym Późnym, jak był Polakiem, tak nim pozostał...

— Czemuś nam o tym wszystkim przedtem nie opowiadał? — wyrzut zabrzmiał w głosie zasłuchanego Romana. — Myślałem, że cię interesuje jedynie prehistoria, tymczasem i w najnowszych dziejach tak tkwisz, jakbyś sam to wszystko przeżywał.

— Widzisz, mnie Ziemia Lubuska szczególnie obchodzi, związałem się z nią serdecznie. Marzę, aby w przyszłości powstał jakiś instytut naukowy w Zielonej Górze, chętnie bym się tam przeniósł na stałe. Wiesz, Halina także chciałaby zawsze tu mieszkać...

— Masz ci los, tutaj pies pogrzebany — wpadł w te zwierzenia Heniek.

— Na pewno częściowo i tutaj — Wiesiek nie myślał nawet zaprzeczać. Zatrzymał się na skrzyżowaniu, boczna dróżka wiodła w lewo do zajmowanego przez niego domu. — Pędzę do siebie. Chcę dokładnie to przestudiować, porobię wyciągi. Wieczorem wpadnę do was, wyjaśnię wszystko, umówimy się także, jak będzie z jutrzejszą wyprawą do lubuskiej stolicy.

— Ale go wzięto — powiedział Heniek, popatrując za szybko oddalającym się Wieskiem.

— On naprawdę mi imponuje — w zamyśleniu powiedział Roman. — Czekaj, listonosz, ma może coś dla nas. Czekam na list od matki.

Miejscowy doręczyciel pedałowal na rozklekotanym rowerze. Jeszcze jadąc sięgnął jedną dłonią do torby.

— Jest expres polecony dla pana — witał Romana.

— Dla mnie nic? — upewniał się Heniek.

— Nic. Jeszcze tylko gazety dla pana Malickiego.

Drżącymi rękami podpisywał Roman pokwitowanie. Tego listu czekał przecież tak niecierpliwie od paru dni. Kochana mama, odpisała expresem, jak o to ją prosił.

— To my idziemy do przodu — dyskretnie odezwał się Heniek.

Roman go nawet nie słyszał. Nerwowo rozdzierał kopertę, przebiegł wzrokiem po rządach równego pisma. Rozradowanie wybiło mu łuną na twarz. Kochana mama, powiedział do siebie półgłosem.

W domu ani go mogli poznać. Malicka już czekała z obiadem. Benek nie zamykał buzi opowiadając o rozkazie oznaczonym kryptonimem żółwia. Heniek bacznie przyglądał się Soleckiemu. Jeszcze nigdy nie widział go tak przejętego, rozradowanego i uroczystego zarazem.

— Roman, co się stało? Milion w totku wygrałeś?

— Może i więcej. Cholernie dobra wiadomość — spojrzał na Malickiego. — Panie Wojciechu, można by wziąć „Zündappa”?

— Mileńki, kiedy tylko ci trzeba.

— Do Kryśki jedziesz?

Potwierdził skinieniem głowy.

— Daj wam Boże, to naprawdę dobra dziewczyna — odezwała się nagle milcząca zazwyczaj Malicka. Gdy Roman spojrzał na nią zdumiony, uśmiechnęła się wyrozumiale. Jakże miała nie poznać, co się z nim działo, mało to widziała zakochanych na świecie?

Breliński z córką krzątał się właśnie w podwórzu. Przyjaźnie powitali Romana.

— Idź, Kryśka, sam sobie poradzę — uśmiechnął się dobrotliwie wąsaty dróżnik.

Szli brzegiem rzeki. Kryśka ze zdziwieniem przyglądała się Romanowi. Tego co odmieniło? Nigdy jeszcze nie był aż tak rozradowany. Dostrzegł jej spojrzenie, ni stąd, ni zowąd roześmiał się na całe gardło.

— Trochę ci na wariata wyglądam, prawda? Ale to wszystko twoja wina.

Wysoko uniosła brwi.

— Mówiłaś, że musisz się rozejrzeć za pracą w jakimś szpitalu. Wspominałaś coś o Zielonej Górze, Kryśka, a gdybym ci zaproponował poszukanie sobie roboty w Warszawie? Tam na pewno także potrzebne są pielęgniarki.

— Potrzebne, tak. W Zielonej Górze mam jednak nadzieję na mieszkanie, choćby w hotelu przyszpitalnym dla pielęgniarek. W Warszawie nawet to jest dziś nierealne. Dowiadywałyśmy się z koleżankami.

Zdumiona dostrzegła, że Roman rozjaśnił się jeszcze bardziej. Była w nim sama już tylko radość.

— Tego się spodziewałem. Łamałem sobie głowę, co by tu zrobić, żeby nas nie dzieliła daleka przestrzeń, żebym cię mógł widywać. Nawet pisałem do matki. Zdaje się, mówiłem ci, że mamy małeńki domek po ojcu, niedawno uzyskaliśmy wyłączenie spod kwaterunku. Trzy pokoiki. Jesienią mama zamierzała wynająć jeden z nich, dla nas starczyłaby reszta. Napisałem wszystko o tobie — uśmiechnął się w tym miejscu trochę zażenowany. — Właściwie o sobie, że tak bardzo cię kocham, że byłoby mi niesłychanie trudno być z dala od ciebie, czyby więc nie można było tego pokoiku tobie odnająć. Kryśka — dorzucił szybko, widząc jakiś odruch dziewczyny. — Kryśka, słuchaj, to zupełnie oddzielny od naszej części mieszkania pokoiik, z osobnym wejściem, nikt cię nie będzie krępował. Nie myśl, że ja po to, aby... — zabrakło mu słów. — Sama będziesz o sobie decydowała, ja naprawdę nie zamierzam ci się narzucać, ale chyba mam prawo walczyć dla siebie o tę jedyną szansę? Prawda, że mam to prawo?

Milczała. Zbladł, przeczuwał najgorsze. Odmówi mu, powie, że wcale nie kocha, że to byłoby dla niej krępujące, zobowiązywałoby, licho wie, co może wymyślić, przecież tak łatwo opacznie zrozumieć czyjeś intencje. Bał się podnieść głowę, by na nią spojrzeć. Gdy wreszcie z wielkim wysiłkiem woli zdecydował się to uczynić, struchlał. W oczach dziewczyny, w tych jasnych oczach stały łzy.

— Kryśka, co ci?

— Nic, nic — odpowiedziała z wysiłkiem. — Nic, Romek, tak jakoś w gardle mnie ściska i oczy pieką.

Po chwili dodała:

— Ty mnie tak bardzo wzruszyłeś. Dziękuję, Roman, jeżeli tak myślisz naprawdę, pojedę... I... I...

Nie mogła tego powiedzieć, nie mogła. Chwycił ją silnie za rękę.

— Co i? Powiedz, Kryśka, musisz powiedzieć.

— I.. i ja wcale już nie chcę, żebyś ty walczył o tę szansę. Ja ci ją daję. Bo ja ciebie też, Romek, i chyba już dawno, może wtedy nawet, gdy mi się zdawało, że to jeszcze Kowalski. Dlatego cię unikałam, a i tamten pocałunek, pamiętasz, z głupoty, bolał mnie, bo ja cię przecież zawiodłam.

Ni stąd, ni zowąd radosnym błyskiem przemknęła mu myśl, że ty razem na pewno nie ma w pobliżu Benka ani Tolka, że nikt im nie przeszkodzi.

Wargi jej były tak chłodne i tak gorące zarazem.

## ROZDZIAŁ XXXIII

Przeglądali z podziwem numer „Gazety Zielonogórskiej”. Mają chłopaki tempo, jakże, wczoraj przed południem byli w Zielonej Górze, historyk ze stacji naukowej zadzwonił do redakcji, przybiegli w kilku, a już dziś gotowy artykuł, dokumentacja, zdjęcia. Ogromny tytuł: „Aktion Schildkröte”...

— Widzisz, Tolek, o nas piszą. Ja ci zawsze mówiłem, trzymaj się Benka, nie przegrasz — mówiąc tak Benek triumfalnie wypinał pierś.

— Nu, ja tak w chacie poczytam, teraz dla mnie nie pora. — Po obejrzeniu zdjęć Wikswa odłożył gazetę.

Przyjechał do Malickich z wiadomością, że pojutrze zaczynają niewodowe odłowy. Prawie wszystkie jeziora przebobrują w rejonie, wyłączając kilka większych zostawionych na zimę.

— W tych niechaj ryba podchodzi się jeszcze — uśmiecha się brodac.

A potem patrzy po chłopcach, głową kręci.

— Tak wy tu u nas narozrabiali, żeby was nie znać. Nigdy takiego szumu nie było, jak teraz.

Roman widzi wyraźnie rozzalenie w oczach Kubiaka. Wrzesień na karku, za trzy dni Heniek wyjeżdża, już nie dla niego niewód i koczowanie nad jeziorami, pitraszona przez Wikswę zupa rybna, długie gawędy i przekomarzania przy ogniu.

Potem Malicki odwozi brygadiera, malcy pędzą do swoich żółwi, Roman morduje się przy motorze, najpewniej w tym roku nic z tego nie będzie, trzeba kilka części wymienić, nietypowe, tokarka iść musi w robotę. Więc chyba w Warszawie?

Za to kadłub błyszczący świeżo pociągnięty lakierem. U dzioba po obu stronach czarnymi konturami oznaczony rysunek żółwia. Chłopcy przystają przy nim, wodzą zachwyconym wejrzeniem.

— Żółwie to fajne zwierzaki. Niemiachy nie połapały się, źle swą akcję nazwali, to żółwie przyniosły im pecha, nie zezwoliły wymordować Polaków — z całą powagą tłumaczy Benek Tolkowi.

Heniek kładzie się na pobliskiej łączce. Słońce grzeje, dobrze jest się tak wyciągnąć, ostatnia okazja przed powrotem do domu. Nie chce mu się wracać, nic go tam teraz nie ciągnie. W ogóle czuje się jakoś nieswojo. Wie, to pobyt w Zielonej Górze tak go rozkleił...

Pojechali całą gromadą. To Roman wpadł na pomysł, aby zabrać razem dziewczęta. Całą drogę w autobusie jak wniebowzięty wgapił się w Kryskę, Wiesiek znowu adorował Halinę. Niemal sentymentalna sielanka. Żeby nie malcy, nie wiedziałyby Heniek, co robić ze sobą.

Podobała się im Zielona Góra. Nie chodzi o przeszłość, choć Wiesiek przy byle okazji rozповідаł wcale nawet ciekawe historie. Pewnie, polskość mocno się tam trzymała przez długi czas, jeszcze dziś odszuka się jej ślady. Co tam zresztą wspominać przeszłość, ważne jest dziś.

Pamiętał relację Jurka Mątwiaka. Że spore miasto, restauracje, kawiarnie, ładne dziewczęta, wiele rozmachu. Zgadzało się. Tylko to była jedna strona Zielonej Góry. Wiesiek pokazał im drugą. Fabryki, winnice, wznoszące się liczne nowe budynki. Gdy już później siedzieli w kawiarni, rozrzewnił się, marzyć zaczął po swojemu, choć to wcale nie było głupie. Jakże on to ujmował? Aha... O tych naukowych ośrodkach, rękami przy okazji wymachiwał, mało filizanek z kawą nie zwałił na ziemię.

— Widzicie, ja jestem prehistoryk, archeolog, chcę nim właściwie być. Jest takich więcej. Mówiliśmy już kiedyś, że na Ziemi Lubuskiej otwiera się dla nas pole do roboty nie na rok czy na dwa, ale może nawet na całe dziesiątki lat. Rośnie liczba stanowisk badawczych, od Kostrzyna przez Santok do Międzyrzecza i od Żagania po Gorzów. Gdyby tak powstała większa stacja, instytut naukowy, ośrodek badawczy, chętnie byśmy się osiedlili w Zielonej Górze, przy tym położenie wygodne, Poznań i Wrocław o krok. Miasto rozwija się, rośnie, trzeba, aby obok centrum przemysłowego stało się także ośrodkiem humanistycznym...

Potem dodał, pamięta Heniek ten uśmiech:

— Halina też by tu chętnie mieszkała...

Ta zaś spiekła takiego raka, aż musieli się roześmiać wszyscy.

Miał Wiesiek na pewno rację. Byli w tej stacji naukowej Towarzystwa Historycznego. Zastali w niej paru ślęczących nad papierzyskami facetów. Gdy Wiesiek powiedział, o co chodzi, jeszcze gdy wyciągnął niemieckie akta, oczy im z orbit powyłaziły, łapska jak w gorączce latały. Jeden zaraz rozdzwonił się do redakcji radia, piętnaście minut nie minęło, zwalili się dziennikarze, także same młodziki. W ogóle starszych mało tu widać... Przylecieli, pytają, notują, robią fotografie całej ich grupy i znalezionych dokumentów, oczy się tylko im świecą. Potem rozpierzchli się znowu jak stado wróbli, jakby ich wcale nie było, dym jedynie nadal stał chmurą w powietrzu, bo kopcili jak zwariowani... Dziś już jest wszystko w gazecie. Szybko, pewnie, ale tamten komunikat radiowy to była doprawdy bomba.

Heniek przymrużył oczy, usiłował uzmysłwić sobie, ile to naprawdę czasu minęło od chwili, gdy spotkali się z tymi dziennikarzami, do momentu wysłuchania komunikatu. Najwyżej półtorej godziny. Jeden z tych historyków spojrział w pewnej chwili na zegarek, powiedział, że będą teraz wiadomości lokalne z miejscowej rozgłośni, warto posłuchać. Trochę się nawet zdziwili, ostatecznie ważniejsze chyba były te akta. Dopiero zgłupieli, jak słyszą nagle gadkę o sobie. Że grupa przebywającej na wakacjach młodzieży odkryła tajne akta specjalnej grupy SS, wśród nich zaś rozkaz nakazujący zgładzenie ludności polskich wsi Babimojszczyzny. Wymienili nawet nazwisko Wieska jako, hm, obiecującego historyka...

Od motorówki dobiegło uparte pociąganie pilnikiem. Roman już jest w swoim żywiole. Pewnie, ma teraz dryg do roboty, gdy postawił z Kryską na swoim. Jedzie z nim do Warszawy. Wiadomo, co dalej będzie, na przyszły rok pojawi się nad przesmykiem czy w domku dróżnika młode małżeństwo... Halina z Wieskiem też wyglądają tacy szczęśliwi. Kpił nie tak dawno w duchu z nich wszystkich, że romantycy, że bardzo kochliwi. Oni zyskali coś z tych wakacji, a on? Agnes? Nie chciało mu się nawet o niej wspominać. Ale najwidoczniej jakiś pech chciał, aby się i ona zjawiała w Zielonej Górze jakby przeciwwaga dla tych dwóch rozkochanych par...

Do autobusu mieli sporo czasu. Wiesiek zaproponował kawiarnię. Poszli do „Palomy”, słyszał o niej od Agnes i Jurka, Lokal naprawdę był ładny, w nim dużo niebrzydkich dziewcząt. Nie o to zresztą chodziło... Wiesiek rozvodził się właśnie o swych planach, gdy jakaś trójka stanęła u progu. Przypadkiem Heniek patrzył w ich stronę. Drgnął, była tam Agnes. Wymalowana, uśmiechnięta, rozmawiała z jakąś również niczego dziewczyną i z jakimś gogusiem. Rozglądali się, widocznie kogoś szukając. Skłonił się Agnes, bo patrzyła w ich stronę. Tego się nie spodziewał. Udając zdziwienie wzruszyła tylko ramionami, nawet głową mu nie kiwnęła. Zbaraniał, nie wiedział, zareagować jakoś, podbiec do niej, zapytać, czy się już urządziła, czy też zignorować obecność dziewczyny. Nim zdobył się na decyzję, cała trójka wyszła, jeszcze za oknem mignęła mu na ulicy zgrabna sylwetka Agnes.

Wtedy jego spojrzenie spotkało się z Romanem. Solecki przychylił się, zapytał cicho, by nikt z ich stolika nie słyszał:

— To była Agnes?

— Nie bardzo tylko do niej podobna.

Badawcze spojrzenie Romana. Pamięta, wytrzymał je, nawet nie zmrużył powiek.

— Chyba masz rację — spokojnie powiedział w końcu Solecki.

Heniek wiedział, że Roman poznał Agnes z całą pewnością. Zapytał go zresztą wieczorem, gdy zostali już sami, dlaczego przyjął tak spokojnie to kłamstwo. Roman uśmiechnął się na to, odrzucił krótko:

— Nie wiem, czy było to kłamstwo. Daleko już bardzo odszedłeś od tego wszystkiego, co sobą reprezentuje Agnes.

I wtedy opowiedział mu wszystko. Do tej chwili nie był pewien, czy słusznie postąpił. Może należało trzymać język za zębami do końca. Ale musiał się z kimś podzielić wątpliwościami, musiał się wyzalić. Roman słuchał uważnie, nie przerwał jednym słowem. Gdy zapytał go w końcu, co sądzi o załatwieniu sprawy z pieniędzmi danymi jej przez Stefana, zastanawiał się bardzo krótko:

— Nie mam tu zdania. Gdybyż to jeszcze jakoś na nią wpłynęło, ale na to mi nie wyglądała...

Tak, nie wyglądało na to, żeby Agnes wyniosła jakiś morał dla siebie z całej tej ponurej zabawy. Co najwyżej będzie bardziej ostrożna, nie zaryzykuje więcej podobnie łatwych zarobków. Tylko tyle...

— Ech, wszystko to funta kłaków niewarte. Co się mam tak cholernie przejmować — zamruczał wreszcie Heniek do siebie, podnosząc się z trawy. — Jakieś myślenie, wspominać, szukanie dziury w całym. Co było, to było...

— Co ty, gadasz do siebie? — zdziwiony Roman przerwał szorowanie pilnikiem kawałka metalu.

— Nic nie gadam — spieszył się Heniek. — Jadę na szczupaki, nie masz ochoty?

— Dosyć będzie ryby przy połowach niewodem. Mam dłubanie przy motorze, to mi wystarczy za najlepszą zabawę.

Długo stał potem i patrzył za Heńkiem, wypływającym na wodę.

Solecki wiedział, że Heniek przeżywa teraz dni wielkiego rozgoryczenia. Serdecznie chciałby mu pomóc, ale nie bardzo wiedział, jak ma to zrobić. Rozgrzeszył się w końcu myślą, że każdy sam musi przetrwać własne sprawy. Wrócił do dłubania w motorze.

Dopiero ta depesza zaskoczyła ich wszystkich. Pod wieczór nadeszła. Heniek był już w znacznie lepszym nastroju, udało mu się zahaczyć dużego szczupaka. Ważyli, miał z górą pięć kilo.

Gdy nadszedł telegram, Roman widział, jak Kubiak brwi podnosi do góry. Gwałtownie rozwinął złożony w kilkoro papier. Poślaniec odchodząc oglądał się jeszcze ciekawie. Musiał znać treść notki telegraficznej.

Po przeczytaniu Heniek opuścił ręce.

— Jeszcze tego mi brakowało — powiedział. — Sam zobacz — podał papier Romanowi.

Solecki odczytał: „Ojciec aresztowany. Przyjeżdżaj natychmiast. Matka”.

Krótkie to było, ale jakże wymowne. Spojrzał na Heńka.

— Mogłem się tego spodziewać. Ojciec za wszelką cenę chciał robić forszę, matka zresztą nie była lepsza — słowa jego brzmiały gorczą. — Wpadł pewnie na handlu walutami. Za to mało się nie dostaje.

Oczy jego, piękne zielone oczy, były bardzo smutne.

— Widzisz, do jakiej atmosfery domowej wracałem... Bo gdyby się nawet to najgorsze nie stało, musiałbym żyć ciągle wśród „twardych” i „miękkich”, dyskusji o samochodach i najlepszych lokalach, kawiarni matki, jeżeli nie jej kochanków. Potem, cholera, dziwisz się, że inaczej niż wy patrzę na wszystko.

Opanował się. Zdobył się nawet na uśmiech.

— Głupstwo, Roman, zniesie się jakoś i to. O której z Międzyrzecza odchodzi pociąg na Poznań?

— Dopiero wieczorem. Nie ma nic wcześniejszego.

— Kupa czasu zostaje...

Odprawiali go całą gromadą, przyszli nawet Halina z Wieśkiem. Heniek był smutny i dziwnie poważny. Gdy stali na szosie, czekając na autobus, powiedział w pewnej chwili:

— Stary może się z tego wywinie, sprytny jest... Mnie natomiast wyjdzie to w sumie na dobre. Cholernie wiele rzeczy tu przemyślałem, ta depesza staje się jakby zakończeniem mej edukacji. Przydadzą mi się te wakacje pod znakiem żółwia. Przyjmiecie mnie do klanu na przyszły rok?

— Czyś ty zdumiał, Heniek, do reszty? — szarpnął się Benek. — Jak możesz pytać?

— Odwiedzę cię w Poznaniu — uśmiechnął się Wiesiek.

Stękając nadjeżdżał autobus. Długo jeszcze kiwali za nim rękami.

— To jednak naprawdę swój chłopak — powiedział Roman.

— Ze swojej sitwy — poprawił Benek. Potem spojrzął na pobliski znak drogowy przestrzegający przed zakrętami. — A zaczęło się wszystko od kraksy...

W tym momencie skrzyżowały się spojrzenia Romana i Kryski.